

# Wielka tama

Alistair MacLean



calibre 0.9.27



# UTWORY ZEBRANE

1. H.M.S., „ULISSES"
2. Działa Nawarony
3. Na południe od Jawy
4. Ostatnia granica
5. Noc bez brzasku
6. Siła strachu
7. Złote rendez-vous
8. Szatański wirus
9. Mroczny Krzyżowiec
10. Stacja arktyczna „Zebra"
11. 48 godzin
12. Tylko dla orłów
13. Lalka na łańcuchu
14. Komandosi z Nawarony
15. Karawana do Vaccares
16. Wyspa Niedźwiedzia
17. Wyścig ku śmierci
18. Cyrk
19. Przełęcz Złamanego Serca
20. Złote Wrota
21. Żegnaj Kalifornio
22. Wiedźma Morska
23. Athabaska

24. Rzeka śmierci

25. **Śluza**

26. San Andreas

27. Samolot prezydencki

28. Samotne morze

29. Wieża zakładników

30. Kapitan Cook

31. Santoryn

32. Partyzanci

# Alistair MacLean

## ŚLUZA

Przełożył Jarosław Kotarski

*Agencja Praw Autorskich i*

*Wydawnictwo „INTERART”*

*Warszawa 1993*

## Wstęp

Dwa dziwne i w sumie podobne zdarzenia, jakie miały miejsce nocą trzeciego lutego, dotyczyły magazynów wojskowych i nie miały ze sobą żadnych wyraźnych związków.

Wydarzenie w De Doorns w Holandii było tajemnicze, widowiskowe i tragiczne zarazem, to drugie w Metnitz w RFN było o wiele mniej tajemnicze, zgoła nie widowiskowe, a nawet odrobiną komiczne.

Na warcie przy znajdującym się w bunkrze holenderskim magazynie amunicji, o półtora kilometra na północ od De Doorns, znajdowało się trzech ludzi. Dwaj mieszkańcy wioski, którzy owej nocy cierpieli na bezsenność, zameldowali o strzelaninie z broni maszynowej — potem okazało się, że strażnicy byli uzbrojeni w takie pistolety — a następnie o potężnym wybuchu.

Na miejscu okazało się, że krater miał sześćdziesiąt metrów szerokości i dwanaście głębokości. Domy w wiosce zostały mocno uszkodzone, ale nikt z mieszkańców nie zginął.

Najprawdopodobniej strażnicy otworzyli ogień do napastników i jakaś zbłąkana kula spowodowała eksplozję. Nie znaleziono żadnych śladów po strażnikach czy ewentualnych napastnikach.

W RFN — Frakcja Czerwonej Armii — dobrze znana i doskonale zorganizowana grupa terrorystyczna oświadczyła, że to ona jest od-powiedzialna za atak na bazę w Metnitz i to jej członkowie bezproblemowo załatwili dwóch strażników przy magazynie amunicyjnym. Obaj żołnierze mieli być nietrzeźwi i kiedy intruzi wychodzili, podobno nakryli ich jeszcze kocami, bo noc była chłodna. NATO zaprzeczyło oświadczeniu o pijaństwie swoich żołnierzy, ale nic nie powiedziano o kocach. Intruzi oświadczyli, że zabrali z magazynu pokaźną ilość broni — w tym też niektóre jej rodzaje znajdujące się na utajnionych spisach broni NATO. Armia USA zaprzeczyła temu oświadczeniu.

Prasa niemiecka zaczęła roztrząsać całą sprawę. Jeśli chodzi o kwestię infiltracji baz wojskowych, Frakcja Czerwonej Armii była rekordzistą.

A jeśli idzie o ochronę baz, armia amerykańska też jest rekordzistą, tyle że nieudolności: jej bazy są najłatwiejszymi do opanowania.

Frakcja Czerwonej Armii chlubi się swoimi, drobiazgowo przeprawianymi, akcjami. Tym razem podała do publicznej wiadomości dokładną listę broni skradzionej z Metnitz. Detale, jakie podano w liście a dotyczące tajnej broni, nie zostały jednak nigdy opublikowane. Stwierdzono, że jeśli oświadczenie było prawdą, armia amerykańska bezpośrednio lub też poprzez rząd niemiecki wydała po prostu natychmiastowy zakaz publikacji tych informacji na łamach prasy.

## Rozdział pierwszy

— To oczywiste, że jest to robota jakiegoś szaleńca — Jon de Jong, wysoki, szczupły i szpakowaty, ascetyczny dyrektor lotniska Schiphol wyglądał dość żałośnie, w jego słowach brzmiała nuta goryczy. Jednak okoliczności, towarzyszące sytuacji, w jakiej się obecnie znajdował, usprawiedliwiały w stu procentach jego zachowanie. — To czyste sza leństwo. Ten ktoś musi być wariatem, szaleńcem i maniakiem, by robić coś tak obłądnego, idiotycznego i bezsensownego.

Niczym zasuszony profesor, którego do złudzenia przypominał, de Jong miał słabość do pedanterii oraz do nadmiernej tautologii w swych długich i obrazowych wypowiedziach.

— To wariat.

— Można przyznać temu rację — odparł de Graaf.

Pułkownik de Graaf był barczystym mężczyzną słusznej wagi o mocno pomarszczonej smagłej twarzy, która dodawała mu powagi i idealnie pasowała do funkcji komisarza policji stolicy Holandii. — Rozumiem i zgadzam się z tobą, ale jedynie do pewnego stopnia z oczywistych względów. Wiem, jak się czujesz, przyjacielu. Twoje ukochane lotnisko — jedno z najlepszych w Europie...

— Lotnisko w Amsterdamie jest najlepsze w Europie — uciał de Jong, wpatrując się w przestrzeń.  
— To znaczy było.

— I będzie. Odpowiedzialny za to przestępca z pewnością nie jest normalny, ale to jeszcze nie znaczy, że jest wariatem. Być może on cię nie lubi, czuje do ciebie jakąś urazę. Może to były pracownik, zwolniony z pracy z jakiegoś powodu, który nie chce się pogodzić ze swoim losem. Może to jeden z mieszkańców przedmieść Amsterdamu, który doszedł do wniosku, że poziom decybeli, jaki powodują przelatujące samoloty, jest nie do zniesienia. Możliwe również, że to jakiś miłośnik przyrody, który słusznie zauważył, że spaliny z silników

odrzutowców

zanieczyszczają

atmosferę,

tyle

że

wybrał

nieortodoksyjną metodę protestu. W naszym kraju jest cała masa miłośników przyrody.

A może po prostu nie podoba mu się polityka naszego rządu. — De Graaf przeczesał dłonią swoje szpakowate włosy. — Powodów może być wiele.

Przypuszczam jednak, że ten człowiek jest równie normalny jak ty czy ja.

— Proszę się rozejrzeć, pułkowniku — rzekł de Jong zaciskając i rozluźniając pięści oraz drżąc na całym ciele. Reakcje były odruchowe, choć spowodowane dwoma odmiennymi rzeczami: frustracją i gniewem, jakie go ogarnęły, oraz powiewami lodowatego wiatru wiejącego z północnego wschodu, znad IJsselmeer (a wcześniej znad Syberii). Na dachu głównego budynku lotniska Schiphol z całą pewnością odczuwało się to jeszcze bardziej przejmująco niż gdziekolwiek indziej.

— Normalny człowiek? Tak jak ty czy ja? Czy ty lub ja moglibyśmy być odpowiedzialni za tę okropność? Proszę spojrzeć, pułkowniku.

De Graaf rozejrzał się wokoło. Gdyby był dyrektorem lotniska, z całą pewnością trudno byłoby mu patrzeć, nie czując żalu ściskającego go za serce.

Lotnisko Schiphol po prostu znikło, skryło się pod powierzchnią lekko falującego jeziora, rozciągającego się aż po horyzont. Źródło powodzi można było dostrzec bez trudu: blisko olbrzymich zbiorników paliwa, w tamie ochronnej leżącego na południu kanału widniała szeroka wyrwa. Szlam, muł i kamienie pokrywające powierzchnię grobli po obu stronach krawędzi wyrwy nie pozwalały wątpić, że uszkodzenie śluzy nie nastąpiło z przyczyn naturalnych czy przypadkowych.

Woda, która wlała się przez ową wyrwę miała równie widowiskowe jak niszczące skutki. Budynki lotniska wytrzymały powódź niemal bez szwanku, choć zalane zostały piwnice. Uszkodzenia jednakże urządzeń elektrycznych i elektronicznych okazały się dość poważne. Koszty przywrócenia budynku do stanu pełnej używalności na pewno będą wynosić miliony guldenów —

pomyślał de Graaf. Same budynki, choć zatopione, pozostały jednak nietknięte.

Lotnisko Schiphol zbudowano solidnie i mocno zakotwiczo w terenie.

Samoloty, niestety, kiedy nie latają, są bardzo delikatnymi maszynami i, rzecz jasna, nie bywają w żaden sposób przymocowywane do podłoża. De Graaf na moment przymknął oczy, by nie patrzeć na ten ściskający serce widok. To, co działo się na płycie lotniska, mogło przypominać scenę z koszmarnego snu. Małe samoloty dryfowały na północ. Niektóre z nich, wciąż jeszcze utrzymując się na wodzie, kręciły się w kółko. Kilka znikło całkowicie w odmętach fal. Tuż ponad powierzchnią wody wystawały dwa stateczniki należące najwyraźniej do małych, jednosilnikowych maszyn, które pod wpływem naporu wody

przechyliły się do przodu opierając obciążonymi przez silniki dziobami o płytę lotniska. Kilka dwusilnikowych odrzutowców pasażerskich — 737 i DC 9 oraz trzysilnikowych Trident 3 i 727 zostało rozrzuconych po całej płycie lotniska; ich dzioby wskazywały wszystkie strony świata. Dwie

maszyny przechyliły się na bok, dwie inne zostały częściowo zatopione — nad wodę wystawały jedynie górne fragmenty kadłubów, jako że ich podwozia nie wytrzymały naporu wody. Olbrzymie 747, tri stary i DC 10 znajdowały się wciąż na swoich miejscach, co zawdzięczały jedynie swojej wadze, gdyż z zapasem paliwa ważyły od trzystu do czterystu ton. Dwa z nich przewróciły się na bok, bo prawdopodobnie potężna fala w mgnieniu oka oderwała ich podwozia. Nie trzeba było być specjalistą, by wiedzieć, że nadawały się tylko do kasacji: prawe skrzydła były wygięte w górę pod kątem jakichś dwudziestu stopni, z lewych zostały tylko wyrwane mocowania do kadłubów — same płyty, całkowicie oddzielone od reszty maszyn skrywały fale.

Kilkaset metrów dalej, na pasie startowym, wystawało spod wody podwozie fokkera friendshop próbującego w ostatniej chwili rozpaczliwie wystartować.

Bardzo możliwe, że pilot nie widział zbliżającej się doń ściany wody, a być może zauważył ją i uznał, że nie ma nic do stracenia i mimo wszystko podjął

próbę ucieczki. Nie zdążył jednak osiągnąć prędkości potrzebnej do startu, zanim pochwyciła go fala. Nie ta główna, lecz poprzedzająca ją niewielka, mająca może cztery lub pięć centymetrów wysokości, ale wystarczyła, by z fokkera uczynić z tragicznym skutkiem wodnosamolot. Maszyna kapoto wała i fale pokryły ją w mgnieniu oka.

Samochody i ciężarówki obsługi lotniska po prostu znikły pod wodą.

Jedynymi fragmentami pojazdów obsługi, które wystawały ponad powierzchnię fal, były trzy czy cztery stopnie schodków lotniczych i szczyt cysterny. Nawet końce dwóch rękawów, służących do wsiadania bezpośrednio z budynku lotniska, pogrążone były bezradnie w mrocznych odmętach.

De Graaf westchnął, potrząsnął głową i zwrócił się do de Jonga, który niewidzącymi oczami spoglądał na zniszczone lotnisko, jak gdyby wciąż jeszcze nie rozumiał tego, co się wydarzyło.

— Masz rację, Jon. Obaj jesteśmy normalni i to niemożliwe, abyśmy mogli być sprawcami czegoś takiego. To wcale nie oznacza, że zbrodniarz odpowiedzialny za ten makabryczny dowcip jest niespełna rozumu. Dowiemy się tego — ten ktoś z pewnością poinformuje nas, dlaczego to zrobił i zapewniam cię, że jego motywy będą jeśli nie rozsądne, to z całą pewnością logiczne. Wiem, nie powinienem był użyć słowa

„dowcip” — tak jak ty nie powinienes być użyć słów „idiotycznego” czy

„bezsensownego”. Efekt, jaki to wydarzenie miało wywołać, był z góry zaplanowany, to nie było działanie jakiegoś pacjenta szpitala psychiatrycznego pod wpływem chwili.

Niechętnie, jakby wbrew własnej woli, de Jong odwrócił wzrok od zatopionego lotniska.

— Efekt? Jedyne efekty, jakie to we mnie wywołało, to atak furii. Jaki mógłby być inny skutek? Masz jakiś pomysł?

— Nic mi nie przychodzi do głowy. Nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanawiać; pamiętaj, że



dopiero przyjechałem. Jasne, że wiedzieliśmy o tym od wczoraj, ale jak każdy w takim przypadku, tak i ja uznałem to oświadczenie za kpinę i nie brałem go poważnie. Mam dwie propozycje. Po pierwsze — nic nie wskóramy łypiąc oczami na jezioro Schiphol i z całą pewnością nic nam nie pomoże sterczenie na tym dachu — co najwyżej możemy się nabawić zapalenia płuc.

Pełna goryczy mina de Jonga, gdy usłyszał słowa „jezioro Schiphol”, dobitnie świadczyła, co o tym sądzi, ale on sam nie odezwał się nawet słowem.

W kantynie na lotnisku wcale nie było cieplej, ale na pewno znacznie przyjemniej niż na szczycie dachu, gdzie ataki wiatru przeszywały do szpiku kości. Elektryczne piecyki wysiadły, a butanowe grzejniki w spowitym chłodem pomieszczeniu dawały minimalny efekt. Gorąca kawa zrobiła jednak swoje.

De Graaf wolałby coś mocniejszego, ale w obecności dyrektora lotniska nawet najwięksi miłośnicy jonge jenever czy sznapsów zachowywali ścisłą abstynencję. Zgodnie z jego ascetycznym wyglądem, de Jong nigdy nie pił

alkoholu, o co raczej trudno w Holandii. Choć nie wymagał tego, ani nie dawał

w żaden sposób odczuć, to jakoś w jego obecności ludzie nigdy nie pili niczego mocniejszego od kawy czy herbaty.

— No to zbierzmy do kupy wszystko, co wiemy, a wiemy cholernie mało — odezwał się de Graaf.  
— Wczoraj po południu dostarczone zostały trzy identyczne wiadomości — jedna do redakcji gazety, druga do władz lotniska, a trzecia do Rijkswaterstaat (Ministerstwa Transportu i Robót Publicznych).  
— Przerwał na chwilę i spojrzał na smągłego, ciemnobrodego mężczyznę, który zatruwał powietrze dymem wydoby wającym się ze staroświeckiej fajeczki. — Oczywiście, Van der Kuur

— główny inżynier w Rijkswaterstaat. Może mi pan powiedzieć, ile po trwa sprzątanie tego bałaganu?

Van der Kuur wyjął fajkę z ust.

— Właśnie zabraliśmy się do roboty. Wyrwę w tamie załataliśmy metalowymi płytami — to, rzecz jasna, prowizorka, ale na razie wystarczy. To rutynowa robota.

— De to potrwa?

— Trzydzieści sześć godzin. — Było coś wyjątkowego w jego spokojnym i rzeczowym podejściu. — Rzecz jasna, jeśli uda się nam dogadać z właścicielami barek, holowników i łodzi, które obecnie spoczywają w mule na dnie kanału. Jeżeli osiadły na kilu to pestka, najgorzej będzie z tymi, które przewróciły się do góry dnem. Myślę jednak, że ci faceci zdecydują się na współpracę w dobrze pojętym własnym interesie.

— Są jakieś ofiary?

— Jeden z moich inspektorów doniósł o wzmożonej pobudliwości i nerwowości wśród załóg i

właściciele uszkodzonych jednostek. Poza tym nikomu się nic nie stało.

— Dziękuję. Przekazaną nam wiadomość podpisał człowiek lub grupa określająca się mianem FFF i jak na razie nie wiadomo, co to oznacza.

Dzisiejsze zdarzenie miało być świadectwem, że mogą zatopić każdą część naszego kraju poprzez wysadzenie strategicznie umieszczonej tamy. To miała być, ich zdaniem, mała demonstracja tak opracowana, by nikt nie ucierpiał i pociągająca za sobą możliwie jak najmniejsze straty.

— Niewielkie straty! Mała skala! — De Jong znów zacisnął pięści. —

Zastanawiam się, co ci dranie uważają za demonstrację na dużą skalę.

De Graaf pokiwał głową.

— Powiedzieli nam dokładnie, że celem jest lotnisko Schiphol i że zalanie go nastąpi dokładnie o jedenastej. Ani minuty wcześniej ani później. Jak wiadomo, panowie, wyłom powstał dokładnie o jedenastej.

Prawdę mówiąc policja przyjęła tę wiadomość jako czystą kpinę — no, bo niby jaki człowiek przy zdrowych zmysłach miałby zatapiać lotnisko? Być może ci ludzie widzieli w swojej akcji jakiś element symboliczny? To właśnie tu, gdzie obecnie znajduje się Schiphol, holenderska flota pokonała hiszpańską Armadę. Kpina, czy też nie, ale sprawdziliś my dokładnie ścianę kanału po obu stronach północnej tamy. Nie zna leźliśmy jednak żadnych śladów przygotowań do wysadzenia tamy.

Uznaliśmy więc, że był to po prostu kiepski żart. — De Graaf wzruszył

ramionami. — Jak się okazało FFF nie mają zwyczaju żartować.

Zwrócił się do mężczyzny siedzącego po lewej:

— Peter, miałeś chyba dość czasu do namysłu? — po czym dodał:

— Przepraszam panowie, ten dżentelmen tutaj to porucznik Peter Van Effen. Oprócz tego, że jest porucznikiem, jest również moim zastępcą i specem w dziedzinie materiałów wybuchowych. A za swoje grzechy dowodzi policyjną grupą saperską. Wiesz już, jak to zrobili?

Peter Van Effen, średniego wzrostu, barczysty i ze skłonnością do tycia stanowił typ człowieka nie rzucającego się w oczy. Miał trzydzieści parę lat, gęste ciemne włosy i czarny wąsik. Ogólnie sprawiał wrażenie znudzonego i nie wyglądał na detektywa, tym bardziej detektywa w randze porucznika; po prawdzie to w ogóle nie wyglądał na gliniarza. Wielu ludzi, obecnie w większości pensjonariuszy holenderskich więzień, zastanawiało się nieraz, jak mogli tak się zasugerować pierwszym wrażeniem i jak to się na nich zemściło.

— Nie musiałem się długo zastanawiać. Mądry człowiek po szkodzie.

Dopiero teraz widać, jak łatwo było tego dokonać, ale i tak nic byśmy nie mogli na to poradzić.

Niemal na pewno dwie łodzie przycumowały burtami u północnego brzegu; trafia się to rzadko, ale nie jest zabronione, zresztą każdemu może się przytrafić awaria silnika. Przypuszczam jednak, że te łodzie zostały skradzione i nietrudno będzie odnaleźć ich właścicieli. Tak więc obie łodzie zostały przycumowane przy brzegu tak, by zostawić nieco przestrzeni dla płetwonurków, którzy załatwili resztę. Musieli zrobić to nocą, przy zapalonych silnych światłach na pokładzie tak, by wszystko, co znajduje się poniżej poziomu okężnicy, było skryte w ciemnościach. Na pewno użyli świdrów i to takich, jakich używa się przy szybach naftowych, ale znacznie mniejszych i nie pracujących w pionie a w poziomie. Były one zasilane z generatora lub akumulatora, bo silniki dieslowskie i benzynowe są zbyt hałaśliwe.

Dla specjalisty, a w( rejonie Morza Północnego są ich setki, to po prostu dziecinnie łatwa operacja. Wywiercony został otwór głęboki na jakieś pół

metra; można mieć pewność, że dokładnie wymierzili i sprawdzili grubość ścian, następnie wypełnili go materiałem wybuchowym, być może zwykłym dynamitem lub TNT. Jednak sądzę, że prawdziwy ekspert wykorzystałby ładunki z amatołu. Potem na pewno podłączyli jeszcze elektryczny zapalnik, nic skomplikowanego — wystarczył zwykły budzik, zamaskowali otwór warstwą szlamu i błota po czym spokojnie odpłynęli.

— Prawie uwierzyłem, że to pan osobiście zaplanował tę operację

— odezwał się Van der Kuur. — A więc tak to przeprowadzili...

— Tak ja bym to przeprowadził, a oni poza drobiazgami zrobili to samo. Po prostu tak jest najprościej — Van Effen spojrzał na de Graafa.

Mamy przeciw sobie grupę specjalistów, a ich dowódca nie jest szaleńcem. Znają się na kradzieżach łodzi, wiedzą jak ich używać, gdzie ukraść specjalne świdry i jak się nimi posługiwać, a ponadto są w dobrej komitywie z materiałami wybuchowymi. To nie są długowłosi krzykacze protestujący na niezliczonych demonstracjach i manifestacjach — to zawodowcy. Prosiłem już o wyszukanie zgłoszeń zarówno wytwórców, jak i handlarzy o kradzieży specjalistycznego sprzętu oraz o dostarczenie mi informacji o kradzieżach łodzi w tej okolicy w ciągu paru ostatnich dni.

— Coś jeszcze? — spytał de Graaf.

— Nic. Nie mamy żadnych poszlak.

De Graaf skinął głową i spojrzał na trzymaną w dłoni kartkę. — Wiadomość od tajemniczej organizacji FFF. Nie podają powodu, dla którego dokonają tego sabotażu. Po prostu ostrzegają, aby o jedenastej przed południem nikt nie znajdował się na płycie lotniska, jak też by możliwie wszystkie samoloty opuściły lotnisko, jako że niepotrzebne zniszczenia nie są wkalkulowane w ich plany działania. Zaskakująca uprzejmość. Jeszcze dziwniejszy był telefon do ciebie, Jon — o dziewiątej rano, nakazujący ci natychmiastową ewakuację wszystkich maszyn z płyty lotniska. Rzecz jasna — również tę informację przyjęliśmy z przymrużeniem oka. Czy rozpoznałbyś ten głos, Jon?

— Na pewno nie. To była młoda dziewczyna mówiąca po angielsku. Dla mnie one wszystkie mówią

jednakowo. — De Jong uderzył pięścią w stół. —

Nawet nie podali nam powodu tej cholernej akcji. Co oni przez to osiągnęli?

Nic. Kompletnie nic. Powtarzam, że za to może być odpowiedzialny tylko ktoś psychicznie nie zrównoważony...

— Nie zgadzam się — odparł Van Effen. — Są równie normalni jak pan i ja. Osoby o zachwianej równowadze psychicznej nie mogłyby przeprowadzić równie skomplikowanej operacji. To nie są szaleni terroryści podkładający bomby w zatłoczonych supermarketach. Oni nie chcą, jak widać, narażać życia niewinnych ludzi ani ich majątku, jak to udowodnili w dwóch odrębnych ostrzeżeniach. Wariaci się tak nie zachowują...

— No to kto jest odpowiedzialny za śmierć trzech osób na pokładzie tego fokkera podczas jego nieudanego startu dziś rano?

— Oni, ale najwyżej pośrednio. Ktoś mógłby powiedzieć, że to pańska wina. Gdybyśmy poważnie potraktowali ich wiadomość, toby nie otrzymał

zezwoleń na start i to dokładnie o jedenastej. Pan wydał tę decyzję. Rzecz jasna, sabotażyści upewnili się, że regularne loty pasażerskie nie odlatają ani nie lądują o tej godzinie. Fokker był

samolotem prywatnym należącym do niemieckiego przemysłowca i nie było go na liście odlotów. Nazwijmy tę tragedię zwykłym zbiegiem okoliczności, wolą boską, pechem — jak pan chce. W zasadzie nikt nie jest odpowiedzialny za tę tragedię. De Jong bębnił palcami po stole.

— Jeżeli tak im zależało, aby nikt nie zginął, jak pan twierdzi, to dlaczego nie opóźnili eksplozji, skoro na pewno zobaczyli ludzi wchodzących na pokład samolotu.

— Po pierwsze — nie wiemy, czy ich widzieli, po drugie — na pewno nie mogli nic zrobić. Gdyby mieli detonator sterowany radiem to inna sprawa, ale, jak już mówiłem, mechanizm najprawdopodobniej był zegarowy. Można go zatrzymać tylko rozbijając ładunek, a to by wymagało czasu, użycia płetwonurków itp. A to, co się działo na lotnisku, było kwestią minut.

Na czole de Jonga pojawiły się kropelki potu.

— Mogli nas ostrzec telefonicznie.

Van Effen przyglądał mu się przez chwilę po czym spytał:

— Czy

pan

poważnie

potraktował

ostrzeżenie,

które

przekazali

panu rano?

De Jong nie odpowiedział.

— Powiedział pan, że sabotażyści nic nie zyskali poprzez swoją akcję.

Wiem, że jest pan wstrząśnięty, ale chyba nie jest pan naiwny? Jasne, że zyskali — i to dużo. Przede wszystkim przewagę, wprowadzając atmosferę strachu i niepewności — a atmosfera ta będzie się pogłębiać z godziny na godzinę. Jeżeli uderzyli raz, to czemu by nie mieli zrobić tego ponownie?

Pytanie tylko kiedy i gdzie. Najważniejsze zaś pytanie, jakie się obecnie nasuwa, brzmi: dlaczego? Dlaczego postępują tak, jak postępują? — Spojrzał

na de Graafa. — Chcą nas złamać i trzymać w niepewności do końca. To znana forma szantażu i myślę, że i tym razem odniesie skutek. Sądzę, że już wkrótce znów usłyszymy o FFF, ale nie o ich żądaniach ani motywach ich postępowania. To specyficzny rodzaj wojny psychologicznej: prześladowany powoli się załamuje tracąc poczucie własnego bezpieczeństwa. Tak walczano w dawnych czasach — już w średniowieczu — oczywiście przy użyciu ówczesnych środków. Ofiara ma czas na uświadomienie sobie własnej bezradności, a to doprowadza do załamania i bezwolnego poddania się cudzej woli.

— Najwyraźniej zna się pan na mentalności przestępców — westchnął de Jong.

— Troszeczkę — uśmiechnął się Van Effen. — Z drugiej strony nie próbowałbym panu doradzać, jak zarządzać lotniskiem.

— Chyba czegoś nie zrozumiałem?

— To proste. Van Effen uważa, że każdy powinien się w czymś spec-jalizować — odparł de Graaf — jest autorem książki o psychologii przestępców, przyznaję, że nigdy jej nie czytałem. A więc Peter, uważasz, że FFF skontaktuje się z nami, ale nie po to, by wyjaśnić nam cel swego działania? Więc po co? Kiedy i gdzie? Żeby przekazać nam wiadomość o mającej nastąpić kolejnej... demonstracji?

— Oczywiście. Ciszę, jaka zapadła, przerwało

wejście kelnera.

— Telefon, sir — rzekł do de Jonga. — Czy jest tu pan Van Effen?

— To ja. — Van Effen i kelner wyszli.

Porucznik wrócił po minucie.

— To sierżant. Dwaj mężczyźni donieśli o kradzieży łodzi. Sierżant nie uważał tego za tak ważne, by nas o tym zawiadamić, co zresztą rozumiałe.

Łodzie właśnie się znalazły, jedną z nich porwano nawet z właścicielem.

Zagoniłem daktyloskopów do roboty. Natomiast my utniemy sobie krótką pogawędkę z właścicielami łodzi — mieszkają o kilometr stąd.

— Obiecujący ślad, tak?

— Nie sądzę.

— Zgadzam się z panem. Od czegoś jednak trzeba zacząć. No to do roboty.

W tej samej chwili znów pojawił się kelner.

— Jeszcze jeden telefon, tym razem do pana pułkownika. De Graaf wrócił błyskawicznie.

— Jon, masz tu jakąś stenotypistkę?

— Oczywiście. Jan?

— Słucham — młoda blondynka przy sąsiednim stoliku zerwała się na nogi.

— Słyszałaś, co powiedział pułkownik?

— Tak, sir. Słucham.

— Przepisz mi szybko treść tej nagranej rozmowy telefonicznej. Peter, czy ty dorabiasz czasem jako jasnovidz?

— Znów FFF?

— Oczywiście. To był zwykły anonimowy telefon do redakcji gazety.

Wydawca był na tyle sprytny, że zdołał na czas włączyć magnetofon, ale wątpię, aby to w czymś pomogło. Słabo nagrane i dość długie, a ja nie jestem dobrym stenotypistą. Musimy trochę poczekać.

Po jakichś czterech minutach dziewczyna wróciła i wręczyła de Gra-afowi kartkę maszynopisu. Podziękował jej, spojrzął na papier i rzekł:

(

— Dzisiejsza akcja wydaje się stanowić ich motto. A to oświadczenie jest wyraźnym przykładem arogancji i bezczelności. Zobaczmy, co nam tu powiedzieli.

— Być może następnym razem odpowiedzialni obywatele Amsterdamu będą słuchać tego, co się do nich mówi i wykonywać to, co się im każe. To, co się stało, jest skutkiem niewiary w nasze słowa. Za tę tragedię odpowiedzialny jest osobiście pan de Jong, dyrektor lotniska, który zignorował nasze ostrzeżenie.

Żałujemy niepotrzebnej śmierci trzech pasażerów na pokładzie samolotu fokker friendship, ale nie na nas spada odpowiedzialność za ich zgon. Nie byliśmy w stanie zapobiec eksplozji. — De Graaf przerwał i spojrzał na Van Effena. — Ciekawe, nie?

— I to bardzo. A więc mieli obserwatora. Nigdy go nie odnajdziemy. Mógł

być na lotnisku pośród setek ludzi lub też znajdować się gdzieś w pobliżu, zaopatrzony w dobrą, silnie powiększającą lornetkę. To nas jednak nie interesuje. Czterej mężczyźni, którzy wynosili najbardziej poszkodowanych pasażerów nie wiedzieli, czy ludzie z fokkera przeżyli wypadek, czy też zginęli na miejscu. Fakt faktem — na miejscu zginęło dwóch z nich, zgon trzeciego stwierdził dopiero lekarz. Skąd FFF dowiedziało się o tym? Ani doktor, ani ci czterej mężczyźni udzielający pierwszej pomocy nie wchodzą w rachubę.

Oprócz nich jedyni ludzie, którzy wiedzą o tych trzech śmiertelnych ofiarach, znajdują się w tym pomieszczeniu. — Van Effen spokojnie przyjrzał się trzem kobietom i szesnastu mężczyznom siedzącym przy stołach w kantine i zwrócił

się do de Jonga:

— Mamy w tym gronie kapusia. Wróg podrzucił nam do obozu szpiega.

Zastanawiam się, kto to może być.

— W tym gronie? — De Jong był wyraźnie zde gustowany.

— Chyba nie muszę powtarzać rzeczy oczywistych?

De Jong spojrzał na swoje dłonie zaciśnięte na stole.

— Nie, oczywiście, że nie. Ale oczywiście, cóż — znajdziemy tego typka.

Wy znajdziecie.

— Chodzi o rutynowe śledztwo? Zbadanie, co robiła każda z tych osób po tym jak fokker roztrzaskał się na płycie lotniska? Czy któryś z nich gdzieś telefonował? Oczywiście — można to zrobić, ale nie sądzę, żebyśmy zdołali odkryć coś ciekawego.

— Jak to? Jak może pan być z góry pewny swego niepowodzenia?

— Bo porucznik jest doświadczonym policjantem — odparł de Graaf. — To nie są amatorzy i nie należy ich lekceważyć, prawda Peter?

— Tak. To spryciarze.

De Jong spojrzał na obu mężczyzn.

— Chyba nie rozumiem...

— To proste — wyjaśnił de Graaf. — Nie musieli nas informować, że wiedzą o zabitych. Zrobili to celowo. Rzecz jasna przewidzieli, że do-myślimy się, skąd dowiedzieli się o tych trzech śmiertelnych ofiarach. Z pewnością odgadli też, że porucznik dojdzie do wniosku, że mają tu swojego informatora.

I przewidzieli także, że sprawdzimy, czy ktoś z tu obecnych gdzieś dzwonił —

a więc z całą pewnością już teraz mogę panu powiedzieć, że nikt z nich nigdzie nie telefonował. Wiadomość została przekazana osobie znajdującej się w tym budynku, ale nie w tym pokoju i dopiero ta osoba wykonała odpowiedni telefon. Obawiam się, Jon, że mamy do czynienia z jeszcze jedną, a nawet kilkoma wtyczkami. Oczywiście jest, że cała nasza rozmowa zostanie streszczona FFF. Sprawdzimy naturalnie to, o czym mówiliśmy, ale to i tak nic nam nie da.

— Zastanawiam się, po co im to wszystko potrzebne — stwierdził de Jong.

— Po co się aż tak wysilają. Przecież niczego nie osiągnęli.

— Przede wszystkim pogarsza to nasze samopoczucie psychiczne. Poza tym udowadniają, że mogą przedostać się w szeregi każdej ochrony według własnego uznania. A to oznacza, że należy ich traktować poważnie. Dają też do zrozumienia, że są świetnie zorganizowani i chcą, żebyśmy przekonali się, że mogą dokonać wszystkiego, co tylko sobie zaplanują. Wróćmy jeszcze do ich ostatniego ostrzeżenia: „Jesteśmy pewni, iż Holendrzy już wkrótce przekonają się, stojąc twarzą w twarz ze zdecydowanym na wszystko przeciwnikiem, że są najbardziej bezbronnym narodem świata i to rzuci ich na kolana. Morze nie jest waszym wrogiem. Wrogiem jesteśmy my, zaś morze jest naszym sprzymierzeńcem. Nie musimy chyba przypominać, że Holandia posiada ponad tysiąc trzysta kilometrów tam morskich. Cornelius Rijpma, Przewodniczący Organizacji Polderów Morskich w Leeuwarden we Friesland stwierdził przed paroma miesiącami, że tamy na tym terenie to zwykła warstwa piasku i jeśli przyjdzie większy sztorm, na pewno zdoła je przełamać. Miał na myśli sztorm taki, jak w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku, podczas którego po przerwaniu tam zginęło tysiąc osiemset pięćdziesiąt osób. Nasze informacje dostarczone przez Rijkswaterstaat pozwalają nam twierdzić, że... ”

— Co takiego? Czy ci dranie sugerują, że wyciągnęli od nas te informacje?

— krzyknął czerwony jak burak Van der Kuur. — Niemożliwe!

— Niech mi pan pozwoli skończyć. Nie rozumie pan, że znów użyli tej samej techniki, by zasiać zwątpienie i demoralizację? To, że wiemy o ich kontaktach z ludźmi stąd., nie musi wcale oznaczać, że i u nas mają swoje wtyczki. Do rzeczy!... Vf-że wystarczy sztorm o sile siedemdziesięciu procent mocy sztormu z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku, aby przerwać tamy. Pan Rijpma mówił o tamach odsłoniętych. W Holandii z tych tysiąca trzystu kilometrów tam trzysta kilometrów



znajduje się w stanie krytycznym. Przewiduje się, że w najlepszym razie bez należytym konserwacji wytrzymają najwyżej ze dwanaście lat. Wszystko co chcemy zrobić, to po prostu uprzedzić nieuniknione".

De Graaf przerwał i rozejrzał się wokoło. W kantine zapanowała grobowa cisza. Tylko dwóch ludzi patrzyło w jego kierunku, pozostali spoglądali przed siebie. Nietrudno było odgadnąć, że ani jedni, ani drudzy nie byli zadowoleni z tego, co usłyszeli.

„Tamy nie mogą zostać naprawione z powodu braku funduszy. Wszystkie pieniądze obecnie i w najbliższej przyszłości będą pochłaniane przez budowę East Scheldt — falochronu stawianego w zatoce Morza Północnego —

będącego ostatnim odcinkiem planu Delta mającego na celu usunięcie zagrożenia stwarzanego przez to morze. Koszty są zastraszająco wysokie, a dodając do tego stopień inflacji — wyniosą one z pewnością około dziewięciu miliardów guldenów, a chodzą słuchy, że i to nie wystarczy. Projekt mówi o sześćdziesięciu trzech słupach umieszczonych pomiędzy olbrzymimi osiemnastotysięcznotonowymi, wolno stojącymi, betonowymi filarami.

Dysydency eksperci obawiają się, że morze jest w stanie przesunąć słupy, zablokować mechanizmy wrót i w sumie obrócić w perzynę całą inwestycję.

Wystarczyłoby przesunięcie słupów o dwa centymetry. Proszę spytać o to pana Van der Kuura."

De Graaf uniósł wzrok. Van der Kuur stał trzęsąc się z wściekłości.

— To oszczerstwo! Kłamstwo! Fałsz! Kalumnie! Kłamstwo i jeszcze raz kłamstwo!

— Jest pan specjalistą i powinien pan to wiedzieć, nie ma więc powodów do złości. Czyżby ci dysydenci, o których wspomina FFF, nie byli również specjalistami?

— Dysydenci. Kilku niezadowolonych z odpowiednimi papierami. Żaden z nich nie ma za sobą doświadczeń praktycznych.

— A czy w tym przypadku jest ktoś, kto ma takie doświadczenie? — spytał

Van Effen. — Tama na East Scheldt ma być przecież wzniesiona sposobem eksperymentalnym.

Uniósł dłoń, gdy zobaczył, że Van der Kuur zamierza coś powiedzieć.

— Przepraszam, to faktycznie nieważne. Ważne jest to, że w FFF jest ktoś, kto zna się na praktycznym zastosowaniu psychologii. Najpierw sięją zwątpienie, przerażenie, niezgodę w Schiphol, potem roznoszą je na całe Rijkswaterstaat, a teraz chcą, aby to przeniknęło na cały kraj. Telewizja, radio i prasa odgrywają tu niebagatelną rolę. Wiele osiągnęli w naprawdę krótkim czasie. Trzeba zacząć brać ich poważnie i uznać za wspaniałych strategów, choć z pewnością pozbawionych ludzkich uczuć. Sądzę, że zdrajca w naszej gromadce przekaże im jak najszybciej tę refleksję.

— Oczywiście — rzekł de Graaf. — Myślę też, że zrozumiał już, że i tak nie zdoła poznać naszych

planów. No cóż, panie i panowie, uważam, że powinienem doczytać wiadomość FFF do końca. Oto ostatni akapit pełen tego, o czym właśnie mówił porucznik: strachu, niezgody, zwątpienia i tym podobnie.

„Aby zademonstrować waszą bezsilność oraz potwierdzić fakt, że jesteśmy w stanie uderzyć w każdy wybrany przez nas rejon Holandii, oświadczamy, że dziś o czwartej trzydzieści po południu wysadzimy tamę morską w Texel...”

— Co takiego? — wykrzyknęło naraz z pół tuzina osób.

— Mnie to również wzburzyło. Zrobią co zamierzają, nie wątpię w to.

Brinkman — rzekł do młodego policjanta — połącz się z biurem. Lepiej, żeby ludzie na wyspie wiedzieli, co ich czeka. Panie Van der Kuur, niech pańscy ludzie wraz ze sprzętem będą w pogotowiu.

„To nie powinna być duża »demonstracja«" — tak piszą. — „Lepiej jednak, żeby ludzie z Oosterend i De Waal przygotowali łodzie albo weszli na poddasza i wyższe piętra. Uszkodzenia tamy powinny być stosunkowo niewielkie. Wiemy, że te nazwy dadzą wam do myślenia i z pewnością będziecie chcieli odnaleźć i rozbroić podłożone tam ładunki wybuchowe.

Ostrzegamy was przed tym.”

— To wszystko? — spytał Van der Kuur.

— Tak.

— Żadnego wyjaśnienia? Żadnych żądań? Nic?

— Kompletnie nic.

— Nadal uważam, że to banda maniaków.

— A moim zdaniem jest to dobrze zorganizowana grupa sprytnych przestępców, która po prostu chce nas „urobić”. Nie martwiłbym się o wyjaśnienia — otrzymamy je w swoim czasie, to znaczy wtedy, gdy oni uznają, że jest to odpowiednia pora. Jak na razie, nic więcej nie wymyślimy —

co najwyżej to, że nic już więcej nie da się wymyślić. Do zobaczenia, panie de Jong, mam nadzieję, że jutro lotnisko znów

zacznie funkcjonować. Oczywiście tylko nieformalnie, bo uporządkowanie płyty potrwa jeszcze parę dni, ale ile potrzeba czasu na wymianę elektroniki nawet nie próbuję zgadywać.

Wychodząc, Van Effen dał znak de Graafowi i upewniwszy się, że nikt go nie może podsłuchać, szepnął: — Chciałbym przyczepić ogony paru ludziom znajdującym się w tym pomieszczeniu.

— Nie tracisz, jak widać, czasu. Ale najwyraźniej masz swoje powody...

— Obserwowałem ich, gdy czytał pan tekst o zamierzonym zniszczeniu tamy w Texel. Wszyscy byli wstrząśnięci tą wiadomością oprócz dwóch mężczyzn. Ci dwaj po prostu patrzyli na pana. Może nie zareagowali, bo treść wiadomości do nich nie dotarła, ale nie sądzę, aby tak było. Bardziej prawdopodobne jest, że już wcześniej znali treść wiadomości i wiedzieli, jaki będzie następny cel...

— Chwytasz się brzytwy.

— Nie mam wyjścia, bo faktycznie toniemy.

— Biorąc pod uwagę ilość wody, jaka nas otacza i jaką nam obiecano, mogłem użyć zręczniejszej metafory. Kim są ci dwaj?

— Alfred Van Rees.

— Spec od śluz w Rijkswaterstaat... To absurd. Znam go od lat. Facet jest uczciwy jak dzień długi i szeroki.

— Być może zmienia się w Mr. Hyde'a dopiero po zmroku.

— A ten drugi?

— To Fred Klassen.

— Klassen? To szef ochrony Schiphol. Niemożliwe!

— Powtarza się pan. Przypadkiem jest to kolejny pana przyjaciel?

— To wręcz niemożliwe. Ma za sobą dwadzieścia lat nienaganej służby.

Szef ochrony — wtyczką?

— A dlaczego nie? Chcąc mieć wtyczkę w dużej firmie, kogo by pan wybrał?

De Graaf spoglądał na niego przez dłuższą chwilę, ale powstrzymał się od komentarza i bez słowa wyszedł.

## **Rozdział drugi**

Dwaj mężczyźni, których łodzie tak bezceremonialnie zostały ubiegłej nocy pożyczone przez FFF, byli szwagrami i nazywali się Bakkeren i Dekker.

Pierwszy najwyraźniej flegmatycznie odnosił się do całej sprawy, jak i do tego, że dotąd nie pozwolono mu sprawdzić, czy jego łódź nie doznała jakichś uszkodzeń. Dekker natomiast szalał z wściekłości. Wydarzenia poprzedniej nocy streścił de Graafowi i Van Effenowi w przeciągu dwudziestu sekund.

— Czy człowiek nie może już czuć się bezpieczny w tym przeklętym mieście? — krzyczał wściekle,

choć równie dobrze mógł to być jego normalny sposób prowadzenia konwersacji. — Policja! Mówicie policja! Ładnie opiekujecie się mieszkańcami Amsterdamu! Siedziałem sobie w łodzi, kiedy nagle tych czterech bandziorów...

— Chwileczkę — przerwał Van Effen. — Czy nosili rękawiczki?

— Rękawiczki! — mały, ciemnowłosy i bardzo znerwicowany mężczyzna spojrział nań jak na idiotę. — Stałem się ofiarą brutalnego napadu, a wy...

— Pytałem, czy nosili rękawiczki.

Coś w głosie Van Effena dotarło do niego, gdyż widać było, że nieco się uspokoił.

— To zabawne, ale rzeczywiście mieli rękawiczki, wszyscy czterej. Van Effen przywołał stojącego w pobliżu sierżanta.

— Bernhard!

— Tak jest, sir. Każę daktyloskopom iść do domów. Nic tu po nich.

— Przepraszam, panie Dekker. Niech pan nam teraz o wszystkim opowie po swojemu. Jeśli zauważył pan coś dziwnego i śmiesznego, także proszę nam o tym powiedzieć.

— Całe wydarzenie było cholernie dziwne — mruknął Dekker.

Stwierdził, że siedział sobie spokojnie na własnej łodzi, kiedy z brzegu ktoś go nagle zawołał. Zapadał już zmierzch i nie jest w stanie tego kogoś rozpoznać, wie jedynie, że był to wysoki mężczyzna. Zapytał, czy Dekker zechce wynająć łódź na dzisiejszą noc. Stwierdził, że jest z wytwórni filmowej i chce zrobić kilka ciekawych ujęć nocnych. Za tę usługę zaoferował tysiąc guldenów. Dekker, z uwagi na kwotę i porę dnia, uznał to za dość dziwne i odmówił. Następną rzeczą, jaką pamiętał, był widok trzech uzbrojonych facetów, którzy wynurzyli się z ciemności. Wyciągnęli go z łodzi, wpakowali do samochodu i zawieźli do domu.

— Czy wskazał im pan drogę? — spytał Van Effen.

— Czyś pan oszalał?

Patrząc na Dekkera nie było wątpliwości, że prędkiej by sobie odgryzł język.

— A więc obserwowali pana przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

Nie zdawał pan sobie sprawy, że jest inwigilowany?

— Inwi... co?

— Że pana śledzą, no że łazi ktoś za panem?

— A niby kto miałby śledzić zwykłego handlarza ryb? Kto by to pomyślał?

No więc to było tak: wciągnęli mnie do domu...

— Czy nie próbował pan ucieczki?

— Czy pan w ogóle wie, co mówi? — spytał Dekker z goryczą.

— Ciekaw jestem, jak daleko by pan uciekł z rękoma skutymi na plecach kajdankami.

— Kajdankami?

— Pewno myślał pan, że tylko policja używa kajdanek... Wciągnęli mnie do łazienki, związali mi nogi liną skręconą z ubrań i zakleili usta plastrem. Potem zamknęli drzwi od zewnątrz.

— Nie dali panu żadnych szans?

— Żadnych. — Na twarzy małego człowieczka pojawił się wyraz smutku.

— Gdybym nawet zdołał wstać, to i tak nic by mi to nie dało. W łazience nie ma okien. A gdyby nawet były — choć nie wiem, jak mógłbym tak związany zbić szybę — to przecież z zaklejoną gębą i tak nie mógłbym wzywać pomocy.

Trzy czy cztery godziny później — nie wiem jak długo to trwało — wrócili i uwolnili mnie. Wysoki, chudy facet powiedział, że zostawiają na stole kuchennym tysiąc pięćset guldenów

— tysiąc za wynajem łodzi i pięćset na pokrycie kosztów ubocznych.

— A cóż to takiego?

— Skąd mam wiedzieć. Nie wyjaśnili mi tego, tylko po prostu wyszli.

— Widział pan, jak odjeżdżali? Jakim samochodem? Może zauważył pan markę albo numery rejestracyjne wozu?

— Nie widziałem — odparł Dekker z godnością człowieka, który resztką sił

zmusza się do zachowania spokoju i cierpliwości. — Jeśli powiedziałem, że mnie uwolnili, to znaczy tylko, że otworzyli drzwi do łazienki i zdjęli mi kajdanki. Przez następnych parę minut byłem zajęty zrywaniem z ust plastra, a to było cholernie bolesne. Wyrwałem sobie trochę skóry odrywając przylepiec z wąsów. Potem pokuśtykałem do kuchni, wziąłem nóż i porozcinałem sznury krępujące kostki. Znalazłem też pieniądze — ale nie chcę ich — wolę przeznaczyć je na jakiś fundusz policyjny. Na pewno zostały ukradzione. Zanim zdołałem się naprawdę uwolnić, po tych typach nie było nawet śladu.

Van Effen zachowywał dyplomatyczny dystans.

— Biorąc pod uwagę to, co pan przeszedł, panie Dekker, jest pan niezwykle spokojny i opanowany. Czy mógłby pan jeszcze opisać tych ludzi?

— Mieli na sobie płaszcze przeciwdeszczowe.

— A twarze? Czy mógłby pan opisać ich twarze?

— W kanale było ciemno, w samochodzie również, zresztą przez cały czas mieli na głowach maski. To znaczy trzech z nich. Czwarty pozostał na łodzi.

— Maski z wycięciami na oczy, usta i nos? — spytał Van Effen.

— To były takie bardziej okrągłe wycięcia.

— Czy rozmawiali między sobą?

— Nie zamienili ani słowa. Mówił wyłącznie ich przywódca.

— Skąd pan wie, że to był przywódca?

— Bo zwykle przywódcy wydają rozkazy, prawda?

— Chyba tak. Czy rozpoznałby pan jego głos?

Dekker zamyślił się.

— Nie wiem. Być może... Chyba tak.

— Aha. Czy w jego głosie było coś dziwnego?

— Tak. Zabawnie mówił po holendersku.

— Zabawnie?

— Tak.

— Dobrze czy słabo?

— Bardzo dobrze. Tak jak komentator radiowy albo spiker telewizyjny.

— Zbyt dokładna wymowa? Tak jak ktoś, kto uczył się języka na kursie?

— Tak mi się wydaje.

— Skąd mógłby, pańskim zdaniem, pochodzić?

— Nie mam pojęcia. Nigdy nie wyjeżdżałem za granicę. Słyszałem wielu ludzi mówiących po angielsku i niemiecku, ale nie znam żadnego z tych języków. Turyści zagraniczni raczej nie

przychodzą do sklepu rybnego.

Moi klienci to przeważnie sami Holendrzy.

— W każdym razie dziękujemy panu. To może się nam przydać. Coś jeszcze na temat osoby tego przywódcy?

— Był wysoki, bardzo wysoki. Nie trzeba być drażalem, żebym ja musiał na kogoś patrzeć w górę, ale nie sięgałem mu nawet do ramienia. Był wyższy od pana o jakieś dwanaście centymetrów i bardzo szczupły, właściwie to chudy.

Nosił długi, błękitny płaszcz przeciwdeszczowy, który nie sięgał mu nawet do kolan i wyglądał jak zawieszony na kołku.

— W maskach były dziury, a nie szpary — tak pan powiedział — czy widział pan jego oczy?

— A skąd. Nosił okulary przeciwsłoneczne.

— Okulary przeciwsłoneczne? Czy to nie dziwne, że nocą nosił okulary przeciwsłoneczne?

— A dlaczego nie? Panie poruczniku, jestem kawalerem i wiele godzin spędzam przed telewizorem. Gangsterzy na filmach zawsze noszą ciemne okulary. Być może to ich znak rozpoznawczy, bo ja wiem?

— Fakt — Van Effen zwrócił się do szwagra Dekkera. — Rozumiem, że miał pan szczęście, panie Bakkeren i uniknął spotkania z tymi dżentelmenami?

— Żona obchodziła urodziny w mieście. Mogli gwizdnąć łódź, zwrócić ją i nawet bym tego nie zauważył. Jeśli obserwowali Maxa, to na pewno śledzili także i mnie i wiedzieli, że używam swojej łodzi jedynie podczas weekendów.

— Chciałby pan obejrzeć łodzie? — porucznik zwrócił się do de Graafa.

— A myślisz, że możemy coś znaleźć?

— Nie sądzę. Być może dowiemy się jednak, co robili na pokładzie. Założę się, że nie zostawili niczego, co mogłoby się przydać uczciwemu policjantowi.

— Trudno, najwyżej stracimy jeszcze parę minut.

Szwagrowie wsiedli do swego samochodu zaś obaj policjanci do wozu Van Effena; starego, zdezelowanego peugeot'a z mocno podrasowanym silnikiem.

Nie miał żadnych policyjnych oznaczeń i nawet znajdująca się w nim radiostacja została starannie ukryta. De Graaf usiadł na skrzypiącym, niewygodnym fotelu, praktycznie pozbawionym sprężyn.

— Nie żebym się skarżył, Peter, i wiem, że na ulicach Amsterdamu znajdują się setki podobnych wraków; doceniam twoją potrzebę anonimowości, ale czy stałoby ci się coś, gdybyś wymienił albo oddał do tapicera przednie siedzenia w swoim samochodzie?

— Autentyczności nigdy za wiele, ale myślę, że to da się zrobić. Ciekawi mnie ten chudy drażal otoczony grupą milczków. Przyszło mi na myśl, że jeśli ten przywódca — jak mówi o nim Dekker — jest cudzoziemcem; to być może jego ludzie również są obcokrajowcami i milczą tylko dlatego, że nie znają naszego języka.

— Bardzo możliwe. Myślałem o tym. Dekker stwierdził, że przywódca wydawał rozkazy po holendersku, ale być może akcja została przygotowana w ten sposób, aby Dekker odniósł wrażenie, że gangsterzy są Holendrami albo rozumieją po flamandzku. Szkoda, że on nigdy nie wyjeżdżał za granicę. Być może mógłby rozpoznać akcent tego faceta. Sam znam dwa czy trzy języki, ty więcej. Czy my na ten przykład bylibyśmy w stanie rozpoznać ten akcent?

— Jest szansa. Wiem, o czym pan myśli, sir. O taśmie nagranej w redakcji gazety i rozmowie zarejestrowanej przez wydawcę. To kiepski ślad. Wie pan, że przy połączeniu telefonicznym tacy ludzie zazwyczaj zmieniają głos. Moim zdaniem zadbali i o to. Ponadto, czy gdybyśmy nawet zdołali odkryć, skąd pochodzą, to czy ten ślad pomógł by nam ich odnaleźć? Odpowiedź brzmi —

nie.

Komisarz zapalił czarne cygaro. Van Effen odkręcił czym prędzej okno, ale de Graaf nawet nie zwrócił na to uwagi.

— Jesteś wprost niezastąpionym pomocnikiem. Poza przypuszczeniami, że może być cudzoziemcem, jedyne co o nim wiemy, to że jest wysoki i zbudowany na podobieństwo zagłodzonych grabi. I że ma coś z oczami.

— Z oczami? Wiemy tylko, że nocą nosi ciemne okulary. To może znaczyć wszystko albo nic. Możliwe, że to zwykły kaprys, albo — jak sugeruje Dekker

— oznaczenie wyższego rangą gangstera. Być może również, jak agenci ochrony amerykańskiego prezydenta, nosi on okulary, by żadna z osób, wśród których się znajduje, nie wiedziała na kogo w danej chwili patrzy. Człowiek ten może również cierpieć na nyktalopię — kurzą ślepotę.

— Kurzą ślepotę? To jasne, nyktalopia, ale miło by mi było, gdybyś Peter oświecił mnie w tej materii.

— To stare słowo oznacza starą jak świat chorobę. Jedno z niewielu słów oznaczające dwa warianty — dwie skrajności tej choroby — po pierwsze ślepotę nocną, gdy człowiek traci wzrok po zmierzchu oraz ślepotę dzienną, kiedy to chory widzi dokładnie jedynie nocą. To rzadka choroba, ale jej przypadki zdarzają się do dziś dnia. Okulary przeciwsłoneczne mogą mieć specjalne szkła korekcyjne.

— Zdaje się, że ta choroba wyklucza kilka przestępczych profesji. Zarówno włamywacz pracujący za



dnia, jak złodziej pracujący nocą nie mogliby działać skutecznie, gdyby cierpieli na kurzą ślepotę. Wybacz, Peter, ale sądzę, że ten gość nosi okulary z innych powodów. Może ma szramę pod okiem, zeza albo charakterystyczny tik? Może ma rozszczepione albo różnokolorowe spojówki.

Skąd wiemy, że jego spojówki nie są jakieś niezwykle, na przykład prawie białe? Powodem dla jakiego nasz X używa okularów może być również jęczmień powodujący opuchliznę wokół oczu albo wytrzeszcz. Skąd wiemy w ogóle, że on ma oboje oczu. Może ma tylko jedno oko? W każdym razie sądzę, że nosi okulary dlatego, że bez nich bardzo łatwo mógłby zostać rozpoznany.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak poprosić Interpol o listę wszystkich znanych kryminalistów cierpiących na wady wzroku. Musi ich być z dziesięć tysięcy. Nawet gdyby ten wykaz zawierał tylko dziesięć nazwisk, to i tak nie na wiele by nam się przydał. Prawdopodobnie i tak ten typ nie figuruje w kartotece. Można też poprosić o spis przestępców-albinosów, oni również użyliby okularów, aby ukryć nietypowy kolor swoich oczu.

— Pan porucznik raczy żartować — parsknął de Graaf. — Peter, możesz mieć rację.

Dekker zatrzymał swój wóz, więc i Van Effen zrobił to samo. Przy brzegu kanału znajdowały się dwie łodzie — obie mające po około jedenaście metrów długości, z dwoma kajutami i otwartym pokładem dziobowym. Dwaj policjanci weszli na pokład łodzi Dekkera. Bakkeren tymczasem wszedł na swoją, przycumowaną tuż przed łodzią szwagra.

— Od czego zaczniemy, panowie? — spytał Dekker.

— Jak długo ma pan tę łódź? — spytał de Graaf.

— Od sześciu lat.

— No więc nie sądzę, abyśmy to my musieli robić cokolwiek. Po sześciu latach musi pan znać tę łódź od podszewki. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby nas pan wyręczył. Proszę poprosić, aby także i pański szwagier przeszukał swoją łódź.

Po jakichś dwudziestu minutach obaj mężczyźni doszli do wniosku, że łodziom nic nie brakuje oprócz dwóch rzeczy — piwa w puszkach i paliwa.

Ani Dekker ani Bakkeren nie umieli powiedzieć, ilu puszek piwa brakuje, *bo ich nie liczyli, ale autorytatywnie* stwierdzili, że z baku każdej z łodzi zniknęło co najmniej po dwadzieścia litrów paliwa.

— Dwadzieścia litrów każdy? — spytał Van Effen. — Wystarczyłoby im dwa litry na dotarcie do brzegu kanału przy lotnisku i z powrotem.

Użyli zatem silników do innych celów. Czy może pan otworzyć klapę silnika i podać mi latarkę?

Van Effenowi wystarczyło jedynie zerknąć na akumulator w maszynowni.

— Czy któryś z was dwóch, panowie, używa krokodylowych zacisków do zasilania czegoś z

akumulatora? Chodzi mi o sprężynowe końcówki kabli zasilających z takimi małymi, metalowymi ząbkami. Nie? No to ktoś użył ich ostatniej nocy. Ci faceci musieli połączyć akumulatory obu łodzi —

równolegle lub szeregowo — to bez znaczenia kiedy używa się transformatora

— i zabrali się do roboty. Stąd strata czterdziestu litrów paliwa.

— Przypuszczam — dorzucił Dekker — że właśnie to miał na myśli ten gangster mówiąc o kosztach ubocznych.

— Przypuszczam, że tak.

De Graaf zajął właśnie miejsce na skrzypiącym i pozbawionym sprężyn siedzeniu zdezelowanego peugeota, kiedy rozległ się brzęczyk telefonu.

Porozmawiał chwilę, po czym odłożył słuchawkę do schowka.

— Tego się właśnie obawiałem — mruknął. — Minister chce, żebym poleciał z nim do Texel, razem zresztą z połową rządu, jeśli go dobrze zrozumiałem.

— Dobry Boże! Z tą bandą sierot? A co oni tam mają do roboty? Będą włązili wszystkim w drogę, zadawali kretyńskie pytania i absolutnie na nic się nie przydadzą, ale z drugiej strony mają dużą wprawę w takim postępowaniu.

Wydaje mi się, że po prostu lubią widowiska.

— Poruczniku Van Effen! Mówi pan o wybranych demokratycznie ministrach Korony — miało to brzmieć jak reprimenda, ale w głosie de Graafa brakło przekonania.

— To banda niekompetentnych, bezużytecznych próżniaków. Gdyby uważniej im się przyjrzeć, doszedłby pan do wniosku, że nie są warci pańskiego głosu w wyborach. Jestem pewien, że w głębi duszy podziela pan moje zdanie, sir. A poza tym może być z nimi zabawnie.

De Graaf spojrzał na Van Effena.

— Nie chciałbyś polecieć ze mną, Peter?

— Raczej nie. Mam jeszcze coś do zrobienia.

— A ja to nie? — spytał ponuro de Graaf.

— Tak, ale ja jestem zwykłym gliniarzem. Pan jest policjantem i dyplomatą zarazem. Wysadzę pana przy biurze. v

— Wrócisz na lunch?

— Chciałbym, ale najprawdopodobniej będę dziś spożywał lunch w pewnej knajpce, gdzie komisarz amsterdamskiej policji nie powinien się nigdy pojawić, jeśli szanuje własne zdrowie. Miejsce to nazywa się „La Caracha”.

Pana żona i córki nie pochwałyby tego wyboru, sir.

— Interesy jak zwykle?

— Oczywiście. Mam zamiar uciąć sobie krótką pogawędkę z kilkoma znajomymi spośród Krakerów. Prosił mnie pan przed paroma miesiącami, abym zachował to w tajemnicy i osobiście zajął się tą sprawą. Nasi ludzie składają mi raporty — zazwyczaj właśnie w „La Caracha”.

— Krakerzy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy jakoś przycichli. Jak się mają nasi młodzi gniewni, protestujący przeciw wszystkiemu studenci, dzieci-kwiaty, hipisi i bojownicy, co kto chce?

— A handlarze bronią i narkotykami? Ci ostatni są dziwnie spokojni, co mnie z kolei niepokoi: kiedy regularnie próbują obijać czy obrzucać miejscowych policjantów czym popadnie albo podpalić parę samochodów to wszystko jest w porządku. Cisza i lenistwo absolutnie nie pasują do tej dzielnicy i coś mi tu śmierdzi: gdzieś szykują się kłopoty.

— Brak ci zmartwień? — zdziwił się de Graaf.

— Mam takie głupie wrażenie, że wkrótce będę miał ich nadmiar. Wczoraj po telefonie od FFF wysłałem w teren dwóch ludzi. Dobrych policjantów. Być może wpadną na coś, choć przestępstwa w Amsterdamie coraz bardziej zawężają się do terytorium Krakerów. Czy FFF kwalifikuje się pod tutejszą odmianę?

— Jedyne z prawnego punktu widzenia. Jestem przekonany, że oni są naprawdę sprytni, a to automatycznie wyklucza kontakty z Krakera-mi, którzy zdecydowanie stoją bliżej półgłówków niż tytanów intelektu.

— A propos FFF: jak dotąd mamy chudego drağala, który może mieć coś nie w porządku ze wzrokiem i być może jest obcokrajowcem. Praktycznie mamy rozwiązana sprawę!

— Sarkazm nie pasuje do ciebie — zauważył pułkownik. — No już dobrze, lepiej wykorzystać wszystkie możliwości i nie siedzieć z założonymi rękami.

Jak karmią w tej całej „La Caracha”?

— Jak na tą okolicę to zadziwiająco dobrze. Jadłem tam kilkakrotnie i żyję...

— Van Effen przyjrzał się podejrzliwie szefowi. — Zamierza pan nas zaszczyścić przy posiłku swoją obecnością?

— Cóż, pomyślałem sobie, że jako komisarz policji...

— Naturalnie. Bardzo się cieszę.

— I nikt nie będzie wiedział, gdzie jestem — de Graaf coraz bardziej zapalał się do pomysłu. — I ten cholerny telefon może tu dzwonić do upojenia: nic nie będę słyszał.

— Nikt go nie będzie słyszał — sprostował Van Effen. — Wyłączę go ledwie staniemy. Jak pan sądzi, co by sobie pomyślały okoliczne męty słysząc w tym wraku brzęczenie telefonu?

De Graaf zignorował pytanie zapalając kolejne cygaro, na co Van Effen zareagował natychmiastowym opuszczeniem szyby.

— Sprawdziłeś naturalnie właściciela lokalu? A tak przy okazji, jak on się nazywa?

— Preferuje, by nazywać go po prostu George. Znam go całkiem dobrze i mogę zareczyć, że w okolicy cieszy się dużym szacunkiem.

— Wzór cnót obywatelskich? Działacz charytatywny? — ucieszył się de Graaf.

— Wieść niesie, że jest członkiem trzech czy czterech gangów, mających niezłe wyniki, a do tego nie jest szeregowym ich członkiem. Pogardza narkotykami czy prostytutką, specjalizuje się natomiast w napadach zbrojnych, choć stosowanie przemocy zależy nie tyle od niego, co od stopnia oporu napadanych. Sam potrafi użyć przemocy, o czym mogę zaświadczyć osobiście, choć naturalnie nie była ona skierowana przeciwko mnie. Napaść na porucznika policji może tylko szaleniec, a George jest osobnikiem bardzo trzeźwo myślącym.

— To się nazywa talent do dobierania sobie przyjaciół czy współ-

pracowników! — jeśli de Graaf był obrażony to niczym tego nie okazywał. —

Dlaczego, jeśli można wiedzieć, element kryminogeny nie siedzi za kratkami?

— Bo nie można nikogo aresztować, skazać czy posadzić za herezje. Nie bardzo mogę go zakuć w kajdanki wyjaśniając, że opieram się na plotkach zasłyszanych w okolicy. Poza tym jesteśmy przyjaciółmi.

— Sam powiedziałaś, Peter, że jest zdolny do użycia przemocy. Na tej podstawie można go spokojnie aresztować.

— Ale nie w przypadku, gdy stosuje przemoc wobec natarczywych pijaków zakłócających spokój w jego lokalu, czy też nie chcących zapłacić rachunku.

Jako właściciel ma do tego pełne prawo i to jest granica użycia przemocy w jego wydaniu, której byłem świadkiem. Tak na marginesie to zazwyczaj używa jej w stosunku do dwóch pijaczków naraz. Prawo mówi, że mu wolno, a my pilnujemy przestrzegania prawa — wyjaśnił cierpliwie Van Effen.

— Ciekawa postać... można by powiedzieć: niespotykana. Dwóch na raz, tak?

— Proszę poczekać, aż sam go pan zobaczy.

l^y

— A jak zamierzasz mnie przedstawić?

— Bez podkreślania powiązań zawodowych jako pułkownika de Graaf.

Nazwijmy to nieoficjalną wizytą.

— Mogę zostać rozpoznany.

— W tym mieście nie ma szanującego się przestępcy, który by nie rozpoznał

pana z odległości mniejszej niż pół kilometra! Prawdopodobnie pańskimi fotografiami straszą niegrzeczne latorośle.

— No, no, co za ironia. Zapominasz, że sam też nie jesteś nie znaną osobistością. Ciekawi mnie co też okoliczny element przestępczy sądzi o tobie.

— Mogę zaspokoić pańską ciekawość — odparł spokojnie Van Effen. —

Myślą, że mam fioła.

Wejście do „La Caracha” nie robiło wrażenia. Usytuowane było w połowie uliczki tak wąskiej, że nie można było wjechać tam jakimkolwiek samochodem. Łuszczący się tynk i odpadająca farba nie budziły zaufania, natomiast sala za odrapanymi drzwiami była zadziwiająco czysta i gustownie urządzona. Błyszczące, mosiężne kinkiety, pół tuzina stolików z fotelikami zamiast typowych metalowych czy plastikowych krzeseł i półkolisty bar, za którym królował barman, cieszyły oczy. Kiedy zaś ktoś spojrział na barmana, to reszta pomieszczenia przestawała się liczyć. Najwłaściwszym jego określeniem było: potężny mężczyzna. Wysoki i pleczysty ważył z pewnością ze sto trzydzieści kilo, nosił bogato zdobione sombrero, będące zresztą jedynym nawiązaniem do nazwy lokalu, białą koszulę, cienki, czarny krawat oraz czarną kamizelkę i skórzane, oczywiście czarne spodnie. Całość przedstawiała zgodny obraz osobnika poszukiwanego listami gończymi z okresu Dzikiego Zachodu.

Jedyną niezgodność z wizerunkiem przestępcy stanowił brak pasa z rewolwerami. Ciemne oczy, krzaczaste brwi i czarne, opadające poza kąciki ust wąsy doskonale dopełniały obrazu.

— To jest George? — upewnił się de Graaf. — Kiedy tak ich parami wyrzuca, to chyba używa tylko jednej ręki.

George dostrzegł ich i pospieszył powitać, uśmiechając się szeroko i pokazując równe i lśniące zęby. Im bliżej, tym większy się wydawał (zarówno uśmiech, jak i George).

— Witaj Peter. O, i pan pułkownik de Graaf. To prawdziwy zaszczyt — oznajmił potrząsając prawicą pułkownika jakby ten był jego zaginionym bratem bliźniakiem.

— Zna mnie pan? — ucieszył się de Graaf.

— Proszę mi mówić George, a jeśli w tym mieście żyje ktoś, kto nie zna komisarza policji to jest albo ślepym, albo analfabetą. Peter, to przełomowy moment: odtąd mój lokal staje się sławny. Naturalnie, jeśli nie jest to wizyta oficjalna — dodał ciszej.

— Całkowicie nieoficjalnie — zapewnił de Graaf. — Jestem gościem porucznika.

— W takim razie proponuję uczcić taką rzadką okazję — zaproponował

radośnie George. — Borreltje, jonge jenever, whisky, piwo czy wino? „La Caracha” ma doskonale zaopatrzoną piwnicę. Powiedziałbym wręcz, że najlepszą w Amsterdamie, ale to moja prywatna opinia. Polecałbym, jeśli można, własnego wyrobu bessenjenever. Właśnie oszroniał i jest nieporównywalny.

Błyskawicznie się okazało, że miał rację: po kilku sekundach mieli okazję poznać, że zachwalany przezeń czerwony gin jest faktycznie doskonały.

George przysiadł się do nich i dyskusja potoczyła się nadszpodziewanie wartko poruszając całą gamę tematów głównie jednak, co było do przewidzenia, zniszczenia tamy co doprowadziło do odnowienia dawno osuszonego jeziora Haarlem.

— Autorów tego czynu nie należy szukać wśród zawodowych prze stępców Holandii — oznajmił stanowczo gospodarz. — Mówię „zawo dowych”, bo takich żalonych amatorów jak Krakerzy w ogóle nie na leży brać pod uwagę. Bez wątpienia są oni gotowi popełnić znacznie gorsze zbrodnie w imię swoich zwariowanych idei czy przekonań, ale jest to banda fanatyków, pozbawionych jakichkolwiek zasad, którzy uwielbiają niszczenie dla niszczenia. Są po prostu za głupi na tak doskonały plan jak zalanie Schiphol. A nikt kto wymyślił taki plan, nie za ryzykuje kontaktów z bandą durni, choć może użyć Krakerów w chara kterze chłopców na posyłki. Nie wiedząc, dla kogo pracują i o co cho dzi, nawet najgłupszy z nich nie są w stanie zaszkodzić całej operacji.

Tyle że Krakerzy nie są Holendrami, niezależnie czy urodzili się tu czy nie: są członkami subkultury nie rokującej nadziei na reedukację, którą pod rozmaitymi nazwami można znaleźć w wielu krajach. Co zaś się tyczy myślących przestępców to niezależnie od tego czym by się nie parali, żaden Holender nie robi nigdy czegoś takiego jak wysadzenie tamy. Każdy Holender rodzi się bowiem z przekonaniem czy też świa domością, że tamy są nietykalne. Jest to swoisty akt wiary, ale tak to działa. Nie jestem szowinistą czy ksenofobem, ale sam pomysł i wykonanie tej akcji są zagraniczne. A to dopiero początek. Wystarczy poczekać kilka dni i będzie ciąg dalszy, bez dwóch zdań.

— Nie musimy czekać kilku dni — odezwał się de Graaf. — Dziś o czwartej trzydzieści zamierzają wysadzić tamę w Texel.

— A więc źle obliczyłem — nie wydawał się być specjalnie zmartwiony tym faktem. — Potem będzie następna i następna, a kiedy zacznie się szantaż, bo nie ma wątpliwości, że to szantaż, to żądania będą takie, iż wszystkim mowę odbierze. Panowie wybaczą, ale sądząc z oznak przy barze to kilku gości umiera z pragnienia.

George odszedł, a de Graaf uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Oryginalny typ i niespotykany — przyznał. — Byłby doskonałym politykiem, bo raczej trudno mu zarzucić zahamowania czy problemy z wyrażaniem myśli. Dziwne: przestępca nadużywający przemocy będący wysoce inteligentnym i wykształconym człowiekiem. Choć z drugiej strony wielu słynnych przestępców stanowi taką dziwną mieszankę. Przyznaję, że mnie intryguje: dobrze rozumie psychikę przestępcy, a myśli i mówi jak policjant. W dodatku do tego, że FFF pochodzi z importu, doszedł znacznie szybciej niż my, nie mając w dodatku żadnych poszlak pomocniczych, w przeciwieństwie do nas. Może obaj jesteśmy mniej sprytni niż dotąd sądziliśmy.

— A może powinien go pan zatrudnić jako tymczasowego sierżanta do spraw wysadzania tam? Ładny tytuł, prawda?

— Ładny, ale pomysł mniej: zatrudnić złodzieja, by łapał złodziei, to nigdy nie skutkowało na dłuższą metę. Poza tym żarty z przełożonym w godzinie próby są nie na miejscu. A propos próby czy potrzeby: kiedy wreszcie coś zjemy?

— Wystarczy spytać — zasugerował Van Effen widząc gospodarza zbliżającego się z kolejną serią drinków. — George, chcielibyśmy coś przekąsić.

— Pan pułkownik będzie jadł lunch? „La Caracha” jest podwójnie zaszczycona. Czy ten stół jest odpowiedni?

— Oczekujemy Vasco i Annemarie — poinformował go Van Effen.

— A więc nie będzie — George zabrał drinki i poprowadził ich po czterech stopniach do mniejszej sali. Sala, a właściwie salka, mieściła tylko cztery stoliki i parę drewnianych szafek.

— Proponuję Rodekool met Rolpens — oświadczył George podając menu.

— Jest wyśmienite.

— A więc wyśmienite, co Peter? — spytał de Graaf.

— Wyśmienite — zgodził się Van Effen — a ponieważ komisarz poli-cii ma spory budżet reprezentacyjny, sądzę że nie zrujnuje go butelka jakiegoś przyzwoitego wina.

— Przyzwoitego? Do wyśmienitego dania? W „La Caracha” wyśmienite łączy się tylko z wyśmienitym i to na koszt firmy. Może Chateau La Tour? Być może piwniczka w całości nie jest najlepsza w Amsterdamie, ale jeśli chodzi o bordeaux, to z pewnością nie ma od niej lepszej w tym mieście. Proszę, oto aperitify na zaostwienie apetytu. Annelise, przyrzekam, przejdzie sama siebie.

George skłonił się i wyszedł.

— Kto to taki ta Annelise? — spytał de Graaf.

— Żona. Jest o dwie trzecie mniejsza od niego i rządzi nim jak chce. Jest doskonałą kucharką.

— Czy ona wie o jego, nazwijmy to, nadzwyczajnych zajęciach?

— Nie — odparł zwięźle Van Effen.

— Wspomniałeś Vasco i Annemarie, to, jak rozumiem, twoi informatorzy.

George wydaje się o tym wiedzieć.

— Zna ich doskonale; są przyjaciółmi.

— I wie, że pracują dla ciebie? — spytał z niedowierzaniem de Graaf. —

Uważasz, że to rozsądne? Że nie wspomnę o bezpieczeństwie czy tajemnicy zawodowej?!

— Ufam mu.

— Ty może tak, ale ja nie muszę. Twierdzić, że ma się najlepszą w Amsterdamie piwnicę win Bordeaux to nie byle co. To kosztowne hobby!

Czyżby George parał się także przemytem? Czy jego nadzwyczajne zajęcia są tak dochodowe, że stać go na uczciwe zakupy na wolnym rynku?

— Proszę posłuchać: nigdy nie powiedziałem, że on jest przestępcą czy przemytnikiem. Powiedziałem jedynie, co wieść gminna niesie, czyli przekazałem okoliczne plotki. Chciałem, by pan sam wyrobił sobie o nim zdanie, co zresztą już się stało, tylko nadal ma pan opory wywołane chorobliwą podejrzliwością i paroma podobnymi cechami, dzięki którym, jak sądzę, został pan szefem policji w tym mieście. Annelise nic nie wie o nadzwyczajnych zajęciach męża z tego prostego powodu, że ich nie ma: George nigdy w życiu nie zarobił nieuczciwie jednego guldena. Gdyby wszyscy tu byli tak uczciwi, to już dawno znalazłby się pan na zasiłku dla bezrobotnych. Myślałem, że wszystkiego się pan domyślił, gdy powiedział

pan, że on myśli i mówi jak policjant. George był bowiem policjantem i to naprawdę dobrym: w tym roku miał zostać inspektorem, ale zrezygnował ze służby. Proszę zadzwonić do komisarza 2 Groningen i spytać, komu by dał

złote góry, gdyby wrócił do służby.

— Oszłamiające — mruknął de Graaf wcale przy tym nie wyglądając na oszołomionego. — Taak... mogłeś mnie jakoś ostrzec.

— Liczyłem na pana spostrzegawczość, przepraszam. To typowy gli- i na, przynajmniej takim był z wyglądu, dopóki rok temu nie zapuścił wąsa.

— Jaką miał specjalność?

— Narkotyki i antyterroryzm.

— Narkotyki? Jedyne co uzależnia w Groningen to butelka ginu! Tu jest jego miejsce albo jeśli cię dobrze rozumiem, było. Co spowodowało jego rezygnację?



— Matka natura — odparł Van Effen. — Policjant dobry w tych spec- 1

jalnościach to taki, który potrafi, nie zwracając na siebie uwagi, wtopić się w otoczenie. A w co może się wtopić George?

— Poza tym na północy nigdy nie widzieli terrorysty — de Graaf 1 zgodnie potrząsnął głową. — Chyba, że na filmie.

— Tu też niełatwo ich znaleźć. Może dlatego właśnie zrezygnował: żadnych wyzwań, żadnej akcji. Nuda i rutyna.

— Marnotrawstwo — zawyrokował komisarz. — Taki przenikliwy 1 umysł

marnujący się na serwowaniu zbędnych kalorii i bez tego mającym już nadwagę amsterdamczyków. Może faktycznie miałeś rację ! z tym czasowym zatrudnieniem w... w czasie kryzysu może warto go 1 dokooptować.

— Myślałem, że do tego wymagana jest zgoda większości komitetu... j

— Jest tylko jeden komitet i jeden komisarz policji Amsterdamu — przerwał

mu de Graaf. — Ja! Jeśli sądzisz, że George może się nam przydać to mi powiedz.

Poza tym nie zawracaj mi głowy drobiazgami: I jestem głodny!

— George normalnie podaje przekąski, ale mógł odnieść wrażenie, I że w tym wypadku nie jest to konieczne... — Van Effen wymownie spojrział na korpulentną figurę szefa. — To tak a propos zbędnych kalorii... Cóż... Wstał, otworzył

najbliższą szafkę, która okazała się osłoną lodówki i oznajmił:

— Wędzony pstrąg, wędzona szybka, trzy gatunki sera i jakieś dodatki.

— Będą jeszcze z ciebie ludzie, mój chłopcze! — ucieszył się de I Graaf.

Jakiś czas później, gdy zaspokoili pierwszy głód, de Graaf rzekł:

— Jeżeli jesteś tak zajęty, że nie chcesz lub nie możesz lecieć I ze mną do Texel, to może zdradzisz mi swoje plany na dzisiejszy ]

dzień?

\_ Zależy, czego dowiem się od Vasco i Annemarie. Jeśli w ogóle czegoś się dowiem. Bardzo możliwe, że zrobię to, czego nie może George: wtopię się w środowisko Krakerów.

\_ Ty? Chyba zwariowałaś: ledwie cię zobaczą, staną się głusi, ślepi i niemi.

\_ Robiłem już kiedyś podobne wypadki i takiego cudu dotąd nie zauważyłem. Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, ale wybierając się tam raczej nie noszę garnituru czy, broń Bóg, munduru. Mam własny, oryginalny przydzwiek. — Van Effen wypił jeszcze odrobinę bessen-jenever. — Wśród Krakerów noszę skórzaną kurtkę z frędzlami i masą ćwieków oraz czapkę z szopów z przyszytym do niej wilczym ogonem. Oryginalne!

— Niesamowite — de Graaf zamknął oczy i otworzył je gwałtownie.

— Spodnie też mam skórzane, choć cholera wie z jakiej skóry. Indiańskie —

z frędzlami przy szwach i do tego mokasyny, które zresztą niemiłosiernie mnie cisną.

— Coś jeszcze?

— Rozjaśniam trochę włosy i wąsy — tylko trochę, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Farba jest oczywiście zmywalna, ale tylko przy użyciu specjalnego detergentu. To niestety dość żmudny proces. Dodam jeszcze, że na prawej ręce noszę z pół tuzina miedzianych sygnetów doskonale zastępujących kastet.

— Reszta tego kostiumu nie zwraca żadnej uwagi?

— Jestem członkiem Green Peace i organizacji antynuklearnej, a przede wszystkim jestem pacyfistą. Noszę dwa plecione łańcuszki, naszyjnik z koralików i kolczyk — tylko jeden. Dwa to przeżytek.

— Muszę to kiedyś zobaczyć.

— Mogę dać panu jeden — ale de Graaf z westchnieniem przymrużył oczy.

Od dalszego ciągu uratował go George pojawiając się w chwilę później z tacą, na której stały Rokekool met Rolpens i otwarta butelka Cha-teau Latour.

Poustawiał talerze i kieliszki przed siedzącymi, a potem znikł na zapleczu.

Posiłek był prosty, ale smaczny — tak jak zapowiedział George i jak to zwykle w Amsterdamie — jedzenia wystarczyłoby dla czterech. Wino, jak to również zapowiedział, było wyśmienite. Właśnie skończyli jeść, gdy George przyniósł

im kawę.

— Annemarie czeka na zewnątrz — dodał jakby mimochodem.

— Przeprowadź ją, dobrze?

Annemarie była młodą dziewczyną i zdecydowanie wyglądała oszałamiająco. Nosiła golf nieokreślonego koloru, który najprawdopodobniej był niegdyś biały. Był dla niej o wiele za duży i choć dziewczyna opasała się ściśle grubym, nabitym ćwiekami pasem, to i tak sweter wyglądał na niej jak zwykły, brudny, związany pośrodku worek po kartoflach. Sprane, połatane dzinsy,

podwinięte i postrzępione, ukazywały w całości krótkie, rozdeptane, skórzane kozaczki na wysokich obcasach. Stan jej włosów pozwalał

przypuszczać, że używała szczotki do włosów jedynie w niedziele i święta, a i to nie zawsze. Mocno pod-malowane oczy, turkusowe cienie na powiekach i trupia biel spowodowana entuzjastycznym nadużywaniem pudru tworzyły uderzający kontrast w porównaniu z silnie uróżowanymi policzkami.

Używała czerwonej szminki i równie jaskrawego lakieru do paznokci, co było wyraźnie widać, gdy wyjęła z ust papierosa i przez chwilę trzymała go między dwoma palcami. Zapach perfum, jaki ją otaczał, był tak przejmujący, jak gdyby kąpała się w nich tego ranka, choć na pierwszy rzut oka wyglądało, że nie kąpała się już od wielu dni. Miedziane kolczyki brzęczały, kiedy podchodziła do ich stolika.

Van Effen spojrzał na de Graafa, ale ten nie zwrócił na niego uwagi, tak był

zafascynowany stojącym przed nim zjawiskiem. Porucznik odchrząknął głośno.

— To Annemarie, sir.

— Tak, tak, Annemarie — de Graaf dopiero po dłuższej chwili zdołał

odwrócić wzrok. — Oczywiście, Annemarie. Chciałbym jednak pomówić z tobą o paru sprawach, o których dotąd nie zdążyliśmy...

— Rozumiem, sir. Annemarie, kochanie — gdybyś zechciała opuścić nas na parę minut. Jestem pewien, że George ma dla ciebie coś smacznego.

Dziewczyna, spokojnie paląc papierosa odeszła kręcąc z wprawą pośladkami.

— Annemarie, kochanie — powtórzył ze zgrozą de Graaf — kochanie, no, no... Ty w swoim stroju Krakera i ta kreatura musicie tworzyć dość zgraną parę. Głowę daję, myślałem, że stroisz sobie ze mnie żarty. Gdzieś ty wytrzasnął takie coś, to istne straszdyło. Boże, ta dziewczucha śmierdzi jak jakaś dziwka.

— Osądza ją pan po pozorach i to niesłusznie; a to do pana niepodobne...

— Niesłusznie ją osądzam! Te potworne buty! Albo ten sweter — goryl by się w nim zmieścił spokojnie!

— To bardzo praktyczny pulower, sir. W ten sposób nikt nawet nie podejrzewa, że Annemarie nosi pod nim w kaburze beretkę.

— Beretkę! To straszdyło ma beretkę! Ta karykatura nosi przy sobie pistolet?! Chyba oszalałeś. — Wyjął cygaro z ust. — Nie. Jesteś całkiem normalny. To ja muszę przywyknąć do twoich metod i gustów.

\_ Rozumiem. Powiniennem był pana uprzedzić. Ona wygląda dość dziwnie i to może szokować — przynajmniej przy pierwszym spotkaniu. To czupiradło jest w rzeczywistości piękną, młodą dziewczyną, albo raczej będzie po solidnej kąpieli. Co więcej jest bardzo miłą, inteligentną, czarującą absolwentką uniwersytetu, zna cztery języki obce i służy w policji w Rotterdamie. Jeżeli pan, szef policji, dał się nabrać na jej makijaż, a wiem, że trudno pana oszukać, to sam pan przyzna, że ona może nabrać każdego.

— Jak pozyskałeś ten wzór cnót do naszej akcji?

— Na zasadzie wymiany, może nie superuczciwej, ale cóż... Wiedziałem, że dziewczyna spędziła sześć miesięcy na przedmieściach Rotterdamu, a jak pan wie, mam tam paru serdecznych przyjaciół. Muszę jednak przyznać, że nie było to łatwe.

— Dlaczego nie otrzymałem informacji o tej dziewczynie?

— Dał mi pan wolną rękę. Udzieliłbym panu stosownej informacji, gdyby tylko znalazł się jakiś fakt godny pańskiej uwagi. Jak dotąd nic ciekawego się nie wydarzyło, więc nie chciałem zawracać panu głowy głupstwami.

De Graaf uśmiechnął się:

— Wątpię, czy tej pannicy podobałoby się, że ktoś określa ją jako głupstwo. Poproś ją tu, dobrze.

Van Effen wykonał polecenie, a de Graaf wskazał jej krzesło.

— Przepraszam, że kazaliśmy ci czekać. Wiesz, kim jestem?

— Oczywiście. Pułkownik de Graaf, komisarz policji i mój szef. Miała cichy, łagodny głos, który kontrastował z dość dziwnym wyglądem.

— Powiedział ci o tym porucznik Van Effen?

— Nie musiał mówić. On pracuje dla pana, a ja dla niego. Widziałam wiele razy pana zdjęcia.

— A twój strój, Annemarie? Czy nie wydaje ci się, że wyglądasz podejrzanie?

— Wśród Krakerów? Niech mi pan wierzy, to szczyt wstrzemięźliwości i dobrego smaku w porównaniu z niektórymi wdziankami. Prawda, Peter?

— Ach, Peter? Szeregowy policjant tak się odnosi do porucznika?

— To rozkaz, sir. Pracujemy czasem razem.

— Wśród... przyjaciół?

— Tak jest, sir.

— Chciałbym to zobaczyć.

— Stanowimy parę raczej rzucającą się w oczy. Annemarie ma zawsze zwracać się do mnie po imieniu i zawsze tak o mnie myśleć, bo to zmniejsza ryzyko wypadki. Ktoś mi to kiedyś skutecznie wbił do głowy.

— Zgadza się. Sam cię tego nauczyłem. Jak wiem, ma pani przy sobie broń.

Czy umie pani strzelać?

— Trenowałam na policyjnej strzelnicy.

— Strzelałaś do kogoś?

— Nie. Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała tego robić.

— Strzeliłabyś, gdybyś musiała?

— Nie wiem. Gdybym musiała — w obronie czyjegoś życia — to pewno strzeliłabym, ale nie tak, aby zabić. Nie lubię broni. W ogóle nie jestem zbyt odważna, sir.

— Bzdura. Gdyby tak było, nie przebywałabyś wśród Krakerów.

— Widzi pan ten golf? Noszę go również dlatego, żeby Krakerzy nie zobaczyli na mojej szyi gęskiej skórki — uśmiechnęła się.

— Zabawne. Jak leci naszym przyjaciołom? Dzieje się tam coś?

— Nic ciekawego, sir. Stara bieda. Większość z nich po prostu, jak zwykle, pozuje na bojowników o tak zwane słuszne sprawy. Jest wśród nich wielu handlarzy narkotyków, narkomanów i handlarzy bronią, którzy sprzedają rosyjskie automaty IR A i innym organizacjom podziemnym. Peter powiedział

mi, że handel bronią pana nie interesuje.

— Dlaczego Annemarie nie interesuje się handlarzami bronią, Peter?

— Pan mnie pyta? Ameryka, Związek Sowiecki, Wielka Brytania i Francja co roku zarabiają miliony dolarów na handlu bronią. Irak, Iran, Libia i Bóg wie ile krajów jest zaplątanych w handel bronią. Rząd popiera te działania, a co za konkurencję może zrobić działający na maleńką skalę handlarzyna? Poza tym kim jesteśmy, by wtrącać się w decyzje rządów? Wiem, że pana tak naprawdę osobiście interesują narkotyki oraz pogrożki w stosunku do rodziny królewskiej i członków rządu.

— Oczywiście, że tak. Masz mi jeszcze coś do przekazania?

Annemarie skinęła głową:

— Vasco. Słyszał pan o Vasco?

— Tak. Nie znam go, niestety, osobiście. Miałem spotkać się z nim dzisiaj.

O ile wiem, miał tu przyjść razem z tobą.

— Miał. Mieliśmy spotkać się godzinę temu w kafejce, niedaleko stąd. Nie przyszedł, a to, jak na niego, nadzwyczaj dziwne.

— Czy Vasco to jeden z Krakerów?

— Wygląda na Krakera, ale kto wie? Oni mają jakichś przywódców i Vasco jest gdzieś blisko nich, ale się z nimi nie zgadza. Poza tym, w pewnym sensie pracuje dla nas.

— I nie jesteś tak do końca pewna, co o nim myśleć?

— Mój rozum, jeśli naturalnie jeszcze mam jakieś jego resztki, mówi, że to Kraker, instynkt natomiast każe mu zaufać.

— Peter?

— Instynkt ma rację: to glina — odparł Van Effen. — Sierżant policji.

— Policjant — Annemarie zagryzła wargi, a jej oczy wypełniła *złość*.

— No to pięknie.

— Nie bądź dziecinna. Powiedziałaś mu, że jesteś policjantką?

— spytał Van Effen.

Nie odpowiedziała, a de Graaf rzekł uspokajająco:

— Nie przejmuj się. Tak musiało być. Ja na przykład dopiero dziś dowiedziałem się o twoim istnieniu. Peter nawet mi o tobie nie wspomniał.

Powiedział, że to nie było konieczne. Może za to ty opowiesz mi coś o Vasco?

— Tak. To może być ważne, tak mi się zdaje. Ostatniej nocy powiedział mi, że ma jakiś ślad. Podobno o północy miał spotkać się z jakąś bardzo ważną osobą. Nie mam pojęcia z kim. Jeden facet z rady miał go tam zaprowadzić.

Ktoś, kto wiedział, że Vasco utrzymuje kontakty z resztą świata, a dla nich reszta świata to wszystko poza ich dzielnicą.

— Znasz tego faceta? Możesz go opisać? — rzekł Van Effen.

— Mogę, oczywiście że mogę. Niski, łysawy, szpakowaty brodacz mający zeza w prawym oku.

De Graaf spojrzał na Van Effena.

— Jeszcze jeden gość z wadą wzroku — tym razem na pewno. Czy on ma jakieś nazwisko?

— Juliusz...

— Jaki Juliusz?

— Juliusz Cezar. Wiem, że to idiotyczne, ale oni nie są do końca normalni.

Na przykład nikt tam nie używa prawdziwego nazwiska, a jeszcze teraz jest moda na słynne postacie historyczne. Mamy Aleksandra Wielkiego, Dżyngis-Chana, Charlemagne'a, Nelsona, Helenę Trojańską, Kleopatrę i innych. Ci ludzie pozują na twardzieli albo piękności

— starają się stworzyć pozory tego, czego im brakuje. Ten — to Juliusz Cezar.

— To wszystko, co wiesz? — dopytywał się Van Effen. — Nie wspo mniał, o co chodzi?

— Nie — wydeła wargi. — Co nie znaczy, że on nie wiedział.

— Dziwne stwierdzenie — zauważył de Graaf. — Co masz na myśli?

— Nic. Po prostu nie wiem, czy on wiedział, czy nie.

— Patrzcie państwo! A co z zaufaniem do partnera po fachu? — zdziwił się pułkownik.

— On mi nie ufa.

— No, no. To się nazywa szczęśliwa i zgodna współpraca.

— Sierżant Westenbrink ma do niej zaufanie. Po prostu trzy lata pracy jako tajniak powodują, że człowiek staje się skryty i nieufny.

— Westenbrink. Myślałem, że znam wszystkich sierżantów ze swojego wydziału.

— On pochodzi z Utrechtu, sir.

— Szeroko rozpościerasz swoją sieć, poruczniku Van Effen. Annema-rie pracuje na tej samej zasadzie co Vasco, który zresztą nie nazywa się Vasco. No co, Peter? Jak się czujesz widząc mnie kompletnie zbitego z tropu?

George pojawił się nagle, przeprosił i postawił przed Annemarie telefon wyniesiony z za kontuaru. Dziewczyna podniosła słuchawkę i przez dwie minuty słuchała w milczeniu.

— Dziękuję — powiedziała — za pięć minut.

Odłożyła słuchawkę.

— Jak przypuszczam — „Hunter's Horn” — rzekł Van Effen. — Jak brzmi wiadomość od Vasco?

— „Hunter's Horn”? — zdziwił się komisarz. — Chyba nie ten „Hunter^

Horn” gdzie...

— W Amsterdamie tylko jedno miejsce nosi taką nazwę. Z wyjątkiem „La Caracha” jest to nasz jedyny azyl w tym mieście. Pomijam, z oczywistych względów, takie miejsce jak posterunek policji.

— Dzwoniono rzeczywiście z „Hunter's Horn”, ale to nie był Vasco —

wyjaśniła Annemarie.

— No dobrze, wiemy już, że to nie był Vasco, ale kto w takim razie dzwonił

i jak brzmi wiadomość?

— Dzwonił Henry. To właściciel knajpki. Vasco jest śledzony. Ten, kto go śledzi najwyraźniej nie wie jednak, że nie sposób śledzić Vasco tak, by on o tym nie wiedział. Dlatego nasz sierżant nie stawiał się na spotkanie. Osoba, czy osoby, które go śledzą, na pewno byłyby zdziwione widząc was i mnie tutaj.

Byłby to z pewnością koniec waszej działalności na tym terytorium. Vasco i Annemarie byłiby spaleni. Jedynym miejscem bezpiecznym dla Vasco pozostał

więc „Hunter's Horn”. Nawet tam nie mógł jednak skorzystać z telefonu, ale napisał

małą karteczkę dla Henriego i ten zdołał się do nas dodzwonić. Za pięć minut mamy oddzwonić, aby przekazać Vasco naszą odpowiedź.

\_Dlaczego mi zepsułeś niespodziankę? — w głosie Annemarie za brzmiał wyrzut. — Właśnie miałam wam to powiedzieć, ale i tak nie dotarłeś do wszystkiego.

— Jestem byстрыm facetem w dedukowaniu rzeczy oczywistych, ale nie jasnowidzem. Nie wiem wszystkiego, na przykład dlaczego Vasco czeka na naszą odpowiedź?

— A ja nie powiedziałam dlaczego?

— Tylko to, że Henri przekazał ci jakąś wiadomość.

— Dobra, dobra — wyduła wargi. — Już mówię. Dwa ogony. To zrozumiałe, że nie mógł zgubić ich obu. Spotkanie z dwoma...

— Co to ma znaczyć, do diabła — przerwał de Graaf.

— To wiadomość od Westenbrinka; pewien skrót myślowy. Są dwa sposoby pozbywania się ogonów. Mógłby wrzucić ich do najbliższego kanału, w czym jest raczej niezły lub zgubić ich po



drodze, a w tej dziedzinie jest naprawdę specjalistą. Najwyraźniej ani jeden z tych sposobów nie odpowiada tym razem potrzebom aktualnej sytuacji.

— ...spotkanie z dwoma, trzema ludźmi, czwarta trzydzieści, „Hunter<sup>^</sup>

Horn" — ciągnęła dalej Annemarie podając im małą kartkę

— Stefan Daniłow — przeczytał Van Effen. — Polska. Radom. Ekspert w dziedzinie materiałów wybuchowych. Pożary na polach naftowych. Texas.

Jasne i ciekawe, prawda sir?

— Faktycznie ciekawe. Co myślisz o wysadzeniu paru baraków. Obserwowanie prawa z drugiej strony krat może być naprawdę ciekawe. Na pewno przyprowadzą ze sobą faceta, który będzie mówił po polsku.

— Myślisz, że to polska grupa terrorystyczna? — spytała Annemarie.

— Nie, ale dobra forma sprawdzenia mnie.

— Ale jeśli oni będą mówić do ciebie po polsku, a ty...

— Jeśli będą mówić do niego po polsku, to — jak sądzę — Peter natychmiast im odpowie. Zna ten język i biegle nim włada. Twój kumpel z Utrechtu, Peter, najwyraźniej wiedział o tym.

— Ale... ktoś może cię przecież rozpoznać. Wszyscy w tym... getcie cię znają... wiedzą, kim jesteś.

— Daj spokój, głuptasku. Jeśli myślisz, że wystąpię w roli porucznika Van Effen, to wybacz, ale chyba powinnaś pójść do lekarza. Rzecz jasna, że zanim tam pojedę, poddam się drobiazgowemu zabiegowi charakteryzacji. Dodam sobie ze dwadzieścia kilogramów — mam garnitur, który będzie pasował jak ulał. Pogrubię sobie policzki, przycienię-ję włosy i wąsy, przyklepię złowieszczo wyglądającą bliznę i przez cały

czas spotkania będę miał na jednej ręce czarną, skórzaną rękawiczkę. Blizn i oparzeń nabawiłem się oczywiście podczas gaszenia pożaru na polu naftowym w Arabii Saudyjskiej czy gdzieś indziej. To naprawdę godne uwagi jak rękawica skupia uwagę każdego. Taki szczegół zwykle na długo pozostaje w pamięci — i jeśli nie masz go na sobie — to nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Rozumiesz mnie? Aha, i nie nazywaj terytorium Krakerów gettem —

to poważna obraza dla Żydów.

— Nie chciałam...

— Wiem, przepraszam. Zadzwoń do Henriego i powiedz mu, że wszystko OK. Niech to przekaże Vasco.

Dziewczyna zadzwoniła, przekazała wiadomość i oznajmiła:

— Wygląda na to, że wszystko w porządku. Za parę minut Vasco otrzyma naszą odpowiedź. — Spojrzała na porucznika. — Jeżeli jesteś taki bystry, Peter, to odpowiedz mi na jedno pytanie: Dlaczego Vasco telefonował?

— Dlaczego zadzwonił? — Van Effen próbował sprawiać wrażenie spokojnego. — Vasco najwyraźniej był śledzony od momentu swego spotkania z tym gościem ostatniej nocy i zapewne doszedł do wniosku, że dobrze będzie, jeśli pozostanie pod tym nadzorem do chwili spotkania w „Hunter's Horn”. Jak miał się ze mną inaczej skontaktować, jeśli nie telefonicznie? Przekazem telepatycznym?

De Graaf odchrząknął i spojrzał na Annemarie:

— Wybacz naszemu porucznikowi jego staroświecką galanterię. Czy wracasz jeszcze dzisiaj na terytorium Krakerów?

— Wkrótce.

— Zostajesz tam przez całą noc?

Wzdrygnęła się.

— Są pewne granice lojalności dla policji. Nie. Noce spędzam gdzie indziej.

— I nie wzbudza to żadnych podejrzeń wśród tego bractwa?

— W zasadzie nie. Mam przyjaciela, który zabiera mnie stamtąd każdego wieczoru. Krakerzy pojmują ten fakt jednoznacznie.

— Rano ten ktoś przywozi cię z powrotem?

— Tak jest, sir — uniosła dłoń do ust, by zakryć delikatny uśmiech, ale de Graaf i tak zdołał go dostrzec.

— Jesteś rozbawiona, młoda damo — jego ton był pozbawiony ciepła.

— No cóż... jestem. Ten mój przyjaciel to prawdziwy gentelman.

Zwłaszcza, że jest żonaty od paru lat.

— Tak przypuszczałem — mruknął posępnie de Graaf.

Zawozi mnie do domu swojej kuzynki, zostawia mnie tam na całą noc i rano odwozi mnie z powrotem. Jest gentelmanem, bo bardzo kocha swoją żonę. Jego kuzynka to prawdziwa dama.

Chyba znów się zgubiłem. Oczywiście sprawdziłeś tę damę i tego gentelmana, Peter?

Nie — odparł Van Effen. — Nie ośmieliłbym się...

De Graaf zasepił się, oparł wygodnie na krześle i po chwili roześmiał.

— Należy dobrze znać naszego nieustraszonego porucznika, Anne-marie, by wiedzieć, że bardzo kocha swoją młodszą siostrę. A więc to z nią zostajesz? Z

Julie?

— Zna ją pan, sir?

— Moja ulubiona dama Amsterdamu. Pomijając, oczywiście, moją żonę i dwie córeczki. Jestem jej ojcem chrzestnym.

W chwilę potem zadzwonił telefon. Odebrał Van Effen, słuchał przez jakieś pół minuty, po czym rzekł:

— Czy ktoś tam może usłyszeć mój głos? — i dodał po chwili — po wiedz, że dajesz mi pół minuty do namysłu.

Pół minuty później dorzucił:

— Powiedz: Stefan, przysięgam, że to nie jest policyjna pułapka. Gło wę daję, że nic ci się nie stanie. Czy ryzykowałbym tak, gdyby to miała być pułapka? Nie wygłupiaj się.

Chwilę potem Van Effen rzekł:

— Dobrze. A więc przyjedziesz z nimi? W takim razie powiedz temu komuś, a na pewno nie będzie to ten, który cię śledzi, że w Polsce jestem spalony, a w Stanach czeka na mnie żądanie ekstradycji. Będę miał na jednej ręce czarną, skórzaną rękawiczkę...

Odłożył słuchawkę.

— To był niezły pomysł. Kartoteka w Polsce i oświadczenie o ekstradycję w Stanach Zjednoczonych. To robi wrażenie a nie ma sposobu, w jaki można byłoby to sprawdzić. Przypuszczam, że będziesz uzbrojony?

— Oczywiście. Będę miał podramienną kaburę tak źle dopasowaną, żeby najgorsza ślepotą ją zauważyła. Spodziewają się tego po mnie i nie należy ich rozczarować.

— Bardzo możliwe, że zabiorą ci broń jeszcze przed samym spotkaniem.

Tak na wszelki wypadek — odparła Annemarie.

— Trzeba być przygotowanym na wszystko, ale obiecuję, że będę odważny.

— Peter chce przez to powiedzieć — odezwał się de Graaf — że zawsze ma przy sobie drugi pistolet. To tak jak z tą jedną rękawiczką; ludzie koncentrują się tylko na jednej rzeczy na raz. Jestem pewien, że o tym też napisał w swojej książce: tylko ktoś patologicznie podejrzliwy będzie szukał

drugiego pistoletu po znalezieniu pierwszego.

— Tego nie ma w tej książce. Są granice podpowiadania przestępcom co mają robić i jak. Ciekawe, sądzę, że o czwartej trzydziści obaj będziemy mieli masę roboty. Pan, jak przypuszczam, będzie sobie spoglądał przez okno helikoptera na tamę Texel, trzymając w dłoni szklaneczkę sznapsa i kontynuując pogawędkę z ministrem, podczas gdy ja udam się do jaskini lwa.

— Możemy się zamienić — rzekł ponuro de Graaf. — Wrócę z Texel około szóstej. I tak nic tam nie zdziałam. Spotkajmy się o siódmej.

— Jeżeli tylko przeżyjemy... Ja lwy, pan łatwy dostęp do butelki... Czy 444  
ma czekać?

De Graaf nie sprecyzował odpowiedzi w tej kwestii.

## Rozdział trzeci

Helikopter typu Chinook, wielki, szybki, eksperymentalny model wypożyczony od Armii Stanów Zjednoczonych miał tę samą wadę co inne, mniejsze i starsze od niego maszyny. Robił mianowicie tak niesamowity hałas i huk jego silników był tak głośny, że prowadzenie rozmowy okazało się praktycznie niemożliwe. Fakt, iż zamiast jednego, posiadał dwa wirniki, wcale nie polepszał tej sytuacji.

Pasażerowie stanowili dość dziwną mieszankę towarzyską. Oprócz de Graafa i ministra sprawiedliwości Roberta Kondstalla, byli tu jeszcze czterej inni ministrowie, z których w zasadzie jedynie minister obrony miał

uzasadniony powód, aby udać się do Texel. Pozostali trzej polecili z nim ze zwykłej, czystej ciekawości. To samo można by powiedzieć o wyższym oficerze sił powietrznych, brygadierze i admirale, zajmujących miejsca tuż za de Graafem oraz o czterech ekspertach z Rijkswaterstaat i Laboratorium Hydraulicznego w Delft. Obecność tych ostatnich wyglądała na usprawiedliwioną, ale, jako że pilot najwyraźniej nie zamierzał posadzić chinooka na wodzie przy rozwalonej tamie, ani że sami specjaliści nie przejawiali zbytnej ochoty do opuszczenia się na wysięgniku, żeby dać się utopić, to doprawdy trudno było zgodzić się z tym stwierdzeniem. Obecność kilku reporterów i dziennikarzy na pokładzie helikoptera była najbardziej uzasadniona, ale po fakcie okazało się, że mogli sobie darować stratę czasu.

Chinook lecąc nie wyżej niż dwieście metrów w odległości pół kilometra od brzegu morza, znajdował się dokładnie naprzeciwko Oo-sterend, kiedy nastąpił

wybuch. Eksplozja bynajmniej nie była efektowna: po prostu w pewnej chwili rozległ się nagle stłumiony huk, a w powietrze wzbijała się fontanna wody i gruzu. Nad tamą wyrósł pionowy, wąski słup dymu. Efekt nie był może spektakularny, ale fale Waddensee wdarły się już w wąską szczelinę zalewając polder. Płynący niecałe pół kilometra od wyrwy holownik zaczął niemal natychmiast zmieniać kurs w stronę wyrwy. Pilot zawracał helikopter na zachód, najprawdopodobniej by

przyjrzeć się sytuacji na polderze. De Graaf zwrócił się do jednego z ekspertów z Rijkswaterstaat — musiał krzyczeć, by tamten zdołał go usłyszeć.

— Jak to wygląda, panie Okkerse? Jak pan sądzi, ile czasu zajmie naprawa tamy?

— Niech ich diabli! To zbrodniarze! Diabły! Potwory! — Okkerse był

najwyraźniej wstrząśnięty, tamy były jego jedyną pasją i zamiłowaniem. — To potwory, mówię panu — potwory!

— Tak, potwory — przyznał de Graaf. — Ile potrwa naprawa?

— Chwileczkę — Okkerse wstał, wychylił się do przodu, szepnął coś do ucha pilotowi i usiadł z powrotem na swoim miejscu. — Trzeba to najpierw obejrzeć. Pilot zaraz nam to umożliwi.

Chinook zawrócił, przelatując nad wodami powodzi zalewającymi olbrzymią połąć polderu. Leciał na wysokości jakichś piętnastu metrów nad ziemią w odległości około dwudziestu metrów od zbliżających się szybko fal.

Okkerse przycisnął twarz do szyby. Po paru sekundach odwrócił się i machnął

dłonią w kierunku pilota. Chinook wzniósł się w powietrze.

— To sprytnie diabły — krzyknął Okkerse. — Bardzo sprytnie. Wyłom jest niewielki, a ci dranie wybrali wspaniały moment na eksplozję.

— A co do tego ma pora dnia?

— Bardzo dużo, wybuch miał miejsce podczas odpływu. Gdyby eksplozja nastąpiła w czasie przyptywu, zniszczenia wyrządzone przez fale powodzi byłyby naprawdę ogromne.

— A więc nie chodzi im o zniszczenia czy bezmyślną destrukcję?

Okkerse zdawał się go w ogóle nie słyszeć.

— Wybuch nastąpił, gdy poziom wód nie osiągnął minimum, bo wiedzieli, diabli wiedzą skąd, że naszym jedynym wyjściem jest zablokowanie wyrwy dziobem okrętu. W tym celu — jak widzicie — podąża w stronę tamy widoczny w dole holownik. Przy najniższym stanie wody miałby zbyt duże zanurzenie, by podplynać pod tamę. — Potrząsnął głową. — To mi się nie podoba.

— Myślisz, że nasi przyjaciele mają dobrze usytuowanych informatorów?

— Tego nie powiedziałem.

— Sugerowałem to już pańskiemu przyjacielowi Jonowi de Jong: ktoś z pracowników Rijkswaterstaat albo dla nich pracuje, albo jest jednym z nich.

— To bzdura! Niemożliwe! Wśród NAS? Absurdalne!

— De Jong też tak powiedział. Prawda jest taka, że na świecie nie ma nic niemożliwego. Niby dlaczego pańscy ludzie mieliby być odporni na inwigilację? Proszę sobie przypomnieć brytyjską Secret Service, w której sprawy bezpieczeństwa przeszły niemalże do legendy, a minio to była ona infiltrowana. Jeżeli zdarza się to w szeregach Secret Service to niby dlaczego nie miałyby wystąpić pośród pańskich ludzi? To wcale nie takie trudne ani niemożliwe, ale nie ma sensu o tym dyskutować. Jak długo potrwa naprawienie tamy?

— Holownik powinien zablokować wyrwę i tym samym zmniejszyć procent napływu wody o jakieś osiemdziesiąt procent. W dodatku poziom wody się obniża, bo jest odpływ. Mamy wszystko co potrzebne

— stalowe płyty, maty, beton szybkoschnący i nurków. Naprawa po trwa parę godzin. To rutynowe zadanie.

De Graaf skinął głową, podziękował za wyjaśnienie i usiadł obok Kondstalla.

— Okkerse mówi, że nie ma się czym przejmować, sir. To rutynowa naprawa. Nie to mnie zresztą martwi.

— Tak myślałem. Uprzedzali przecież, że zniszczenia będą niewielkie.

Wygląda na to, że nie rzucają słów na wiatr — stwierdził minister.

— Martwi mnie to, że ci dranie mogą bezkarnie robić to, co sobie obmyślą.

Jesteśmy między młotem a kowadłem. Zauważył pan, sir, że tego wieczora jakoś nie otrzymaliśmy od nich żadnej wiadomości?

— W dalszym ciągu nie wiemy, o co tym draniom chodzi! Wolę jednak nie łamać sobie głowy rozmyślaniami nad pobudkami kierującymi tymi ludźmi. Na pewno w odpowiednim czasie dowiemy się, o co naprawdę chodzi. Nie sądzę też, aby celowe było pytać pana o postępy śledztwa.

De Graaf całkowicie pochłonięty zapalaniem swojego cygara, powstrzymał się od komentarza.

Sierżant Westenbrink miał na sobie biały, rozpięty garnitur, spod którego wyzierała pstrokata, hawajska koszula. Na głowie nosił czapkę holenderskich dokerów, a w ucho miał wpięty okrągły miedziany kolczyk. W porównaniu z ludźmi wśród których obracał się, Vasco był ubrany wcale wytwornie, ale na tyle inaczej, że zarówno on, jak i dwaj ludzie siedzący wraz z nim przy stole

„Hunter's

Horn"

sprawiali

wrażenie

wielce

szanowanych

filarów

społeczeństwa. Jeden z jego towarzyszy we wspaniale skrojonym, ciemnoszarym garniturze był w wieku Van Effena. Miał śniadą twarz, kędzierzawę, czarne włosy i czarne oczy, a gdy się uśmiechał — co zdarzało mu się dość często — ukazywał rząd śnieżnobiałych zębów. Jego rodzina, i to nie dalsza niż

poprzednie pokolenie, musiała pochodzić z kraju leżącego nad Morzem Śródziemnym. Jego towarzysz, niski, łysiejący i o jakieś dziesięć do piętnastu lat starszy, nosił konserwatywny, czarny garnitur, a cienki jak sznurowadło wąsik był jedynym rzucającym się w oczy elementem w pozbawionej wyrazu twarzy. Żaden z nich nie wyglądał na przestępcę, ale niektórzy kryminaliści potrafią wywierać na ludziach właśnie takie złudne wrażenie.

Młodszy przedstawił się jako Romero Agnelli i być może było to jego prawdziwe nazwisko. Wyjął z kieszeni hebanową papierośnicę, a z niej tureckiego papierosa i wykładaną złotem i onyksem zapalniczkę, co wprawiłoby w osłupienie niejednego mężczyznę. U niego były to po prostu przedmioty codziennego użytku. Zapalił papierosa i uśmiechnął się do Van Effena.

— Chciałbym teraz zadać panu kilka pytań — mówił po angielsku miłym dla ucha barytonem. — Sam pan rozumie... w naszych czasach ostrożności nigdy za wiele.

— Zgadzam się. Jeśli tylko pańskie pytania będą stosowne, udzielę odpowiedzi. Jeśli nie, to odmówię. Rozumiem, że mam prawo do podobnej uprzejmości?

— Oczywiście.

— Z jednym wyjątkiem: pan może mi zadać więcej pytań niż ja panu.

— Nie bardzo rozumiem.

— O ile ja dobrze pojąłem, to rozmawiamy o współpracy. Pan jako przyszły pracodawca może być bardziej ciekawy niż przyszły pracownik.

— Rozumiem. Nie brałem pod uwagę stosunku pracodawca — pracownik.

Pan bardziej przypomina organizatora niż wykonawcę jakiegokolwiek zadania.

— Rzeczywiście. Garnitur Van Effena, podkreślający jego nadwagę, wypchane policzki i zmieniona fryzura dodawały mu powagi i wiarygodności. — Czy myślę się sądząc, że jest pan uzbrojony?

— W przeciwieństwie do pana, panie Agnelli, obawiam się, że nie stać mnie na drogich krawców.

— Broń mnie denerwuje — w rozbrajającym uśmiechu nie było śladu nerwów.

— Mnie również. Pistolet noszę, żeby się bardziej nie zdenerwować, gdy spotkam kogoś, kto też nosi broń. — Van Effen wyciągnął z kabury berettę, wyjął magazynek, wręczył go Agnellemu i włożył pistolet z powrotem do kabury pod pachą. — Jak stan pańskich nerwów?

— Znacznie lepszy.

— A nie powinien być... — Van Effen spod stołu wyciągnął dłoń z małym pistoletem automatycznym. — Liliput, pod wieloma względami zabawka, ale można z niego zabić człowieka z odległości sześciu metrów, o ile oczywiście jest się dość dobrym strzelcem.

Wyjął magazynek, oddał go Agnellemu i włożył liliputa do kabury nad kostką.

— To wszystko — trzy pistolety to byłoby trochę za dużo.

— Myślę, że tak — Agnelli uśmiechnął się ponownie. Popchnął oba magazynki w stronę Van Effena. — Chyba broń nie będzie nam dziś potrzebna.

— Rzeczywiście. Wydaje mi się, że coś by się jednak przydało.

— Van Effen wrzucił magazynki do kieszeni. — Jak dużo mówię, za wsze mam dziwne pragnienie.

— Dla mnie piwo — rzekł Agnelli. — I dla Helmuta również.

— Cztery piwa — podsumował Van Effen. — Vasco, gdybyś był tak uprzejmy.

Poproszony wstał i ruszył w stronę kontuaru.

— Od dawna go znasz? — spytał Agnelli. Van

Effen zamyślił się.

— Właściwe pytanie — od dwóch miesięcy. Dlaczego pytasz?

— spytał zastanawiając się, czy to samo pytanie zadano wcześniej Vasco.

— Z ciekawości — Agnelli nie wyglądał na ciekawskiego. — Naprawdę nazywasz się Stefan Daniłow?

— Oczywiście, że nie. Ale pod tym nazwiskiem znają mnie w Amsterdamie.

— Ale jesteś Polakiem? — głos starszego był suchy i rzeczowy niczym prawnika lub buchaltera. Mówił po polsku.

— Niestety, tak. — Van Effen uniósł brwi. — Vasco wam o tym powiedział?



— Tak. Gdzie się pan urodził?

— W Radomiu.

— Znam trochę to miasto. To raczej prowincjonalna miejscina.

— Tak słyszałem.

— Tak pan słyszał? Przecież pan tam mieszkał?

— Do czwartego roku życia. Kiedy ma się cztery lata, nawet prowincjonalne miasteczko jest dla człowieka pępkiem świata. Mój ojciec

— drukarz, przeniósł się z rodziną w poszukiwaniu lepszej pracy.

— Dokąd?

— Do Warszawy.

— Aha!

— Co aha? — odparł z irytacją w głosie Van Effen. — Wygląda na to, że znasz pan Warszawę, a teraz chciałbyś sprawdzić, czy i ja ją znam. Po cholere to już inna sprawa. Nie jest pan czasem prawnikiem, panie hm...

— Paderewski. Jestem prawnikiem.

— Paderewski. Mając tyle czasu mógł pan wymyśleć coś bardziej oryginalnego. Jest pan prawnikiem. Wolałbym nie być zmuszonym do korzystania z pańskich usług. Jako śledczy jest pan skończoną niezdara.

Agnelli uśmiechnął się, ale twarz Paderewskiego pozostała niewzruszona.

— Zna pan oczywiście pałac Pod Blachą?

— Oczywiście.

— Gdzie on się znajduje?

— Oto inkwizycja... ach, dziękuję — wziął szklaneczkę z tacy kelnera, za którym z wolna podążał Vasco. — Wasze zdrowie panowie. Miejsce, o którym pan wspomniał, panie hm... Paderewski, znajduje się nad Wisłą, na styku Wybrzeża Gdańskiego z Mostem Śląsko-Dąbrowskim. Chyba że go przestawili w ciągu ostatnich lat, gdy mnie tam nie było.

Paderewski nie wykazał poczucia humoru.

— Pałac Kultury i Nauki?

— Na placu Defilad. Jest za duży.

— Proszę?

— Nie sposób go nigdzie stamtąd przenieść. Dwa tysiące trzysta pokoi to dosyć sporo. Kolos. Kiedyś nazywano ten pałac tortem weselnym, ale cóż, Stalin nigdy nie miał dobrego gustu.

— Stalin? — spytał Agnelli, który najwyraźniej też mówił po polsku.

— Ten pałac to prezent od niego dla okupowanej przez Rosjan Polski.

— Gdzie w Warszawie znajduje się Muzeum Etnograficzne?

— Nie mieści się w Warszawie. Znajduje się w Młocinach, dziesięć kilometrów na północ od stolicy. — Teraz do akcji wszedł Van Effen. —

Gdzie stoi Nike? Nie wiesz? A co to jest Nike? Też nie wiesz? Każdy warszawiak zna pomnik poświęcony Bohaterom Warszawy, który znany jest pod tą właśnie nazwą. A z czego słynie ulica Zamenhofa?

Paderewski nie odpowiedział.

— Znajduje się tam pomnik poświęcony Powstaniu w Getcie. Słaby z pana prawnik. Dobry specjalista przygotowałby sobie pytania i od powieździ. Pan tego nie zrobił. Oszust z pana. Moim zdaniem, nigdy nie był pan w Warszawie, a miasto zna tylko ze zdjęć w gazetach i z przewodników turystycznych. — Van Effen oparł się dłońmi o blat stołu jakby zamierzając wstać. — Wydaje mi się panowie, że nie mamy o czym rozmawiać. Dyskretny wywiad to jedno, przesłuchanie, i to w wydaniu amatora, to coś zupełnie innego. Nie widzę tu podstaw do wzajemnego zaufania, a prawdę mówiąc to w tej chwili nie cierpię ani na brak gotówki, ani na brak zajęcia. Do widzenia, panowie... Agnelli wyciągnął rękę w uspokajającym geście.

— Proszę usiąść, panie Daniłow. Wszyscy prawnicy są zwykle nie ufni i podejrzliwi. Po prostu obaj z Helmutem mieliśmy pewne wątpliwości, które, chcąc nie chcąc, musieliśmy rozwiązać. Helmut w rzeczy wistości był w Warszawie — na wycieczce turystycznej. Nie wątpię, że zna pan to miasto tak dobrze, że mógłby poruszać się po jego ulicach z zamkniętymi oczami.

Paderewski sprawiał wrażenie kogoś, kto wolałby być zupełnie gdzie indziej i w całkiem innym towarzystwie.

— Popełniliśmy poważny błąd. Proszę nam wybaczyć — dodał Agnelli.

— Nic się nie stało — Van Effen usiadł i upił trochę piwa. — Teraz przynajmniej zaczynamy ograniczone zaufanie.

Agnelli uśmiechnął się. Wyglądał na gangstera obdarzonego poczuciem humoru.

— Ustalmy od razu: to pan jest nam potrzebny, a nie my panu. Sytuacja przemawia na pańską korzyść.

— Potrzebuje pan pomocy specjalisty. — Van Effen nie dał się zbić z tropu.

— Nic łatwiejszego. Vasco, wychył no się i wezwij pomocy barmana: chyba nam się skończyło piwo.

— Oczywiście, Stefan! — na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. Zrobił jak mu kazano i usiadł wygodnie na krześle.

— Dość już przesłuchań — dodał Agnelli — przejdźmy do sedna sprawy.

Vasco powiedział mi, że zna się pan trochę na materiałach wybuchowych.

— On mnie nie docenia. Znam się dość dobrze na tych sprawach. —

Spojrzał na Vasco z wyrzutem. — Wiesz, że nie lubię jak rozmawiasz o przyjaciółach, czyli o mnie, z obcymi.

— Nie rozmawiałem o tobie. Udzieliłem tylko jednej informacji i to znaj ornemu.

— Nic się nie stało. Znam się na materiałach wybuchowych i rozbijaniu ładunków. Potrafię gasić pożary na polach naftowych, ale sądzę, że tym razem chodzi o coś innego. Gdyby o to tylko chodziło wezwalibyście kogoś z Teksasu, gdzie nauczyłem się swojego fachu.

— Nie chodzi o pożary ropy — Agnelli uśmiechnął się. — Rozbijanie bomb to inna sprawa. Gdzie się pan tego nauczył?

— W wojsku — odparł Van Effen, nie precyzując w którym.

— I faktycznie rozbijał pan bomby?

— Całkiem sporą ilość.

— Musi pan być niezły.

— Dlaczego?

— Bo jest pan tutaj.

— Jestem niezły. Mam też cholerne szczęście, bo jak sami wiecie — saper myli się tylko raz. Większość z nich nie dożywa emerytury. O ile wiem, nie chodzi wam ani o pożary ropy, ani o rozbijanie bomb. Pozostają ładunki wybuchowe. W Holandii specjalistów w tej dziedzinie jest od cholery.

Wystarczy dać ogłoszenie. A zatem, uwzględniając sposób, w jaki zostałem tu zaproszony, wynika tylko jedno: szykuje się jakaś nielegalna akcja i to na dużą skalę.

— Zgadza się. Brał pan kiedyś udział w podobnym przedsięwzięciu?

— Zależy co pan ma na myśli. Definicja nielegalności ma rozległe granice, które nie zawsze zgadzają się z granicami, które sobie sam wyznaczyłem. Tak zwani stróże prawa mają fioła na punkcie uzgadniania drobnych różnic i potrafią tym dosłownie zatruć życie człowiekowi.

— Czy pański pobyt w Amsterdamie ma związek z którąś z takich dyskusji?

— Mniej więcej. Co mam dla pana wysadzić?

Agnelli uniósł brwi.

— Wali pan prosto z mostu. Oczekiwałem dyplomatycznej dygresji...

— Czy to pańska odpowiedź? Ekspert w dziedzinie materiałów wybuchowych jest przeważnie potrzebny do jednego — żeby coś wysadzić. Chce pan, żebym coś dla pana wysadził. Tak czy nie?

— Tak.

— Jeszcze dwie uwagi. Mogę rozprawić się z każdym bankiem, mostem, okrętem, czymkolwiek i gwarantuję, że wykonam swoje zadanie bez pudła.

Jednak, jeśli choć jeden człowiek miałby przy tym ucierpieć, to z góry rezygnuję.

— Obejdzie się bez tego. Gwarantuję to panu. A druga sprawa?

— Kiedy powiedziałem, że jest pan inteligentny, to nie było to tylko pochlebstwo, panie Agnelli. Jest pan wybitnie inteligentny. Ludzie pańskiego pokroju to zazwyczaj najlepsi organizatorzy. Nieczęsto się zdarza, żeby ktoś taki w ostatniej chwili potrzebował specja od wybuchów do akcji planowanej od dłuższego czasu. Zawodowcy z zasady tak nie postępują, jeśli mogą wyrazić swoje zdanie.

— Doceniam pana i dobrze rozumiem pana obawy, ale jak na razie musi mi pan uwierzyć na słowo. Jestem członkiem zorganizowanego zespołu.

Rozumiem, że chciałby pan poznać nasze zamierzenia i rolę, jaką rnu wyznaczaliśmy. Ale musi pan wiedzieć, że najlepsze plany dobrze jest zdradzać krok po kroku. Na wszelki wypadek. Wszystko panu wyjaśnię, ale dopiero w swoim czasie. Co do niespodziewanej oferty zatrudnienia to czasem wypadek może pokrzyżować najlepsze projekty. Czy przyjmuje pan naszą propozycję?

— Nic mi pan jeszcze nie zaproponował.

— Oferuję panu pracę dla naszej organizacji na zasadzie stałej płacy oraz procentów od uzyskanej kwoty, a pańskie zadanie dotyczyć będzie zniszczenia pewnych obiektów, o których opowiem panu kiedy indziej.

— Brzmi ciekawie, zwłaszcza te procenty. Zgadza się. Od kiedy zaczynam i co konkretnie mam zrobić?

— Będzie pan musiał trochę poczekać, panie Daniłow. Dzisiejsze spotkanie to dopiero wstęp do

naszej współpracy. Miałem sprawdzić, czy nadaje się pan na członka naszej grupy i cieszę się, że sprawdzian wypadł pomyślnie. Muszę teraz zdać raport z naszego spotkania. Skontaktujemy się z panem wkrótce —

najprawdopodobniej już jutro.

— Nie jest pan szefem tej organizacji?

— Nie.

— Zaskakuje mnie pan. Taki człowiek jak pan w roli adiutanta. No cóż, chciałbym spotkać się z szefem...

— Spotka się pan z nim — przyrzekam to panu.

— Jak się pan ze mną skontaktuje? Tylko błagam, nie telefonicznie.

— Oczywiście, że nie. Vasco? Będziesz naszym posłańcem?

— Z przyjemnością, panie Agnelli. Jakby co, wie pan gdzie mnie znaleźć.

— Dziękuję — Agnelli wstał i pożegnał się z Van Effenem. — Było mi bardzo miło, panie Daniłow. Zobaczymy się jutro.

Helmut Paderewski nie wyciągnął dłoni na pożegnanie. Gdy drzwi zamknęły się za nimi, sierżant Westenbrink rzekł: — Napiłbym się jeszcze piwa, poruczniku.

— Peter. Zawsze mów mi Peter.

— Przepraszam, tym razem było ślisko, tańczyłeś po kruchym lodzie.

— Nie dla doświadczonego kłamcy. Jak sądzę, powiedziałeś im, że jestem desperatem i poszukiwanym kryminalistą?

— Wspomniałem o jakimś nakazie ekstradycji, ale nie zapomniałem podkreślić, że generalnie jesteś praworządnym i uczciwym facetem.

Oczywiście w stosunku do współników.

— Oczywiście. Zanim zamówisz piwo, chciałbym jeszcze zadzwonić...

Van Effen podszedł do baru i rzekł do stojącego za kontuarem barmana:

— Henri, chciałbym zadzwonić. Rozmowa prywatna. Wiesz, o co chodzi?

Henri, właściciel lokalu był wysokim, wychudzonym jegomościem o bladej cerze i ponurym wyrazie twarzy.

— Masz problemy, Peter?

— Nie. Mam nadzieję, że już wkrótce będzie je miał ktoś inny.

Wszedł do biura i wykręcił numer.

— „Trianon”? Z dyrektorem proszę. Nie obchodzi mnie, że jest na konferencji. Mówi porucznik Van Effen — odczekał chwilę. — Charles?

Zrób mi przysługę. Wpisz mnie do książki na przedwczoraj. Zamelduj mnie pod nazwiskiem Daniłow — Stefan Daniłow. Poinformuj o tym recepcjonistę i portiera. Tak. Sądzę, że będą o mnie pytać. Tak, po wiedz im prawdę zgodną z książką meldunkową. Wyjaśnię ci wszystko, jak tylko przyjadę.

Wrócił do Vasco.

— Właśnie się zameldowałem jako Stefan Daniłow w hotelu. Agnelli na pewno każe swoim ludziom obdzwonić wszystkie hotele, by dowiedzieć się o miejscu mojego pobytu.

— A więc dowie się gdzie mieszkasz, albo gdzie może cię znaleźć. —

Vasco westchnął: — Chciałbym wiedzieć, gdzie też ONI mogą się teraz znajdować.

— Już wkrótce się dowiemy. Od chwili gdy wyszli z „Hunter's Horn” mają podwójny ogon.

Van Effen, już bez charakterystyki i przebrany w garnitur, spytał

dziewczynę siedzącą w recepcji „Telegrafu” o redaktora, który odebrał

pierwszy telefon od FFF. Okazał się on bardzo chętnym do współpracy młodzieńcem.

— Pan Morelis? — spytał Van Effen. — Policja.

— Tak jest, sir. Porucznik Van Effen, jak sądzę? Oczekiwałem pana. Czy chce pan przesłuchać taśmy? Może powinienem najpierw powiedzieć, że dostaliśmy już drugą wiadomość od FFF.

— Szybko się odezwali... Nie zaskoczył mnie pan. To było nieuniknione. Wesole wieści, jak sądzę?

— Niestety. Pierwsza połowa wiadomości składa się z samych superla tywów pod własnym adresem i gratulacji z powodu dobrze wykonanego zadania. Jak wiemy, stało się tak jak przewidzieli i obyło bez ofiar w lu dziach. Druga połowa wiadomości to stwierdzenie, że kolejnym miejscem wzmożonej aktywności, jak to eufemistycznie określili, będzie North Holland — dwa kilometry na północ od Alkmaar, jutro o dziewiątej rano.

— To też było nieuniknione, wydarzenie naturalnie, a nie lokalizacja.

— Żadnych żądań, jak sądzę, tylko stwierdzenie faktu. Nagrał pan tę wiadomość?

— Tak.

— Dobra robota. Czy mogę przesłuchać te taśmy?

Po dwukrotnym przesłuchaniu taśm Van Effen wyłączył magnetofon i zwrócił się do Morelisa:

— Przesłuchiwał je pan?

— Wiele razy — Morelis uśmiechnął się: — Zabawiłem się w detektywa, ale jedyny wniosek, jaki przyszedł mi na myśl to ten, że kiepski ze mnie detektyw.

— Nie zauważył pan w tych taśmach niczego dziwnego?

— Obie wiadomości przekazała ta sama kobieta. To jednak nie na wiele się przyda.

— Żadnych dziwnych akcentów, tonów głosu? Nie odniósł pan wrażenia jakiejś niezwykłości w tym, co pan usłyszał?

— Nie. Ale słaby ze mnie sędzia — mam lekką wadę słuchu. A co pan z niej wywnioskował, poruczniku?

— Ta dziewczyna nie jest Holenderką. Nie mam pojęcia skąd pochodzi, ale na pewno nie z Holandii. Tylko nie waż się rozgłaszać tej informacji.

— Ależ skąd. Następnego dnia po tym fakcie dołączyłbym do szeregów bezrobotnych.

— Nie jesteśmy w Moskwie, przyjacielu. Proszę włożyć te taśmy do torby.

Wezmę je ze sobą i zwrócę panu za kilka dni.

Po powrocie do biura, Van Effen wezwał do swego pokoju sierżanta, który tego dnia pełnił służbę. Kiedy pojawił się w drzwiach, powitał go stwierdzeniem:

— Przed paroma godzinami poprosiłem o przydzielenie dwóm ludziom: Fredowi Klassenowi i Alfredowi Van Rees, tajniaków. Wiedziałeś o tym?

Jeżeli tak, to kim byli ci dwaj tajniacy?

— Wiedziałem o tej sprawie. Ci dwaj to detektywi Voight i Tindeman.

— Dobrze. Czy któryś z nich dzwonił może do biura?

— Obaj. Jakies dwadzieścia minut temu. Tindeman mówił, że Van Rees pojechał do domu i najwyraźniej zamierza spędzić tam wieczór. Klassen ma służbę na lotnisku. To wszystko, sir.

Van Effen spojrział na zegarek.

— Wychodzę. Jeśli będziesz miał dla mnie coś ciekawego zadzwoń do „Dikker en Thijs”. A po

godzinie dziewiątej telefonuj do mnie do domu.

Pułkownik Van de Graaf pochodził z bardzo starej, bogatej i arystokratycznej rodziny. Był też wielkim zwolennikiem tradycji. Van Effena wcale nie zaskoczyło, że pojawił się przy stoliku w smokingu z czarną muszką i czerwonym goździkiem wpiętym w klapę. Wieść niesła, że zna każdego, kto jest „kimś” w Amsterdamie i wszystko na to wskazywało. Wyglądało, że wszyscy go znają, jeżeli nie w całym Amsterdamie, to przynajmniej w „Dikker en Thijs”. O cztery kroki od stolika Van Effena zatrzymał się jak skamieniały i otworzył szeroko oczy.

Dziewczyna, która podniosła się z miejsca, aby się z nim przywitać, wywierała podobne wrażenie na większości obecnych na sali mężczyzn.

Średniego wzrostu, szczupła, o doskonałej figurze, nosiła suknię z szarego jedwabiu sięgającą kostek i co dziwniejsze, nie miała na sobie żadnej biżuterii, która zresztą była w tym przypadku zupełnie zbędna. Nikt by jej nawet nie zauważył. Wzrok pułkownika przykuła jej twarz o pięknych, łagodnych rysach greckiej bogini, rozjaśniona delikatnym uśmiechem. Finezyjnie wyrzeźbione rysy i delikatna budowa mogły sugerować, że dziewczyna była miłą i inteligentną osobką i doprawdy była piękna. Miała lśniące, kasztanowe włosy, ogromne, orzechowe oczy i czarujący uśmiech odsłaniający jedyną niedoskonałość: lekko skrzywiony ząb, dodający jej zresztą uroku — nie wyglądała na seryjną produkcję Hollywood. Oczarowała nim pułkownika niemal całkowicie. Van Effen chrząknął.

— Pułkowniku Van de Graaf, chciałbym przedstawić pannę Meijir. Panna Annę Meijir.

— Bardzo mi miło — de Graaf szarmancko uściśnął jej dłoń. — Moje aratulacje, chłopcze, zazdroszczę ci tej znajomości. Gdzie znalazłeś to czarujące zjawisko?

— Nie musiałem szukać. Wystarczy tylko wyjść wieczorem na ulice Amsterdamu, rozłożyć ręce — i już ma pan swoją zdobycz.

— Tak, tak, oczywiście. — Widać było, że de Graaf nie bardzo wie dział, co mówi i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że trochę zbyt długo potrząsa wiotką dłonią dziewczyny. Natychmiast puścił jej rękę.

— Ciekawe. Bardzo ciekawe — nie wyjaśnił co miał na myśli mówiąc te słowa. — Jak to się stało, że tak wspaniała dziewczyna jak ty, umknęła uwadze szefa policji Amsterdamu? To niemożliwe. Nawet w tak dużym mieście jak Amsterdam...

— Pochodzę z Rotterdamu.

— Aha. Peter, nie zawahałbym się stwierdzić, że w Amsterdamie nie ma równie pięknej i olśniewającej dziewczyny jak panna Meijir. — Obniżył głos:

— W rzeczy samej jest to najbardziej czarująca osobka, jaką kiedykolwiek spotkałem w tym mieście. Mam jednak żonę i dwoje dzieci, a w tych restauracjach zawsze znajdzie się para ciekawskich oczu i uszu. Ile masz lat?

Wydaje mi się, że jesteś w wieku moich córek.



— Proszę wybaczyć pułkownikowi — rzekł Van Effen — to zboczenie zawodowe, na jakie zwykle cierpią szefowie policji.

Dziewczyna uśmiechnęła się do de Graafa i Van Effena z równym skutkiem mógłby mówić do ściany.

— Dwadzieścia siedem — odparła.

— Dwadzieścia siedem — masz tyle samo lat co moje córki. Panna. Cóż, stanowi to zaprzeczenie mojej teorii, że młode pokolenie Holendrów to osoby puste, płaskie bez wyobraźni — spojrzał wymownie na Van Effena, potem zaś obrzucił dziewczynę badawczym spojrzeniem. — Dziwne. Nigdy cię nie spotkałem, a twój głos wydaje mi się znajomy.

Spojrzał na Van Effena i zamyślił się.

— Wydaje mi się, że obiad zjemy w trójkę, ale mimo wszystko Peter, powinniśmy chyba zamienić słówko na osobności.

— Racja, sir. Ale gdy proponował pan spotkanie o siódmej, nic pan o tym nie wspominał.

— Nie rozumiem.

— Pułkowniku — odezwała się dziewczyna.

— Tak, kochanie?

— Naprawdę jestem straszycło, dziwka, wariatka, że nie będę dalej cytować, prawda? A może nie ufa mi pan i dlatego chce pan porozmawiać z Peterem w cztery oczy?

De Graaf zrobił krok naprzód, schwycił dziewczynę za ramię i wyciągnął

dłoń, by zatrzymać przechodzącego kelnera.

— Jonge jenever. Podwójny.

— Już się robi, panie pułkowniku.

De Graaf spojrzał na dziewczynę — być może porównywał ją z An-nemarie w „La Caracha”. Potrząsnął głową, mruknął coś niezrozumiale i usiadł na najbliższym krześle.

— Wiem, sir. To działa wstrząsowo — stwierdził współczująco Van Effen.

— Ze mną było podobnie. Wspaniałe rysy, prawda? Jeśli to sprawi panu choć odrobinę ulgi, to przyznam się, że i ja za pierwszym razem byłem wstrząśnięty.

Umyta, przebrana i bez makijażu jest całkiem niczego sobie.

— Niczego sobie! Ha! — De Graaf odebrał od kelnera swojego jonge jenever i jednym łykiem wypił

połowę zawartości. — To niesamowite przeżycie. W moim wieku nie powinienem narażać się na takie wstrząsy.

Annę? Annemarie? Jak mam się do ciebie zwracać?

— Jak pan chce.

— Annę. Kochanie. Naopowiadałem całą masę głupot na twój temat. To niemożliwe.

— Naturalnie. Ani przez chwilę nie wierzyłam Peterowi, gdy mi o tym opowiadał. Niedokładny przekład, tak by to można określić.

Van Effen machnął ręką.

— Bardzo niedokładny — de Graaf rozsądnie nie kontynuował tematu. —

Dlaczego taka dziewczyna jak ty zajmuje się taką brudną robotą?

— To podobno zaszczytny zawód.

— No tak, naturalnie ale rozumiesz... tego...

— Pułkownik myślał — rzekł Van Effen — że powinnaś być gwiazdą kina lub teatru, rezydującą w salonach Paryża, albo wyjść za mąż za amerykańskiego milionera lub też — jak wolisz — związać się z synem angielskiego para. Jesteś zbyt piękna — to jedyny twój problem. Zgadza się pan ze mną, pułkowniku?

— Nie mógłbym lepiej tego wyrazić.

— No, no — uśmiechnęła się złośliwie. — A co z dziewczynami w Amsterdamie? Zatrudniacie tylko brzydule?

De Graaf po raz pierwszy tego wieczora pozwolił sobie na uśmiech:

— Nie ze mną te sztuczki. Mam na myśli, że obracasz się w środowisku tych Krakerów, ubierasz się jak...

— Jak wariatka? Jak dziwka?

— Właśnie. To nie miejsce dla ciebie. Daj sobie spokój. Zawód policjantki w ogóle do ciebie nie pasuje.

\_jakoś trzeba zarabiać na życie.

\_Ty? Ty w tym celu nie musisz nic robić — to komplement, Annę.

— Lubię swoją pracę.

De Graaf zdawał się jej nie słyszeć. Patrzył niewidzącymi oczyma w przestrzeń. Van Effen rzekł do dziewczyny:

Spójrz na niego. Jest najbardziej podstępny, gdy wpadnie w trans.

— Nie wpadam w trans — odparł chłodno de Graaf. — Jak się nazywasz, bo zapomniałem?

— Meijir.

— Masz rodzinę?

— Owszem. Rodziców, siostry, dwóch braci.

— Czy twoje rodzeństwo też ma takie zainteresowania?

— Nie. Nikt z nich nie pracuje w policji.

— A ojciec?

— Pracuje w firmie budowlanej — uśmiechnęła się.

— Czy on wie, czym się zajmujesz?

Zawahała się:

— No... nie.

— Co to znaczy „no... nie”? Nie wie, prawda? Dlaczego?

— Dlaczego? — przeszła najwyraźniej do obrony. — Jestem już dorosła, nie zależę od niego.

— Czy myślisz, że byłby zadowolony z tego, co robisz? Czy spodobałoby mu się, że jego córeczka skumała się z Krakerami?

— A czy ja robię coś złego?

— Oczywiście, że nie, ale jak myślisz: czy zaaprobowałby twój sposób zarabiania na życie? — oczarowany jej widokiem pułkownik należał do zupełnie innej epoki.

— Nie.

— Stawiasz mnie w ciężkim położeniu. Wcale mi się to nie podoba. Tobie najwyraźniej tak. Twojemu ojcu z pewnością by się to nie podobało. Komu przyznać rację — tobie czy twemu ojcu?

— Trudne pytanie, sir. Nie zna pan mojego ojca. —

Dzieciak z ciebie!

— Co to miało znaczyć? Nie rozumiem.

— Znam twojego ojca. Znam go bardzo dobrze. Przyjaźnimy się od trzydziestu lat.

— Niemożliwe. Skąd mógłby go pan znać? Po raz pierwszy zobaczył go pan bez przebrania przed paroma minutami. Gdyby znał pan ojca, musiałby pan znać także i mnie. — Nie była aktorką: stwierdzenie pułkownika najwyraźniej zbiło ją z tropu. — Chce mnie pan oszukać.

— Annemarie — Van Effen dotknął jej ramienia. — Jeśli pułkownik ] mówi, że zna twojego ojca, to tak na pewno jest. I co dalej, sir?

— Przy najbliższym kontakcie listowym lub telefonicznym przekaz I ode mnie najserdeczniejsze pozdrowienia Dawidowi Josephowi Karl-mannowi Meijrowi.

Jej oczy rozszerzyły się nagle. Otworzyła szeroko usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale dopiero po chwili odezwała się do Van Effena:

— Myślę, że zamówię sobie jone jenever.

De Graaf spojrzał na Van Effena.

— Znam starego Dawida. Razem łowiliśmy ryby i chodziliśmy na po- ]

lowania. Zanim jeszcze ta młoda dama przyszła na świat, wybraliśmy I się razem na podbój Amazonki. Obecnie jest on właścicielem najwięk- ]

szej cementowni w Holandii, przetwórci ropy, firmy przewozowej, za- I kładów elektronicznych i Bóg wie czego jeszcze. „Muszę jakoś zarobić I

na życie". Biedactwo pozostawione na pastwę losu... — przerwał, wi- I dząc nadchodzącego kelnera. Zamówił następny jone jenever i spoj rzał na Annemarie i Van Effena. — Muszę się czegoś napić! Podobno ]

gin jest najlepszy.

Kelner odszedł, a Van Effen rzekł wolno:

— Coś w tym scenariuszu się panu zdecydowanie nie podoba. Dlaczego, sir?

— Z dwóch powodów. Jeśli coś przydarzy się tej młodej damie, to gniew Dawida Meijira będzie straszliwy i nie chciałbym, aby go na ] mnie wyładował.

Po drugie — Annę tak czy inaczej może zostać zdemaskowana. Wie pan, Peter, że niektórzy ludzie mają niekiedy zbyt długie j języki. Bywa, że zdarzy się również czasem jakaś nie zamierzona sytuacja; nie przemyślana kwestia; możliwości jest wiele. To byłaby duża gratka dla biednych Krakerów lub, co gorsza, dla porywacza — zawo- dówca. Jej ojciec zapłaciłby pięć, dziesięć milionów guldenów, żeby tylko odzyskać córkę. Co ty na to, Peter?

Van Effen chciał coś powiedzieć, ale spojrzął tylko na kelnera, który stanął

przy stoliku.

— Poruczniku Van Effen, telefon. Porucznik przeprosił

pułkownika i dziewczynę.

— Co ty na to — spytał de Graaf.

— Nie chcę być nieuprzejma, szefie, ale myślę, że był pan dla mnie zbyt ostry. Pracowałam w podobny sposób jeszcze w Rotterdamie i nic złego mi się nie stało, a sam pan wie, że środowisko przestępcze jest tam o wiele bardziej bezwzględne niż Krakerzy. Myślę, pułkowniku, że wyolbrzymia pan niebezpieczeństwo. Jestem niezła w charakteryzacji, mam broń, a ponadto nikt w Amsterdamie mnie nie zna.

— Ja cię znam.

— To co innego. Peter mówi, że pan zna wszystkich.

— Czy Peter cię zna?

— Znał tylko moje nazwisko. Nie wiedział kim jestem, dopóki pan mu tego nie uświadomił. Nie wyglądał na specjalnie zaskoczonego \_ uśmiechnęła się. — Może w ogóle go to nie zainteresowało...

— Szukasz komplementów, moja droga.

Chciała zaprotestować, ale de Graaf powstrzymał ją gestem.

— W twoim przypadku obojętność jest wykluczona. Porucznik troszczy się o wielu ludzi, tyle że nie okazuje tego na okrągło. To kwestia przeszkolenia.

Wiem, że on nie wiedział, a jednocześnie jestem pewien, że wiedziała Julie.

— A, Julie. Pańska ulubiona dama w Amsterdamie.

— Obecnie w Amsterdamie mam dwie ulubione damy. Nie licząc naturalnie priorytetów.

— Pańska żona i córki, oczywiście.

— Tak jest. Nie odwodź mnie od tematu, to robisz doskonale. Jednak motywem przewodnim jesteś ty. I nie patrz na mnie tak niewinnie.

— Julie wie... — odparła. — Skąd pan o tym wie, sir?

— Bo znam Julie. Jest bardzo sprytną kobietą. Kiedy jest się razem przez dłuższy czas, widzi się rzeczy, których inni nie dostrzegają. Ubrania, błyskotki, drobiazgi osobiste, nawet sposób

wysławiania się. Jeśli ona coś wie, to jestem pewien, że nie zdradziłaby tego nikomu — nawet swojemu bratu. Lubisz jej dom?

— Bardzo. Julie również. Myślę, że ona mnie bardzo lubi. Śpię w sypialni Petera. Opuścił dom przed sześcioma laty. Pytałam ją, dlaczego to zrobił, ale odparła, bym zapytała Petera. Na pewno się nie pokłócili, bo zbyt się kochają.

— Zrobiłaś to?

— Nie — pokręciła głową. — To jego osobista sprawa.

— Na to wygląda. Nie jest to jednak żadną tajemnicą. Peter ożenił się z Marianną. Najwspanialszą dziewczyną Amsterdamu, notabene moją bratanicą.

— Ona jest pańską bratanicą?

— Była — de Graaf posmutniał. — Peter był już wtedy dobrym policjantem, nawet lepszym ode mnie, tylko mu tego nie mów. Udało mu się załatwić gang specjalizujący się w szantażach i porwaniach.

Torturowali swoje ofiary. Było ich czterech. Czterech braci nazywają- 1 cych się Annecys — choć nikt do dziś nie wie, skąd się wzięło to na-B zwisko.

Peter zapudłował dwóch z nich na piętnaście lat. Pozostali dwaj I jakby zapadli się pod ziemię. Wkrótce po procesie któryś z nich 1 — a może i obaj

— podłożyli bombę na łodzi Petera. Zapalnik był podłączony do stacyjki łodzi

— ta sama technika, której użyto przy zamachu na lorda Mountbattena. Kiedy to się stało, Petera nie było na łodzi, j Była tam jednak Marianna wraz z dwójką dzieci.

—Boże! — dziewczyna zacisnęła pięści. — To potworne... straszne, j

—Mniej więcej co trzy miesiące Peter dostaje od braci Annecys i pocztówkę. Nie ma na niej ani jednego słowa. Jest tylko rysunek pętli I i otwartej trumny, przypomnienie, że żyje na kredyt — czarujące, ] prawda?

—To okropne! Musi być przerażony. Kłaść się spać co noc w prze- ]

konaniu, że można się rano nie obudzić... Koszmar.

—Wątpię, aby wyczyny braci Annecys zbyt go przerażały, a o ile wiem, Peter nie cierpi również na bezsenność. W ogóle sprawia wra- j żenie, jakby się niczym nie przejmował. To jednak jest powód, dla ! którego nie może wrócić do Julie. Nie chce, by któryś z braci Annecys ! wrzucił jej bombę przez okno.

—Co za okropny tryb życia. Czy Peter nie mógłby przenieść się do innego miasta, zamieszkać pod

przybrany nazwiskiem?

—Gdybyś znała go lepiej, Anno, nie zadawałabyś takich pytań. Masz czarujący uśmiech — pokaż mi go jeszcze raz...

—Nie rozumiem — uśmiechnęła się zaskoczona.

—Wraca. Nie daj poznać po sobie, że dowiedziałaś się czegoś na i] ten temat. Pokaż, że jesteś dobrą aktorką.

Kiedy Van Effen usiadł przy stoliku, dziewczyna jak dawniej uśmie- 1 chała się do pułkownika. Jednak, gdy spojrzała na pozbawioną wyrazu 1 twarz porucznika, uśmiech znikł z jej ust.

—Chyba zamierzasz zrujnować nam obiad — de Graaf potrząsnął głową. —

A zapowiadał się tak obiecująco.

—Nie o to chodzi — Van Effen pozwolił sobie na uśmiech. — Chyba potrzeba mi czegoś, co by mnie trochę pokrzepiło... Dostałem propozycję pracy i to za znacznie lepsze wynagrodzenie niż w policji. Chodzi o wysadzenie jakiegoś obiektu — nie wiem dokładnie czego. Tamy w Amsterdamie czy Rotterdamie, łodzi, mostu, barki, schronu — czegokolwiek.

Nie wyjaśniono mi tego do końca. Jak panu wiadomo, Vas- . co sprowadził

wczoraj do „Hunter's Horn” dwóch ludzi. Wyglądali na prawowitych, spokojnych obywateli, ale żaden kryminalista nie wyglą- I da zazwyczaj na gangstera. Wymieniliśmy parę uwag, trochę się powy-pytywaliśmy, posprawdzaliśmy się, aż wreszcie doszliśmy do porozumienia.

Zaproponowali mi robotę. Stwierdzili, że muszą porozumieć się z szefami, ale mieli skontaktować się ze mną jeszcze dziś, przekazać mi dokładne informacje dotyczące zadania i zapłaty. Wiadomość miał mi przekazać Vasco. Potem uścisnęliśmy sobie ręce jak gentelmani i rozeszli z uczuciem wzajemnego zaufania i dobrej woli. Wysłałem za nimi dwie grupy, aby śledziły ich po opuszczeniu „Hunter's Horn”. Jak wspomniałem...

— Wzajemne zaufanie? — zauważyła Annemarie.

— W naszym fachu trzeba czasami używać eufemizmów — de Graaf machnął ręką. — Mów dalej, Peter.

— Właśnie dostałem wiadomość od obu grup. Pierwsza grupa donosi, że zgubiła ślad Agnellego i Paderewskiego.

— No, no... Agnelli i Paderewski — słynny przemysłowiec i pianista. Czy to nie oryginalne?

— Właśnie. Zgubili ich w korku ulicznym. To podobno był czysty przypadek. Mówią, że tamci nie mogli wiedzieć, że byli śledzeni. Raport o dwóch pozostałych agentach dał mi wiele do myślenia.

— O agentach? Nie od agentów?

— O agentach. Znaleziono ich w ciemnej uliczce. Ledwie mogli wołać o pomoc. Nie mogli się nawet ruszać, bo obaj mieli połamane rzepki kolanowe.

Ten sposób perswazji, używany na Sycylii i w niektórych stanach USA, ma oznaczać, że niektórzy ludzie nie lubią, jak się ich śledzi. Rzepki kolanowe nie zostały przestrelone — potrzaskano je łomami. Obaj są teraz w szpitalu na chirurgii i żaden z nich nie będzie w stanie chodzić przez wiele następnych miesięcy, a z całą pewnością obaj będą kuleć do końca życia. Fajne, no nie?

To nowość w tym mieście. Jeszcze jeden sposób przeszczepiony z kultury amerykańskiej.

— Kaleki... — Annemarie szepnęła. — Kuleć do końca życia? Jak możesz sobie żartować z takiej tragedii?

— Przepraszam — Van Effen spojrzał na jej pobladłą twarz i podał

szklankę. — Napij się. Ja też się poczęstuję. Żartować? Wcale mi nie jest do śmiechu, zaręczam ci. Tak na marginesie, ten sposób wyłączenia z akcji niewygodnych ludzi był bardzo popularny w Północnej Irlandii jakieś dwa, trzy lata temu.

— No cóż, pierwszych dwóch bez wątpienia zgubiono i to w doskonały sposób. — De Graaf poczęstował się bordeaux i dodał: Wspaniałe. Nasi przyjaciele mają, jak widać, duże doświadczenie tak w unikaniu śledzenia, jak i w czynnym pozbywaniu się wywiado\ców.

O, chateubriand. Podzielę się z tobą, kochanie...

— Wiem, że to mało oryginalne, ale straciłam apetyt...

— Może krety dopiero jutro wyjdą ze swoich nor... — rzekł VĆ Effen. —

Mam nadzieję, że dotrzymają słowa i skontaktują się ze mną.

Annemarie spojrzała na niego niewidzącymi oczyma.

— Chyba oszalałeś? — powiedziała cicho. Była najwyraźniej zaskoczona. — Mogą cię przecież zabić... Po tym co zrobili tym dwóm biedakom. Kto wie, czy nie dowiedzieli się, że to byli gliniarze. Z pewno'

cią tamci mieli przy sobie coś, co mogłoby przywozić na myśl poli jantów — choćby broń. Czy byli uzbrojeni?

Van Effen skinął głową.

— Domyśla się, że jesteś gliną, bo to po spotkaniu z tobą zaczęto ci śledzić.

Chciałbyś popełnić samobójstwo? — schwyciła de Graafa przegub. — Niech mu pan zabroni, sir.



Oni go zabijają.

— Przesadzasz — rzekł Van Effen. — Po pierwsze, nie muszą dom' ślić się, że to ja wysłałem za nimi tajniaków. Skąd wiadomo, że zauważyli, że ktoś ich śledzi od razu po opuszczeniu „Hunter's Horn”. Możliwe, że zdarzyło się o wiele później? Kto zaręczy, że powiązali obecność tych ludzi z moją osobą? To jedno. Po drugie, to że jesteś córką prawniczką pułkownika wcale jeszcze nie znaczy, że możesz mu dawać dobre rady. Rozpaczała policjantka to nie tyle tragiczne, co niesłychany obrazek.

Spojrzała nań z widoczną urazą, a potem odwróciła wzrok, spoglądając na stolik. De Graaf spojrzał na Van Effena, wziął dziewczynę za rękę i pokręcił głową.

— Twoja troska jest rzeczą miłą, ale trochę przesadzasz. Spójrz na mnie. — Spojrzała na niego. Jej oczy wypełniły smutek i przerażenie.

— Van Effen ma rację. Trzeba wypłoszyć lisy z nor, a to jest nasz jedyny sposób. Peter pójdzie na to spotkanie z własnej woli — nigdy nie mógłbym wydać mu takiego rozkazu, ale ma na to moją zgodę. Na Boga, dziewczyno, czy uważasz, że mógłbym użyć go jako żywej przynęty, posłać jak owcę na rzeź, Daniela do jaskini lwa, kozę w paszczę głodnego tygrysa? Słowo daję — istny potok metafor. Zaręczam ci, że gdziekolwiek by to nie było, Peter zawsze będzie otoczony grupą zaufanych, uzbrojonych ludzi niewidocznych dla otoczenia. Peter będzie bezpieczny tak, jak to tylko możliwe.

— Wiem. Jestem głupia. Przepraszam.

— Nie zwracaj uwagi na to, co mówi pułkownik — odparł Van Effen.

— Jakby co do czego przyszło, to i tak ochrona zrobiłaby ze mnie sito.

Pułkownikowi, niech im pan powie, że będę w przebraniu takim samym jak wczoraj. Niech skoncentrują swoją uwagę na twarzy z czarną rękawiczką na dłoni. To będę ja.

Do stolika podszedł nagle kelner.

— Przepraszam, panie poruczniku, jeszcze jeden telefon.

Van Effen wrócił po dwóch minutach.

i\_ Nic specjalnego. Wiadomość od FFF. Tym razem bardzo dziwna i bez wątpienia mająca nas do reszty dezorientować. Mówią, że być może kolejna katastrofa wydarzy się w Alkmaar na kanale North Holland jutro o dziewiątej rano, ale bardzo możliwe, że nie zdarzy się tam nic godnego uwagi.

Jedyną obietnicą, to wzmożoną aktywność w tym rejonie.

— To wszystko? — spytał de Graaf.

— Wszystko. Wygląda mi to na kompletnie pozbawioną sensu i bezcelową działalność. Co też oni,

do diabła, kombinują?

— To wcale nie jest bezcelowe działanie. Chcą właśnie, żebyśmy teraz zaczęli głowić się nad tym, o co im chodzi. Chcą nas złamać, pomieszać nam szyki, dezorientować i — jak mi się wydaje — nieźle im to idzie. A propos, sir. Jak się udała wyprawa do Texel?

— Całkowita strata czasu. Ludzie, którzy mi towarzyszyli, stanowili, jak to dobrze określiłeś, kupę starych bab.

— Nie zamierza pan zatem być jutro o dziewiątej w Alkmaar?

— Jutro o dziewiątej zamierzam być w Amsterdamie. Co niby miałbym robić w Alkmaar? Łazić po krzakach i wypytywać każdego kogo nie znam a kto pałęta się po okolicy?

— Faktycznie niezbyt sensowne zajęcie. Jeszcze jedno: czy ma pan kogoś znajomego na uniwersytecie, na wydziale języków obcych?

— Powiniennem teraz wyglądać na zaskoczonego i zapytać: „A po co pytasz?” — wyjaśnił dziewczynie de Graaf — A dlaczego pytasz?

— Wczoraj w biurze „Telegrafu” przesłuchiwałem taśmy FFF. Chodzi mi o tę dziewczynę. Na pewno nie pochodzi z Holandii.

— To ciekawe. Bardzo ciekawe. A więc znów wracamy do tezy o cu-dzoiemcach? Chodzi ci o wykrycie związków językowych z ich pochodzeniem?

— Właśnie. Osobiście, co prawda, mówię paroma dziwnymi językami, ale nie jestem specjalistą w tej dziedzinie. Akcenty regionalne, dialekty, wymowa, to nie moja działka.

— I pomyślałeś sobie, że ktoś z uniwersytetu mógłby się tym zająć?

— To jest pewien trop, a podobno mieliśmy sprawdzać wszystkie. Taśmy są w moim biurze.

— Zrobią, co będą mógł. Chyba możesz znowu wstać, Peter. Właś nie idzie kelner.

Van Effen wstał, porozmawiał chwilę z kelnerem i wyszedł. Kiedy wrócił

oznajmił bez wstępów:

— Odezwała się opozycja, kimkolwiek by nie była. Dzwonili do mojego hotelu — „Trianon”. Zostawili wiadomość w recepcji.

— Od kiedy mieszkasz w „Trianon” — spytał de Graaf. — Wymówili ci mieszkanie czy co?

— W książce meldunkowej moje nazwisko widnieje od dwóch dni.

Wpisałem się do niej dziś o piątej wieczorem.

— No, no. Fałszowanie ksiąg meldunkowych to przestępstwo.

— Nie mam czasu, by dać się teraz zamknąć. Romero Agnelli, czy ktoś z jego ludzi, obdzwonił na pewno większość hoteli, aż wreszcie odnalazł mnie w

„Trianon”. Mają swojego człowieka — siedzi w starym fiacie zaparkowanym w ciemnej uliczce. Załatwiłem agenta, żeby go śledził. No cóż, nie mogę ich zawieść i powinienem się tam wieczorem zjawić.

— Prowadzisz burzliwe życie — odparł de Graaf. — Jak przypuszczam, nie spędzisz nocy w hotelu?

— Dobrze pan przypuszcza. Zaparkuję wóz na tyłach hotelu, skąd policyjna taksówka zawiezie mnie przed główne wejście. Potem wyjdę tylnym wyjściem i pojedę spokojnie do domu. To uciążliwe, ale można z tym żyć.

— To się nazywa popularność — mruknął komisarz. — Twój znajomy kelner tu idzie.

Van Effen rozejrzał się, westchnął i wstał, pogadał znowu z kelnerem i raz jeszcze ruszył w stronę budki telefonicznej.

— Znowu nasi znajomi — wyjaśnił po powrocie. — O, brandy. Dziękuję, sir. Sierżant Westenbrink — Vasco. Przesłał mi wiadomość przez recepcjonistę. Agnelli skontaktował się z nim. Bardzo chce spotkać się jutro o jedenastej rano w tym samym miejscu co dziś. To może oznaczać tylko jedno z dwojga.

— Wiem, co to znaczy — stwierdził de Graaf — albo wiedzą, że jesteś z policji, albo nie wiedzą. Jeśli od razu się zorientowali, że są śledzeni, to chcą się z tobą spotkać, by dowiedzieć się, ile ty wiesz i jak najlepiej usunąć zaistniałe przez to niebezpieczeństwo. Mogą naturalnie w ogóle cię nie podejrzewać i spotkanie upłynie w rzeczowej atmosferze wzajemnego zrozumienia i uzgadniania zadań na przyszłość. Jeśli cię podejrzewają i przypuszczają, że możesz ich podejrzewać, będą uważni i czujni, bo będą wiedzieć, że w takiej sytuacji nie przyszedłbyś

do „Hunter's Horn” bez policyjnej obstawy, Gdyby jednak wybrali inne miejsce, byłoby z góry wiadome, że domyślili się wszystkiego — de Graaf westchnął. — To bardzo pogmatwana i skomplikowana sprawa. Oni naprawdę są specjalistami w dziedzinie wzbudzania wątpliwości i robienia zamieszania.

Powinniśmy brać u nich lekcje. Albo oni u nas. jeszcze brandy, Peter? Jutro chyba czeka nas trudny dzień. Czy masz jakieś plany związane z tą młodą damą?

— W zasadzie nie, ale postaram się coś wymyśleć.

— Uhm — zaszepczał de Graaf. — Często widywano cię razem z sierżantem Westenbrinkiem, prawda Annę?

— Tak, oczywiście — uśmiechnęła się. — Zżyliśmy się ze sobą. Zawsze zwracam się do niego per

Vasco, a nie — sierżancie... Uznaliśmy, że najbezpieczniej będzie zawrzeć znajomość otwarcie.

— Wystarczy. Możesz chodzić tam kiedy chcesz?

— Oczywiście, podstawą ich bytu jest życie nieskrępowane żadnymi przepisami czy godzinami, pełen luz i swoboda. Będąc wśród nich jest się wolnym jak ptak.

— A więc nic by się nie stało, gdybyś nie pojawiła się tam dzień czy dwa?

Dziewczyna zamyśliła się.

— Nie. Chyba wiem, o co panu chodzi.

— Jesteś inteligentna. Gdybyś popracowała jeszcze trochę dłużej w policji, miałabyś równie podejrzliwy, złośliwy i pokręcony umysł co porucznik Van Effen. Mam zresztą nadzieję, że zachowa go zawsze.

Annemarie pokręciła głową, po czym spojrzała na Van Effena.

— Pułkownik ma rację — odparł prawie natychmiast.

— Nie jestem pewna. Wierzę, że chce dobrze, ale nie wiem, czy ma rację.

Jeśli stroicie sobie ze mnie żarty, to nie wydaje mi się, żeby to było uczciwe.

— Nie żartujemy z ciebie, Annemarie. Złośliwość jest zabawna, jeśli nie przekracza określonych granic. W tym przypadku to kwestia powiązań: istnieje realna szansa, pół na pół, że Agnelli wie o mnie prawdę. W takim przypadku Vasco jest podejrzanym numer jeden, bo to on nas skontaktował.

Ty zaś stajesz się podejrzana, bo jesteś jego znajomą. To co pułkownik sugeruje, to abyś odczekała dzień czy dwa, aż się sprawy wyjaśnią.

Możliwość, abyś dostała się w ich ręce, jest niemiła tak dla nuiie, jak i dla niego. Wiemy, że są bezwzględni i zadawanie bólu nie robi na nich wrażenia, a może nawet sprawia im przyjemność. Czy chciałabyś być porwana i torturowana przez tych ludzi? Nie chcę cię straszyć, Annemarie, po prostu przewiduję najgorsze, ale wcale nie niemożliwe.

— Wystarczy — przerwała mu cicho. — Nie należę do szczególnie odważnych.

— Gdyby dowiedzieli się, kto wpadł w ich ręce, byłiby wniebowzięci.

Mieliby jeszcze jeden atut do szantażu, a my bylibyśmy postawieni w sytuacji bez wyjścia.

— Sam nie wyjaśniłbym tego lepiej — przyznał de Graaf.

— Jestem tchórzem. Zrobię, co mi każecie. — Uśmiechnęła się słabiutko.

— Z naszej strony będzie to tylko łagodna sugestia — dorzucił de Graaf.

— No, to sugerujcie. — Uśmiechnęła się ponownie. — Gdzie mam zostać?

— U Julie, oczywiście — odparł Van Effen. — Będzie cię pilnował

uzbrojony strażnik. Zanim jednak udasz się do swojej kryjówki, chciałbym, abyś zrobiła dla mnie jeszcze jeden drobiazg.

— Oczywiście.

— Chcę, żebyś jutro spotkała się z Vasco. Powiedz mu, że znikniesz na parę dni, opowiedz mu to, co ci powiedzieliśmy, i że także ma zniknąć. Wiem, gdzie będzie i jak mogę się z nim skontaktować.

— Zrobię to — milczała przez chwilę. — Zawsze, gdy zlecałeś mi jakieś zadanie, odpowiadałam zwykle — oczywiście — ale tym razem boję się.

Widzisz, co ze mną zrobiłeś: jestem kłębkim nerwów.

— To nieźle się trzymasz w garści. Możesz to tak załatwić, by Krake-rzy nie zwrócili na ten fakt uwagi?

— Tak.

— Nic ci się nie stanie. Będiesz przez cały czas pod nadzorem. Co do mnie myślę, że, idąc jutro na spotkanie z panem Agnelli, wezmę ze sobą trzeci pistolet. Oni już wiedzą...

— Że masz zawsze przy sobie dwa pistolety — dodał de Graaf. — W

związku z czym są uwarunkowani, że się tak wyrażę przeciwko pomysłowi, że możesz mieć i trzeci. To też jest pewnie w twojej książce.

— Oczywiście, że nie. To byłoby zbędne i darmowe szkolenie kryminalistów. Nie ma sprawy, Annemarie. Będę zawsze nie dalej jak pięć metrów od ciebie.

— Miło mi to słyszeć. Jednak wciąż myślę o tym, co mi powiedziałeś. Mogą mnie porwać gdziekolwiek, na przykład w drodze do domu Julie.

— Brak zaufania. Zawiozę cię tam swoją limuzyną.

— Limuzyną! — parsknął de Graaf. — To się dopiero nazywa mega-lomania! Mam nadzieję, że nie zapomniałaś wziąć ze sobą dmuchanej poduszki?

\_ Nie rozumiem, sir.

\_ Zrozumiesz.

Wyszli z restauracji i przeszli przez ulicę. Dotarli do wozu pułkownika zaparkowanego, jak przystało na wóz policyjny, w miejscu, gdzie parkowanie było zabronione. De Graaf ucałował dziewczynę serdecznie, w sposób mający pewnie odzwierciedlać stosunek ojca do córki i życzywszy jej dobrej nocy wsiadł do swojego błyszczącego mercedesa. Zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Pułkownik de Graaf — co było do przewidzenia — miał bowiem swojego szofera.

— Teraz rozumiem, co pułkownik miał na myśli, mówiąc o dmuchanej poduszce — stwierdziła Annemarie.

— Drobną niewygodą — rzekł Van Effen. — Naprawię to kiedyś. To rozkaz pułkownika.

— Pułkownik lubi wygody, co?

— Nie da się ukryć: to zresztą widać po jego budowie.

— Jest bardzo miły, prawda? Miły, uprzejmy i pełen dobroci.

— To nietrudne, jeśli obiektem tych uczuć jest tak piękna osóbka jak ty.

— Zabrzmiało to prawie jak komplement.

— Jakoś tak wyszło.

Milczała przez chwilę, po czym dodała:

— Ale poza tym jest snobem, prawda?

— W interesie dyscypliny muszę przypomnieć, że nie należy dyskutować, a już w żadnym wypadku krytykować komisarza policji.

— Żyjemy w wolnym kraju, prawda? A to nie jest krytykanctwo tylko rzeczowe spostrzeżenie.

— No... cóż... Mylisz się. Arthur nie jest snobem, podobnie zresztą jak nie jest wcieleniem dobroci.

— Arthur?

— To imię naszego szefa. Nigdy go nie używa, nie wiem zresztą dlaczego.

Oczywiście to miły i uprzejmy człowiek. Jest także bezwzględny, twardy i bezlitosny i dlatego jest komisarzem policji. Nie jest snobem. Snob to ktoś, kto pozuje na kogoś, kim nie jest. Twój szef pochodzi ze starej, bogatej, arystokratycznej rodziny, dlatego też nigdy nie sprawdzam przy nim wysokości rachunku w restauracji. On urodził się ze świadomością swej odmienności, której zresztą nigdy nie kwestionował. Jest przekonany, że wprost promieniuje duchem demokracji.

— Twardziel czy nie, snob czy nie, i tak go lubię — oznajmiła tonem kończącym dyskusję.

— Arthur, jak sama zauważyłaś, ma podejście do kobiet. Zwłaszcza gdy jest, tak jak dzisiaj, po

służbie.

— A ty zawsze jesteś na służbie? Czy ja zawsze jestem policjantką?

— Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. Ale pomyślę.

— Jesteś zbyt uprzejmy — umilkła i nie odezwała się, dopóki nie dojechali na miejsce. Mówił jedynie Van Effen: skontaktował się z biurem i poprosił o przysłanie uzbrojonego strażnika do domu swojej siostry.

Nietrudno było się domyślić, dlaczego de Graaf uważał Julie Van Effen za ulubioną damę Amsterdamu. Miała ciemne włosy, lśniące jak skrzydła kruk, delikatną twarz i słowiańskie, mocno podkreślone kości policzkowe, które dodawały jej uroku, ale de Graafa oczarowały

— podobnie jak wielu innych — jej ciemne, stale rozbawione oczy i uśmiechnięte usta. Z natury była miła i wesoła, to znaczy poza wypadkami natknięcia się na okrucieństwo, niesprawiedliwość, głupotę czy inne takie rzeczy, których nie pochwalała. Wtedy stawała się naprawdę nieprzyjemna. Zwykle zdawała się jednak kochać cały świat, z wyjątkiem tych, którzy na to — jej zdaniem — nie zasługiwali. Była jedną z tych niewielu osób, które promieniowały szczęściem i radością życia, co zresztą skutecznie maskowało jej ogromną inteligencję. Ministrowie sprawiedliwości zatrudniają głupie sekretarki, a Julie była długoletnią, osobistą, zaufaną i kompetentną sekretarką ministra.

Była także bardzo gościnna i ledwie weszli zaproponowała im kolację.

Nietrudno było domyślić się, że była także wspaniałą kucharką. Zaoferowała im kanapki i przestała nalegać dopiero, gdy zdali relację z menu w „Dikker en Thijs”.

— Policja zawsze wiedziała jak o sobie dbać — skwitowała wiadomość.

— Dla biednej pracującej kobiety nic tylko parówka, marchew i brukiew.

— Ta konkretna, pracująca kobieta żywi się w ministerialnej stołówce, o której krążą legendy po całym mieście — odpalił Van Effen

— a do której biednego policjanta nawet nie wpuszczają. Przyznaję, że trzeba mieć silną wolę w tym rajku dla obzartuchów, ale ona od dziecka była uparta.

Julie zwichrzyła mu włosy i wyszła do kuchni, żeby zaparzyć kawę i przynieść butelkę czegoś mocniejszego. Annemarie patrzyła na jej zgrabną sylwetkę i zwróciła się do Van Effena z uśmiechem:

— Mogłaby cię owinać wokół swojego palca, gdyby tylko zechciała, prawda?

— Gdyby tylko zechciała — odparł Van Effen radośnie. — I dobrze o tym wie. Muszę ci coś pokazać, w razie gdybyś została w domu sama.

Podszedł do jednego z wiszących na ścianie obrazów i odsunął go na bok.

Zobaczyła czerwony guzik.

— To przycisk alarmowy. Jeśli dojdiesz do przekonania, że grozi ci jakieś niebezpieczeństwo, naciśnij go. Wóz patrolowy zjawi się w ciągu pięciu minut.

— Każda gospodyni w Amsterdamie powinna mieć taki przycisk.

— W Amsterdamie jest sto, a może dwieście tysięcy gospodyń. To byłby trochę zbyt kosztowny luksus, prawda?

— Oczywiście — spojrzała na niego, nie uśmiechając się jednak. — Byłam z wami kilkanaście razy i tylko ślepy by nie zauważył, że bardzo kochasz swoją młodszą siostrę.

— No, no. To aż tak widać?

— Jeszcze nie skończyłam. Nie zainstalowałbyś tego przycisku ot tak sobie.

Ona jest w niebezpieczeństwie, prawda?

— W niebezpieczeństwie? — złapał ją za ramię tak, że aż krzyknęła z bólu.

— Przepraszam — rozluźnił uścisk, ale nie puścił ręki. — Skąd wiesz?

— A więc to prawda. Ona jest w niebezpieczeństwie...

— Kto ci powiedział? Julie?

— Nie.

— Pułkownik?

— Tak. Dziś wieczorem — spojrzała mu w oczy. — Nie gniewasz się chyba?

— Nie, nie jestem zły. Martwię się tylko. Nie jest bezpiecznie przebywać w moim towarzystwie.

— Czy Julie wie o zagrożeniu?

— Oczywiście.

— Czy wie o pocztówkach?

Spojrzał na nią w zamyśleniu, nie zmieniając wyrazu twarzy pomimo próby, która nie mogła się powieść, fizycznego potrząśnięcia jego osobą. Próba nie miała prawa się udać, jako że był zdecydowanie masywniej szy niż dziewczyna.

— Czy ona wie? — powtórzyła pytanie.

— Tak. Trudno, żeby nie wiedziała, bo pocztówki przychodzą na ten adres.



To dodatkowy sposób, jaki sobie obmyślili, żeby bardziej odczuł całą sprawę.

— Boże — to straszne. Jak ona może być tak... tak... radosna? — położyła mu głowę na ramieniu, jakby nagle uczuła zmęczenie. — Jak?

— Stare powiedzenie mówi: „Lepiej się śmiać niż płakać”. Nie będziesz chyba płakać, co?

— Nie będę.

— Przysłowie miało tu ułatwione zadanie: Julie zawsze była wesoła. Teraz po prostu musi trochę nad tą radością popracować.

Julie weszła z tacą do pokoju, przystanęła jak wmurowana i odchrząknęła:

— Czy to nie za wcześnie...

Postawiła tacę.

— Mam nadzieję, że to przejściowa głuchota. — Pochyliła się zaabsorbowana czymś, chwyciła Annemarie za rękę i odwróciła jej twarz ku sobie. —

Płaczesz — wyjęła z kieszonki fartuszką koronkową chusteczkę. — Co ci zrobił ten nieokrzesany gbur?

— Nic — odrzekł łagodnie Van Effen. — Ona już wie. O Mariannie, dzieciach, tobie, mnie, wie nawet o Annecys.

— Przypuszczam, że to pułkownik?

— Owszem. To jego sprawka.

— Wiem, Annemarie — odparła Julie. — W dawce jednorazowej to szok, na szczęście ja dowiadywałam się stopniowo. Mam na to złoty środek. Chodź.

Dam ci filizankę dobrej, zakrapianej koniakiem kawy.

— Jesteś bardzo miła. Przepraszam na chwilę — szybko wyszła z pokoju.

— No i co? — w głosie Julie brzmiała pytająca nuta. — Nie widzisz, co zrobiłeś?

— Ja? — Van Effen był autentycznie zaskoczony. — Co ja znowu zrobiłem?

— Nie chodzi o to, co zrobiłeś. Chodzi o to, czego nie zrobiłeś — położyła mu ręce na ramionach. — Chodzi o to, czego nie dostrzegasz.

— Rozumiem, to znaczy, nie rozumiem — odparł ostrożnie. — Czego mianowicie nie zauważam?

— Ty błźnie — Julie potrząsnęła głową — przecież to widać na kilometr.

Ta dziewczyna jest w tobie zakochana do szaleństwa.

— Co takiego? Chyba nie czujesz się najlepiej!

— Mój ukochany brat, taki inteligentny, a taki osioł. Proszę bardzo, nie musisz mi wierzyć: poproś ją, by za ciebie wyszła. Możesz dostać od pułkownika specjalne zezwolenie i o północy będzie ślub.

— To się nazywa pewność siebie! Nie przesadzasz czasem? — Van Effen był wyraźnie wstrząśnięty.

— Na pewno nie. Mam sto procent pewności.

,\_ Ale ona prawie mnie nie zna.

\_ Zdaję sobie z tego sprawę, w końcu widzieliście się ze sobą wszy stkiego ze dwadzieścia, trzydzieści razy. — Pokiwała głową: — Najlepszy oficer śledczy, autor książek z dziedziny psychologii, człowiek, który jednym spojrzeniem potrafi przeniknąć w głąb ludzkiej duszy, doskonały teoretyk i dupa nie praktyk.

\_ Łatwo ci mówić. Swatka się znalazła! Sześć oświadczyń, o których ja wiem i pewnie ze dwadzieścia, o których nie wiem. Wszyscy dostali kosza.

Faktycznie, to się nazywa doświadczenie.

— Nie zmieniaj tematu — uśmiechnęła się słodziutko. — Tak, rzeczywiście mam w tej materii doświadczenie. Nie kochałam żadnego z nich, a ona cię kocha. Choć za diabła nie wiem dlaczego.

— Muszę się napić — Van Effen sięgnął w stronę barku.

— Właśnie przyniosłam ci kawę ze sznapssem.

— Potrzebuję czystego sznapsa, potem może być rozcieńczony kawą.

— A może potrzebny ci jest psychiatra? Dlaczego ostatnie wieści tak nią wstrząsnęły?

— Ma miękkie serce...

— A ty masz rozmiękczenie mózgu, będzie z was doskonała para. — Ujęła jego głowę w dłonie i przez dłuższą chwilę patrzyła mu prosto w oczy. —

Detektywie Sokole Oko. Potrzebne są panu okulary. Nie zauważyłeś czegoś oczywistego i to z tuzin razy.

— Czego mianowicie?

— Kochany, nie patrz tak na mnie. Powinieneś raczej powiedzieć: „Nie ożeniłbym się z nią, gdyby nawet była ostatnią dziewczyną na świecie”. To normalna reakcja — uśmiechnęła się. — Ale ty nie jesteś zbyt normalny.

— Przestań wreszcie!

— To już coś — Usiadła i zaczęła pić kawę. — Umysłowa krótkowzroczność. To chyba nieuleczalne.

— Nie byłbym taki pewien. Jak cię znam, to coś wymyślisz. — Van Effen zdołał się już otrząsnąć i znów był chłodny, spokojny i opanowany. — Muszę przyznać, że jesteś wspaniałą lekarką. Dziś, na przykład, wyleczyłaś mnie ze wszystkich zamiarów, jakie mogłem kiedykolwiek mieć wobec tej młodej damy. Być może o to właśnie ci chodziło. Nie Potrzebuję, a raczej nie chcę pomocy, porady czy wsparcia z twojej strony, siostrzyczko, i to nie dlatego, że cię o nie nie prosiłem, ale dlatego, że doskonale potrafię sam ułożyć sobie życie. Sprawdzę, czy strażnik już się zjawił.

Wyszedł, zostawiając Julie tępo patrzącą na drzwi, które za sobą zatrzasnął.

Siedziała urażona i zaskoczona, patrząc w to samo miejsce z wyrazem bólu i zakłopotania na twarzy, kiedy Annemarie weszła do pokoju. Dziewczyna zatrzymała się, spojrzała na jej nieszczęśliwą twarz i szybko podeszła do krzesła, na którym siedziała Julie. Przyklękła koło niej i spytała:

— Co się stało, Julie? Coś złego?

— Nic takiego — odparła Julie, odwracając wzrok od drzwi.

— Nic takiego? O Boże, najpierw ja, teraz ty — wyglądasz na załamaną. —

Annemarie objęła ją. — Nic takiego! Julie, przestań traktować mnie jak kretynkę!

— To ja jestem kretynką. Właśnie popełniłam błąd.

— Ty? Nie wierzę. Jaki błąd?

— Zapomniałam, że Peter jest nie tylko moim bratem. Jest policjantem i następcą pułkownika. Nie wiedziałaś o tym, prawda? — chlipnęła. — De Graaf powinien w tym roku odejść na emeryturę, ale nie odejdzie, bo Peter i tak pełni w praktyce jego obowiązki.

— Mniejsza o pułkownika. Gdzie jest ten drań?

Julie próbowała się uśmiechnąć.

— Po raz drugi nazwany został dziś draniem; przez dwie różne dziewczyny.

Założę się, że to mu się jeszcze nigdy dotąd nie przytrafiło. Wyszedł przed chwilą.

— Wyszedł? Na noc?

— Nie. Poszedł sprawdzić, czy strażnik już się zjawił — Julie prawie udało się uśmiechnąć. — Ma wyjątkowy talent w doprowadzaniu nas do płaczu, ale na pewno martwi się o ciebie.

— Dziwny sposób okazywania uczucia. Co on ci zrobił, Julie? Co ci powiedział?

— Nic mi nie zrobił. Co powiedział? Zapomniałam się, a on sprowadził

mnie na ziemię — ot i to wszystko.

— Czy myślisz, że to mi wystarczy?

— Nie, ale zostawmy to jednak na razie, dobrze?

Zanim Van Effen wrócił, zdążyły wypić kawę. Peter nie podjął przerwane go tematu.

— Strażnik już jest na miejscu — oznajmił — uzbrojony po zęby. Muszę już iść.

— Ale nie wypileś kawy.

— Innym razem. Obowiązki wzywają. Julie, proszę, musisz zrobić coś dla mnie, czy...

— Muszę? — uśmiechnęła się. — To rozkaz czy prośba?

— A co to za różnica? — Van Effen zdenerwował się, co było rzadko wą. Zrób to, o co proszę, albo zabieram Annemarie ze sobą...

— Słowo daję; co za szantaż! A jeśli ona będzie chciała tu zostać albo poproszę ją, aby została?

— Rotterdam. Jutro rano jako eks-policjantka. Wiesz, jaka jest kara za odmowę wykonania rozkazu? Przepraszam, Annemarie, to nie jest skierowane przeciw tobie. Julie nie jest dziś w najlepszej formie. Nie patrz tak na mnie.

Jeśli jeszcze nie dotarło do ciebie, że mówię poważnie, to jesteś głupsza niż myślałem, siostrzyczko. Od jutra dostaniesz grypy czy czegoś takiego.

Annemarie jest w takim samym niebezpieczeństwie jak ty i ja. Chcę, abyście jutro byli razem. Annemarie, pamiętaj: dziewiąta piętnaście. — Podeszedł do drzwi, otworzył je, spojrzął na dwie zasmucone twarze i pokręcił głową: —

Wyjście odważnego porucznika w ciemną i ponurą noc. — I cicho zamknął za sobą drzwi.

## **Rozdział czwarty**

Wysoki, młody mężczyzna w czarnym, ociekającym wodą płaszczu przeciwdeszczowym zazwyczaj nie zasługuje na większą uwagę w czasie ulewy. Obrazu dopełniały czarne, zlepione deszczem włosy i źle przycięty, czarny wąsik. Wcale nie miał on tak wyglądać: rankiem mężczyzna ze zbytniego pośpiechu przykleił go ciut krzywo, powodując ów nie zamierzony efekt.

Człowiek ten stał prawie na środku placu, gdy zobaczył idącą w jego kierunku Annemarie, pomalowaną w zwykłe barwy wojenne. Dziewczyna spojrzała na ruszającego w jej kierunku

człowieka.

— Annemarie, prawda?

Jej oczy rozszerzyły się i szybko rozejrzała się wokoło. Mimo deszczu kręciło się sporo ludzi, a o parę metrów dalej znajdował się stragan z warzywami.

Spojrzała na młodego mężczyznę, który uśmiechał się do niej radośnie.

— Proszę się nie obawiać, panienko. To kiepska sceneria na porwanie. Pani musi być Annemarie, bo nie może być drugiej dziewczyny odpowiadającej rysopisowi, jaki otrzymałem. Jestem detektyw Rudolf Engel. — Wyjął z kieszeni odznakę i pokazał jej. — Mogłem ją oczywiście ukraść. Porucznik Van Effen chce się z panią spotkać. Czeka w samochodzie.

— Dlaczego miałabym panu uwierzyć? Dlaczego wysłał tu pana? Wiedział, gdzie mnie znaleźć. Mógł się tu zjawić osobiście. Jaki ma samochód?

— Czarnego peugeota.

— Nietrudno się tego dowiedzieć, jeśli się chce, prawda?

— Prawda — młodzian był cierpliwy. — Gdyby pracowała pani pięć lat pod jego zwierzchnictwem, też by pani sporo wiedziała o szefie. Porucznik powiedział mi: „Panna Meijir jest bardzo podejrzliwa”, kazał wspomnieć o Amazonce, ojcu, pułkowniku i o czymś tchórzostwie. Nie wiem, co to miało oznaczać.

— Ja wiem — wzięła go za rękę. — Przepraszam.

Van Effen, siedzący za kierownicą swego wozu, był tego dnia przebrany za Żyda, a jego twarz zdobiła olbrzymia, gęsta i czarna broda. Odwrócił się, gdy Annemarie otworzyła drzwiczki wozu i zajrzała do środka.

. Dzień dobry, kochanie!

— Dzień jak dzień, a czy dobry to diabli wiedzą. Co tu robisz?

— Chronię się przed deszczem; leje jak z cebra. Chyba to zauważyłaś.

Wsiadaj.

Usiadła koło niego i uważnie mu się przyjrzała.

— Powiedziałeś pięć metrów. Przysięgłeś, że będziesz nie dalej niż o pięć metrów ode mnie. Ani na chwilę miałeś mnie nie spuszczać z oka! Tak powiedziałeś! Gdzie byłeś? Przysięgłeś mnie pilnować. Ładna mi obietnica.

— Obiecanki-cacanki, znasz to? Przez cały czas mój agent miał cię na oku.

Nie mów mi, że nie widziałaś raczej podstarzałego gentlemana, który kręcił się wokół ciebie. Lekko przygarbiony, z siwą brodą. Miał szarą kurtkę i białą laskę. On był twoim cieniem.

— Widziałam go. Ten typ nie byłby w stanie obronić kota.

— Mylisz się. Ten typ to młody, dobry karateka i wyśmienity strzelec.

— Brody — mruknęła — brody, wąsy, garby, tylko to wam w głowie —

przebranie. Dziękuję za agenta, ale i tak nie dotrzymałeś słowa.

— Musiałem tak zrobić. Byłem o jakieś sto metrów od miejsca, w którym mieliśmy się spotkać, gdy zauważyłem idącego za tobą krok w krok niejakiego Paderewskiego. To chytry, inteligentny i bystry osobnik, który nie darzy mnie zbyt dużą sympatią i przyznaję, iż nie jest to najszcześniejsza dla mnie kombinacja. Mógłby mnie rozpoznać, gdybym szedł tuż za tobą. Dobrze, że wziąłem ze sobą dwóch detektywów. Zdecydowałem, że lepiej będzie przyprowadzić cię tu dyskretnie niż ryzykować możliwość dekonspiracji. Stąd też to zaproszenie do samochodu.

— Czy coś jeszcze, sir? — w uchylonym oknie pojawiła się głowa Engela.

— Nie. Dziękuję. Miej na oku naszego przyjaciela i postaraj się go nie zgubić.

— Nie ma obawy. Chyba nie ma w okolicy dwóch takich samych tysiąch i zezowatych typków o szpakowatej brodzie.

— Juliusz Cezar? — spytała Annemarie.

— A któżby inny? Nie mówiłem Rudolfowi jak się nazywa i tak by mi nie uwierzył. Masz go śledzić, ale z daleka. Tak, by zawsze być wśród ludzi. Wolę stracić jego niż ciebie. Nie zapominaj, co stało się wczoraj z twoimi kolegami.

— Nie zapomnę, sir. — Po wyrazie twarzy można było stwierdzić, że wziął

to sobie do serca. Odwrócił się i odszedł w deszcz.

— Zmokłaś? — spytał Van Effen zapuszczając silnik.

— Troszkę — uśmiechnęła się. — Czy powiedziałeś mu, że jestem tchórzem?

— Nie powiedziałem. Powiedziałem tylko, że ktoś jest tchórzem.

— I tak jestem tchórzem. Na przykład: nie cierpię jazdy twoim wozem.

— Naprawa siedzeń zajmuje trochę czasu. A jeszcze...

— Proszę cię. Nie o to mi chodziło. Przestępcy znają przecież ten wóz, wielokrotnie go widzieli.

— E, tam, takich wozów w Amsterdamie jest z pół tysiąca.

— I te pół tysiąca ma te same numery rejestracyjne? — dodała słodko.

— A co to ma do rzeczy? Zapamiętałaś go?

— Mniej więcej: Rotterdam 999 i coś. Jesteśmy szkoleni do zapamiętywania takich rzeczy, pamiętasz?

— Ale nie zauważyłaś, że numery są montowane na zaczepy, a nie na śruby.

Dziś ma paryskie numery, a na kufrze duże F, potwierdzające jego pochodzenie. Mam dostęp do niezliczonej ilości tablic rejestracyjnych.

Obruszyła się, ale nic nie powiedziała.

— Powinno cię zaciekawić coś innego, na przykład ostatnie doniesienia o wyczynach FFF.

— No i?

— Nic się nie działo. Nie wysadzili tamy na kanale North Holland, natomiast skontaktowali się z prasą i policją jakieś dziesięć minut temu.

Stwierdzili, że dotrzymali słowa, bo nie obiecywali zniszczenia tamy tylko wzmożoną aktywność w tym rejonie o godzinie dziewiątej rano. A zwiększona to ona była bez dwóch zdań: wojsko, policja, drużyny ratownicze i ekipy naprawcze, że nie wspomnę o helikopterach wojska i prasy. Dodali jeszcze, że na pamiątkę zrobili trochę zdjęć z powietrza.

— Wierzysz im?

— A dlaczego by nie?

— Ale zdjęcia z powietrza? Jak mieliby to zrobić?

— To proste. Rano kręciło się tam wiele helikopterów. Jeden więcej nie miał prawa zwrócić uwagi innych, zwłaszcza jeśli miał na burtach jakieś oficjalne oznaczenia.

\_ Ale po co ta bezsensowna demonstracja?

\_ Wcale nie bezsensowna: wskazali nam wyraźnie, gdybyśmy sami nie doszli do właściwych wniosków. W przeciągu dwudziestu czterech godzin cały kraj ogarnie kompletne przygnębienie, frustracja i stan ogólnej bezsilności. Tak zwana góra, czyli rząd, policja, wojsko i te służby, które mają czuwać nad bezpieczeństwem tam, śluz i wałów powodziowych, okazały się kompletnie bezsilne w starciu z FFF, które stwierdziło, że wystarczy, że będą siedzieć w domu, wbijać szpilkę w mapę, dzwonić do gazety i nie ruszać się z miejsca, a i tak wojsko, policja, grupy ratunkowe i naprawcze będą czekać w pogotowiu na miejscu domniemanej akcji. Sytuacja ta, jak powiedzieli,

jest tyle zabawna co pouczająca. I trudno się dziwić, że są z niej zadowoleni.

— I ani słowa na temat tego, co się za tym kryje? Żadnych żądań?

— Tylko sugestie, że już wkrótce dowiemy się, o co im naprawdę chodzi.

Nie użyli słowa „żądanie”, ale nie może przecież chodzić o nic innego.

Oznajmili, że już jutro zatopią dość duży obszar naszego kraju i dopiero potem zaczną rozmowy z rządem. To się nazywa tupet! Zupełnie jakby byli niezależnym państwem. Jak tak dalej pójdzie, to zażyczą sobie zwołania sesji ONZ na swoją intencję. — Spojrzał na zegarek. — Mamy masę czasu.

Potrzebuję dwóch minut, by się tego pozbyć i pięciu, by założyć garniturek do

„Hunter's Horn”. Napiłbym się kawy.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

— Naprawdę tam pójdziesz, Peter?

— Oczywiście, że tak. Ktoś musi, a ja jestem jedyną osobą, która pozostaje z nimi w kontakcie, a więc to muszę być ja. Policja musi czasem wykazać inicjatywę, jeśli chce mieć jakieś efekty śledcze.

— Nie chcę, abyś tam szedł. Mam przeczucie, że stanie się coś złego. Mogą cię zranić, a może nawet i zabić... możesz zostać kaleką do końca życia...

Wiesz przecież, co zrobili tym dwóm detektywom. Och! Peter! — milczała przez chwilę, po czym dodała: — Gdybym była twoją żoną, nie pozwoliłabym ci tam iść.

— Jak?

— Nie wiem. Postarałabym się przekonać cię, że to bezsens. Albo zrobiła coś w stylu: „Na Boga! Jeśli ci na mnie zależy, nie idź!” Coś bym chyba wymyśliła sprytnego.

— No cóż, nie jesteś moją żoną, a nawet gdybyś była, to i tak nie zdołałabyś mnie powstrzymać. Przykro mi, że brzmi to tak bezwzględne i samolubnie, ale to mój zawód i muszę tam iść. — Położył jej na

ramieniu dłoń. — Jesteś wspaniałą dziewczyną i doceniam to, że martwisz się o mnie.

— Wspaniałą? Martwię się? — złapała za przegub i odsunęła jego dłoń. —

Martwię się!

— Annemarie — Van Effen był kompletnie zbity z tropu. — Co się stało?

— Nic. Po prostu nic.



Van Effen przez chwilę patrzył przed siebie, po czym westchnął i powiedział:

— Chyba nigdy nie zrozumieję mentalności kobiet.

— Myślę, że masz rację. — Wahała się przez chwilę, wreszcie oznajmiła: —

Nie chcę iść do kafejki.

— Jeśli nie chcesz, to nie pójdziemy. Ale dlaczego nie?

— Nie chcę za bardzo się pokazywać z tą twarzą. Tam jest za dużo porządnych ludzi. A do tego chyba nie chciałbyś się pokazywać publicznie z taką maskarą jak ja.

— Wiem, co jest pod tą farbą i nie ma dla mnie znaczenia co inni sobie pomyślą. — Przerwał. — Może nie znam się na mentalności kobiet, ale zawsze wiem, kiedy zaczynają coś kręcić.

— Czy ja to właśnie robię?

— Oczywiście.

— No cóż, fakt. Przecież możemy wypić kawę u Julie. To tylko pięć minut drogi stąd.

— Jasne. Mamy czas. Wydaje mi się, że lubisz Julie i martwisz się o nią.

Mam rację?

— Chyba raczej ona martwi się o mnie. Nie chciała, żebym wracała do Krakerów.

— Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Czy ty się czasem o nią nie martwisz?

Nie odpowiedziała.

— Bracia Anecys — wiesz, że nigdy nie widziałem żadnego z nich?

Traktuję to jako odległe zagrożenie.

— To, o czym ja myślę, jest znacznie bliższym może nie tyle zagrożeniem, ile problemem.

— A to coś nowego. Problem to drobiazg: powiedz mi, o co chodzi, albo o kogo i załatwimy to od ręki.

— Czyżby, poruczniku? — coś w jej głosie przykuło jego uwagę. — Jak możesz załatwić drobiazg, którym jesteś ty sam?

— A, znowu o mnie chodzi. Chyba nie ma sensu, żebym powtarzał

wyświechtany stereotyp?

— Jaki?

Co ja do diabła znowu zrobiłem?

— Według twoich standardów, to przypuszczam, że absolutnie nic.

, Zdaje się, że wyczuwam w twoim głosie nutę sarkazmu. A może ironii? Zauważyłem, że robisz to coraz częściej. Annemarie, powinnaś coś z tym zrobić. Może się w końcu dowiem, co do diabła zrobiłem?

— Zmusiłeś cudowną dziewczynę do płaczu. Nie raz a trzykrotnie. Kiedy mówię cudowną, to nie mam na myśli piękną. Mam na myśli najmiłą, najwspanialszą, najśłodszą dziewczynę jaką kiedykolwiek spotkałam.

Trzykrotnie. Dla ciebie to oczywiście drobnostka.

— Julie?

— A kogóż by innego? Julie! A może masz całą kolekcję dziewczyn, które zmuszasz do płaczu?

— Dlaczego płakała?

— Nie wiem dokładnie. Nie jesteś okrutnym, bezwzględnym łajdakiem, ale czy nie martwi cię jej zdenerwowanie?

— To akurat zauważyłem. Ciekawi mnie tylko, co ją tak zdenerwowało.

Przecież dobrze wie, jak mi na niej zależy.

— Mnie też to zastanawia. Pomyślisz pewno, że to zabawne. Po pierwsze: wyszedłeś bez pożegnania i bez całusa na dobranoc. Powiedziała mi, że nigdy tego nie robiłeś.

— Zabawne? To śmieszne! Moi ludzie trafiają do szpitali, gang szaleńców grozi zalaniem naszego kraju, inni bandyci chcą wynająć mnie, żebym wysadził pałac czy coś tam innego, morale w narodzie leci na łeb, na szyję, a ja mam się martwić duperelami. To drobnostka, wszystko wróci do normy.

— Na pewno. Pożegnasz się z siostrzyczką podwójnie serdecznie. Buzi, buzi, zaśnij już, piękne swe oczęta zmruż.

— Szekspir?

— Kołysanka dla dzieci — odparła oschle. — Może to drobnostka. Julie powiedziała mi, że obraziła dwoje ludzi, których kocha, bo stała się za bardzo wścibska. Myślę, że miała na myśli ciebie i mnie. Chciała pomóc, ale okazała się zbyt sprytna, albo zbyt głupia i wszystko obróciło się przeciwko niej.

— To jej problem. Nic się jej nie stanie, jak poświęci trochę czasu na przemyślenie swojego postępowania.

— Przemyslenie... Przecież to ty, dla jej własnego dobra, powiedziałeś, że jest zbyt spostrzegawcza i że wtrąca się w nie swoje sprawy.

— Julie ci to powiedziała?

— Oczywiście, że nie. Jest zbyt lojalna, choć niekoniecznie musi to być dobrze pojęta lojalność i zbyt bezinteresowna, by miała myśleć o sobie. Ale to zabrzmiało dokładnie tak jak ty.

— Przepraszę ją. Bardzo, bardzo gorąco.

— I na pewno powiesz jej, że to ja kazałam ci przeprosić?

— Nie. Choć przyznaję, że przykro, gdy dwie ukochane kobiety mają o człowieku tak niskie wyobrażenie.

— Porucznik raczy żartować — odparła chłodno.

— Żarty? Nigdy. Nie wierzysz mi?

— Nie. Nie wierzę ci.

— Troszczę się o ciebie, ale dla dobra dyscypliny trzeba zachować odpowiedni dystans pomiędzy oficerem i podwładnym.

— Zamknij się! — jęknęła z rozpaczą.

— Kiepsko coś z zasadami — stwierdził ponuro Van Effen — a i dystans staje się coraz mniej widoczny. Dyscyplina kompletnie podupada.

Annemarie nie dała po sobie poznać, że usłyszała to, co powiedział przed chwilą.

Julie — uprzejma, ale trzymająca się na dystans, poszła zaparzyć kawę.

Annemarie zdecydowała się na kąpiel, a Van Effen uciął sobie krótką pogawędkę ze strażnikiem nazwiskiem Thyssen, który zapewnił go, że noc minęła spokojnie, podobnie jak ranek. Po chwili Julie przyszła do salonu —

była milcząca, przygaszona i nieskora do rozmowy.

— Julie?

— Tak?

— Przepraszam.

— Za co?

— Uraziłem cię.

— Ty? Jak to?

— Po prostu. Nie utrudniaj. Wiem, że cię to zdenerwowało i pewnie nadal denerwuje. Annemarie powiedziała mi o tym.

— Powiedziała dlaczego?

— Nie, ale mój analityczny umysł, z którego tak się naśmiewasz, nie potrzebował wiele czasu na znalezienie właściwej odpowiedzi. Powinienem wykazywać więcej taktu, ale miałem kupę spraw na głowie. Teraz oprócz tego ty jesteś nie w sosie, Annemarie jest przykro, że tobie jest przykro. A do tego mnie jest przykro, że wam jest przykro. Mam się spotkać z jakimiś zdegenerowanymi bandziorami i nie mam czasu ani możliwości na taki luksus jak żal czy zdenerwowanie. Muszę

być ostrożny i trzeźwo myślący, sprytny i podstępny, uważny i bez-względny; a kiedy jestem zdenerwowany, staje się to kompletnie niemożliwe. Przez całe życie robiłabyś sobie wyrzuty, gdyby znaleziono mnie kiedyś z kulą w głowie, albo zrzuconego z wieżowca czy utopionego w kanale. Wciąż jeszcze jesteś na mnie wkurzona? Podeszła i położyła mu głowę na ramieniu.

— Jasne, że się denerwuję. Nie z powodu ostatniej nocy, tylko dlatego, że wiem, co się może z tobą stać. Mam tylko jednego brata i bardzo go kocham.

Muszę go przecież kochać — uściśniła go mocno. — Pewnego dnia wspaniały porucznik wyjdzie w ciemną, ponurą noc i już nigdy nie wróci do domu —

tego właśnie się boję.

— Jest ranek, Julie.

— Wiesz, o czym mówię, Peter. Mam przeczucie. Czuję, że coś złego się dzisiaj stanie. Objęła go mocniej. — Wiesz, że moje przeczucia się sprawdzają, było tak już trzy czy cztery razy. Nie idź tam dzisiaj. Jutro wszystko będzie w porządku.

— Wrócę, Julie. Kocham cię i wrócę, bo będę wiedział, że kochasz mnie i czekasz, i że byłoby ci bardzo smutno, gdybym nie wrócił. A więc muszę wrócić, prawda?

— Proszę cię, Peter, proszę cię.

— Ech, Julie, Julie — pogładził jej włosy. — Cudownie podnosisz moje morale. A do tego Annemarie ma takie same przeczucia. Przepowiedziała mi rychłą śmierć, nieszczęście i całą masę problemów. Wyobraź sobie, jak byś się czuła w takiej sytuacji? Powiem ci coś siostrzyczko. Pójdziemy na kompromis.

Nie opuszczę „Hunter's Horn”, obojętnie czego by mi nie obiecywali.

Wysłucham tego, co mają mi do powiedzenia i dostosuję do tego swoje postępowanie. W zależności od tego czy zdołam poznać ich plany w związku ze mną, ustalę miejsce i czas następnego spotkania. Ubijmy interes. Jeśli przyrzekniesz, że przygotujesz dla mnie swój popisowy obiad, z francuskim

winem naturalnie, to przyrzekam, że o pierwszej zjawię się głodny jak wilk.

Odchyliła się w tył, wciąż obejmując go za szyję.

— Przyjdiesz?

— Przecież powiedziałem. Masz zabawne oczy. Chyba nie zamierzasz, moja piękna siostrzyczko, wypłakiwać oczu za dzielnym porucznikiem?

— Myślałam o tym — uśmiechnęła się — ale chyba lepiej zabiorę się za menu. Poza tym nie lubisz przesolonych potraw.

Weszła Annemarie w zbyt dużym jak na nią szlafroku kąpielowym. Na głowie sterczał zawiązany w turban i dokładnie przemoczony ręcznik.

Uśmiechnęła się i rzekła:

— W tym domu stale prowadzi się jakieś dyskusje. Przepraszam, że przeszkodziłam. Wyglądam jak czupiradło.

— Lubię takie czupiradła — oznajmił radośnie Van Effen. — Faktycznie wygląda nieźle, prawdę Julie?

— Jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałeś.

— W moim fachu dziewczyny to rzadkość, nieistotne ładne czy nie

— spojrzał na Julie z uwagą. — Ty też jesteś bardzo ładna. Przydałby ci się delikatny makijaż.

— No, no, nasz porucznik odzyskuje humor — odparła Annemarie.

— Rano było to nie do pomyślenia. Co ty z nim zrobiłaś?

— Zaczęliśmy obsypywać się komplementami — rzekł Van Effen.

— Wcale nie. Nawet nie musiałam przemawiać do jego lepszej połowy, nie wiem zresztą czy takową posiada. Myślę jednak, że niesłusznie osądziłyśmy tego biedaka. Wygląda na to, że ty i ja mamy całą masę złych przeczuc związanych z jego losem. Właśnie zdołał otrząsnąć się z chwilowego przygnębienia. To wszystko.

— Wygląda, że nie tylko jemu jednemu poprawiło się samopoczucie. Tobie chyba też — dodała Annemarie.

— Udusisz mnie — syknął Van Effen.

— A — rozluźniła uścisk. — Peter przyrzekł, że nie będzie dziś udawał

bohatera. Pójdzie tylko do „Hunter's Horn” spotkać się z tymi ludźmi i umówić na następne spotkanie. Chce przekonać się, jakie mają plany względem niego.

Najważniejsze jest to, że na miejscu będzie strzeżony przez Bóg wie ilu uzbrojonych detektywów, a po spotkaniu przyjedzie prosto tutaj.

Annemarie uśmiechnęła się z ulgą.

— To dobrze — uśmiech znikł z jej twarzy. — A skąd wiesz, że dotrzyma słowa?

— Słowo oficera policji... — zaczął Van Effen.

— Ma wrócić na pierwszą. Na lunch robiony specjalnie dla niego, z francuskim winem. Wie, co go czeka, gdyby się spóźnił albo w ogóle nie przyszedł: nigdy więcej nic bym dla niego nie ugotowała.

— Nigdy? O co to, to nie. Nie zamierzam ryzykować takiej kary i przyjadę punktualnie. Słowo!

— Przyjdzie dla nas czy dla jedzenia? — spytała Annemarie.

— Oczywiście, że dla przysmaków. Nas ma na co dzień.

— Rozejm! — jęknął Van Effen. — Niech to będzie godzina rozejmu: o drugiej mogą mnie wezwać w związku z FFF.

— Myślałam, że nie odezwą się przynajmniej do jutra — zdziwiła się Annemarie.

— Właśnie chciałem o tym opowiedzieć, ale przerwano mi.

— Kto ośmielił się przerwać?

— Ona. Zaczęła opowiadać o swoich przeczuciach i straciłem wątek.

— Co takiego? — spytała Annemarie.

— FFF postanowili nas dziś wezwać. Dokładnie o drugiej, w tym samym miejscu co rankiem: North Holland na północ od Alkmaar. Twierdzą, że miny zostały założone już wczoraj, ale FFF nie zdetonowali ich i dali nam szansę na znalezienie ich. Nie wykorzystaliśmy tej szansy. Miny podłożono także przy śluzie Hagenstein.

— Przy czym?

— Przy śluzie — regulowanej tamie. To betonowa budowla umożliwiająca kontrolowanie przepływu wody. Na południe od Utrechtu, na dolnym Renie.

Mogą zniszczyć to, albo to, może oba cele, a może żaden. Stary czynnik niepewności. No cóż, chyba muszę się już przebrać.

Ucałował siostrę, uściskał ją, a potem to samo zrobił z zaskoczoną Annemarie i wyszedł ze słowami:

— Ktoś tu musi bronić prawa.

Julie spojrzała na zamknięte drzwi i potrząsnęła głową:

— Czasami wydaje mi się, że ktoś powinien ustanowić prawo prze ciwko niemu.

Van Effen — ubrany tak samo jak poprzedniego wieczora — zaparkował

samochód (tym razem nie peugeota), przy chodniku o trzy bloki od „Hunter's Horn” i ruszył w stronę tylnego wejścia do restauracji. Drzwi były zamknięte, miał jednak klucz toteż wszedł do środka. Zamykał za sobą drzwi, gdy nagle coś twardego boleśnie wbiło mu się w kark.

— Nie ruszaj się.

Van Effen nie ruszył się, natomiast spytał:

— Kto to?

— Policja.

— Nazywasz się jakoś?

— Łapy do góry — za jego plecami błysnęło światło latarki. — Jan, zobacz, czy ma przy sobie broń.

Van Effen poczuł sprawnie obmacujące go dłonie, które znalazły i wyłuskały z podramiennej kabury broń.

— No cóż — spytał Van Effen — mam podniesione ręce i zabraliście mi broń, czy teraz już mogę się odwrócić? Doskonale. To tak, sierżan cie Koenis, uczycie ludzi szukać ukrytej broni?

Pochylił się i podwinął nogawki spodni. Ponad każdą kostką miał

przymocowaną kaburę, a w każdej z nich tkwił niewielki, śmiercionośny liliput.

—

Zapalcie światło — poleciał.

Rozbłysło światło. Człowiek z rewolwerem odezwał się nagle:

—Boże! Toż to porucznik Van Effen. Przepraszam, sir.

—Nie ma za co. Całe szczęście, że nie naszpikowaliście mnie ołowiem, sierżancie. Było ciemno, a wy widzieliście tylko moje plecy. Jestem w przebraniu; czarnej rękawiczki ani blizny nie mogliście dostrzec. Na pewno zaś nie spodziewaliście się, że przyjdę tą drogą. Cieszę się, że wy i wasi ludzie jesteście czujni.

—Nie rozpoznałem nawet pańskiego głosu.

—Bo mam wypchane policzki. To trochę zmienia głos. Ilu macie ludzi, sierżancie?

—Pięciu, sir. Dwóch z pistoletami maszynowymi.

—A na zewnątrz?

—Następnych pięciu. Ulokowałem ich w mieszkaniu naprzeciwko, na pierwszym piętrze. Jeszcze dwa pistolety maszynowe.

—To wspaniale. Widać, że pułkownikowi bardzo na mnie zależy. —

Zwrócił się do młodego policjanta z rewolwerem w dłoni: — Czy mogę odzyskać moją własność?

—Tak jest, sir. Przepraszam, sir. Oczywiście. — Policjant był mocno speszony. — To się już nie powtórzy.

—Na pewno. Poproście Henriego, żeby tu przyszedł. To ten smutas za barem.

W końcu zjawił się Henri, przygnębiony jak zwykle, i powitał go z żalem w głosie:

—Słyszałem, Peter, że mieli cię na muszce. Nowe doświadczenie dla ciebie, ale to moja wina. Zapomniałem powiedzieć sierżantowi, że masz swój klucz. Nigdy nie przypuszczałem, że wejdiesz tu od tyłu.

—Nic się nie stało. Ilu masz dziś klientów?

—Tylko trzech. To stali bywalcy. Nikt się do was nie zbliży, kiedy ty i ci faceci będziecie prowadzić negocjacje. Nikt też nie będzie mógł

usłyszeć o czym mówicie, już moja w tym głowa.

—

Nikt, oprócz ciebie,

oczywiście.

Henri niemal się uśmiechnął.

—

Oprócz mnie. Gentelman, który się tym zajmował stwierdził, że nie zdołaliby odnaleźć mikrofonu, nawet gdyby zaczęli go szukać. Po prosił mnie, żebym go znalazł, ale nie udało mi się. Stwierdził także, że wątpi, by ci goście mieli w ogóle zacząć szukać mikrofonu.

' \_\_ Też mi się tak wydaje. Włącz magnetofon w biurze, jak tylko się oojawią- Teraz wychodzę. Za



chwile wrócić frontowymi drzwiami. Bardzo możliwe, że i oni mają w okolicy swojego obserwatora.

Van Effen siedział przy stoliku, w pobliżu wejścia, gdy do wnętrza weszło trzech ludzi. Agnelli szedł pierwszy. Van Effen wstał i uściśnął dłoń Agnellego, który wyglądał równie wytwornie jak poprzedniego dnia i zachowywał się z taką samą uprzejmością jak dotychczas.

— Miło mi pana widzieć, panie Daniłow — rzekł Agnelli. — Helmuta już pan zna.

Paderewski nie wyciągnął dłoni.

— To mój brat Leonardo.

Leonardo uściśnął mu dłoń. Nie był podobny do brata: niski, przysadzisty, o czarnych, krzaczastych brwiach. Wyglądał jednak równie łagodnie jak brat, a brwi wcale nie nadawały jego twarzy okrutnego wyrazu, co jednak o niczym nie świadczyło. Po prezentacji Van Effen zajął swoje miejsce. Agnelli i jego towarzysze nie usiedli jednak.

— Lubi pan to miejsce, panie Daniłow? — spytał Agnelli.

Van Effen był wyraźnie zaskoczony.

— Nie mam tu ulubionego stolika. To miejsce jest najbardziej odalone od pozostałych stolików. Chyba chcemy rozmawiać na osobno ści, prawda?

— Zgadza się. A co by pan powiedział gdybyśmy zmienili stolik?

Van Effen skrzywił się pogardliwie.

— Zupełnie nic, tylko po co... Już wiem, o co panu chodzi. O ukryty mikrofon. To się nazywa zaufanie... — Zamyślił się. — Chyba mógłbym panu zarzucić to samo.

— Jest pan ekspertem od materiałów wybuchowych. Tacy ludzie posiadają, jak sądzę, szczyptę wiedzy z dziedziny elektroniki.

Van Effen uśmiechnął się, wstał i skinął ręką w stronę pustego stolika:

— Tysiąc guldenów temu, kto znajdzie ukryty mikrofon, który przez godzinę instalowałem na oczach zafascynowanego właściciela i klientów. Tysiąc guldenów za kilka sekund poszukiwań. Jestem hojnym facetem.

Agnelli roześmiał się.

— Nie sądzę, żeby to było potrzebne. Zostajemy tutaj. — Usiadł i za prosił gestem pozostałych. — A pan nie usiądzie, panie Daniłow?

— Kiedy mówię, to zawsze...

— Oczywiście. Chyba wszyscy zamówimy sobie po piwie. Van Effen zamówił, usiadł i rzekł:

— Przejdźmy zatem do rzeczy, panowie.

— Oczywiście — uśmiechnął się Agnelli. — Lubię konkrety. Nasz przywódca zgodził się, że dokonaliśmy słusznego wyboru.

— Myślałem, że dziś pofatyguje się tutaj.

— Zobaczysz się pan z nim dziś w nocy przy Dam Square — dokładniej przy pałacu królewskim, którego część — z pańską pomocą — mamy zamiar dziś w nocy wysadzić.

— Co? — Van Effen rozlał trochę piwa na stół. — Pałac królewski?

Powiedział pan: „pałac królewski”?

— Zgadza się.

— Żartuje pan! Albo wszyscy jesteście szaleni! — rzekł Van Effen.

— Wątpię i wcale nie żartujemy. Zrobi pan to?

— Prędzej mnie diabli wezmą!

Agnelli uśmiechnął się.

— Odezwały się jakieś skrupuły moralne? Wkracza pan na drogę cnoty?

— Nic z tych rzeczy. Trzeba panu jednak wiedzieć, że mimo iż działałem w zasadzie poza prawem i nie byłem w przeszłości aniołem, to w gruncie rzeczy jestem zwykłym człowiekiem. Odczuwam pewien graniczący z podziwem respekt dla tutejszej rodziny królewskiej.

— Jest pan sentymentalny, panie Daniłow. Proszę mi wierzyć, że i ja podzielam pana poglądy, ale niby dlaczego miałbym z ich powodu rezygnować z zaplanowanej akcji? Wczoraj wieczorem usłyszałem, że nie zgadza się pan na udział w operacji, w której może zaistnieć niebezpieczeństwo odniesienia przez kogoś obrażeń lub utraty czyjegoś życia.

Van Effen skinął głową.

— Zaręczam panu, że ta operacja nie zagrozi niczyjemu zdrowiu, ani tym bardziej życiu.

— Chce pan zatem przeprowadzić eksplozję wewnątrz pałacu tak, by nikomu się nic nie stało?

— Otóż to.

— Ale po co?

— Tym proszę sobie nie zaprzętać głowy. To jest, jak się pan zapewne domyśla, czysto

psychologiczne posunięcie.

— Skąd będę wiedział, że nikomu się nic nie stanie?

— Przekona się pan o tym na miejscu. Wybuch nastąpi we wnętrzu pustej piwnicy położonej między innymi, również pustymi piwnicami.

Zamkniemy wszystkie, prowadzące do niej drzwi i wyrzucimy klucze. Nad nią także są puste pomieszczenia. Nikomu w pałacu nie grozi W tym przypadku żadne niebezpieczeństwo.

— A nam? Pałac jest dobrze strzeżony. Strażnicy mają to do siebie, że najpierw strzelają, a potem sprawdzają, kogo trafili. Moja niechęć do zabijania obejmuje także możliwość zostania zabitym.

— Panie Daniłow. Nie jesteśmy półgłówkami. Czy wyglądam na czoło wieka, który wykonuje operację, nie uwzględnivszy uprzednio wszy stkich szczegółów?

.— Przyznaję, że nie wygląda pan.

.— Obejdzie się bez niepotrzebnych kłopotów. Niech pan weźmie pod uwagę, że zarówno ja, jak i mój szef, będziemy tam wraz z panem. Podobnie jak pan, my też nie chcemy umrzeć przedwcześnie.

— Może wasze akta są nieskalane niczym owe lilie?

— Nieskazitelne czy nie, schwytanie nas na terenie pałacu i to z ładunkiem wybuchowym pod pachą na pewno nie wyszłoby nam na zdrowie.

— Ślicznie — sarknął Van Effen. — Wiecie już, że mam kartotekę, a ja nadal nie wiem, czy któryś z was był w ogóle notowany.

— Ma to raczej marginalne znaczenie, prawda?

— W gruncie rzeczy tak, przynajmniej obecnie. Przypomnę to sobie pewnikiem wtedy, gdy będzie już za późno. Jaka to ma być bomba?

— Nie jestem pewien — Agnelli uśmiechnął się. — Nie jestem ekspertem w tej dziedzinie. Mam raczej talent organizatorski. Wiem jedynie, że waży trzy czy cztery kilo, a materiałem wybuchowym jest amatol.

— Z czego zbudowane są te piwnice?

— Chodzi o ściany?

— A o cóż innego?

— Nie potrafię powiedzieć.

— To chyba i tak nieważne. Próbowałem tylko wyobrazić sobie efekt wybuchu w małym

pomieszczeniu. Jeśli te piwnice są głęboko...

— Są bardzo głęboko...

— Nie wiem, jak stara jest ta część pałacu — w gruncie rzeczy nie wiem nic o samej budowlu, ale ściany powinny być dość solidne. Sądzę, że są raczej grube i najprawdopodobniej wykonano je z kamienia. Pańskie fajerwerki nawet ich nie nadgryzą. Ludzie w pałacu poczują najwyżej nieznaczne drżenie ścian i to wszystko. Jeśli chodzi panu o huk, to nawet nie ma o czym mówić.

— Jest pan pewien? — rzekł Agnelli ostro.

— Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, a nie widzę powodów, by nie były, to raczej tak.

— Nie będzie głośnego huku?

— Nie usłyszą go nawet w pałacowej sypialni, a co dopiero na Dam Square.

— Co trzeba zrobić, by było go tam słychać?

— Wziąć ze sobą więcej amatołu. Na miejscu obejrzę dokładnie ściany i powiem, co i jak zrobić. Niech mi pan powie — czy chcecie tylko zostawić amatoł w piwnicy, wyrzucić klucze i opuścić pałac?

— Zgadza się.

— Przecież istnieją zapasowe klucze.

— Mamy je.

— Wybuch ma nastąpić po opuszczeniu pałacu.

Agnelli skinął głową.

— Dlaczego właściwie angażujecie mnie do tak banalnego zadania.

Kilkunastoletni domorosły fizyk czy chemik z pierwszej klasy liceum mógłby z powodzeniem wykonać całą robotę. Potrzebna jest tylko bateria, stary budzik, parę metrów izolowanego przewodu i zapalnik z piorunianem rtęci.

Wystarczyłoby zresztą użyć wolnotłącego lontu RDX. Jedyne czego wam nie potrzeba, to specjaliści od materiałów wybuchowych. To sprawa zawodowej dumy, panie Agnelli.

— To robota dla zawodowca: wybuch musi spowodować zdalnie sterowany zapalnik radiowy.

— Takie urządzenie może skonstruować uczeń drugiej klasy liceum. Nie możecie tego zrobić sami?

— Z pewnych powodów potrzebujemy eksperta. Nie musi pan wiedzieć wszystkiego.

— Macie dane techniczne tego zapalnika radiowego?

— Zawodowiec potrzebuje instrukcji obsługi?

— Tylko amator mógłby zadawać takie pytania. Oczywiście że potrzebuję.

Nie jest trudno domyślić się, na jakiej zasadzie działają te urządzenia. Problem polega na tym, że istnieje cała masa różnych systemów zapalników radiowych.

Jeśli w grę ma wchodzić elektroniczny detonator radiowy muszę znać takie rzeczy, jak: napięcie, natężenie, długość fali, zakres, typ detonatora, rodzaj mechanizmu wybuchowego i parę innych detali. Ma pan te dane?

— Mam. Zapozna się pan z nimi dziś wieczorem. Przyniosę je panu.

— Zgłaszam sprzeciw. Nie chcę pana obrazić, ale tylko amator mógłby zacząć czytać dane tego urządzenia na miejscu akcji. Chcę zapoznać się ze schematem tego przekaźnika przynajmniej na godzinę przed wykonaniem zadania. Nie chcę nosić przy sobie żadnej zbędnej makulatury.

\_ Albo nici z naszego układu?

\_ Nie mam zamiaru panu grozić, ani pana szantażować. Przypusz czam, że rozsądny człowiek rozpozna rozsądną prośbę.

\_ Dobrze pan przypuszcza. Czy wystarczy, gdy dostanie pan doku menty o szóstej trzydzieści?

— Dobrze. — Van Effen przerwał na chwilę. — Zasięgnęliście języka na mój temat?

— To nie było takie trudne. Przejdźmy teraz do delikatnej kwestii pańskiego wynagrodzenia, choć zaręczam panu, że nie będziemy skąpić przy wypłacie.

— Czy wspomniał pan o możliwości stałej współpracy?

— Wspomniałem.

— Więc niech to będzie darmowa demonstracja moich możliwości. Wie pan o co mi chodzi — skuteczność, niezawodność, profesjonalizm. Jeśli się sprawdzę, to przedyskutujemy kwestię moich zarobków.

— Uczciwe i wspaniałomyślne. Wydaje mi się, że mamy to już z głowy.

Mimo wszystko trudno mi jest zacząć następny temat.

— Nie lubię zakłopotanych ludzi. Proszę pozwolić, że zrobię to za pana.

— To miłe z pańskiej strony.

— Taką mam naturę. Powierzył mi pan pewną tajemnicę i parę bardzo cennych informacji, które dla policji mogłyby się okazać niezmiernie wartościowe — sądząc z wyrazu twarzy rozmówcy Van Effen trafił w sedno.

— Nie przekażę tych wiadomości z kilku powodów. Po pierwsze: nie jestem zdrajcą, po drugie — nie lubię glin i chcę się trzymać od nich z daleka, bo oni też mnie nie lubią. Po trzecie — jestem pewien, że pracując z panem przy kilku operacjach zarobię więcej, niżby wyniosła nagroda za moją zdradę. Nie mam też zamiaru spędzić reszty życia czekając, aż któryś z wynajętych przez was zawodowców mnie załatwi — to był czwarty powód.

Agnelli uśmiechnął się szeroko.

— Po piąte, to z tego, co słyszałem, wnioskuję, że ma pan zapewne paru zaufanych ludzi w pałacu, którzy z pewnością zdołaliby ostrzec wszystkich uczestników operacji w razie jakiejś zasadzki. Gdyby tak się stało, to podejrzanym o zdradę mógłbym być tylko ja. Miałbym wów czas dwa wyjścia: albo załatwilibyście mnie na miejscu, albo odwieźli na posterunek i przekazali policji. Oni już by się postarali o ekstradycję mojej skromnej osoby do Polski albo do USA. Osobiście wolę Stany.

Tam przynajmniej mogę liczyć na uczciwy i sprawiedliwy proces. Nie poszukują oczywiście faceta o nazwisku Daniłow, ale z całą pewnością nie ma na świecie dwóch identycznych ludzi z taką blizną na twarzy i równie oszpeconą lewą ręką jak moja. Chyba przekonywająco uzasadniłem brak miłości do policji.

— Pan i prawo to niezbyt dobrana para. Dziękuję panie Daniłow, że zaoszczędzi! mi pan trudu. O to właśnie chodziło. Jestem pewien, że stanie się pan jednym z najlepszych członków naszej grupy.

— Ufa roi pan?

— Oczywiście.

— To jestem podwójnie zaszczycony. — Agnelli uniósł brwi. — Dziś nie musiałem wyciągać magazynków z moich pistoletów.

Szeroki uśmiech zjawił się na twarzy Agnellego, który pożegnał się i wraz ze swymi milczącymi przyjaciółmi opuścił lokal.

Van Effen poszedł do biura, przesłuchał taśmę, podziękował Hen-riemu, schował taśmę do kieszeni i wyszedł.

Jak to już stało się jego zwyczajem, Van Effen zaparkował wóz z tyłu

„Trianon”, ale wszedł d° środka frontowymi drzwiami. Siedzący przy wejściu niepozorny, mały człowieczek pochłonięty był czytaniem gazety.

— Poproszę o menu — Van Effen zwrócił się do recepcjonisty ig norując owego małego czytelnika. — Poproszę to, to i to. I butelkę burgunda. Do mojego pokoju o godzinie dwunastej trzydzieści. Nie

chcę, żeby ktokolwiek mi przeszkadzał, nie przyjmuję żadnych telefo nów. Proszę mnie obudzić o czwartej.

Wjechał windą na pierwsze piętro, zszedł po schodach i wyrzał zza rogu w stronę recepcji. Człowieczek zniknął.

— Zdaje mi się, że przed chwilą straciłeś cennego klienta, Charles —  
stwierdził podchodząc do recepcji.

— Zaraz cenny. Wypijał jonne jenever co godzinę. Od rana zdążył  
wypić trzy. Trudno go nie zauważyć, prawda?

— On chyba tak nie sądzi. Odwołuję zamówienie, Charles.

— Już je skreśliłem — uśmiechnął się recepcjonista.

Van Effen opuścił „Trianon” parę minut później, naturalnie już bez charakteryzacji.

— No i jak twoje samopoczucie? — spytał Van Effen.

— Już lepiej — odparła Julie — powiedziałaś nam przecież, że nie mamy się co martwić, bo zjawisz się punktualnie o pierwszej.

— Kłamałem. Ty również.

— Ja? — spytała Annemarie. — Jeszcze nic nie powiedziałam.

— Ale chciałaś powiedzieć. Twoje zatroskanie jest całkiem zrozumiałe. Daj mi dużego jonne jenever. Wracam prosto z paszczy śmierci.

— No to opowiadaj o dzielnym Danielu — odparła Julie.

— Za chwilę. Muszę zadzwonić do pułkownika. Na pewno martwi się o swojego najlepszego pracownika.

— Jest dwunasta trzydzieści — powiedziała Julie. — O ile znam puł-

kownika, to aktualnie jedyną rzeczą, jaka go martwi, jest dobór aperitifów przed lunchem.

— To się nazywa pomówienie — stwierdził odbierając od niej drinka. —

Mogę skorzystać z twojej sypialni?

— Oczywiście.

— Myślałam... — zaczęła Annemarie.

— Tam jest telefon...

— A, ściśle tajne informacje...

— Nie o to chodzi. Możecie iść ze mną, nie będę musiał dwa razy powtarzać tego samego.

Usiadł na łóżku Julie, otworzył szufladę nocnej szafki i wyjął telefon.

— Wygląda podejrzanie — oceniła Annemarie.

— Ma zamontowany scrambler. Podłuch odbierałby jedynie dziwny bełkot.

Urządzenie przekazujące dźwięki z tego aparatu przetwarza przesyłane słowa w słuchawce odbiorcy, czyniąc moją wypowiedź zrozumiałą jedynie dla niego.

Wiele tego typu urządzeń używanych jest przez tajne służby i wysokiej klasy szpiegów. Niektórzy gangsterzy też z nich korzystają. Oryginalne połączenie było z moim mieszkaniem, ale de Graaf też ma w domu podobny aparat. —

Wybrał numer i niemal natychmiast dostał połączenie. — Dzień dobry, pułkowniku. Nie... nikt remie nie zaatakował, nie porwał, nie torturował ani nie uśmiercił. Nic z tych rzeczy... Wprost przeciwnie. Osiągnęliśmy pełne porozumienie. Na spotkanie przyszedł nowy gość: brat Romero Agnelli. Typ mafiosa: miły, rzetelny, uprzejmy... nazywa się Leonardo Agnelli. Tak...

poczyniliśmy pewne plany... Zostałem wynajęty do wysadzenia o ósmej pa-

łacu królewskiego... Nie, sir... Wcale nie żartuję...

Zakrył słuchawkę dłonią i spojrzał na dwie kompletnie zaskoczone dziewczyny.

— Chyba się zakrztusił... — mruknął. — Tak, sir, amatol i detonator radiowy, z którym mam się zapoznać dziś wieczorem. Oczywiście że zamierzam to zrobić. Liczą na moją pomoc... Nie... wybuch nastąpi w pustej piwnicy i nikt nie odniesie obrażeń... Nie, nikomu nic nie grozi....

Bardzo dobrze...

Oddał Julie pustą szklankę i przykrył słuchawkę dłonią.

— Wolę poczekać, aż przemyśli w spokoju całą sytuację. I tak będę przeciwny temu, co wykombinuje.

— Wysadzić pałac królewski! — Annemarie spojrzała na Julie, która przyniosła butelkę joneg jenever. — Pałac! Chcesz go wysadzić! Chyba oszalałeś! Przecież jesteś policjantem!

— Życie policjanta nie jest łatwe. Taak... słucham!

Nastąpiła długa cisza. Julie i Annemarie obserwowały go z uwagą jak sączył



małymi łykami drinka, zachowując przy tym kamienną twarz.

— Tak, rozumiem. Alternatywy: po pierwsze, może mnie pan odwołać z tego zadania i musiałbym, jak sądzę, podporządkować się pańskiej decyzji. Z tym tylko, że cała moja praca poszłaby na marne. Ten zamach stanowi zapewne początek całej serii, bo, jak sam pan wie, takie akcje powtarzają się cyklicznie. Mam okazję rozbić grupę przez stępczą od wewnątrz, a pan chce mi tego zabronić. To nasza wielka szansa... Oczywiście, sir, może pan poprosić o moją rezygnację z powodu odmowy wykonania rozkazu, której zresztą także nie złożę. Może mnie pan oczywiście zwolnić — no, jasne. Tyle że potem musiałby się pan tłumaczyć z tego przed samym ministrem. Okazałoby się, że popełnił pan błąd, że nie chciał mnie pan wysłuchać, nie dał mi szansy zapobieżenia nowej zbrodni tylko dlatego, że miał pan odmienne zdanie w tej sprawie. Mam dość wyciągania za pana kasztanów z ognia... Od mawiam złożenia rezygnacji, sir. Tymczasem, sir.

Julie usiadła obok niego na łóżku i położyła dłoń na słuchawce.

— Przestań, Peter. Przestań — powiedziała cicho, głosem pełnym wewnętrznego napięcia i zakłopotania. — Nie możesz się tak odzywać do pułkownika. Nie rozumiesz, że stawiasz biedaka w sytuacji bez wyjścia?

Van Effen spojrzał na Annemarie. Z jej zaciśniętych warg i powolnego kiwania głową jasno wynikało, że miała dokładnie takie same zdanie jak Julie.

Spojrzał ponownie na siostrę, a ta cofnęła się niemal widząc wyraz jego twarzy.

— Dlaczego najpierw nie posłuchasz i nie pomyślisz, tylko robisz to, co udało ci się ostatniej nocy: bezsensowne wtrącanie się w nie swoje sprawy? Pomyśl i posłuchaj w jakiej ja jestem sytuacji. — Julie opuściła ręce, a Van Effen uniósł słuchawkę. — Przepraszam za przerwę, puł

kownika. Julie powiedziała, że niepotrzebnie się uniosłem i stawiam pana w niezręcznej sytuacji; nie wie o czym mówi. Annemarie zgadza się z nią i też nie wie co mówi, a sądząc po wyrazie ich twarzy to obie nie wiedzą, o czym ja mówię. Prawda zaś jest następująca: pańscy ludzie mają mnie na oku, ale to ja gram pierwsze skrzypce w całej akcji. Julie mówiła coś o sytuacji bez wyjścia. Oto istniejące możliwości: po pierwsze, trzymamy się pierwotnego planu, a pan ma zapewnić mi bezpieczeństwo. Ma pan również obowiązek, jak sam pan twierdzi, zawiadomić rodzinę królewską, która w przeciągu paru miesięcy była wielokrotnie nękana różnymi pogroźkami. Znam dobrze pańskie metody postępowania w takich przypadkach. Obstawiłby pan całe Dam Square oddziałem niewidocznych z zewnątrz snajperów, a do ochrony pałacu wykorzystałby pan zapewne brygadę antyterrorystyczną. To jest sposób, ale nie przyszło panu na myśl, że oni mają szpiegów w samym pałacu, którzy natychmiast doniosą o przygotowywanej zasadzce? Agnelli stwierdził, że gdyby wydarzyło się coś takiego, byłbym pierwszym i jedynym podejrzanym. Sądzę, a raczej jestem pewien, że ochrona pałacu jest mierna, a szpiegzy FFF mogą bez przeszkód poruszać się w obrębie posterunków pałacowych. Jeśli poinformuje pan o mającej nastąpić akcji, zadzwoni po brygadę antyterrorystyczną, albo postawi na nogi szwadron policji, to tym samym podpisze pan na mnie wyrok śmierci.

Van Effen wiedział, że nie powinien tego mówić, ale wiedział też, że nie pozostał mu już żaden inny atut.

— Chce mi pan zapewnić bezpieczeństwo? Zapewni mi pan najwyżej niechybną śmierć. Co znaczy życie jednego policjanta wobec pańskich bzdurnych przepisów i regulaminów? Być może Julie i Annemarie nie lubią mnie w tej chwili, ale na pewno zeznają prawdę w czasie dochodzenia, a mianowicie to, że zrobiłem wszystko co mogłem, aby uratować własną skórę.

To oczywiście najgorszy scenariusz tego, co ma się wydarzyć i nie mam ochoty brać w nim udziału. Jednak w czasie tej rozmowy sporo sobie przemyślałem i zmieniłem zdanie w jednej kwestii. Dał mi pan dwa wyjścia: zostać zwolnionym albo otrzymać dębową jesionkę. Wolę zajęcie, w którym dają człowiekowi większą różnorodność wyboru, toteż jeśli przyśle pan detektywa do domu Julie, to podpiszę prośbę o zwolnienie z pracy w policji.

Wręcę mu również taśmę, którą nagrałem dziś rano w „Hunter's Horn” i mam nadzieję, że przyda się ona któremuś z pańskich uniwersyteckich przyjaciół.

Przykro mi pułkowniku, ale nie mam wyjścia. Nie pozostawił mi pan wyboru.

— Odłożył słuchawkę, włożył telefon do szuflady i wyszedł z pokoju.

Kiedy Julie i Annemarie przyszły do niego, siedział w fotelu i odpoczywał ze szklanką jonge jenever w dłoni. Jak na człowieka, który przed chwilą podjął przełomową decyzją życiową wydawał się dziwnie rozluźniony i spokojny.

— Mogę coś powiedzieć? — spytała Julie.

— Oczywiście. Po tym, co usłyszałem od pułkownika, nic mnie już nie wzruszy.

— Nie chcę sprawiać ci przykrości — uśmiechnęła się słabo. —

Przepraszam za to, co powiedziałam w sypialni. Nie wiedziałam, że jesteś w tak trudnej sytuacji. Jeśli jednak powiem, że postawiłeś pułkownika w trudnej sytuacji to usłyszę, że doceniasz fakt, iż życie porucznika jest pestką wobec stresów pułkownika. Przepraszam cię, ale...

— Julie? — przerwała Annemarie.

— Tak?

— Nie powinnaś go chyba przeproszać. Nie masz za co. Wątpię, czy jest w tak trudnej sytuacji, jak ci ją przedstawił. Spójrz na niego. Ledwie powstrzymuje się od śmiechu. — Obdarzyła go badawczym spojrzeniem. —

Nie jesteś specjalnie pracowity: powinieneś napisać to podanie o zwolnienie.

Van Effen zamyślony patrzył w przestrzeń mówiąc:

— Nie przypominam sobie, żebym coś takiego mówił.

— Bo w ogóle nie miałaś zamiaru napisać prośby o zwolnienie z policji!

— No, no. Będzie z ciebie niezła policjantka. Masz rację kochanie: nie zamierzam odchodzić ze służby. Dlaczego zresztą miałbym to robić? Czy mógłbym zostawić wuja Arthura sam na sam ze wzrastającą falą przestępczości w Amsterdamie? Jestem mu potrzebny.

Annemarie zwróciła się do Julie:

— Jak myślisz, jeśli mu powiem, że ma manię wielkości i makiaweli-czne podejście do ludzi i życia, to wyleje mnie z pracy? Albo zmusi do płaczu?

— Na szczęście jestem ponad to. — Wypił łyk jenever. — Nie powinnaś mylić makiawelizmu z dyplomacją, a zarozumiałstwa z czystą inteligencją.

— Masz rację, Annemarie. Żałuję, że go przeprosiłam. — Julie spojrzała na brata ze zgoła nie siostrzanym wyrazem twarzy. — Co masz zamiar teraz zrobić?

— Siedzieć i czekać.

— Na co?

— Na telefon od pułkownika.

— Od pułkownika! — wybuchnęła Julie. — Po tym co mu powiedziałaś?

— Masz na myśli: po tym, co on mi powiedział?

\_ To długo sobie poczekasz — dodała z przekonaniem Anne-tciatie.

\_ Moje drogie dzieci we mgle. Nie docenicie pułkownika. Ten facet jest sprytniejszy od was obu razem wziętych. Wie, co jest stawką w tej grze. Minie trochę czasu nim zadzwoni. Musi najpierw pogodzić się sam ze sobą i znaleźć sposób wyjścia z twarzą z tej porażki. Co do makiawelizmu: po czterdziestu latach pracy w policji takie postępowanie staje się czymś zupełnie normalnym. Powiedziałem pułkownikowi, że nie pozostawił mi możliwości wyboru. De Graaf zrozumie, co chciałem mu przez to powiedzieć: on również nie ma wyjścia. Musi się poddać.

— A więc skoro jesteś taki sprytny to może... — zaczęła Julie.

— Nie ma powodów do złości: odnoszę się do ciebie z dużym szacunkiem.. nawet powiedziałbym, że traktuję cię po rycersku.

— Powiedzmy. Jak myślisz, co powie pułkownik?

— Stwierdzi, że daje mi carte blanche, co załatwi pozytywnie sprawę z akcją o ósmej.

— Chciałabym, żebyś kiedyś choć raz się pomylił — powiedziała Julie. —

Nie, nie miałam tego na myśli. Miałam tylko nadzieję, że się pomylisz.

Po raz pierwszy zapadła głucha cisza. Dziewczyny patrzyły na telefon stojący na stoliku obok Van Effena. On sam zaś patrzył gdzieś w przestrzeń.

Wreszcie telefon zadzwonił. Van Effen podniósł słuchawkę.

— A, tak... przyjmuję... Może trochę przesadziłem, ale zostałem sprowokowany... — odsunął trochę słuchawkę. — Tak, sir. Wiem, że pan też się zdenerwował... Tak... oczywiście, zgadzam się... to bardzo poważna decyzja... Oczywiście, dostanie pan zdjęcie, sir... nie... oni mi nie ufają... tak sir... tutaj... do widzenia... — Odłożył słuchawkę i spojrzał na Julie. — Czemu jeszcze tu siedzicie? W kuchni coś się przypała! Zostałem wyraźnie zaproszony na lunch...

— Och, przestań. Co powiedział pułkownik?

— Dał mi carte blanche.

Julie spoglądała na niego z kamienną twarzą przez dłuższą chwilę, czyli mniej więcej przez kilka sekund, następnie odwróciła się i poszła do kuchni.

Annemarie podeszła do niego, zatrzymała się i szepnęła:

— Peter!

— Nic nie mów! Właśnie udało mi się wybrnąć z jednej trudnej sytu-acJi.

Nie stawiajcie mnie w następnej.

— Nie będziemy. Przyrzekam. Wiesz, co myślimy i na to nic nie można poradzić, ale nie będziemy o tym mówić. Na pewno. — Uśmiechnęła się. —

Można to nazwać uprzejmością.

— Wiesz, Annemarie, chyba zaczynam cię lubić.

— Lubisz mnie? Nie lubiłeś mnie, kiedy pocałowałaś mnie dziś rano? A może całowanie policjantek należy do obowiązków służbowych? Nie wątpię, że musisz oddziaływać na morale policjantek, ale nie wiem, czy to jest najlepszy sposób.

— Jesteś pierwszą policjantką, którą pocałowałem.

— Pierwszą i ostatnią. Wszyscy popełniamy błędy. Kto ci nie ufa?

— Że co proszę? — zdziwił się Van Effen.

— Powiedziałaś coś takiego pułkownikowi.

— A, moi kumple od wysadzania. Niby w „Hunter's Horn” doszliśmy do porozumienia, a mimo to zdecydowali się obserwować „Trianon”. Są poddenerwowani. To żaden problem.

— A po lunchu?

— Zostanę tutaj. Pułkownik ma się ze mną skontaktować, gdyby FFF

przeprowadzili jakąś akcję o drugiej po południu. Pułkownik jest przekonany, że służa Hagenstein pozostanie nietknięta. Płetwonurkowie nie znaleźli tam żadnych śladów zakładania ładunków wybuchowych.

Van Effen zadzwonił do biura i poprosił do telefonu sierżanta dyżurnego.

— Co z ludźmi, którzy mieli śledzić Freda Klassena i Alfreda van Rees? Mieli dzwonić w południe?

— Słuchał przez chwilę. — A więc van Rees zgubił swój ogon. Nieważne, czy było to przypadkiem czy nie. Przypuszczam, że ma pan numer rejestracyjny jego samochodu?

Proszę go przekazać wozom patrolowym. Chcę wiedzieć, gdzie jest teraz. Niech pan zapisze numer i zadzwoni do mnie, jak tylko coś ustalą.

Obiad był wspaniały, ale minął w atmosferze kompletnego przygnębienia.

Julie i Annemarie próbowały stwarzać pozory wesołości, ale przychodziło im to z wyraźnym trudem, a Van Effen powstrzymał się od komentarza, co zdziwiło trochę Julie, znającą spostrzegawczość swojego brata. Pili kawę w salonie, gdy parę minut po drugiej przybył młody policjant, by odebrać taśmę z

„Hunter's Horn”.

— Nadal czekasz na telefon od pułkownika? — spytała Julie. — I co dalej?

\_\_\_ Poszedłbym do łóżka, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nie wiem, czy tej nocy dane mi będzie się zdrzemnąć i myślę, że dobrze byłoby się z godzinkę czy dwie przespać. Przydałoby się poza tym jeszcze trochę brandy.

Pułkownik zadzwonił, gdy Van Effen dopijał brandy. Rozmowa była krótka i jednostronna. Van Effen ograniczył się jedynie do kilku potaknięć, pożegnał

się i odwiesił słuchawkę.

— FFF wysadzili tamę w North Holland o drugiej po południu. Powódź była duża, ale obyło się bez ofiar. Służa w Hagenstein pozostała nietknięta, zgodnie z oczekiwaniami pułkownika. Płetwonurkowie nie znaleźli tam żadnych śladów materiałów wybuchowych. Stwierdzili, że FFF najwyraźniej z jakiegoś powodu nie zdołali jej podminować. De Graaf jest zdania, że FFF są kiepskimi pirotechnikami. Ich technika wysadzania to czysty prymityw, a jedyne co potrafią, to

wysadzanie tam i nabrzeży kanałów.

— Nie podzielasz jego zdania? — spytała Julie.

— Ani tak, ani nie. Po prostu nie wiem. Być może FFF chce stworzyć takie wrażenie — kto wie? Wyglądają na sprytną i dobrze zorganizowaną bandę.

Wrażenie może być złudne. Być może jest to zwykła, kiepsko zorganizowana grupa pozująca na gang specjalistów, a być może są to zawodowcy, którzy chcą, abyśmy odnieśli wrażenie, że mamy do czynienia ze zwykłymi amatorami. Same udzielcie sobie odpowiedzi na to pytanie. Muszę teraz odpocząć. Włącz radio, dobrze? FFF mają zwyczaj po każdej akcji występować publicznie. Nie budźcie mnie nawet, gdyby nasi przyjaciele dali o sobie znać kolejnym telefonem z pogrózkami. Idę spać i póki co, nic mnie na razie nie interesuje.

Ledwo zdążył usnąć, gdy w drzwiach pojawiła się Julie i bezceremonialnie go obudziła.

— Przecież miałaś mi nie przeszkadzać?! Co się stało? Niebiosa się wałą?

— Przepraszam. List do ciebie.

— List? Człowiek jest wyczerpany, chce się zdrzemnąć, a tu...

— List polecony z nadrukiem „PILNE”! — przerwała mu.

— Obejrzyjmy go sobie — wziął do ręki kopertę, spojrzął na adres i nadawcę, po czym otworzył kopertę. Wysunął do połowy jej zawartość, spojrzął i włożył z powrotem do środka. Wsunął kopertę pod poduszkę. — I budzi się mnie z powodu takich bzdur. Któregoś z moich kumpli z policji trzymają się kiepskie żarty. Następnym razem upewnij się, że niebiosa wałą się na głowę.

— Pozwól mi obejrzeć ten list — powiedziała ostro Julie siadając na łóżku. Położyła mu rękę na ramieniu i dodała. — Proszę cię.

Van Effen z niechęcią sięgnął pod poduszkę i wręczył jej kopertę. Wewnątrz była pocztówka. Widniała na niej topornie narysowana trumna i katowska pętla.

— To już trzy miesiące od ostatniego listu? — spytała Julie.

— Chyba tak — odparł obojętnie. — Trzy miesiące. A czy coś się wydarzyło w czasie ostatnich trzech miesięcy? Nic. No, to kto powiedział, że coś zdarzy się w przeciągu następnych trzech miesięcy?

— Jeśli nie przejmujesz się tymi pocztówkami, to dlaczego je przede mną ukrywasz?

— Wcale nie ukrywam. Po prostu nie chcę denerwować mojej ukochanej siostrzyczki.

— Mogę zobaczyć kopertę? — Wzięła ją, obejrzała i oddała mu. —

Poprzednie przychodziły z zagranicy. Ta została ostemplowana w Amsterdamie. Dlatego ją schowałeś. Bracia Annecys są w Amsterdamie!

— Może tak, a może nie. Mogli przekazać komuś kopertę, jakiemuś znajomemu, aby wysłał ją w Amsterdamie.

— Nie wierzę w to. Może jestem od ciebie młodsza, ale to nie znaczy, że jestem głupią gęsią. Myślę i czuję normalnie. Wiem, że oni są w Amsterdamie.

Ty też to wiesz. Och, Peter, to już zbyt wiele. Jeden gang grożący zatopieniem kraju, inny pragnący wysadzić pałac królewski, a teraz to. — Potrząsnęła głową. — Wszystko na raz. Dlaczego?

— Zbieg okoliczności.

— Daj spokój. Naprawdę nie wiesz, co się dzieje?

— Podobnie jak ty.

— Może tak, może nie. Nie jestem pewna, czy ci wierzę. Co teraz zrobimy?

Co ty zrobisz w tej sytuacji?

— A co miałbym zrobić? Patrolować ulice miasta dopóki nie znajdę faceta z trumną na ramieniu i pętlą w dłoni? — Położył jej rękę na ramieniu. —

Przepraszam, uniosłem się. Nic nie mogę zrobić, więc lepiej pójdę spać.

Następnym razem jak mnie obudzisz, upewnij się, że niebo naprawdę spadło.

— Jesteś beznadziejny — wstała uśmiechając się, pokręciła głową i widząc, że już zamknął oczy, cicho wyszła z pokoju.

Ledwo zdążył zasnąć po raz drugi, gdy Julie zjawiała się ponownie.

— Przepraszam raz jeszcze, Peter. To pułkownik. Powiedziałam mu, że śpisz, ale stwierdził, że muszę cię obudzić. Nawet gdybyś był zimnym trupem, to mam cię przywrócić do życia i zmusić do wysłuchania tego, co chce ci powiedzieć. Najwyraźniej ma do ciebie jakąś pilną sprawę.

— Mógł użyć scramblera — Van Effen wskazał na stolik. — Chyba dzwoni z automatu.

Van Effen poczłapał do salonu i odebrał telefon. Słuchał przez chwilę, po czym powiedział:

— Już wychodzę — i odłożył słuchawkę.

— Dokąd idziesz? — spytała Julie.

— Spotkać się z kimś, kto, jak mówi pułkownik, mógł być moim przyjacielem. Nie wiem jak się

nazywa.

Założył podramienną kaburę, zawiązał krawat i włożył marynarkę.

— Niestety, jak słusznie zauważyłaś Julie, zazwyczaj chodzą parami.

Sprawa tam i pałac królewski, następnie sprawa Annecys i teraz to.

— O co chodzi? Gdzie jest twój przyjaciel?

— Nie chciałem ci tego mówić. W kostnicy.

## Rozdział piąty

Starówka amsterdamska należy do szczególnie atrakcyjnych miejsc głównie z powodu swoich przepięknych, ocienionych rosnącymi nad nimi drzewami, kanałów. Posiada czarujące zabytki i jest miastem przywołującym romantyczne wspomnienia. W jego uliczkach wyraźnie można odczuć nostalgiczne piękno i piętno dawnych wieków.

Kostnicy miejskiej z pewnością nie można było jednak zaliczyć do takich miejsc. Jako budynek była po prostu szpetna, klinicznie funkcjonalna; ani nowoczesna, ani nadgryziona zębem czasu. Jedyne zmarli mogli przebywać w tym budynku, dla nich jego wygląd był już z pewnością całkowicie obojętny.

Ubrani na biało pielęgniarze wykonywali swoją pracę, jak tylko mogli najlepiej, traktując swe zajęcia równie normalnie jak stolarze czy murarze.

Przy wejściu Van Effen spotkał de Graafa i młodego mężczyznę, który przedstawił się jako doktor Prins. Miał on na sobie nieskazitelnie biały fartuch, a z szyi zwieszał mu się stetoskop. Trudno określić, jaką rolę u doktora pełnił

ten przyrząd. Może lubił on mieć pewność, że ci, których tu przywieziono, są naprawdę definitywnie i nieodwołalnie martwi, a może stanowił dlań nieodłączny element służbowego uniformu. Możliwe też, że miał go wyróżniać od innych, mniej ważnych pracowników.

De Graaf był w nastroju grobowym, spowodowanym zresztą nie pobytem w kostnicy, gdzie już od paru lat bywał częstym gościem, ale przerwaniem mu smakowitego posiłku zakrapianego wspaniałym chablis.

Doktor Prins zaprowadził ich do długiego pomieszczenia, nastrojem przypominającego wnętrze grobowca. Beton i biały tynk, chrom i szkło — te połączenia dobrze pasowały do panującego w nim chłodu. Pielęgniarz, widząc Prinsa, otworzył metalowe drzwiczki i wysunął poruszającą się na kółkach, po szynach, półkę. Na niej leżał jakiś kształt przykryty prześcieradłem. Doktor uniósł róg nakrycia.

\_ Muszę was ostrzec, panowie: nie jest to widok dla ludzi o słabych nerwach.



— Mój żołądek nie może już być w gorszej kondycji niż w tej chwili \_ warknął de Graaf.

Prins przyjrzał mu się uważnie (oczywiście de Graaf nie wspomniał ani słowem o nie dojedzonej rybie i pozostawionym winie) i odsunął

prześcieradło. Widok faktycznie był makabryczny, ale jeśli doktor oczekiwał

gwałtownej reakcji swych gości, to spotkał go zawód: żaden nie okazał nawet cienia uczuć.

— Co było przyczyną śmierci, doktorze? — spytał de Graaf.

— Liczne obrażenia, oczywiście. Autopsja wykaże czym były spowodowane.

— Autopsja! — Głos Van Effena był równie lodowaty jak wnętrze kostnicy.

— Nie chcę robić osobistych wycieczek, doktorze, ale jak długo pan tu pracuje?

— Pierwszy tydzień — twarz lekarza zaczynała nabierać lekko zielonkawej barwy co wyraźnie wskazywało, że stan jego żołądka stopniowo się pogarsza.

— Dotychczas nie miał pan więc do czynienia z wieloma takimi przy-padkami, o ile w ogóle się pan z czymś takim zetknął. Ten człowiek został

zamordowany, ale ani nie spadł z dachu wieżowca, ani nie przejechała go ciężarówka. Kości czaszki, żebra, miednica, kości udowe i golenie byłyby wówczas zmiżdżone, a jak pan widzi, nie są. Został zatłuczony na śmierć żelaznymi łomami albo czymś podobnym. Ma zmasakrowaną twarz, zmiżdżone kolana i połamane obie ręce, prawdopodobnie dlatego, że do końca starał się osłaniać głowę. Taka jest diagnoza i autopsja ją potwierdzi.

Mogę się założyć.

— Przywieziono go tu ubranego, prawda? Czy ktoś przeszukał jego rzeczy?

— spytał de Graaf.

— Chodzi panu o jego tożsamość?

— Oczywiście.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— To nieważne — rzekł Van Effen. — Wiem kto to jest. Poznałem go po bliźnie na ramieniu. To detektyw Rudolf Engel. Śledził człowieka z blizną, znanego jako Juliusz Cezar. Jak pan pamięta, Annemarie wspomniała o nim w

„La Caracha”.

— Skąd wiesz?

— Bo sam zleciłem mu to zadanie. Ostrzegłem go, że to nie będzie łatwe i nakazałem, aby zawsze trzymał się z dala od pustych placów i ciemnych uliczek. Przypomniałem mu, co się stało z tymi dwoma detektywami, którzy śledzili Agnellego. Widać zapomniał o przestrożach i ten błąd kosztował go życie.

— Ale żeby zabijać w tak okrutny sposób?! — de Graaf pokręcił głową. —

W ogóle zastanawia mnie, dlaczego go zabili. Wygląda na to, że zobaczył coś, czego nie powinien był zobaczyć.

— Ciekaw jestem, co to było. Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy.

Nie ulega wątpliwości, że gra idzie o wysoką stawkę.

— Bardzo wysoką. Może powinniśmy teraz porozmawiać z tym Juliuszem Cezarem?

— Wątpię, abyśmy zdołali go odnaleźć. Na pewno opuścił Amsterdam.

Bardzo możliwe, że zgoli brodę, kupi sobie peruczkę i zacznie nosić ciemne okulary, żeby nikt nie mógł zobaczyć jego zezowatych oczu. Mimo wszystko, nawet gdybyśmy zdołali go zatrzymać, co mielibyśmy mu do zarzucenia? Na jakiej podstawie moglibyśmy go oskarżyć?

Podziękowali doktorowi Prins i wyszli. Gdy przechodzili przez hol, siedzący za stołem człowiek poprosił pułkownika do telefonu. De Graf rozmawiał chwilę, odłożył słuchawkę i podszedł do Van Effena.

— Mamy dziś pecha. Dzwonili z biura: szpital zawiadomił ich, że właśnie jeden z naszych ludzi został wyłowiony z kanału.

— Jeśli trafił do szpitala, a nie tutaj, to znaczy, że żyje?

— Żyje. Wygląda na to, że miał szczęście. Byłoby dobrze, gdybyśmy złożyli mu wizytę.

— Kto to jest?

— Jeszcze nie wiedzą: wciąż jest nieprzytomny. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów, tylko broń i kajdanki. Dlatego uznali, że to musi być glina.

W szpitalu poprowadzono ich do pokoiku na pierwszym piętrze, z którego właśnie wychodził szpakowaty lekarz. Uśmiechnął się widząc de Graafa.

— Witaj! Jak widzę, nie marnujesz czasu! Jeden z twoich ludzi miał mały, nieprzyjemny wypadek. Niewiele brakowało, ale wyjdzie z tego. W zasadzie to za godzinkę czy dwie będzie już mógł iść do domu.

— Odzyskał przytomność?

— Odzyskał i jest w bardzo kiepskim nastroju. Nazywa się Voight.

— Mas Voigth?

— To on. Jakiś chłopak zobaczył go, jak pływa w wodzie twarzą do dołu.

Miał szczęście, że dokerzy zdążyli go wyciągnąć. Pływał tak mniej więcej minutę. Miał kupę szczęścia.

Voight siedział na łóżku i wyglądał na bardzo przygnębionego. Po najkrótszej z możliwych wymianie uprzejmości na temat zdrowia, de Graaf przeszedł do rzeczy:

\_ Jak, do cholery, wpadłeś do tego kanału?

— Wpadłem? — Voigthowi prawie mowę odebrało. — Wpadłem?!

— Cicho, bo zrobisz sobie krzywdę — pouczył doktor. Delikatnie obejrzał głowę pacjenta. Błękitnopurpurowy siniak za jego prawym uchem zaczął właśnie nabrzmiwać.

— Chyba zabrakło im łomów — rzekł Van Effen.

— Co to miało znaczyć? — zasepił się de Graaf.

— Nasi przyjaciele wznowili aktywność. Detektyw Voight śledził właśnie Alfreda van Rees i ...

— Alfreda van Rees!

— Wie pan, tego faceta z Rijkswaterstaat. Śluzę, tamy, wrota i tym podobne kwiatki. Wygląda na to, że nasz detektyw okazał się trochę nieostrożny.

Voight, mówiłeś ostatnio, że zgubiłeś van Reesa.

— Posterunkowy go odnalazł i dał mi adres. Pojechałem tam, zatrzymałem samochód przy kanale, wysiadłem...

— Przy jakim kanale?

— Croquiskade.

— Croquiskade! I van Rees! Ciekawostka, raczej bym się nie spodziewał tak szanowanego obywatela w takiej niezdrowej dzielnicy.

Voight ostrożnie pomacał kark.

— Faktycznie niezdrowa. Widziałem Reesa z jakimś drugim facetem jak wyszli z domu i weszli z powrotem, ale nie mam pojęcia po co. Nie miałem policyjnego wozu, wątpię, aby zdołali się zorientować, że ich śledziłem. No cóż, następną rzeczą, jaką pamiętam, jest widok tego szpitalnego łóżka. Nawet nie usłyszałem, jak ktoś podszedł do mnie z tyłu.

— Pamiętasz numer domu?

— Owszem. Trzydzieści osiem.

Van Effen podniósł słuchawkę telefonu, powiedział, że rozmowa jest pilna, a on jest policjantem. Zażądał połączenia ze swoim biurem, po czym rzekł do de Graaf a:

— Nie sądzę, żebyśmy kogoś zastali pod numerem trzydziestym ósmym.

Możemy jednak znaleźć jakiś trop, jeżeli tylko nasi przyjaciele nie zauważyli, że dokerzy wyciągnęli Voighta z kanału. Jeżeli to widzieli, to mieszkanie będzie idealnie czyste. Poprosić o nakaz rewizji?

— Do diabła z nakazem — de Graaf był raczej wstrząśnięty od momentu, gdy dowiedział się, że van Rees jest wplątany w jakieś przestępcze machinacje. — Macie się tam dostać. Zaraz. I nie obchodzi mnie, jak to zrobicie.

Van Effen połączył się z biurem, skontaktował z sierżantem Oudshoornem i przekazał mu zlecenie i adres. Następnie przez chwilę słuchał krótkiego monologu.

— Nie, sierżancie. Weźcie czterech ludzi. Jeden przy drzwiach frontowych, jeden z tyłu. Bez nakazu. To rozkaz pułkownika. Wyważyć drzwi, jeżeli będzie to konieczne. Możecie w razie czego przestrzelić zamek. Zatrzymajcie wszystkich, którzy będą w tym mieszkaniu. Zo stańcie na miejscu. Przekażcie raport na posterunek i czekajcie na instrukcje — odłożył słuchawkę. — Sierżant Oudshoorn zdaje się być pełen entuzjazmu.

Powiedzieli Voightowi, żeby zadzwonił do domu po jakieś ubrania i pojechał trochę odpocząć.

— To niemożliwe — jęknął de Graaf, gdy znaleźli się na korytarzu. — To szanowany obywatel. Dobry Boże, nawet go wprowadziłem do klubu!

— Stan szyi Voighta i jego obecność w kanale mówią same za siebie.

Wspomniałem już, że może prowadzić podwójne życie — raz być Jekyll'em, innym razem Hyde'em; pory doby mu się tylko pozajęcz-kowały.

Przed wyjściem Van Effen zatrzymał się nagle. De Graaf również stanął.

— Rzadko dostrzegam na twojej twarzy wyraz zatroskania. Co się stało, Peter?

— Mam nadzieję, że nic. Coś mi się kołacze w głowie, ale nie miałem czasu, by się nad tym zastanowić. Dopiero teraz przyszło mi to na myśl. Ten telefon w czasie lunchu? Czy dzwonił na posterunku?

— Oczywiście. Dzwonił starszy sierżant Bresser.

— Skąd otrzymał informacje o wypadku?

— Chyba ze szpitala. Bresser stwierdził, że chciał się najpierw skontaktować z tobą, potem z porucznikiem Valkenem, aż w końcu zadzwonił do mnie. Czy to ważne?

— Ważne. Młody doktor Prins z kostnicy nie należy ani do doświadczonych, ani do specjalnie bystrych. Dla niego Engel mógł umrzeć w wyniku upadku z Havengebouw, na skutek przejechania przez samochód czy w wyniku nieszczęśliwego wypadku w zakładzie pracy. Kostnica zwykle nie zawiadamia policji, chyba że istnieje uzasadnione podejrzenie, że ofiara nie zmarła śmiercią naturalną. Bardzo możliwe, że telefon nie pochodził ze szpitala. Bresser to człowiek flegmatyczny

• uczciwy, ale nie jest zbyt inteligentny. Czy to był pański pomysł, aby zadzwonić do Julie i ściągnąć mnie tutaj?

\_ Zaczynasz mnie martwić, Peter, choć doprawdy nie wiem dlaczego. W rozmowie wspomniano twoje nazwisko, ale nie pamiętam, kto zaproponował, abyś i ty wybrał się na przejażdżkę do kostnicy. Do cholery z tym lunchem.

— Chwileczkę, sir. — Van Effen podszedł do budki telefonicznej i wykręcił numer. Trzymał słuchawkę w dłoni przez jakieś piętnaście sekund, podczas gdy de Graaf patrzył nań z zakłopotaniem, które prze rodziło się w obawę, ta zaś w zrozumienie faktu. Był już przy drzwiach wejściowych i otwierał je, gdy Van Effen odłożył słuchawkę i ruszył

biegiem w jego stronę.

Van Effen nie zadał sobie trudu, by zadzwonić do drzwi mieszkania Julie.

Otworzył je wyjętym z kieszeni kluczem i wszedł do środka. Salon wyglądał

całkiem normalnie, ale to nic nie znaczyło. Podobnie sypialnia Julie. Dopiero łazienka przedstawiała całkowicie odmienny widok. Thyssen, wartownik, leżał na podłodze i z wściekłością i poświęceniem, które zaczynały graniczyć z apopleksją, rzucał się próbując zsunąć fachowo założone więzy i knebel.

Uwolnili go i pomogli wstać — musieli go podtrzymywać, by nie upadł.

Sądząc z błękitnosinego koloru, dłonie i stopy dopiero co włączyły się ponownie do krwioobiegu. Ktokolwiek go związał, zrobił to z prawdziwym entuzjazmem.

Pomogli mu dojść do salonu i usiąść w fotelu. Van Effen masował jego ręce i stopy i sądząc z jęków, nie był to dla niego zbyt miły zabieg. De Graaf przyniósł butelkę brandy. Podniósł napełnioną przez siebie szklaneczkę do jego ust, bo Thyssen nie zdołał jeszcze w pełni odzyskać władzy w dłoniach.

— Van der Hum — rzekł de Graaf spoglądając na etykietę — uniwersalny specyfik i sądzę, że w takich okolicznościach można zignorować przepisy...

Van Effen uśmiechnął się w sposób wskazujący, że przebieg wypadków go nie zaskoczył.

— Ten, kto tworzy przepisy, może je złamać. Zapamiętam to, sir.

Ledwie umoczyli usta, gdy Thyssen odzyskał siłę w dłoniach na tyle, że mógł podnieść szklankę do ust i wychylić połowę jej zawartości jednym potężnym łykiem. Odkasznął, odchrząknął i po raz pierwszy się odezwał:

— Boże, przykro mi poruczniku. Cholernie mi przykro. Pańska siostra i ta młoda dama — wypili resztę brandy. — Powinienem chyba zostać rozstrzelany.

— Chyba tak nie skończysz, Jan — uśmiechnął się Van Effen. — To nie twoja wina. Co się właściwie stało?

Thyssen był tak wściekły i rozgoryczony, że opowiadanie szło rtiu niezbyt spójnie, ale w końcu wykrztusił, co mu się przytrafiło. Zgodnie z poleceniem pilnował wejścia. Podeszedł do niego wojskowy w randze majora. Kto mógłby podejrzewać o jakieś złe zamiary holenderskiego oficera? Wyjął pistolet z tłumikiem, która to broń raczej nie znajduje się w wyposażeniu armii, zmusił

Thyssena, aby oddał mu klucz, otworzył drzwi i wepchnął policjanta do środka. Dziewczętom poradził, by się nie ruszały i nie wrzeszczały, czego rozsądnie usłuchały. W chwilę potem przyłączyło się do niego trzech ludzi wyglądających jak pracownicy firmy zajmującej się przeprowadzkami. Mieli na sobie ciężkie, skórzane fartuchy używane w tym zawodzie, a jedynym szczegółem, który odróżniał ich od zwykłych robotników był fakt, że mieli na głowach kaptury a na rękach grube, ochronne rękawice. Poza tym Thyssen nie potrafił powiedzieć nic więcej. Zaprowadzono go do łazienki i zostawiono związanego na podłodze.

Van Effen poszedł do sypialni Annemarie. Rozejrzał się szybko i wrócił do salonu.

— Na łóżku leży stos rzeczy Annemarie. Zniknęła też szafa na ubra nia. Dziewczyny musiały zostać związane, zakneblowane i wyniesione z mieszkania w jej opróżnionym wnętrzu. Dla przypadkowego obserwatora byłaby to zwykła, rutynowa przeprowadzka. Musieli mieć mnie na oku, sir, od chwili gdy pan zadzwonił do mnie z restauracji. Mieli z pewnością w okolicy ciężarówkę firmy przewozowej i podjechali nią pod dom, gdy tylko zobaczyli, że opuściłem mieszkanie. Ciekaw jest tem, jak dziewczyny zniosły tę niewygodną podróż. Przypuszczam, że w ogóle nie zdawały sobie sprawy z niewygód panujących we wnętrzu szafy. Były zapewne w szoku. Ironia losu, wie pan, obie opowiadały mi dziś rano o swoich złych przeczuciach. Pech polegał na tym, że miały rację i tylko pomyliły obiekt.

De Graaf ze szklanką Van der Hum w dłoni chodził jak struty po pokoju.

Jego twarz odzwierciedlała złość i przygnębienie.

— Co te diabły zamierzają? Czego chcą? Kogo chcą? Annemarie? Julie? A może obie?

— Julie.

Van Effen wręczył mu pocztówkę, którą razem z Julie oglądali po południu.

De Graaf wziął ją do ręki, obejrzał kopertę, kartkę i spytał:

— Kiedy to dostałeś?

— Tuż po obiedzie. Julie zdenerwowała się, ale przekonałem ją, że nie ma się czym martwić. Spryciarz z naszego Van Effena. Inteligentny jak cholera.

— A więc nasi przyjaciele wrócili. Annecys są znów w Amsterdamie.

Nie tracą czasu. Przypomnieli ci o sobie najlepiej jak tylko mogli. Boże

— przepraszam, Peter.

— Szkoda mi dziewczyn. Zwłaszcza Annemarie. Miała pecha, że była tu, kiedy przyszli po Julie. To wszystko przez tego idiotę Van Effena, który ubzdurał sobie, że znalazł dla niej idealne schronienie. Niech pan nie zapomina, sir, że Annecys byli i bez wątpienia są nadal, specjalistami w dziedzinie szantażu. — De Graaf pokiwał głową, ale nadal milczał. — Miłe z pana strony, ale sam wiem, że są także specjalistami w kwestii tortur, co było głównym powodem rozbicia ich gangu.

— Nie byliśmy zbyt przewidujący — rzekł de Graaf.

— Raczej ja nie byłem zbyt przewidujący. — Van Effen napełnił

szklaneczkę Thyssena, nalał sobie i usiadł w głębokim fotelu.

Po jakichś dwóch minutach de Graaf spojrzał nań i spytał:

— Czy nie powinniśmy wziąć się do roboty? Popytać sąsiadów, ludzi mieszkających w pobliskich domach?

— Żeby sprawdzić modus operandi porywaczy? To strata czasu. Wiemy już wszystko. Mamy do czynienia z zawodowcami, ale nawet zawodowcy popełniają błędy.

— Jakoś ich nie dostrzegam — rzekł ponuro pułkownik.

— Ja również. Sądzę, że chodziło im o Julie. — Van Effen sięgnął po telefon. — Za pozwoleniem, sir. Muszę coś sprawdzić. Vasco, sierżant Westenbrink. Tylko on wiedział, gdzie zatrzymała się Annemarie. Tamci, kimkolwiek są, mogli go śledzić i przy użyciu metod, o których wolę nawet nie myśleć, dowiedzieć się wszystkiego.

— Myślisz, że to możliwe?

Wykręcając numer Van Effen powiedział:

— Możliwe tak, prawdopodobne nie. Nie sądę, by ktokolwiek mógł

śledzić Vasco tak, by ten o tym nie wiedział. Vasco? Tu Peter. Czy ktoś

°d rana się tobą interesował?... Rozmawiałaś z kimś?... Annemarie i moja siostra Julie zostały porwane... Jakąś godzinę temu... nie wiem dokładnie. Przebierz się jakoś po ludzku i przyjedź tu do nas, dobrze?

— Van Effen odłożył słuchawkę i rzekł do de Graafa: — Chodziło jed nak o Julie. Nikt z łomem się do niego dzisiaj nie zbliżał.

— Kazałeś mu tu przyjechać?

— Owszem. Jest zbyt dobrym fachowcem, by pozwalać mu na bezczynność.

Chciałbym również, za pana pozwoleniem, zatrudnić Geo-rge'a.

— Twojego kumpla z „La Caracha”? O ile dobrze pamiętam, ten człowiek ma kłopoty z wtopieniem się w otoczenie.

— Chodzi o pomoc dla Vasco. George to bystry facet i zna się na mentalności przestępców jak mało kto. Stanowi również niezłą polisę ubezpieczeniową. Posuwamy się naprzód, powolutku bo powolutku, ale stale.

Myślę, że mogę już teraz bez wątpliwości powiedzieć, że bracia Annecys i domniemani zamachowcy, pragnący wysadzić pałac królewski, muszą współpracować ze sobą. Jak inaczej Annecys mogliby dowiedzieć się, że śledzący jednego z członków „gangu pałacowego” Rudolf Engel został

załatwiony i odwieziony do kostnicy?

— „Gang pałacowy”, jak ich nazwałeś, mógł być przecież na wniosek Annecys inicjatorem tego porwania.

— Dwie sprawy, sir. Po pierwsze: po co Agnelli i jego przyjaciele mieliby porywać siostrę Van Effena? Nic by przez to nie zyskali. Bracia Annecys przeciwnie. Po drugie: nieważne, czy bracia Annecys dali Agnellemu adres Julie czy nie, sęk w tym, że bracia Annecys znają braci Agnelli.

— Czy to nam coś daje, Peter?

— W chwili obecnej? Nic, ale stawia nas w niezbyt korzystnym położeniu.

To zawodowcy, którzy w razie gdyby poczuli się zagrożeni, mogą zastosować specjalne środki ostrożności, choć pojęcia nie mam na wypadek czego.

— Ja również. Po prostu nie zrobimy nic. Zresztą, jak sądzę, i tak nic nie możemy zrobić.

— Parę drobiazgów, na przykład Alfred van Rees.



— A jaką rolę w spółce Annecys — Agnelli odgrywa van Rees?

— Żadną. Przynajmniej na razie. Sugeruję, żebyśmy doczepili mu dwa ogony. Jeden, by miał oko na Reesa, drugi aby uważał na pierwszy. Mas Voight miał więcej szczęścia niż rozumu. Poza tym proponuję sprawdzić konto bankowe van Reesa.

— Po co?

— Podpora Rijkswaterstaat mógł przekazać terrorystom ściśle tajne informacje. Na pewno nie za darmo, a jeśli nie jest dość sprytny to wpłaci pieniądze na swoje konto. Mógł użyć fałszywego nazwiska, ale nie sądzę, aby był na tyle cwany. Przestępcy, a zwłaszcza amatorzy, często popełniają kardynalne błędy.

— To nielegalne: nie został przecież o nic oskarżony, nie mówiąc już o skazaniu!

— Oni porwali Julie i Annemarie.

— Wiem. Jaki to ma związek z Reesem?

■— Żadnego. O ile wiem. Właśnie myślałem o tym, co dziś po południu powiedziała mi Julie. Stwierdziła, że to dość dziwne, że wszystkie te akcje terrorystów wysadzających tany, „grupy pałacowej” i braci Annecys zaczęły się równocześnie. Może to być zwykły zbieg okoliczności, choć mocno w to wątpię. Może po prostu zaczynam nienawidzić przestępców? Niech pan o tym zapomni, pułkowniku. Plotę trzy po trzy.

Zadzwonił telefon. Van Effen podniósł słuchawkę, słuchał chwilę, podziękował i odłożył słuchawkę.

— Zaraz się pan ucieszy, sir. Radio za dziesięć minut ma przekazać najnowszy komunikat FFF.

— Należało się spodziewać. Co do twoich sugestii, Peter, to w innym wypadku machnąłbym na to ręką, ale twoje przypuszczenia mają dziwny zwyczaj się sprawdzać. Kto wie: może jesteś jasnowidzem? Polecę, by dwa zespoły śledziły van Reesa i sprawdzimy jego konto. Pewnie wyląduję za to przed komisją dyscyplinarną, naturalnie razem z tobą.

— Sięgnął po telefon. — Zajmę się wszystkim.

Kiedy odłożył słuchawkę na widełki, Van Effen powiedział:

— Dziękuję. Przepraszam sir, czy pańscy przyjaciele z uniwersytetu dostali wszystkie taśmy, łącznie z tą, którą nagrałem w „Hunter's Horn”?

De Graaf skinął głową.

— Kiedy pan oczekuje od nich jakiejś wiadomości?

— Kiedy tylko będą mieli dla nas jakąś ciekawą informację. W Akademii wszystko robi się wolno, ale solidnie.

— Czy nie mógłby pan ich trochę podgonić, sir? Stan zagrożenia państwa czy coś takiego?

— Zobaczymy, co się da zrobić — de Graaf wykręcił numer, zamienił parę słów z niejakim Hektorem, po czym zwrócił się do Van Effena:

— O szóstej?

— O piątej czterdzieści pięć, jeśli to możliwe.

De Graaf przekazał informację, odłożył słuchawkę i spytał:

— Coś ty się zrobił taki punktualny?

— O szóstej trzydzieści mam otrzymać w „Trianon” materiały dotyczące detonatora, którym będę musiał się posłużyć dzisiejszej nocy podczas akcji w pałacu.

— Pierwsze słyszę. Jesteś piekielnie aktywny jak na swój wiek. Ktoś mógłby się niełicho zdziwić słysząc o punktualności policji względem kryminalistów.

— Być może. Czy zna pan osobiście jakiegoś chirurga plastycznego?

— Chirurga plastycznego? Po co ci... Pewnie masz swoje powody. Czy ty myślisz, że ja znam wszystkich obywateli tego miasta?

— O ile wiem, to tak. W każdym razie prawie wszystkich.

— Mogę pogadać z policyjnym chirurgiem plastycznym.

— De Wit nie jest chirurgiem plastycznym.

— Znam jednego, to mój przyjaciel. Ma na imię Hugh. To wybitny chirurg.

Profesor Hugh Johnson.

— Chyba nie jest Holendrem?

— To Anglik. Pracował w East Grinstead. Jest jednym z najlepszych chirurgów plastycznych w Europie, a może i na świecie. To geniusz — de Graaf uśmiechnął się. — Brakuje mu może holenderskiego sprytu, ale to bystry facet. Poznał tu kiedyś dziewczynę, Holenderkę. Sześć miesięcy później ożenił

się z nią i zamieszkał w Amsterdamie. Nadal nie wie, jak to się stało. Gdybyś był tak dobry i powiedział mi, o co ci chodzi...

— Oczywiście. Agnelli widział, że mam bliznę na twarzy i wie, że mam okaleczoną dłoń. Chcę, żeby te blizny wyglądały jeszcze bardziej realistycznie i nie mogą dać się zmyć, odkleić czy zniknąć po kilku godzinach.

— Rozumiem. To znaczy, nie rozumiem — rzekł de Graaf. — To mi się nie podoba. Wiesz dobrze, że Agnelli może chcieć cię sprawdzić. Myślałem jednak, po tym co mi powiedziałaś, że zdołałeś sobie ugruntować odpowiednią pozycję w ich grupie.

— Myślę, że tak, sir. Ale wobec nich lepiej stosować szeroko rozwiniętą profilaktykę. Sądzę, że znajdą dziś sposób, by sprawdzić, czy blizny są autentyczne i to w niezbyt nachalny czy niemal niezauważalny sposób.

De Graaf westchnął.

— Żyjemy w świecie obłudy i podstęp. Wydaje mi się, Peter, że zdołałeś dostosować się do jego warunków. Zobaczmy, co da się zro bić. Znowu ten cholerny telefon.

Odebrał Van Effen. Słuchał chwilę po czym polecił:

— Przyślij kogoś z nimi, dobra? Poczekaj chwilę. — Zwrócił się do de Graafa: — Sierżant Oudshoorn. Mówi, że dom pod numerem trzy dziesiątym ósmym jest pusty. Sąsiedzi twierdzą, że nikt tam nie mieszkał

od paru ładnych lat. Znikła też większość mebli. Sierżant Oudshoorn jest młody i pełen entuzjazmu, właśnie skończył przeszukiwanie pozostałych mebli, w tym zamkniętych szuflad.

— Z pomocą dłut i łomów, jak sądę.

— Przypuszczam, że ma pan rację. Wątpię też, by ktoś wniósł skargę z tego powodu. Powiada, że natknął się na parę dziwnie wyglądających jnap i planów, ale nie bardzo może się w nich rozeznąć. Kazałem mu je przysłać przez kuriera. Lepiej nie zmarnować jedynej szansy na tysiąc, po drodze posłaniec mógłby zabrać kogoś myślącego z biura architekta miasta, kto mógłby nas oświecić w tej kwestii?

— Szansa jest jedna na tysiąc... Mam się tym zająć?

— Tak, sir. — Zwrócił się do sierżanta: — Kurier ma po drodze zabrać kogoś z biura architekta miasta. Ten ktoś będzie już na niego czekał.

Pułkownik to zorganizuje.

Podczas gdy de Graaf zajął się telefonem i instrukcjami (de Graaf nigdy nie prosił o coś telefonicznie), Van Effen włączył cicho radio. Kiedy pułkownik odłożył słuchawkę, nie ustawił radia głośniej — nie lubił ogłuszającej muzyki, ale zrobił to natychmiast, gdy łomot ucichł. Rozległ się głos spikera:

— Przerwywamy nasz program, by nadać komunikat specjalny. FFF, grupa, o której akcjach słyszeliście lub czytaliście państwo w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, przekazała nam kolejną wiadomość. Oto ona: „Przyrzekliśmy wysadzić tamę na kanale North Holland lub Hagenstein lub obie. Tama w Hagenstein pozostała nietknięta dlate go, że nigdy nie zbliżyliśmy się do niej na odległość mniejszą niż pięć dziesiąt kilometrów. Daliśmy jednak zajęcie całej masie wojska, policji,

lotnictwa i ekspertów z Rijkswaterstaat; a o to nam, między innymi, chodziło. Chcemy, aby wszyscy przekonali się, że możemy spowodować powódź gdzie i kiedy zechcemy i to na taką skalę, jaką będziemy chcieli. Możemy to zrobić, jak wynika z naszych poprzednich akcji, całkowicie bezkarnie. Władze Holandii są całkiem bezsilne. Jesteśmy przekonani, że ludność Holandii nie chce, aby nasze akcje się powtórzyły. My również nie chcemy. Pragniemy omówić nasze żądania z kompetentnym członkiem naszego rządu. Sugerujemy, żeby szczegóły spotkania, mającego odbyć się dziś wieczór, oraz jego miejsce, zostały przetransmitowane przez radio i telewizję. Chcemy rozmawiać jedynie z którymś z członków rządu. Żądamy zapewnienia, że nasz negocjator nie zostanie aresztowany, represjonowany ani zatrzymany. Za pewniamy wszystkich członków rządu, że ładunki zostały już zamontowane i są gotowe do odpalenia. Znajdują się na południe i na północ od Lelystad — nie sprecyzujemy dokładnie, w którym miejscu. Są one o wiele większe od poprzednich i naprawa szkód potrwa wiele dni, jeśli nie tygodni. Jeśli nasz negocjator nie wróci punktualnie, zatopione zostaną wielkie połacie Oostlijk-Flevoland. Nie będzie żadnego ostrzeżenia. Tamy zostaną zniszczone w nocy o ściśle określonej godzinie. Odpowiedzialność za bezpieczeństwo Oostlijk-Flevoland spadnie całkowicie na rząd. Nie prosimy o wiele, chcemy po prostu porozmawiać. Jeśli władze zignorują naszą propozycję i negocjacje z naszym człowiekiem nie dojdą do skutku, polder zostanie zatopiony. Przy następnej okazji rząd okaże być może trochę większą ochotę do współpracy. Jesteśmy pewni, że mieszkańcy Holandii zgodzą się, że rząd kierując się źle pojętą dumą nie ma prawa narażać na niebezpieczeństwo mieszkańców tego olbrzymiego obszaru oraz że szkoda byłoby zatapiać tak duży i wspaniały polder. Nadszedł czas dyskusji. Lepiej porozmawiać teraz, niż gdyby miało się to stać po akcji mogącej spowodować nieodwracalne w skutkach zniszczenia. Ładunki wybuchowe są już na swoich miejscach".

— Oto treść całego komunikatu; Rząd poprosił nas, nie kazał, lecz poprosił, aby nie komentować ani nie roztrząsać kwestii bezczelnych żądań wysuniętych w tym komunikacie, dopóki nie zostanie podjęta decyzja co do dalszego trybu postępowania. Chcielibyśmy uspokoić ludność wspomnianego obszaru, że rząd jest przekonany, iż groźba kolejnego zamachu miała tu jedynie posłużyć do wymuszenia udziału członków gabinetu w zamierzonym przez terrorystów spotkaniu oraz zapewnić, iż władze posiadają środki niezbędne do zapobieżenia tej, jak i innym groźbom.

Van Effen wyłączył radio.

— Boże, chroń nas przed politykami! Przecież oni sami nie wiedzą co mówią! Nie dziwię się: nie mieli nawet czasu na przemyślenie całej sytuacji, o ile w ogóle mogą myśleć. Są przekonani... o czym? Przecież oni w ogóle nie wiedzą, co tu się dzieje. Mówią, by im uwierzyć... cholera, prędzej bym uwierzył pensjonariuszowi wariatkowi.

— To się nazywa niesubordynacja, Van Effen. Za takie gadanie na temat naszego rządu mógłbym cię zamknąć — westchnął de Graaf. — Kłopot w tym, że i ja poszedłbym wtedy siedzieć, bo całkowicie podzielam twoje zdanie. Jeśli nasze władze myślą, że ludzie uwierzą w takie brednie, to znaczy, że jest z nimi naprawdę gorzej niż sądziłem. Sytuacja jest krytyczna. Czy uważasz, że nasz rząd zdaje sobie sprawę, że stoi między młotem a kowadłem?

— Oczywiście. W innym wypadku nie zaczęliby obijać sobie dupy blachą.

Jeśli chowają głowę w piasek, to znaczy, że są kompletnie bezradni. Popełnili kilka błędów. Po

pierwsze: komentator podkreślił słowo

„poprosił” zamiast „nakazał” w wypowiedzi rządowej. Przecież rząd wyraźnie przyjął pozycję obronę. W innym wypadku spiker nie użyłby zwrotu

„bezczelne żądania”. W ich dezyderatach nie ma nic bezczelnego. Chodzi im po prostu o spotkanie. Dopiero tam wysuną bezczelne żądania. Tego możemy być pewni.

.— Dyskusje na ten temat do niczego nas nie doprowadzą — zauważył

ponuro pułkownik. — Mamy inne sprawy na głowie.

.— Właśnie — zgodził się Van Effen. — Muszę stawić się na spotkanie w

„Trianon”. Jest tam facet, który będzie na mnie czekał, ale na pewno nie spodziewa się, że wiem o jego istnieniu. To jeden z ludzi Agnellego. Myśli, że przespałem całe popołudnie, co nie byłoby głupie. Oczekuje mnie w pełnej gotowości i nie należy go zawieść.

Zadzwonił telefon. Odebrał de Graaf i wręczył słuchawkę Van Effenowi.

— Tak... tak... porucznik Van Effen. Poczekam. Dlaczego? — odsunął

słuchawkę od ucha. — Jakiś błazen nie chce, żeby popękały mi bębienki... —

przerwał gdy usłyszał przeraźliwy, świdrujący uszy kobiecy krzyk. Znowu przytknął słuchawkę do ucha i po paru sekundach odłożył ją na widelki.

— Co to było? — spytał wstrząśnięty de Graaf.

— Julie. Tak w każdym razie powiedział ten facet. Oznajmił: „Twoja siostra jest oporna. Nie chce współpracować. Zadzwonimy, gdy zdecyduje się na współpracę”.

— Tortury — rzekł pułkownik spokojnie, ale wyraz jego oczu przeczył

temu spokojowi. — Będą torturować Julie!

— To specjalność braci Anecys, ale to było zbyt sztuczne, zbyt teatralne...

Sam nie wiem, co o tym myśleć.

— Boże! Peter, to twoja siostra!

— Wiem, sir. Będę o tym pamiętał, gdy ich spotkam.

— Zlokalizuj połączenie!

— Mam dobry słuch, sir. Słyszałem delikatny szum magnetofonu. Mogli puścić tę taśmę z pierwszego lepszego aparatu. To właśnie nasunęło mi myśl o oszustwie.

— No to po kiego diabła ten telefon?

— Z dwóch powodów, choć rozsądny wydaje mi się tylko pierwszy: nie sędzę, aby myśleli i spodziewali się, że przejrzą oszustwo; raczej wydaje im się, że jestem tak przejęty porwaniem siostry, że bez wahania przyjmę wszystko, co mi zaoferują. Po drugie: oni nie chcą Julie.

Chcą mnie. Działają psychologicznie. Chcą, żebym zmiękł. Chcą mnie złamać psychicznie.

De Graaf wstał w milczeniu i nalał sobie drugiego Van der Hum. Usiadł i po chwili namysłu zaczął:

— Mówię to z trudem, poruczniku, ale wydaje mi się, że gdy An-necys następnym razem zadzwonią, to powiedzą po prostu: „Poruczniku, oddaj się w nasze ręce albo twoja siostra umrze. Możemy ci przysiąc, że będzie umierać wolno — bardzo, bardzo wolno”. Zrobiłbyś to?

— Co?

— Czy oddałbyś się w ich ręce?

— Oczywiście. Muszę już pędzić do „Trianon”. Jeśli miałby pan coś dla mnie, niech pan dzwoni do hotelu. Jak pan pamięta, nazywam się Stefan Daniłow. Długo pan tutaj zostanie?

— Dopóki nie zobaczę tych map czy planów, które znalazł sierżant Oudshoorn i dopóki porucznik Valken się tu nie zjawi: muszę go we wszystko wprowadzić.

— Zna pan przecież wszystkie fakty?

— Miejmy nadzieję — rzekł enigmatycznie de Graaf.

Kiedy Van Effen wyszedł, Thyssen spytał ostrożnie:

— Wiem, że to nie moja sprawa, sir, ale czy porucznik rzeczywiście by to zrobił?

— Co takiego?

— Czy oddałby się w ich ręce?

— Powiedział tak, prawda?

— Ale... to byłoby samobójstwo. To byłby ostatni dzień jego życia...

— Na pewno byłby to ostatni dzień czyjś życia — odparł de Graaf obojętnym tonem.

Van Effen wrócił tylnym wejściem do pokoju w „Trianon” i zadzwonił do recepcji.

— Charles? Tu Van'Effen. Czy nasz przyjaciel już wrócił?... To dobrze. Na pewno usłyszysz wszystko, co powiesz. Powtarzaj za mną: „Oczywiście, panie Daniłow. Zaraz przyniosę kawę... oczywiście, nikt nie będzie pana niepokoić... Oczekuje pan gościa o szóstej trzydzieści. Rozumiem”. Daj mi znać,

jak sobie pójdzie.

Po jakichś trzydziestu sekundach Charles zadzwonił do jego pokoju i stwierdził, że człowieczek opuścił hotel.

Van Effen skończył się charakteryzować na Stefana Daniłowa, gdy rozległ się sygnał telefonu. Dzwonił de Graaf. Powiedział, że chce mu pokazać coś ciekawego. Van Effen odrzekł, że zjawi się u Julie za dziesięć minut.

Kiedy Van Effen dotarł do mieszkania Julie zauważył, że Thyssen zniknął a jego miejsce zajął porucznik Valken. Valken był niski, tęgi, okrągłutki i łatwy we współżyciu. Fakt, że miał parę lat więcej i był podwładnym Van Effena wcale go nie deprymował; byli dobrymi przyjaciółmi. Valken przyjrzał się porucznikowi i ocenił:

— Mieszanina doliniarza z handlarzem żywym towarem i z domieszka alfonsa... ciekawe.

De Graaf spojrzał na Van Effena z wyraźną odrazą.

— Nie dopuściłbym go bliżej niż na milę do swoich córek. Najlepiej byłoby go od ręki odstrzelić. — Wskazał na stos papierów leżących przed nim na stole. — Chcesz je przejrzeć, Peter, czy wolisz, żebym pokazał ci te najciekawsze?

— To drugie.

— To się nazywa sznapśbaryton! Obejrzyj pierwsze pięć od góry.

Van Effen obejrzał pięć wskazanych planów ukazujących kilka pięter tego samego budynku. Z liczby pokoi na każdym piętrze można było wnioskować, że była to faktycznie spora budowla.

— A co ma z tym wspólnego van Rees? — zdziwił się Van Effen.

— Niech cię diabli! — wrzasnął de Graaf. — Skąd wiedziałeś, że to plany pałacu królewskiego?

— A pan nie wiedział?

— Nie wiedziałem — de Graaf westchnął. — Ale nasz młody architekt urządził mi krótki wykład. Odebrałeś staremu człowiekowi jego jedyną przyjemność.

— Jak na kogoś, kto zawsze twierdził, że jest w kwiecie wieku była to wstrząsająca szczerść.

— Tak przypuszczałem. Dobrze by było gdybym przyjrzał się uważniej tym planom, bo za trzy godziny będę w pałacu. Co z van Reesem?

— Mój stary, wierny druh! — warknął z goryczą w głosie de Graaf. —

Powinienem być cię wcześniej posłuchać, chłopcze, powinienem być cię posłuchać. Co zaś do jego kont bankowych, to...

— Nie ma kont?

— Zlikwidował je.

— A sam zniknął?

— Podjął cztery miliony guldenów — rzekł de Graaf. — Cztery mi, liony.

Dyrektor banku wypłacił całą sumę, choć wydało mu się to nieco dziwne, ale...

— Ale nie kwestionuje się poczynań filarów społeczeństwa, prawda?

— Wyleją mnie z klubu jak nic — jęknął de Graaf.

— Są jeszcze inne kluby. Lotnisko Schiphol jest, jak sędzę, nadal zamknięte?

— Błąd — na twarzy de Graafa pozostał wyraz goryczy. — Przed dwudziestoma minutami odleciał stamtąd pierwszy samolot linii KLM do Paryża. Podano tę informację dziesięć minut temu.

— A van Rees z forszą w kieszeni odleciał pierwszą klasą?

— Tak.

— I nie ma podstaw, by wnieść prośbę o ekstradycję. Nie możemy go przecież o nic oskarżyć. Nie mamy żadnych dowodów. Jak ich nie uzyskamy, to kiedy to wszystko się skończy osobiście się wybiorę na wycieczkę do Francji!

— Słyszałem co nieco o twoich metodach działania, Peter.

— Miło mi. Tyle że na razie, kiedy van Rees znajduje się nad terytorium Francji, moje metody działania stają się sprawą drugorzędną. Wygląda na to, że van Rees, który grupie wysadzającej tamy przekazywał wszystkie potrzebne informacje na temat śluz, był też związany z pałacowymi piromanami, z którymi także współpracują bracia Anecys. Julia pierwsza zwróciła mi na to uwagę, choć skromnie muszę przyznać, że myślałem już wcześniej o takim powiązaniu. Uczciwość nie pozwala mi tego przemilczeć.

— Jesteś wzorem cnót, Peter.

— Dziękuję, sir. Czyli że nasze przypuszczenia stały się faktem. Mamy przeciwko sobie nie trzy tylko jedną, silną organizację przestępczą. To nam ułatwia sprawę.

— O... oczywiście — de Graaf obdarzył Van Effena spojrzeniem, któremu wiele brakowało do uprzejmości. — A dlaczego?

— Dlaczego? — zamyślił się Van Effen. — Nie wiem.

— Niebiosa, wspomóżcie Amsterdam — mruknął de Graaf.



— Sir?

Pukanie do drzwi wybiło pułkownika ze stanu chwilowego osłupienia.

Valken otworzył drzwi. Oczom wszystkich ukazał się wysoki, szczupły gentleman o szpakowatych włosach, w okularach w metalowej oprawie i o wyglądzie arystokraty. De Graaf poderwał się z miejsca i przywitał się z nim gorąco.

^"

— Hugh, mój drogi. Miło, że przyszedłeś i to w dodatku tak wcześnie. Nie wątpię, że sprawiłem ci dziś masę kłopotów.

— Ależ skąd, komisarzu. To drobnostka. Pośpiech w chirurgii plastycznej nie jest wymagany, a nawet jest zbędny, a przy sześciomiesięcznym oczekiwaniu na zabieg ma się pewne pole do manewru.

— Profesor Johnson — przedstawił de Graaf. — Porucznik Van Effen, porucznik Valken.

— A, porucznik Van Effen — pułkownik wyjaśnił mi, czego pan ode mnie oczekuje. To dla mnie nowość. Zwykle ludzie proszą o likwidację blizn, a nie o ich tworzenie, i to do tego na twarzy czy dłoniach. Jakkolwiek są przyzwyczajenia i zboczenia...

Przyjrzał się bliźnie na twarzy Van Effena, wyjął szkło powiększające i raz jeszcze obejrzał charakterystykę.

— Nieźle, doprawdy nieźle. Wykazuje pan artystyczne zacięcie. Ja nie dałbym się oszukać, ale cóż... po tylu latach pracy i przyglądaniu się różnego rodzaju bliznom... Wątpię czy laik, który nie jest chirurgiem plastycznym, mógłby poddać w wątpliwość autentyczność tej bliźny. Pozwoli mi pan rzucić okiem na straszliwą ranę dłoni, którą przed ludzkim wzrokiem skrywa ta czarna, skórzana rękawiczka. — Przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę. — No, no, ta jest jeszcze lepsza.

Gratuluje precyzji. Wygodna sprawa z tą lewą ręką. Jakiś bandzior może jednak zacząć coś podejrzywać. Jest pan przecież praworęczny.

Van Effen uśmiechnął się:

— Po czym pan poznał?

— Mańkuci nie noszą kiepsko ukrytej broni w kaburze pod lewym ramieniem.

— Za późno na zmiany, sir. Zostałem już zapamiętany jako facet z czarną rękawiczką na lewej dłoni.

— Rozumiem. Potrzebne są solidniejsze blizny. Tak, by nie można ich było zerwać czy zmyć... Przypuszczam, że chodzi o to, że ktoś może chcieć sprawdzić czy są prawdziwe; mógłby je zacząć zdrapywać albo chcieć zmyć namydloną gąbką i gorącą wodą?

— Żeby pozbyć się tego co mam na sobie, używam właśnie kawałka gąbki, odrobiny mydła i

miednicy z wodą.

— Uczciwa, trwała blizna wymaga paru tygodni. Tylko że tym razem nie mamy czasu. Czy to Van der Hum, pułkowniku?

— Zgadza się — pułkownik napełnił szklankę i podał ją doktorowi.

— Dziękuję. Normalnie się o tym nie mówi, ale niektórzy ludzie w naszym zawodzie, no cóż rozumie pan... przed operacją...

— Operacją? — podejrzliwie spytał Van Effen.

— Tym razem to drobnostka — odrzekł Johnson. Wypił brandy, a potem otworzył małe, metalowe pudełko, wewnątrz którego wypełniono nie było całą masą błyszczących narzędzi chirurgicznych. — To zwykła seria zastrzyków podskórnych. Wstrzyknę panu trochę różnych barw ników, które w efekcie stworzą nam wrażenie pięknej, trwałej blizny.

Nie będzie żadnych śladów ani opuchnięć. Daję na to moje słowo. Nie będzie również miejscowego znieczulenia. Nie potrzeba.

Spojrzał na bliznę na twarzy.

— Muszę ją dokładnie odwzorować. Nie tylko wielkość i kolor, ale także musi być dokładnie w tym samym miejscu. Co do ręki to sprawę możemy uważać za załatwioną. Nikt przecież nie widział tych blizn. Zro bię panu na rękę coś doprawdy koszmarnego. Będzie wyglądało o wie le gorzej niż w tej chwili. Poproszę o gąbkę, wodę i mydło.

Po dwudziestu pięciu minutach pracy Johnson wyprostował się.

— Nie jest to moje najlepsze dzieło, ale wydaje mi się, że wygląda całkiem nieźle. Niech pan sam spojrzy, poruczniku.

Van Effen podszedł do lustra, spojrzął w nie i skinął głową.

— Pierwszorzędne. Nie do porównania z moją. — Przez dłuższą chwilę z melancholią i podziwem przyglądał się swojej oszpeconej lewej dłoni. Parę razy dotykał blizn. — Wyglądają jak prawdziwe. Wykonał pan wspaniałą robotę, profesorze. Ile czasu minie, nim te blizny znikną?

— Nie wiem dokładnie. Te barwniki mają inny skład chemiczny niż używane przy robieniu tatuaży. Proces ich wchłaniania jest dość długi i waha się w granicach dwóch do trzech tygodni. Niech się pan nie martwi, poruczniku — na pewno znikną, to mogę zaręczyć...

De Graaf i Van Effen spotkali się z profesorami: Hektorem van Dam, Bernardem Spanem i Thomasem Spanraftem w salonie, w mieszkaniu van Dama. Jak przystało na naukowców, wyglądali zupełnie zwyczajnie. Sprawiali wrażenie biznesmenów i rzetelnych Holendrów z lekką nadwagą, cieszących się życiem; czerwień ich policzków mogła być wynikiem nadmiaru wypitego wina lub duchoty jaka panowała w pokoju.

— No cóż, panowie, chyba mamy interesujące was informacje — za czał van Dam. — To było dziecinnie łatwe. Mamy w kraju specjalistów w dziedzinie lingwistyki, zwłaszcza orientalnej, którzy zajmują się językami azjatyckimi. Profesor Spanraft przybył tu z Rotterdamu. Ale w tym przypadku nie chodzi o języki orientalne. Oto, co udało się nam ustalić.

\_ Spojrzał na Van Effena. — Ten gentleman, którego poznał pan w jednej z kawiarenek, przedstawił się jako Helmut Paderewski. Nie jest Holendrem ani tym bardziej Polakiem. Pochodzi bez wątpienia z Południowej Irlandii.

Konkretnie: Dublin. Skąd ta pewność? Rok wykładów w Trinity w Dublinie.

Bernard?

— Moje zadanie okazało się jeszcze prostsze. Powiedziano mi, że Romero i Leonardo Agnelli są ciemnowłosi i ciemnoocy i wcale nie muszą pochodzić z rejonu Morza Śródziemnego czy terenów mieszczących się na południe od łańcucha Alp. Można ich znaleźć także w naszym, nordyckim z zasady kraju i w ich przypadku tak właśnie się rzeczy mają.

— Jest pan tego pewien, sir? — spytał Van Effen. — Znam Włochy całkiem nieźle i ...

— Poruczniku Van Effen — rzekł zaskoczony profesor van Dam.

— Jeśli mój kolega...

Profesor Span uniósł w górę prawą dłoń.

— Nie, nie Hektorze. Pytanie porucznika jest całkiem słuszne... Wy daje mi się, że pułkownik wraz z porucznikiem są wplątani w jakąś trudną sprawę — uśmiechnął się łagodnie. — To akademicka dyskusja, poruczniku. Z całą pewnością mogę powiedzieć, że ci ludzie są Holendrami jak pan i ja. Stawiam na to moje życie. Sądzę, że pochodzą z Utrechtu. Jest pan zaskoczony moją przenikliwością? Nie ma powodu. Moje kwalifikacje? Jestem Holendrem. Pochodzę z Utrechtu. Twoja kolej, Thomas.

Spanraft uśmiechnął się:

— Osiągnąłem wyniki zadziwiająco podobne do Hektora. Ta dama, która przekazywała telefonicznie komunikaty FFF, jest na pewno młodą i wykształconą osobą. Może nawet ukończyła studia. Pochodzi z Północnej Irlandii. Konkretnie z Belfastu. Dla rozwiania wątpliwości: byłem wykładowcą w Queen's University w Belfaście. — Uśmiechnął się.

— Na Boga, może nawet byłem jej wykładowcą...

— Jeśli tak — rzekł ponuro de Graaf — to na pewno nie nauczyłeś jej niczego dobrego.

De Graaf zwrócił się do Van Effena, prowadzącego tym razem volksWagena. Zrezygnował tego wieczora z peugeota, w którym była zamontowana policyjna radiostacja. Mogło się zdarzyć, że musiałby odwozić któregoś z zamachowców, a odkrycie policyjnej radiostacji nie byłoby ani mile,

ani przyjemne. A przede wszystkim niebezpieczne. Karta wozu i ubezpieczenie wypisane były na nazwisko Stefana Da-niłowa.

— Co myślisz o tym związku z Irlandią, Peter?

— Nie mam pojęcia, sir. Wiemy, że od dawna różni tacy sprzedają sowiecką broń, ale to drobne transakcje w porównaniu z dostawami chociażby z Jugosławii. Tym razem chodzi o coś znacznie większego. IR A nigdy nie przejawiała aktywności w Holandii, a teraz jest wręcz przerażająco aktywna.

Gdzie można pana złapać wieczorem?

— Miałem nadzieję, że o tym nie wspomnisz — odparł ponuro de Graaf. —

Miałem nadzieję spędzić go w domu, na łonie rodziny, ale teraz...? Jeśli rząd zdecyduje się na rokowania z FFF? O Boże, Peter, zapomnieliśmy wysłuchać wiadomości o szóstej. Miał być podany komunikat, gdzie i kiedy któryś z członków gabinetu spotka się z wysłannikiem FFF.

— Wystarczy zadzwonić. To i tak bez znaczenia.

— Fakt. Wspomniałem z kimś z rządu. Jak myślisz, kogo wybiorą?

— Ministra sprawiedliwości?

— Otóż to. Mojego pana i władcę, który twoim zdaniem jest zwykłą, starą babą... A starsze panie lubią towarzystwo... Kto według ciebie wylądjuje w roli jego opiekunki?

— Wydaje mi się, że pan byłby najlepszy do tej roli. Proszę nie zapomnieć dużego parasola, tak byście zmieścili się pod nim we dwóch.

— Lunał deszcz i to tak entuzjastycznie, że wycieraczki volkswagena stały się kompletnie bezużyteczne. — Niech pan weźmie również pod uwagę to, że znajdzie się pan na posiedzeniu, którego wynik może stanowić punkt zwrotny w historii Holandii.

— Wolałbym siedzieć w swoim własnym, wygodnym fotelu przy ko minku — uśmiechnął się de Graaf zapalając cygaro co natychmiast spo wodowało gwałtowne zmniejszenie i tak już ograniczonej widoczności.

— Gdziekolwiek bym się nie znalazł to i tak będę w lepszej sytuacji niż ty. Nie sądzę, by w pałacowych piwnicach znajdowały się jakiegokolwiek fotele. To wszystko mi się nie podoba, Peter. Zbyt wiele tu wątpliwości i znaków zapytania?

— Przyznaję, że nie palę się do tej roboty. Ale to nasza jedyna szansa. Jest jeszcze coś, co mi się nie podoba, dlatego sprawiło mi ulgę, że pański przyjaciel zajął się moimi bliźniami. Bardzo możliwe, że mają wobec mnie podejrzenia, z którymi się jak dotąd nie ujawnili.

— Skąd ci to teraz przyszło do głowy?

— Uwaga jednego z tych gentlemanów — profesora Spana. Powiedział, że pochodzi z Utrechtu i jest przekonany, że i bracia Agnelli są stamtąd.

— No i?

— Być może zapomniał pan o tym, ale Vasco — sierżant Westenb-rink, również pochodzi z Utrechtu.

— Niech to diabli — mruknął de Graaf pojmując implikację. — Niech to wszyscy diabli.

— Rzeczywiście. Policjanci i złodzieje przeważnie się znają. Przydadzą się nam dwie informacje. Vasco spędził w Utrechcie dużo czasu, działając w podobnych warunkach jak na terenie Krakerów. To mało prawdopodobne, aby zdołali go rozpoznać.

— Mało prawdopodobne to łagodne określenie tego cudu, że jeszcze żyjesz.

— Wiem, co mi grozi, umiem przewidzieć najgorsze i można to nazwać skalkulowanym ryzykiem: wiem, na co mogę sobie pozwolić. Obecnie mam nawet spore szanse na sukces. — Samochód zatrzymał się przed domem de Graafa.

— Cieszę się, że nie jestem hazardzistą. — De Graaf spojrział na zegarek —

Szósta siedemnaście. Jeśli będę chciał się z tobą skontaktować przez najbliższą godzinę to zastanę cię zapewne w „Trianon”?

— Tylko przez następnych czterdzieści — czterdzieści pięć minut. Potem wybieram się do „La Caracha”.

— Niech cię diabli! Do „La Caracha”! Myślałem, że chcesz przejrzeć plany tego detonatora?

— To niepotrzebne. Wiem, jak się obsługuje zdalnie sterowane zapalniki.

Trudności, jakie im przedstawiłem, miały osiągnąć dwa cele i oba osiągnąłem.

Po pierwsze: przekonałem ich, że nie mają do czynienia z amatorem; po drugie: przekonałem się, że nie mają zielonego pojęcia o pirotechnice. Ta grupa jest świetnie zorganizowana we wszystkim, poza jednym: nie mają pirotechnika, co jest raczej dziwne. Oto jeden z powodów, dla których powiedziałem, że moje szanse rosną. Myślę, że oni mnie naprawdę potrzebują i dla własnego dobra mogą uznać wątpliwości za przemawiające za moją korzyść. Jednak powodem mojego optymizmu jest w gruncie rzeczy „La Caracha”. Jeśli pan pamięta, prosiłem Vasco o spotkanie w mieszkaniu Julie.

Zmieniłem zdanie w tej sprawie: uznałem, że lepiej będzie, gdy i on, i ja, w tym przebraniu Daniłowa, będziemy trzymać się z dala od mieszkania Julie.

Dlatego spotkamy się w „La Caracha”. Zadzwoniłem również do Geo-rge'a pytając go, czy nie

zechciałby pomóc mi w rozwiązaniu pewnego problemu. Zgodził się niemal natychmiast. Wygląda na to, że mój plan bardzo mu się spodobał. Oczywiście, że nie współpracuję z nim w pańskim imieniu; uznałem, że lepiej byłoby, gdyby oficjalnie pan nie wiedział o wszystkim co robię.

— Rozumiem. Miałaś rację. Czasami zastanawiam się, Peter, o ilu jeszcze rzeczach mi nie powiedziałaś oficjalnie i nieoficjalnie, ale teraz nie czas na żale. To znaczy, że ty nie masz teraz na to czasu. Czy obecność tej pary zdoła w jakichś sposób zagwarantować twoją egzystencję na tym świecie?

— Obaj będą na mnie uważać. Vasco jest mistrzem w śledzeniu, George zaś posiada inne, nie mniej ważne zalety.

— Zauważyłem. Może niebiosa będą nam sprzyjały.

Van Effen wrócił do „Trianon” o szóstej dwadzieścia osiem. W dwie minuty później do drzwi jego pokoju zapukał wysłannik Agnellego. Był to ten sam niepozorny człowieczek, który od kilku dni pojawiał się w holu hotelowym, by obserwować Van Effena i przy okazji pokrzepić się paroma szklaneczkami jonge jenever. Wręczył mu żółtą kopertę, oznajmił, że ktoś zjawi się po Van Effena o siódmej czterdzieści pięć i wyszedł. Jego pobyt w pokoju Petera trwał

niecałe dwadzieścia sekund.

— Nie — stwierdził sierżant Westenbrink siedząc z Van Effenem i Georgem w małej salce w „La Caracha”. — Nie znam Anecys, to znaczy tych dwóch, którzy jeszcze są na wolności.

— A oni?

— Na pewno mnie nie znają. Nigdy się z nimi nie spotkałem. Opuścili Amsterdam ze trzy lata temu.

— Zapomniałem. Czy któryś z was słuchał komunikatu radiowego do FFF?

— Owszem — rzekł George. — Zaproponowali spotkanie w domu ministra sprawiedliwości o ósmej. Rząd zapewnił im nietykalność. Widać uwierzył w możliwość zatopienia Oostlijk-Flevoland.

— Póki co, nie powinno nas to interesować. Jesteś pewien, George, że chciałbyś wziąć w tym udział?

George zamyślił się.

— To może być niebezpieczne. Być może trzeba będzie stosować przemoc fizyczną. — Uśmiechnął się smutno. — Mam już dość serwo wania rodekool med rolpens.

— Dobrze. Gdybyś był tak uprzejmy i zaparkował swój wóz w dyskretnej odległości przed „Trianon”, dokładnie o siódmej czterdzieści. Sądzę, że na miejsce akcji będę musiał pojechać moim volkswagenem, ale równie możliwe jest, że zdecydują się przysłać po mnie jakiś swój samochód. Na wypadek gdybyś stracił nas z oczu, chciałbym ci powiedzieć, że wybieramy się do pałacu królewskiego.

— Czy komisarz policji wie o naszych planach? — spytał George.

— Wspomniałem mu o was i o tym, że będziecie mieć mnie na oku. To wszystko co wie. Nigdy by nam nie pozwolił na łamanie prawa.

— Oczywiście, że nie — zgodził się George.

Dokładnie o siódmej czterdzieści pięć do drzwi pokoju Stefana Daniłowa w hotelu „Trianon” zapukał sam Romero Agnelli.

## Rozdział szósty

Romero Agnelli był tego dnia we wspaniałym humorze. Nawet bębniące o dach kaskady deszczu nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Samochód należał do Agnellego, było to ciemnozielone volvo.

— Okropna noc — zauważył Agnelli. — Okropna. Najgorsze jednak dopiero przed nami. Jestem tego pewien. To najgorsza pora roku: wi chry, deszcze, przypyły i wiatry z północy. Muszę posłuchać wieczornej prognozy pogody.

Nagle zainteresowanie pogodą było interesujące samo w sobie i Van Effen postanowił zwrócić na nie uwagę w najbliższej przyszłości.

— Był pan zajęty przez cały dzień, panie Daniłow?

— Jeśli zajęciem można nazwać krzepiący sen, to faktycznie był to pracowity dzień. Poszedłem spać nad ranem, a ponieważ nie wiem do której będę dziś zajęty, wolałem wyspać się na zapas. Nie był pan zbyt rozmowny co do planów na dziś, prawda?

— A co pan by zrobił na moim miejscu? Niech się pan nie martwi. Wkrótce wszystkiego się pan dowie. Czy plany, które panu dostarczyłem przydały się?

— Oczywiście. Otrzymałem wszystko co było mi potrzebne. — Van Effen wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza żółtą kopertę. — Dziękuję. Nie chcę tego mieć przy sobie, gdyby coś nie wypaliło. Gdzie jest nadajnik?

— W bagażniku. Na pewno nie zawiedzie.

— Nie wątpię w to. Mimo wszystko chciałbym go obejrzeć. Mam nadzieję, że amatolu, zapalników i całej reszty nie trzyma pan w bagażniku?

— Oczywiście, że nie — odparł lekko rozbawiony Agnelli. — Dlaczego pan pyta?

— Myślę o detonatorach. Zwykle znajduje się w nich piorunian rtęci. To delikatne cacko. Nie lubi wstrząsów, a ja chciałbym jeszcze trochę pożyć.

— Są w wynajętym pokoju przy Kalvetstraast.

— Może jestem wścibski, ale dlaczego w takim razie nadajnik nie jest razem z nimi?

— Nie jest pan. Chcę zdetonować ładunek umieszczony w pałacu z Dam Square. Ciekawi pana dlaczego?

— Ciekawi czy nie i tak nie zapytam. Im mniej wiem tym lepiej dla mnie.

— To normalne. — Włączył radio. — Już ósma.

Prognoza pogody wcale nie była zachęcająca. Wiatr o sile siedmiu stopni wiejący z północy i skręcający na prawo, deszcze i gwałtowny spadek temperatury i ciśnienia oraz zapewnienie, że pogoda zacznie się pogarszać w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

— Kiepsko — rzekł Agnelli obojętnym tonem. — Większość ludzi, zwłaszcza starszych, którzy pamiętają jeszcze dawne czasy, nie będzie uszczęśliwiona zwłaszcza po ostatnich komentarzach o fatalnym stanie większości tam w Holandii. Przypomną sobie powodzie z lat pięćdziesiątych, kiedy tamy zaczęły pękać z powodu braku konserwacji i rozumieją, że dzisiejsze wcale nie wyglądają lepiej.

— Nie przesadza pan? Proszę wziąć pod uwagę olbrzymie wały przeciwsztormowe wzniesione w rejonie delty na południowym wschodzie.

— A jaką mamy gwarancję, że Morze Północne zaatakuje najsilniej akurat w rejonie delty? Nie ma sensu barykadować frontowych drzwi skoro tylne ledwie trzymają się zawiasów.

Agnelli zaparkował wóz w Voorburgwal i sięgnął na tylne siedzenie po dwa duże parasole.

— I tak niewiele pomogą, bo leje jak z cebra. Niech pan chwilę po czeka — tylko wyjmę radio z bagażnika.

Jakąś minutę później stali przed drzwiami, do których, jak się okazało, Agnelli miał klucz. Za drzwiami rozciągał się długi, słabo oświetlony korytarz, którego podłogę pokrywało skrzypiące linoleum. Agnelli złożył parasol i zastukał trzykrotnie w pierwsze drzwi po prawej. Drzwi otworzył mu Helmut Paderewski, który bezskutecznie usiłował skryć grymas niezadowolenia na widok Van Effena. Ten udał, że nic nie zauważył.

— Helmuta już pan zna — stwierdził Agnelli wskazując Van Effenowi drogę do jasno oświetlonego i urządzonego z dużym przepychem po koju. Leonardo Agnelli na widok Van Effena uśmiechnął się i skinął

## Rozdział szósty

Romero Agnelli był tego dnia we wspaniałym humorze. Nawet bębniące o dach kaskady deszczu nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Samochód należał do Agnellego, było to ciemnozielone volvo.

— Okropna noc — zauważył Agnelli. — Okropna. Najgorsze jednak dopiero przed nami. Jestem tego pewien. To najgorsza pora roku: wi chry, deszcze, przypyływy i wiatry z północy. Muszę posłuchać



wieczornej prognozy pogody.

Nagle zainteresowanie pogodą było interesujące samo w sobie i Van Effen postanowił zwrócić na nie uwagę w najbliższej przyszłości.

— Był pan zajęty przez cały dzień, panie Daniłow?

— Jeśli zajęciem można nazwać krzepiący sen, to faktycznie był to pracowity dzień. Poszedłem spać nad ranem, a ponieważ nie wiem do której będę dziś zajęty, wolałem wyspać się na zapas. Nie był pan zbyt rozmowny co do planów na dziś, prawda?

— A co pan by zrobił na moim miejscu? Niech się pan nie martwi. Wkrótce wszystkiego się pan dowie. Czy plany, które panu dostarczyłem przydały się?

— Oczywiście. Otrzymałem wszystko co było mi potrzebne. — Van Effen wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza żółtą kopertę. — Dziękuję. Nie chcę tego mieć przy sobie, gdyby coś nie wypaliło. Gdzie jest nadajnik?

— W bagażniku. Na pewno nie zawiedzie.

— Nie wątpię w to. Mimo wszystko chciałbym go obejrzeć. Mam nadzieję, że amatolu, zapalników i całej reszty nie trzyma pan w bagażniku?

— Oczywiście, że nie — odparł lekko rozbawiony Agnelli. — Dlaczego pan pyta?

— Myślę o detonatorach. Zwykle znajduje się w nich piorunian rtęci. To delikatne cacko. Nie lubi wstrząsów, a ja chciałbym jeszcze trochę pożyć.

^

— Są w wynajętym pokoju przy Kalvetstraast.

— Może jestem wścibski, ale dlaczego w takim razie nadajnik nie jest razem z nimi?

— Nie jest pan. Chcę zdetonować ładunek umieszczony w pałacu z Dam Square. Ciekawi pana dlaczego?

— Ciekawi czy nie i tak nie zapytam. Im mniej wiem tym lepiej dla mnie.

— To normalne. — Włączył radio. — Już ósma.

Prognoza pogody wcale nie była zachęcająca. Wiatr o sile siedmiu stopni wiejący z północy i skręcający na prawo, deszcze i gwałtowny spadek temperatury i ciśnienia oraz zapewnienie, że pogoda zacznie się pogarszać w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

— Kiepsko — rzekł Agnelli obojętnym tonem. — Większość ludzi, zwłaszcza starszych, którzy pamiętają jeszcze dawne czasy, nie będzie uszczęśliwiona zwłaszcza po ostatnich komentarzach o

fatalnym stanie większości tam w Holandii. Przypomną sobie powodzie z lat pięćdziesiątych, kiedy tamy zaczęły pękać z powodu braku konserwacji i rozumieją, że dzisiejsze wcale nie wyglądają lepiej.

— Nie przesadza pan? Proszę wziąć pod uwagę olbrzymie wały przeciwsztormowe wzniesione w rejonie delty na południowym wschodzie.

— A jaką mamy gwarancję, że Morze Północne zaatakuje najsilniej akurat w rejonie delty? Nie ma sensu barykadować frontowych drzwi skoro tylne ledwie trzymają się zawiasów.

Agnelli zaparkował wóz w Voorburgwal i sięgnął na tylne siedzenie po dwa duże parasole.

— I tak niewiele pomogą, bo leje jak z cebra. Niech pan chwilę po czeka — tylko wyjmę radio z bagażnika.

Jakąś minutę później stali przed drzwiami, do których, jak się okazało, Agnelli miał klucz. Za drzwiami rozciągał się długi, słabo oświetlony korytarz, którego podłogę pokrywało skrzypiące linoleum. Agnelli złożył parasol i zastukał trzykrotnie w pierwsze drzwi po prawej. Drzwi otworzył mu Helmut Paderewski, który bezskutecznie usiłował skryć grymas niezadowolenia na widok Van Effena. Ten udał, że nic nie zauważył.

— Helmuta już pan zna — stwierdził Agnelli wskazując Van Effenowi drogę do jasno oświetlonego i urządzonego z dużym przepychem po koju. Leonardo Agnelli na widok Van Effena uśmiechnął się i skinął

głową. Oprócz niego w pokoju było jeszcze czworo ludzi. Młodzi i przystojni: dwie dziewczyny i dwóch młodzieńców. Wszyscy sprawiali wrażenie studentów i bywalców paryskich salonów równocześnie. Wyglądali również na członków i zarazem przywódców grup terrorystycznych nękających w ostatniej dekadzie Włochy i Niemcy, którzy mają na sumieniu niejedną udaną akcję.

Byli znacznie groźniejsi od klasycznych kryminalistów zainteresowanych głównie bogaceniem się w maksymalnie krótkim czasie. Oni kierowali grupami fanatyków, którzy dla wymarzonej utopii gotowi byli na każde szaleństwo czy zbrodnię, z własną śmiercią włącznie. Mogli naturalnie być niewinnymi intelektualistami, którzy zebrali się, by przedyskutować zasady filozofii Kanta czy Hegla, ale przeczyła temu obecność szesnastokilowej pryzmy amatolu w jednym z kątów pokoju: intelektualiści raczej rzadko dyskutują przy materiałach wybuchowych.

— To Joop i Joachim — przedstawił młodzieńców Agnelli. — Naturalnie nie są to ich przybrane imiona.

Obaj byli wysocy, lekko przygarbieni i nosili okulary w rogowych oprawkach. Ukłonili się, uśmiechnęli, ale nie odpowiedzieli, gdy Van Effen stwierdził, że cieszy się ze spotkania. Agnelli przedstawił Peterowi słodko uśmiechającą się ciemnowłosą dziewczynę.

— To Maria, która w chwili obecnej również zapomniała swojego nazwiska.

— No, no, kto by mógł zapomnieć takie miłe nazwisko jak Agnelli —

mruknął Van Effen.

Agnelli uśmiechnął się:

— Jest pan spostrzegawczy. Tak. To moja siostra. A to Kathleen.

Mała, szczuplutka Kathleen miała błękitne oczy, ciemne włosy i miłą, uśmiechniętą twarz. Wyglądała również na dziewczynę, która zdaje sobie sprawę ze swej niepospolitej urody.

— Kathleen? — rzekł Van Effen. — To irlandzkie imię. Jest pani ide ałem irlandzkiej dziewczyny, jeśli to pani nie obraża. Słyszała pani pio senkę „Zabiorę cię do domu, Kathleen”?

Dygnęła wdzięcznie.

— Pochlebia mi pan. Bez obrazy. Moja matka jest Irlandką. Jestem dumna ze swego celtyckiego pochodzenia.

Van Effen wiedział, że to zapewne ona przekazywała telefonicznie komunikaty FFF i bardzo możliwe, że studiowała kiedyś na uniwersytecie, na którym prowadził wykłady profesor Spanraft.

— Miałem się dziś spotkać z szefem — powiedział Van Effen. — Ja koś nigdzie go tu nie widzę.

— Chciałem pana przeprosić w jego imieniu — rzekł Agnelli. — Musiał się udać na ważne spotkanie.

Było to bardzo kurtuazyjne wytłumaczenie faktu, iż właśnie negocjował warunki z ministrem sprawiedliwości.

— Czy to cała grupa?

— Nie. To tylko ci, którzy będą z nami współpracować przy dzisiejszej akcji.

— Szkoda, że nie wezmę w niej udziału. Może oni są z nami, ale ja nie będę z nimi. Życzę udanej wycieczki do piwnic. Przepraszam, panie Agnelli.

Dobranoc.

— Zaraz! Minutkę! Moment! — Agnelli już się nie uśmiechał. Był

kompletnie zbity z tropu, a na jego twarzy malował się wyraz całkowitego zaskoczenia.

— Minutkę? Ani sekundy! Nie w tym towarzystwie. — Van Effen rozejrzał

się z pogardą po gronie równie jak Agnelli zaskoczonych osób. — Jeśli uważa pan, że pójdę na wrogi teren, a takim jest pałac królewski, niezależnie od tego jak dobrych ma pan tam informatorów,

z całą masą materiałów wybuchowych i tą zbieraniną amatorów, depczących mi po piętach, to chyba dostał pan zaćmienia umysłu. — Sięgnął do klamki. — Niech pan sobie znajdzie innego eksperta od materiałów wybuchowych. Najlepiej z domu wariatów.

— O to panu chodzi? — Agnelli uśmiechnął się z ulgą. — Mój drogi panie, oni nigdzie z nami nie idą. Czy myśli pan, że jestem szalony? Do pałacu pójdziemy we trójkę: pan, Leonardo i ja.

— To co ta reszta tu robi? Tylko proszę mi nie mówić, że to nie mój interes.

To JEST mój interes! Chodzi o moją skórę, a niepotrzebne ryzyko znacznie ją naraża. Znana jest panu zasada, że im więcej uczestników tym większe niebezpieczeństwo? Co za osioł wymyślił, by tak blisko miejsca wybuchu gromadzić niepotrzebnych ludzi?

— To mieszkanie jest wynajęte tylko na jedną noc, a oni są po prostu obserwatorami.

— Co będą obserwować?

— Efekt wybuchu.

— Efekt? Chcą zobaczyć, jak mury Jerycha obracają się w gruz? Przecież w ogóle nie będzie nic widać.

— Chodzi o efekt psychologiczny. Reakcję na naszą operację. To nam się przyda przy następnych akcjach.

— Chodzi o reakcję ludzi na Dam Square? Przecież leje jak z cebra. Na placu nie będzie żywej duszy. — Spojrzał na cztery ponure twarze.

Dzieciaki ze szkółki niedzielnej na majówce! Tania rozrywka?

A może zamiłowanie do tanich zaszczytów? Albo przeświadczenie, że swą obecnością wnoszą coś do sprawy? Ślicznie! Pokażcie no te zabawki. — Van Effen uznał, że uzyskał już wystarczającą przewagę psychologiczną i postanowił zabrać się do roboty.

— Oczywiście — Agnelli z trudem próbował ukryć ulgę malującą się na jego obliczu. — Joop?

— Tak jest, panie Agnelli. — Joop otworzył szufladę i wyjął kilka skrzynek, położył je na dywanie i kolejno otwierał. — Detonatory, bateria, mechanizm detonujący. Podłącza się to tutaj, aktywizowane jest przez...

— Joop?

— Tak?

— Czy to ty masz dokonać eksplozji tych ładunków wybuchowych?

— Nie! Oczywiście, że nie.

— Dlaczego nie?

— Bo nie jestem ekspertem. A, rozumiem... — Joop opuścił wzrok. Van Effen spojrzał na Agnellego.

— Czy ma pan klucz do pojemnika z radiem?

— Tak, oczywiście. — Wręczył mu klucz. — Proszę wybaczyć. Leo nardo i ja musimy pana na moment opuścić.

Bracia wyszli do sąsiedniego pokoju, zaś Van Effen otworzył pojemnik zawierający radio i dokładnie obejrzał całe urządzenie. Włączył je, dotknął

jednej gałki, przekręcił inną i jakiś przełącznik, przez chwilę manipulował

paroma pokrętłami, po czym ustawił długość fali na obu skalach. Nikt z obecnych w pokoju nie mógł wątpić, że mają do czynienia z ekspertem.

Przyglądał się przez dłuższą chwilę tarczy pokrętła czasowego, wyjął kartkę i ołówek, przez pół sekundy obliczał coś w zamyśleniu, wreszcie wyraźnie zadowolony wyprostował się.

— Nic wielkiego, prawda? — spytała Kathleen.

— Jasne. W ogóle nie wiem, po co mnie zaangażowano. — Pochylił się, zamknął pojemnik i wsunął klucz do kieszeni.

— To się nazywa brak zaufania — powiedziała Kathleen.

— Nie. Zwłaszcza wobec małolatów. Nie mam zamiaru wylecieć w powietrze w jednej z pałacowych piwnic. Życie mi jeszcze miłe.

Zwrócił się do Agnellego i jego brata, którzy właśnie wrócili do pokoju, obaj przebrani w policyjne mundury. Van Effen uważnie im się przyjrzał.

— Wygląda pan jak autentyczny oficer. Pański brat również, tyle że jak na policjanta jest o dziesięć centymetrów za niski.

r<sup>^</sup>

— Ma krótkie nogi — odrzekł Agnelli — ale jak siedzi wygląda na wysokiego. Będzie kierowcą naszej wycieczki.

— Zaskakuje mnie pan. Jak pan zdobył policyjny samochód?

— To był normalny wóz. Po prostu przerobiliśmy go tak, że wygląda identycznie jak policyjny. Nie było to aż tak trudne. — Spojrzał na zegarek. —

Za niecałe dwadzieścia minut powinniśmy być w pałacu, przyjacielu. Oczekują tam przybycia

policji.

— Oczekują?

— Oczywiście. Mamy tam przyjaciół, którzy postarali się o to. Joop, zajmij się bagażami. — Wskazał dwie metalowe skrzyneczki i stanął obok.

— A więc mamy tam po prostu wejść, zrobić swoje i wyjść?

— Tak chyba będzie najprościej?

— Oczywiście. Razem z tym... — wskazał na dwie metalowe skrzyneczki, które podnosił Joop.

— Jasne.

— Czy w pałacu wiedzą co jest w tych skrzynkach?

— Sprzęt elektroniczny do wykrywania ukrytych materiałów wybuchowych.

— Coś podobnego!

— A widzi pan. W wieku mikroprocesorów i innych cudów elektroniki ludzie są gotowi uwierzyć we wszystko. Naszym zadaniem jest poszukiwanie ukrytych w ścianach materiałów wybuchowych. Przeciek z półświatka.

Zajmiemy się tym najlepiej jak umiemy.

— Można to nazwać bezczelnością — mruknął z podziwem.

— Niezupełnie. Ryzyko jest jak widać wkalkulowane i doprawdy niewielkie. Nie sądzę, abyśmy mogli mieć jakieś problemy: w mundurach policji, w samochodzie policji i z cennym, nowoczesnym sprzętem elektronicznym.

Oto pańskie dokumenty.

— Dokumenty... To nie ma dla mnie znaczenia, tak samo jak fakt, że nie zadaliście sobie trudu, by dopasować i dla mnie policyjny mundurek. Co...

— Nie będzie pan nosił munduru. Zgodnie z dokumentami jest pan cywilnym specjalistą w dziedzinie materiałów wybuchowych.

— Niech mi pan pozwoli skończyć. Wy możecie się wydostać z pałacu bez żadnych problemów, ale ja? Z tą blizną na twarzy i z oszpeconą ręką? Moje portrety pamięciowe zamieści jutro każda gazeta w Holandii.

Agnelli przyjrzał się bliźnie na twarzy Van Effena.

— Wspaniała. Joachim — zwrócił się do młodszego mężczyzny.

— Co o tym myślisz? Joachim, panie Daniłow, to student szkoły teatralnej i spec od charakteryzacji. Jest niezastąpiony w swoim fachu.

— Czy ma pan coś przeciwko brodom, panie Daniłow? — spytał Joachim.

— Nic przeciw, o ile dzięki niej nie będę wyglądał gorzej niż teraz.

— Mam parę kasztanowych bród. W pańskim przypadku będzie potrzebna raczej dość duża broda, mam jedną, która powinna pasować. Odrobina kleju i po wszystkim.

— Ile potrwa nim będę mógł ją zdjąć?

— Za jakieś czterdzieści osiem godzin sama odpadnie. — Joachim wyszedł z pokoju.

— Pozostaje jeszcze rękawiczka, panie Daniłow — rzekł Agnelli.

— Obawiam się, że z tym nie da się nic zrobić.

— Skąd pan może mieć pewność?

— Skąd? Gdyby pan miał tak oszpeconą rękę, powiedziałby pan to samo.

Jak pan myśli, czy nie próbowałem wszystkiego, by pozbyć się tych blizn? —

Van Effen pozwolił sobie na odrobinę gorzkości.

— Czy mógłbym zobaczyć? — spytał Agnelli. — Przrzekam, że nie będę załamywał rąk i wzywał Boga w niebiosach.

Van Effen ostentacyjnie odwrócił się tyłem do pozostałych osób w pokoju i zdjął rękawiczkę. Podniósł dłoń do góry tak, by Agnelli mógł ją dokładnie zobaczyć.

Twarz oglądającego pozostała niewzruszona.

— Przrzekłem i mam zamiar dotrzymać, ale przyznaję, że nigdy jeszcze nie widziałem niczego takiego. Jak to się stało, na Boga?

Van Effen odparł:

— Legalnie, może mi pan wierzyć, lub nie. Ktoś popełnił błąd, kiedy próbowaliśmy ugasić płonący szyb naftowy w Arabii Saudyjskiej.

— Jak sądzę, ten ktoś zapłacił za swoją omyłkę?

— Od ręki: spalił się żywcem.

— Rozumiem. Wygląda na to, że miał pan szczęście. — Agnelli wziął Van Effena za rękę i dotknął paznokciem jego blizn. — To musi boleć.

— Ależ skąd. Skóra została pozbawiona czucia. Nawet gdyby zaczął pan mi wbijać igły pod skórę albo rozcinać ją skalpelem, to i tak bym tego nie poczuł.

— Van Effen miał nadzieję, że Agnelli nie zechce tego sprawdzać. — To nieważne. Grunt, że wciąż mam sprawny kciuk i palec wskazujący.

Joachim stanął za plecami Agnellego i spytał:

— Czy mogę zobaczyć?

— Jeśli jesteś wrażliwym facetem, to lepiej żebyś tego nie oglądał. Joachim spojrział na dłoń Van Effena i czym prędzej odwrócił wzrok.

— To... to straszne. Jak pan w ogóle może patrzeć na coś takiego?

— Mam tylko jedną lewą rękę, nie mam wyboru.

— Lepiej niech pan założy rękawiczkę. Nic... nie mogę z tym zrobić.

— Czas iść — rzekł Agnelli. — Helmut, spotkamy się z tobą i z resztą Za jakieś pół godziny na Dam Square, no najpóźniej za czterdzieści minut. Nie zapomnij o radiu.

— Chce pan je zabrać? — spytał Van Effen. — Może tam na zewnątrz nie jest jeszcze potop, ale wystarczy.

— Mamy minibus. Gdzie klucz od pojemnika?

— Mam go w kieszeni. Tam będzie najbezpieczniejszy — odparł Van Effen.

Wyszli, zabierając ze sobą metalowe skrzyneczki. Agnelli otworzył drzwi znajdujące się tuż obok drzwi frontowych i wszedł do środka. Gdy zobaczyli go znowu prowadził na smyczy dobermana o najwyraźniej morderczych skłonnościach, typowych dla tej rasy. Ten na szczęście miał kaganiec.

— Czy to bydlę jest tak groźne jak na to wygląda? — spytał Van Effen.

— Na szczęście nie wiem. Nie jest tu po to, by odgrywać rolę psa obronnego. Dobermany szkoli się w policji, by odnajdywały ukryte materiały wybuchowe. Mają wspaniały węch i, o ile wiem, używa się ich na wielu lotniskach.

— Zgadza się. Czy tego psa szkolono, by odnajdywał ukryte materiały wybuchowe?

— Nie mam pojęcia. Bardzo możliwe, że jest tak stary, że w ogóle stracił



węch.

— Ta akcja ma chyba szansę powodzenia — oznajmił Van Effen.

W olimpijskim tempie pokonali drogę na parking, na którym zostawili samochód. Van Effen przekonał się jednak, że zielone volvo zniknęło, a jego miejsce zajął wóz policyjny. Van Effen usiadł na tylnym siedzeniu obok Agnellego i rzekł:

— Zostawił pan tu swoje volvo, a teraz, jak widzę, stoi tu wóz patrolowy.

Zaczynam wierzyć, że pańska akcja ma szansę powodzenia. Pańska grupa jest doprawdy świetnie zorganizowana.

— Grunt to organizacja — odparł Agnelli z uśmiechem.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Na miejscu już oczekiwano ich przybycia, a przy wjeździe na teren pałacu ograniczono się jedynie do sprawdzenia ich dokumentów. Wyglądali tak oficjalnie, że grun-towniejsze przeszukanie, zarówno ich, jak i samochodu, byłoby po prostu nienaturalne. Trzeba przyznać, że strażnikom również zależało na tym, by ich nie przetrzymywać. Po prostu nie uśmiechało się j<sup>^</sup> długie stanie na deszczu.

Agnelli poprowadził ich do drzwi tak ukrytych w mroku, że dopiero przy pomocy latarki-ołówka odnalazł dziurkę od klucza. Wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. Miał również klucze do piwnic znajdujących się dwa piętra niżej. Znał rozmieszczenie wszystkich drzwi, każdego włącznika światła.

— Mieszkał pan tutaj? — spytał Van Effen.

— Byłem tu parę razy. — Weszli do pustej piwnicy przez inną równie pustą piwnicę i Agnelli stanął.

— To tutaj. Niezbyt trudne, prawda?

— Trudno uwierzyć — odparł Van Effen. — Czy oni tu mają jakieś systemy zabezpieczające?

— Podobno doskonałe. Nie ma jednak takiego systemu, z którym nie można byłoby sobie poradzić. Proszę przypomnieć sobie Pałac Buckingham. Jest on jedną z najbardziej i najlepiej strzeżonych budowli, a mimo to w ubiegłym roku parę niezbyt rozgarniętych osób o wyjątkowo niskim ilorazie inteligencji zdołało dostać się do środka. No cóż, panie Daniłow. Kolej na pana.

— Jeszcze chwileczkę. Proszę o otwarcie tych drzwi — jeżeli ma pan klucz do nich.

Agnelli miał klucz. Van Effen wyjął miarkę i zaczął odmierzać grubość ścian.

— Jak to się stało, że wszystkie te piwnice są puste?

— Jeszcze parę dni temu pękały w szwach. Znajdowały się tu archiwa, stare meble zbierane od wieków — nie uwierzy pan, cała masa antyków.

Musieliśmy się tego wszystkiego pozbyć. Nie chcemy przecież puścić z dymem całego pałacu.

Van Effen pokiwał głową w milczeniu i wrócił do mierzenia grubości ścian i sufitu. Przeliczył coś na kartce papieru i oznajmił:

— Wykorzystamy cały zapas amatu. Te ściany są grubsze niż myślałem.

Ale za to odgłos wybuchu powinien pana zadowolić.

— Miło popatrzeć na eksperta przy pracy — rzekł Agnelli.

— Zupełnie tak samo jak na murarza układającego cegły. On terminował pięć lat i ja też.

— Jest jednak pewna różnica między upuszczeniem cegły a upuszczeniem zapalnika.

— Dobry fachowiec nie powinien niczego upuścić. — Van Effen w dwie minuty założył wszystkie ładunki i na koniec stwierdził: — Nie jnyłem się sądząc, że ma pan zapasowe klucze do piwnic przez które przechodziliśmy?

.— Nie myli się pan, mam.

— Czyli nikt inny nie może się zbliżyć do tego miejsca przed wybuchem?

Agnelli przecząco pokręcił głową.

— W porządku. Skończyłem.

Wyjechali tak, jak przybyli — bez zbędnych ceremonii. Niecałe dziesięć minut po założeniu ładunków przez Van Effena zatrzymali wóz obok słabo oświetlonego minibusu. Gdy wysiedli, z ciemności wyłoniła się jakaś postać.

Podeszła do Agnellego.

— Wszystko w porządku?

— Obyło się bez kłopotów, John.

— Dobranoc. — Mężczyzna bez komentarza wsiadł do policyjnego wozu i odjechał.

— Grunt to organizacja — powtórzył Van Effen. — Godne podziwu.

Pięcioro ludzi, z którymi pożegnali się w pokoju przy Voorburgwal, siedziało wewnątrz minibusu, który mając czternaście siedzeń nie był wcale taki mały, jak by to sugerowała jego nazwa. Van Effen i Agnelli usiedli na szerokim siedzeniu z tyłu.

— Czy mogę wiedzieć, jak długo będziemy tu czekać? — spytał Van Effen.

— Oczywiście — Agnelli uśmiechnął się: wydawał się być uosobieniem radości. — Jeszcze parę

minut. Nie jestem, prawdę mówiąc, pewien, ale nie dłużej jak dwadzieścia minut. Najpierw jednak trzeba się zająć podejrzliwymi policjantami, jeśli się tacy kręcą w okolicy. Leonardo, łap? Rzucił coś bratu, wciągnął na siebie szary prochowiec i wyjął zza siedzenia solidną radiostację.

Włączył ją, położył słuchawki na siedzeniu i sięgnął po mikrofon.

— Przepraszam, że każę wam czekać — powiedział przepraszająco. — Ale ja sam czekam na wiadomość.

— Organizacja to grunt — mruknął Van Effen. — Ale w jednym nie wypaliła i to całkowicie.

— Tak przypuszczałem — odparł Agnelli. — W czym problem?

— W tym wozie nie ma ogrzewania.

— Niedopatrzenie. Maria?

— Jest przy radiostacji.

Agnelli sięgnął pod siedzenie i nie bez trudu wyjął stamtąd solidny kosz.

Postawił go na siedzeniu pomiędzy sobą a Van Effenem. Podniósł pokrywę i przez chwilę wszyscy podziwiali jego wnętrze.

— Jak piknik, to piknik. Chyba o to panu chodziło, panie Daniłow.

Jeśli na zewnątrz nie jest zbyt ciepło, to trzeba się wzmocnić od środka.

Zawartość koszyka mówiła sama za siebie. Znajdowały się tam dwa rzędy małych, błyszczących szklaneczek, opakowane w celofan kanapki i zestaw wielce obiecujących różnokształtnych butelek.

— Uznaliśmy, że nieźle byłoby wypić z okazji sukcesu. Sznapsa, pa nie Daniłow?

—

Cofam wszystkie złośliwości. Pańska organizacja jest idealna.

Agnelli nawet nie zdążył umoczyć ust, gdy rozległ się brzęczyk na dajnika. Nałożył słuchawki i przez minutę nasłuchiwał w milczeniu.

— Tak. To idioci. Nie mamy wyboru. Może odrobina perswazji wy starczy, aby wytrącić ich z równowagi? Zadzwoń do mnie za minutę.

— Zdjął słuchawki. — No cóż, kto na ochotnika naciśnie ten guzik?

Nie było chętnego.

— Sugeruję, aby zrobił to pan, panie Daniłow. W końcu to pan podłożył ładunki i jeżeli rezultat nie

będzie taki, jakiego oczekiwaliśmy, lub jeśli pałac wyleci w powietrze, to chciałbym, aby odpowiedzialność za ten fakt spadła wyłącznie na pana. W ten sposób my będziemy...

Nie dokończył. Van Effen nacisnął guzik i w jakieś dwie sekundy później usłyszeli odgłos eksplozji. Huk był głuchy i stłumiony jak przy eksplozjach podwodnych, ale z całą pewnością słyhać go było w promieniu kilometra.

Ziemia zadrzała, gdy fala wybuchu przetoczyła się przez plac.

Van Effen wziął butelkę z dłoni Agnellego, który jak urzeczony wpatrywał się w przestrzeń. Szczodrze napełnił szklaneczkę.

— Chyba powinienem sobie pogratulować. Taki ładny, głośny huk

— a pałac wciąż stoi. Tak jak mówiłem. Moje zdrowie.

— To było wspaniałe — stwierdził Agnelli z uśmiechem. — Doprawdy wspaniałe. I obyło się bez strat. To nie do wiary.

— Może trochę królewskiego wina wylało się na królewski obrus.

— Van Effen machnął ręką. — Nie jestem przesadnie skromny, ale to naprawdę był drobiazg. Następnym razem, o ile naturalnie będzie na stępny raz, być może będzie się czym popisać.

— Będzie następny raz. Przyrzekam to panu i obiecuję, że następne zadanie będzie o wiele bardziej frapujące. Za sukces. — Wypił łyk sznapsa. W chwilę potem rozległ się kolejny brzęczyk nadajnika. — A, słyzałeś to? Tak. Jestem zadowolony. Pan Daniłow dotrzymał słowa.

<\*- Milczał przez chwilę po czym odpowiedział: — Tak, zgadzam się.

Myślałem już o tym... dziękuję... Zobaczymy się o dziesiątej.

Zdjął słuchawki i mikrofon, po czym rozsiadł się wygodnie na siedzeniu.

■— No cóż, możemy chyba odetchnąć.

.— Ja nie. Jeżeli nie zamierzacie się stąd zmyć, to sam to zrobię. \_\_ Wstał i podszedł do drzwi.

— O co chodzi? — Agnelli złapał go za rękę.

— O gliny. Jak tylko dojdą do siebie, a nastąpi to dość szybko, bo tutejsza policja jest niezła, zaczną wypytywać wszystkich ludzi, których znajdą w pobliżu pałacu. Jestem pewien, że autobus zaparkowany w taką ulewną noc na Dam Square wygląda dość dziwnie i na pewno znajdzie się na czele ich listy.

— Zdjął dłoń Agnellego z ramienia. — Nie mam ochoty być przesłuchiwanym. Przestępca, a takimi

jesteśmy, pozostający w sąsiedztwie miejsca popełnienia przestępstwa jest swoistym przykładem półgłówka.

— Niech pan siada. Ma pan rację. To mój błąd i trzeba go zaraz naprawić.

Helmut?

Paderewski, dzielający najwyraźniej zdanie Effena, ruszył natychmiast.

Gdy znów znaleźli się w wynajętym pokoju Agnelli rozsiadł się w fotelu.

— Dziękuję paniom. Myślę, że teraz możemy się odprężyć. Panie Daniłow, może coś mocniejszego?

— Tu jest bezpieczniej niż na placu, ale o odprężeniu nie ma mowy.

Instynkt czy tchórzostwo? Nie mam pojęcia. A poza tym jestem umówiony na dziewiątą trzydzieści.

Agnelli uśmiechnął się.

— I cały czas był pan pewien, że dotrzyma pan tego terminu?

— A dlaczego miałem w to wątpić: ten wybuch był prostą sprawą, a moje obawy dotyczyły wyłącznie dostania się i wydostania z pałacu. Wiedziałem jednak, że jest pan doskonałym organizatorem. Nie zawiodłem się i na przyszłość nie będę już miał wątpliwości tego typu.

— Co się tyczy pana, to my również; po tym co pan dzisiaj pokazał.

Chcemy, by współpracował pan z nami na stałe, o ile nie zmienił pan zdania.

— Nie zmieniłem. Dziś w nocy był pokaz darmowy. Teraz wolałbym ustalić warunki zatrudnienia.

— Właśnie miałem zamiar podjąć ten temat. Myślę, że ma pan prawo do naszego zaufania.

Van Effen przyjrzał mu się uważnie, wypił solidny łyk i uśmiechnął się:

— Jak sądzę, nie do pełnego: nie zdradzi mi pan swych ostatecznych planów ani tego, jak się zorganizowaliście. Nie wspomni o finansach ani o tym, kto je zorganizował, czy też gdzie jest wasza baza. W razie współpracy da mi pan numer telefonu, pod którym moglibyśmy się kontaktować. Nie powie mi pan też dlaczego, w tak doskonale zorganizowanym przedsięwzięciu, niezbędne są na gwałt moje usługi i czemu zostałem dokooptowany do zespołu tak późno.

— Jest pan pewien braku odpowiedzi na pokazną ilość pytań — Agnelli zamyślił się.

— Dlaczego? Bo sam bym ich nie udzielił, gdyby role były odwrócone. Kto mniej wie, ten lepiej śpi, rozmawialiśmy już na ten temat. Zdradzi mi pan plany najbliższej operacji i to tylko tę część, która mnie dotyczy. To zrozumiałe.

— Prawda pod każdym względem. Panie Daniłow, czy mógłby pan gdzieś zdobyć trochę materiałów wybuchowych?

— Boże!

— Czy to dziwne pytanie? Jest pan przecież ekspertem w tej dziedzinie.

— Nie pytanie mnie zaskoczyło tylko fakt, że tak dobrze zorganizowana grupa przygotowuje operację nie mając tego, co jest niezbędne, by ją przeprowadzić.

— Mieliśmy, jak pan nazwał, to co niezbędne. Ale nie mamy ich tyle, ile byśmy chcieli. Może nam pan pomóc?

— Bezpośrednio nie.

— A pośrednio?

— Może. Popytam tu i tam.

— Tylko dyskretnie...

Van Effen westchnął:

— Niech pan nie będzie naiwny. Gdyby mógł pan zdobyć materiały wybuchowe nie zwracając na siebie uwagi władz, toby pan to zrobił, a nie prosił mnie o pomoc.

— Przepraszam. Niepotrzebnie to powiedziałem. Musimy się mieć na baczności. Nie pomyłę się twierdząc, że nie uzyska ich pan w legalny sposób?

— O ile dobrze pamiętam, mój kontakt nie zrobił w życiu jednego, uczciwego interesu, uważałby zresztą coś takiego za osobistą zniewa-

*ąą.* Przypadkiem jest to jedyny człowiek w tym kraju, który na materiałach wybuchowych zna się lepiej ode mnie.

— Brzmi zachęcająco — Agnelli spojrzał na Van Effena. — Czy to czasem nie nasz przyjaciel Vasco?

— Na Boga, nie! — Van Effen uniósł brwi i ściągnął wargi. — Nie uważam Vasco za swego przyjaciela. Wyciągnąłem go z poważnej opresji i od czasu do czasu korzystam z jego usług. Jestem pewien, że Vasco nie ma zielonego pojęcia na temat materiałów wybuchowych czy ich zastosowania. W tej kwestii jest całkowitym amatorem.

— Gdybyśmy o tym wiedzieli, to Leonardo nie straciłby czasu szukając go dziś po południu. Vasco często znika na pewien czas.

— Ma dziewczynę w Utrechcie — wyjaśnił Van Effen. — Czy naprawdę myślał pan o

zaangażowaniu Vasco?

— No... właściwie... ale...

— On wchodzi frontowymi drzwiami, a ja natychmiast wychodzę tylnymi i to nie podlega dyskusji. Jest niestabilny, skryty i niebezpieczny, niezależne: świadomie czy nie.

— Nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć.

— Ja zaś nie rozumiem pana: chce mi pan powiedzieć, że nie sprawdziliście jego i jego przeszłości?

— Pana nie sprawdzaliśmy.

— Nie musieliście. Mając przed oczami wizję ekstradycji...

Agnelli uśmiechnął się:

— To było rano. Było i minęło. Czyżby pan wiedział o Vasco coś czego my nie wiemy?

— Oczywiście. Jest groźny dla nas, gdyż jest przepelniony nienawiścią.

Nienawidzi prawa i tych, których to prawo chroni. Jest najniebezpieczniejszym rodzajem przestępcy, jak zawsze, gdy ma się do czynienia z eks-gliniarzem...

— Glina? — Agnelli był kompletnie zaskoczony. — Glina!

— Były gliniarz. Zwolniono go bez rozgłosu czy procesu — choć myślę, że Vasco dobrze wie, dlaczego tak się stało. Wystarczy, żeby ktoś z waszych ludzi popytał w Utrechcie o sprawę sierżanta Westenbrinka. Zaręczam wam, że rezultat przejdzie najśmielsze oczekiwania. Mój przyjaciel George to inna para kaloszy. To uczciwy przestępca, jeśli coś takiego istnieje w przyrodzie.

— George — to ten spec od materiałów wybuchowych? Van Effen skinął głową.

— Czy ma jakieś nazwisko?

— Nie.

— Myśli pan, że on zechce dla mnie pracować?

— On nigdy nie pracował dla kogoś. Może najwyżej pracować z kimś.

Jeszcze jedno. George nigdy nie robił nic przez pośredników. Nawet przeze mnie. To bardzo ostrożny facet: ma czystą kartotekę i chce, żeby pozostała czysta. Przywykł rozmawiać jedynie z szefami i to w cztery oczy.

— To lubię. Może go pan nakłonić, by ze mną pogadał?

— Kto to wie? Spytam go. Na pewno nie spotkacie się tutaj.

— Dlaczego nie?

— Bo mu tak doradzę, a wie, że moje rady nie są bezpodstawne. Jak mogę się z wami skontaktować?

— To ja się z panem skontaktuję w „Trianon”.

— Nie będę komentował wzruszających objawów wzajemnego zaufania.

Jutro rano.

— Dziś w nocy. O dziesiątej.

— Chyba wam się spieszy, ale nie będę ciekawski. Jak już wspomniałem, mam spotkanie o dziesiątej trzydzieści.

— O dziesiątej. — Agnelli wstał. — Na pewno będzie się pan chciał

spotkać ze swoim przyjacielem. Zostawię samochód do pańskiej dyspozycji.

— Proszę, panie Agnelli. Niech pan nie będzie naiwny.

## **Rozdział siódmy**

— To na czym stoisz to prawdziwy afgański dywan — oznajmił pułkownik de Graaf. — Rzadkie i drogie cacko.

— Muszę na coś kapać — odparł Van Effen. Stał przed kominkiem we wspaniale urządzonej bibliotece pułkownika, a z jego przemoczonego ubrania unosiły się kłęby pary. — Nie dla mnie limuzyna z szoferem. Dla mnie są taksówki i wykręty przed ciekawskimi. Nie mogłem przecież pozwolić, żeby dowiedzieli się, że wybieram się do mieszkania komisarza policji.

— Czyżby twój przyjaciel Agnelli nie ufał ci?

— Trudno powiedzieć. To jasne, że to on wpadł na pomysł śledzenia mnie, ale wątpię, aby mnie o coś podejrzewał. To było działanie bardziej z zasady.

Myślę, że on po prostu nikomu nie ufa. Trudno go rozgryźć. W gruncie rzeczy pan jest do niego podobny. Wygląda na przyjaźnie usposobionego i miłego faceta i trudno byłoby na pierwszy rzut oka dostrzec w nim bezwzględnego szantażystę, zdolnego do torturowania swoich ofiar. To nic nie oznacza.

Przypuszczam, że spędził pan przyjemny wieczór. Na pewno nie miał pan do czynienia z przestępcami, którzy w każdej chwili, bez mrugnięcia okiem mogliby strzelić panu w plecy.

— Spotkanie było w zasadzie ciekawe. Obawiam się jednak, że Bernhard nie był w nastroju do pogawędek czy współpracy.



Bernhard to Bernhard Dessens: minister sprawiedliwości.

— To stara baba, bojąca się przyjąć na swoje barki odpowiedzialność za losy państwa, niezdolna do efektywnego działania i starająca się za wszelką cenę zepchnąć na kogoś tę odpowiedzialność!

— Dokładnie. Sam bym tego lepiej... Peter, tak się nie mówi o ministrach.

Było ich tam dwóch. Nazywali się Riordan i Samuelson. Riordan był chyba w przebraniu. Ten drugi zdawał się pogardzać tego typu praktykami i sprawiał

wrażenie pewnego siebie. Riordan miał długie, czarne włosy do ramion: taka fryzura była modna jakieś dziesięć lat

temu. Był mocno opalony, nosił czapkę holenderskiego dokera i czarne okulary.

— Coś takiego musi być przebraniem — Van Effen zamyślił się.

— Nie był przypadkiem bardzo wysoki i niezwykle szczupły?

De Graaf skinął głową.

— Wiedziałem, że na to wpadniesz. To ten sam, który pożyczył łódź od tego... jak mu tam...

— Dekkera. W Schiphol.

— Dekkera. Tak. Pasuje do opisu jak ulał. Do cholery, wydaje mi się, że miałeś rację i ten cały Riordan to naprawdę albinos. Ciemne okulary...

Opaleniźna mająca ukryć biel jego skóry... Czarne, długie włosy to pewno zwykła peruka. Jeżeli jest albinosem, jego włosy na pewno są białe. Ten drugi, Samuelson, miał gęste, siwe włosy i siwą kocią bródkę. Nie jest albinosem.

Miał błękitne oczy. Na pewno ma już swoje lata, ale na jego twarzy nie zauważyłem śladu zmarszczek. Jest pyzaty

— wygląda na połączenie ideału amerykańskiego senatora z otyłym plutokratą, potentatem naftowym czy kimś takim.

— Może był ucharakteryzowany jeszcze lepiej niż Riordan?

— Bardzo możliwe. Obaj mówili po angielsku i przypuszczam, że Samuelson nie zna holenderskiego. Powiedzieli, że są amerykańskimi Irlandczykami i pozostaje mi się pogodzić z ich stwierdzeniem. Nie jestem tak zdolny jak Hektor, ale nowojorski akcent rozpoznam bez pudła. Głównie mówił Riordan. Poprosił, nie... raczej zażądał, żebyśmy nawiązali kontakt z rządem Wielkiej Brytanii. Stwierdził również, że odegramy rolę pośrednika między FFF i Whitehalle twierdząc, że Whitehall prędzej będzie skłonny prowadzić negocjacje z rządem innego państwa niż z nikomu nie znaną grupą terrorystyczną. Kiedy Bernhard spytał, na jaki temat mają być prowadzone owe rozmowy,

stwierdzili, że chcą nawiązać dialog dotyczący Irlandii Północnej, ale powstrzymają się od zdradzania dalszych szczegółów, dopóki rząd Holandii oficjalnie nie zgodzi się na uczestnictwo w rozmowach. — De Graaf westchnął. — Wtedy nasz drogi minister sprawiedliwości, wściekły jak wszyscy diabli, mimo świadomości całkowitej bezsilności oznajmił, że to po prostu niepojęte i niemożliwe, aby niezależne państwo miało prowadzić negocjacje w imieniu grupy terrorystów. Rozwodził się nad tym przez dobre parę minut, ale oszczędzę ci tej parlamentarnej retoryki. Na koniec stwierdził, że prędzej umrze. Riordano oznajmił, że mocno wątpi w to ostatnie i jest przekonany, że czternaście milionów Holendrów raczej nie będzie podzielać zdania ministra. Od tej chwili stał się bardzo niemiłym i groźnym osobnikiem.

Stwierdził

też, że lepiej byłoby, żeby Dessens popełnił samobójstwo od raki, bo dokładnie o północy zostanie zniszczona tama w Oostlijk-Flevoland. Dodał jeszcze, że FFF będą czekać na zgodę rządu w kwestii rokowań z brytyjskim parlamentem punktualnie do godziny dwudziestej drugiej. Następnie wyjął z kieszeni listę miejsc zagrożonych natychmiastowym iszczeniem. Nie powiedział czy ładunki zostały już założone czy nie, jak zwykle bazując na strachu wywołanym niepewnością. Na liście były między innymi Leeuwarden, polder Nooudoost w pobliżu Urle, Amstelmeer, Wieringevuner, Putten, polder na południe od Petten, Schouwen, Duive-land i Walcheren. Czy mówiono ci, co stało się w Walcheren podczas wojny? Eastern i Western Scheldt też były na liście, a pamiętamy co stało się tam w lutym tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku. To bardzo pouczający przykład. Riordan zaczął

potem wspominać o pogorszeniu się pogody; zauważył, że podniósł się poziom Morza Północnego i nadciąga wiatr północny, a wraz z nim wiosenne przyływy, podczas gdy poziom Renu, Waal, Maas i Scheldt gwałtownie się obniżył. Zapytał, czy obecna sytuacja nie przypomina Dessenowi tej, jaka miała miejsce w lutym pięćdziesiątego trzeciego roku? Na koniec zażądali rozmowy z kompetentnym ministrem lub ministrami, którzy mają odwagę i władzę podejmować decyzje, a nie z mięczakiem, który myśli tylko o własnej nędznej karierze politycznej. To stwierdzenie przepełniło czarę goryczy Bernharda. Riordan oznajmił, że aby ujawnić ich niezadowolenie z negocjacji dokonają eksplozji jednego z ładunków wybuchowych w centrum miasta.

Konkretnie w pałacu królewskim. Powiedział, że nikomu z ludzi przebywających w pałacu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, a wybuch nastąpi w pięć minut po ich wyjściu z sali obrad. Na odchodnym, jakby po krótkim namyśle, dorzucił jeszcze, że tama w Oostlijk-Flevoland może zostać zniszczona o dziewiątej wieczorem, a nie, jak podał wcześniej, o północy. Po tym wesołym akcencie Riordan i Samuelson opuścili salę. Wybuch w pałacu królewskim, jak sam wiesz, odbył się punktualnie.

— Wiem. — Van Effen uznał, że nie jest to odpowiednia chwila, by dodać, że osobiście nacisnął guzik detonatora. — Myślę, że dostanę zapalenia płuc —

dodał przechodząc na mniej nasiąknięty wodą fragment afgańskiego dywanu.

— Tu masz brandy — de Graaf machnął ręką z pogardą i irytacją, że ktoś może nie wiedzieć, jakie jest najlepsze lekarstwo przeciwko zapaleniu płuc. —

Sznaps, whisky...

Przerwał, gdy nagle rozległo się głośne pukanie. W drzwiach stanęli, wprowadzeni przez policjanta, przemoczeni do suchej nitki George i Vasco.

— Jeszcze dwa poważne przypadki — mruknął pułkownik.

— Słucham pułkownika? — zdziwił się George.

— Zapalenia płuc. Poczęstujcie się. Nie oczekiwałem was, panowie.,,

— Porucznik powiedział...

— Wiem. Po prostu wyleciało mu z głowy.

— Za dużo mam spraw na głowie — oznajmił Van Effen. — No i co?

— Obserwowaliśmy ich jak wyszli z domu i wsiedli do małego autobusu.

Potem przyjrzelśmy się im na Dam Square. Rozpoznałibyśmy ich wszędzie.

— George przerwał na chwilę. — Wyglądają niegroźnie.

— A widziałeś zdjęcia członków grupy Baader-Mainhof? Tym młodo-dzieniaszkom z fotografii brakowało tylko skrzydełek i aureolek. No i co dalej?

— A, tak. — George był nieco zbity z tropu. — Widzieliśmy cię, kiedy opuściłeś dom, ale nie zbliżaliśmy się, bo byłeś śledzony. Wiedziałeś o tym?

— Tak.

— Czekaliśmy po drugiej stronie ulicy jakieś dziesięć minut, po czym podeszliśmy do oświetlonego okna. Ten deszcz. Lało jak z cebra. Istna Niagara! — Oczekiwał komentarza, ale pomylił się i musiał mówić dalej. —

Czekaliśmy tam dalszych dziesięć minut. Słysząc było muzykę i głosy.

— Założę się. A potem weszliście do środka, bo zaczęliście coś podejrzewać? światło wciąż było włączone i pogawędka szła z taśmy, a gospodarze wyszli tylnym wyjściem, prawda? Niezbyt to oryginalne, przyznaję. Tak więc nadal nie wiemy, gdzie są na stałe. To nie wasza wina.

Agnelli ma fioła na punkcie bezpieczeństwa.

— Można to było lepiej zrobić — rzekł Vasco. — Następnym razem...

Zadzwonił telefon. De Graaf podniósł słuchawkę, posłuchał przez chwilę, powiedział: — Chwileczkę — i zakrył słuchawkę dłonią. — To Dessens. Mogłem się tego spodziewać. Wygląda na

to, że rząd jest wstrząśnięty wybuchem w pałacu królewskim i są przekonani, że tama w Oostlijk-Flevoland zostanie dziś wysadzona. Będą pertraktować. Chcą się z nimi spotkać dziś o jedenastej i chcą, żebym wziął w tym udział. Chciałbym, żebyś pojechał ze mną. Czy odpowiada ci jedenasta?

— Może o jedenastej trzydzieści? Muszę jeszcze załatwić kilka spraw.

De Graaf zamienił jeszcze parę zdań, po czym odwiesił słuchawkę.

— Wygląda na to, że ma pan wiele dziwnych spotkań, poruczniku.

Jak to się stało, że dotychczas mi o nich nie wspomniałeś ani słowem?

— Nie miałem kiedy. Muszę być o dziesiątej w „Trianon”, bo będzie do mnie dzwonił Agnelli. Cienko u niego z materiałami wybuchowymi.

Przyrzekłem, że trochę mu załatwię.

— Materiały wybuchowe. Oczywiście. Naturalnie — de Graafa na sekundę zatkało. — Po wysadzeniu pałacu królewskiego trudno oczekiwać od ciebie bezczynności. Skąd chcesz wziąć materiały wybuchowe? Jestem pewien, że nie potrzebujesz więcej niż paręset kilo TNT czy czegoś w tym rodzaju.

— Ja? Ja nie mam ani czasu, ani znajomości. Myślę jednak, że mógłby pan zrobić mi tę drobną przysługę...

— Ja? Szef policji? Mam zaopatrywać grupę terrorystyczną w materiały wybuchowe nielegalnego pochodzenia? — De Graaf zamyślił się.

— Przypuszczam także, że chcesz, abym je dostarczył osobiście?

— Na Boga, nie. Tym zajmie się George. Przepraszam, George, wyjaśnię ci to później. Rozmawiałem dziś z Agnellim o tobie. Była to długa i owocna dyskusja: obawiam się Vasco, że zrobiłem z ciebie ostatniego łajdaka bez szans na resocjalizację. Jesteś eks-gliną, łajdakiem co się zowie, zdradliwym jak mało kto, nieufnym, przekupnym i w dodatku pomyłecem. Mało brakuje, by cię zamknęli w domu wariatów. Agnelli trochę zbyt obojętnie zaczął

rozmowę na twój temat. Sądzę, że wiedział, że jesteś lub byłeś gliną. On również pochodzi z Utrechtu. Nie, żeby to przekreślało naturalnie możliwość zatrudnienia cię w jego bandzie, oczywiście po zmianie wyglądu i życiorysu, ale to za chwilę. Ty George, zajmujesz się handlem bronią. Bóg wie, ile jej się sprzedaje wokoło, ale ty jesteś kimś specjalnym: Królem wśród pętałów.

Leoparda? Zdalnie sterowaną raketę przeciwlotniczą? Kuter torpedowy?

Wszystko możesz załatwić. Jesteś Kimś ważnym i rozmawiasz jedynie z szefami, z nikim innym. Bez udziału pośredników. Nawet ja nie wchodzę tu w grę. Rozmowa osobista albo nici z interesu.

— Mam rozmawiać z Agnellim — George uśmiechnął się szeroko.

— Chcesz, żebym włączył się do akcji?

— Wydaje mi się, że mogę potrzebować twojej pomocy. Oczywiście, nie powinienem cię o to prosić: biorąc pod uwagę Annelise i dzieci, wiesz...

sprawy mogą się skomplikować...

— Skomplikować! — jęknął de Graaf. — Nie mówię, że to szaleństwo, bo jednak ma to cień szansy na sukces, ale wcale mi się to nie podoba. Opierasz się na założeniu, że nie znają prawdy o tobie, a może to być błędna przesłanka.

To, że dotąd ładnie nam idzie współpraca, wcale nie musi oznaczać, że jest korzystna dla obu stron. Jak im się coś nie spodoba, albo jak przestaniesz być potrzebny może zrobić się

naprawdę groźnie. Masz prawo prosić George'a, by podjął takie ryzyko?

— Właśnie to zrobiłem.

Rozległ się dzwonek telefonu i de Graaf podniósł słuchawkę.

— A, porucznik Valken. Tak, tak... Nieważne, że nie słyszał pan o tym wcześniej. — Twarz pułkownika przybrała kamienny wyraz. — Chwileczkę.

Tylko wezmę kartkę i długopis. — De Graaf zapisał coś, pożegnał się i odłożył słuchawkę i sięgnął po swoją szklanekę.

— Julie? Annemarie? — spytał Van Effen.

— Tak. Skąd wiedziałeś?

— Valken. Pańska twarz. Brandy. Źle?

— Kiepsciutko. Telefon od braci. Powiedzieli, że dziewczyny czują się nieźle — to może oznaczać coś lub nic. Oraz, że wysłali telegram do niejakiego... — Podniósł kartkę papieru. — Do Dawida Josepha Karl-manna Meijira.

Van Effen milczał. George i Vasco popatrzyli na siebie nic nie rozumiejącym wzrokiem.

— A kto to jest? — spytał George.

— A, zapomniałem, przecież go nie znacie — to ojciec Annę... Annemarie.

— Tak... — rzekł George — to znaczy nie... nadal niczego nie rozumiem.

Co z Annemarie?

De Graaf z wściekłością spojrział na Van Effena.

— Nic im nie powiedziałaś?

— Zapomniałem...

— Boże! — de Graaf pokręcił głową. — Bo nie musieli wiedzieć? Pewnego dnia zapomnisz przypomnieć sobie o czymś i to będzie ostatni dzień twojego życia! — Spojrzał na George'a i Vasco. — Annemarie i jego siostra Julie zostały porwane przez braci Annecys.

— Czterej bracia Annecys — George milczał chwilę. — Ci mordercy.

Wsadziłeś dwóch z nich na piętnaście lat.

— Dwóch jednak zwiąło i od tego czasu przysyłali mu kartki z zapowiedzią rychłej zemsty. Wreszcie im się udało: mają Julie.

— Znam Julie. A co z tym nazwiskiem Annemarie? Ma to jakieś znaczenie?

— Takie, jakie znaczenie ma jej ojciec. Pewnie będzie ci trudno uwierzyć, że to okropne stworzenie, jakie widywałeś w „La Caracha”, to córka jednego z najbogatszych ludzi w Holandii. To bardzo wpływowy człowiek... można go porównać do Dessaulta we Francji. Z jego opinią poważnie liczy się nasz rząd.

Ma wpływy, pieniądze i córkę,

która teraz jest w rękach Annecys. Annę Meijir to wymarzona zakładniczka dla każdego przestępcy, bo dzięki niej można korzystać z pieniędzy i wpływów ojca.

Van Effen odstawił szklanekę i spojrzał na zegarek.

— Już czas, George.

— Nie do wiary! Po prostu mówisz, że już czas i... Nie zastanowiłeś się, jak oni dowiedzieli się jej prawdziwego nazwiska?

— Pewnie drogą perswazji...

— Perswazji? Torturami! Oni torturowali tę biedną dziewczynę!

— Jaką biedną dziewczynę?

— Czy jesteś przy zdrowych zmysłach, poruczniku? Annemarie!

— Ależ skąd. Annecys, przynajmniej ci, którzy teraz siedzą, nigdy nie torturowali ofiar bez powodu. Z zasady była to zemsta lub uzyskanie informacji. Dlaczego mieliby się mścić na Annemarie? Czy zrobiła coś złego któremuś z nich? Jakie informacje mogliby od niej uzyskać? Nie wiedzieli, kim ona jest ani kim jest jej ojciec. Wiedzieli tylko, że jest przyjaciółką Julie i zabrali ją ze sobą tylko dlatego, że była w tym czasie w mieszkaniu. Jeśli kogoś mieliby torturować, a myślę, że skończyło

się tylko na pogroźkach, to zabraliby się za Julie. Jeżeli Annemarie powiedziała im, kim jest, to tylko po to, żeby zaczęli myśleć o okupie i by odwrócić ich uwagę od Julie. Annemarie nie jest głupia. Gdyby tak było, nie ściągnąłbym jej tutaj z Rotterdamu. Wie, że Annecys są pragmatykami i wolą pieniądze niż znęcanie się nad drogimi mi osobami.

— Zimnokrwista ryba — mruknął de Graaf.

— Że co proszę?

— Może masz rację, a może się mylisz. Kto wie? Jeśli masz rację, kieszeń Dawida Mejjira już wkrótce będzie nieco lżejsza. Jeśli się mylisz to tak jakbyś już miał zaciągniętą na szyi pętlę, równie uroczą jak ta na pocztówkach, które otrzymywałeś od pewnego czasu. Jeśli się pomyliłeś, to oni już wiedzą o wielu sprawach, na przykład że Stefan Daniłow to Peter Van Effen. Nie mogę wam pozwolić na kontynuowanie waszej akcji. Ryzyko jest zbyt duże.

— Pułkowniku, normalnie nie ośmieliłbym się kwestionować pańskiego zdania — odrzekł George. — Ale sytuacja nie jest normalna, a odmawiając nie przekraczam prawa. Nie jestem już policjantem, więc nie może mi pan rozkazywać. Zrobię to, co będę uważał za stosowne.

De Graaf skinął głową.

— Nie mogę ci niczego zabronić, George, ale mogę...

— Peter może w każdej chwili złożyć na pana ręce rezygnację — <Joa rzucił George. — Niech pan nie zapomina o tym, pułkowniku.

De Graaf jęknął, nalał sobie szkockiej, usiadł wygodnie w fotelu i spoglądał

przez chwilę na płomienie na kominku. Van Effen skinął na Vasco i trzech mężczyźni wyszli z pokoju.

Van Effen i George wrócili do „Trianon” i przekonali się, że w holu nie było znajomego człowieczka. Jego miejsce zajął inny, popijający piwo zamiast jonge jenever. Van Effen nie wątpił, że przysłał go tu Agnelli. Charles zawołał

ich, gdy przechodzili obok recepcji.

— Wiadomość dla pana, panie Daniłow — wręczył Van Effenowi kartkę, na której było napisane: „Czy możemy spotkać się w pańskim pokoju za dwie minuty?”.

— Tak, oczywiście, dziękuję. — Van Effen włożył ją do kieszeni i obaj z Georgem poszli w stronę windy. Dwie minuty później Charles pukał do drzwi pokoju Van Effena. Wszedł i zamknął dokładnie drzwi za sobą patrząc podejrzliwie na George'a.

— Nie ma problemu — rzekł Van Effen. — Mój przyjaciel jest po stronie aniołków. George — Charles, Charles — George. George to policjant.

— Chciałem pana ostrzec, poruczniku, żeby nie korzystał pan dziś z tylnego wejścia: jakiś nietutejszy

zainteresował się nim na tyle, że stale ma je na oku.

Poza tym zauważył pan, jak sędzę, w holu mamy nowego gościa. Siedzi tuż przy drzwiach tak, że widzi wszystkich, którzy przechodzą przez hol. Jest jeszcze jeden, zaczął właśnie spożywać posiłek w jadalni. Chyba zna tego tajniaka z holu: zamienili tylko ukradkowe spojrzenia i gesty. Nie podejrzewają, że się nimi interesuję, więc niespecjalnie się kryli. Dlatego odczekałem dwie minuty zanim tu przyszedłem. Nasz przyjaciel z jadalni udał

się do telefonu zanim za wami zdążyły się zamknąć drzwi windy. Czekałem, aż skończy rozmawiać i obserwowałem go w lustrze. Kiedy przechodził przez hol jeszcze raz skinął głową miłośnikowi piwa.

— Kiedy zbankrutujesz, Charles, zgłoś się do mnie. Dzięki za informacje.

Będę uważał na czarnego luda. — Uśmiechnął się Van Effen.

— A więc — mruknął George, gdy tylko Charles wyszedł. — Agnelli może zadzwonić w każdej chwili. Facet z restauracji dał mu cynk, że Stefan Daniłow powrócił do hotelu wraz ze swym przyjacielem Georgem, specem od materiałów wybuchowych i handlarzem bronią w je-drtej osobie. Zastanawiam się, w jakiej jaskini lwa czy gnieździe kobr przyjdzie nam się spotkać.

. — Nie ma się co zastanawiać: w pokoju dwieście trzy. Nie ma tu ani lwów, ani jadowitych węży. Gdyby miało być inaczej, Agnelli by nam przydzielił

tylko jednego obserwatora. Bardzo możliwe, że w okolicy jest jeszcze więcej jego ludzi: nie może przecież wiedzieć, że jesteśmy świadomi ich obecności.

Ten hotel to przecież ostatnie miejsce, jakie byśmy przewidzieli na miejsce spotkania z kimś tak ostrożnym. Reszta obecnych, o których mówił Charles, to obstawa. Mogę się założyć, że zaraz zadzwoni i zjawi się w ciągu półtorej minuty.

Van Effen nie mylił się: Agnelli zadzwonił i po prostu oznajmił, że za pięć minut zjawi się w „Trianon”.

— Przybędzie w towarzystwie — oznajmił Van Effen odkładając słu chawkę. — Romero Agnelli nikomu nie ufa.

Tym razem, sądząc po zachowaniu gościa, Van Effen nie miał racji. Agnelli wyglądał na człowieka, który gotów byłby zaufać każdemu. Przyprowadził ze sobą tylko trzech ludzi. Jego brat, Leonardo, jak zwykle sprawiał wrażenie mafioso, dwóch pozostałych Van Effen spotkał po raz pierwszy w życiu.

Pierwszy z nich: opalony, wysoki, o miłej twarzy i w nieokreślonym wieku nazywał się Liam O'Brien. Van Effen uznał, że musi mieć jakieś czterdzieści-pięćdziesiąt lat. Jego nazwisko wskazywało na irlandzkie pochodzenie. Drugi, przystojny, młody, ciemnowłosy i śniady został przedstawiony jako Heinrich Daniken. Van Effen nie miał pojęcia skąd pochodził. Agnelli nie zadał sobie trudu wyjaśnienia, jaką rolę w grupie pełnili ci dwaj.



Po wzajemnej prezentacji i pokrzepieniu się paroma łykami szkockiej, Agnelli rzekł do George'a:

— George i co dalej?

— Wystarczy George, lubię anonimowość.

— Jesteś najmniej anonimową osobą, jaką kiedykolwiek widziałem. Wygląd nie przeszkadza ci w twojej profesji?

— Ależ skąd. Jestem uosobieniem spokoju i nie lubię przemocy, ale kiedy ma się taką posturę jak ja, to naprawdę trudno w to uwierzyć. Rzecz jasna wszyscy, czy prawie wszyscy, myślę głównie o tak zwanych obrońcach prawa, są zdania, że ktoś, kto jest tak duży, gruby, radosny i niegroźny musi być od razu półgłówkiem. To takie niepisane prawo natury. No cóż, Einsteinem nie jestem, ale to jeszcze nie klasyfikuje nutie do zamknięcia w domu bez klamek.

Nie o mnie jednak mieliśmy

rozmawiać, panie Agnelli. Mam do pana pięć zasadniczych pytań: „Czego pan chce? Ile? Kiedy? Gdzie? Za ile?”.

Zniknięcie uśmiechu z twarzy Agnellego było tak szybkie, że tylko czujny obserwator mógłby je zauważyć, a i to nie wiadomo czy nie złożyłby go jedynie na karb swojej wybującej wyobraźni.

— To się nazywa szybkość. Lubię rzeczowych partnerów. Jestem, tak jak i ty, człowiekiem interesu.

— Wyjął z kieszeni kartkę papieru.

— Oto lista tego, czego potrzebuję. Robi wrażenie, co?

— Owszem. Ale sądzę, że jest w granicach moich możliwości. Więk szość to standardowy towar, zwłaszcza materiały wybuchowe. Rakiety klasy ziemia-ziemia; chodzi o kierowane rakiety przeciwpancerne, choć nie jest to podane, rakiety klasy ziemia-powietrze, czyli przeciw lotnicze, są również łatwe do zdobycia, podobnie jak miny plastikowe, granaty i bomby gazowe. — Wypił parę łyków brandy i zamyślił się.

— Czegoś w tym nie rozumiem. Nie wspominam już o fakcie, że spis zapowiada regularną wojnę obronną, ale to przecież nie mój interes.

— Wręczył listę Van Effenowi. — Co ty na to?

Van Effen przejrzał ją i oddał z jednym słowem komentarza:

— Specyfikacje.

— Właśnie. — George nie uśmiechając się obrzucił podejrzliwym spojrzeniem czterech mężczyzn, zatrzymując wzrok na potężnej postaci Agnellego. — To raczej dość mordercza lista, ale może się okazać zabójcza dla kogoś, kto zechce jej użyć.

Agnelli już się nie uśmiechał, wyglądał na bardziej niż lekko zdenerwowanego.

— Nie rozumiem o co chodzi... — mruknął z zakłopotaniem.

— Stefan zauważył, że pozycje nie mają specyfikacji. Brakuje dokładnych danych na temat materiałów wybuchowych. To samo tyczy się rakiet. Jakie zapalniki, nie wiem nawet czy mają być chemiczne czy lontowe. Czy lonty mają być wolnopalne czy nie. Czy chodzi o zapalniki szybko reagujące czy nie... Przy pisaniu tej listy na pewno nie było specja od materiałów wybuchowych. Pisał ją jakiś niekompetentny amator! Kto?

— Ja — odparł Agnelli — pomagali mi ci trzej panowie.

— Boże, miej nas w opiece — jęknął Van Effen. — Lepiej, żeby pan nie brał do ręki nawet pudełka ze sztucznymi ogniami. Gdzie są do cholery wasi specjaliści? Dlaczego oni nie sporządzili tej listy?

Agnelli rozłożył bezradnie ręce.

— Będę szczery (co znaczyło, że zaczyna łączyć na potęgę). Dwaj specjaliści, którzy w naszej grupie zajmowali się materiałami wybuchowymi, wyjechali na kilka dni i nie mieliśmy z kim przedyskutować tych istotnych spraw. No cóż, myślę, że wy, panowie, jako eksperci w tej dziedzinie, moglibyście nas poratować i...

— Nie ma sprawy — rzekł George. — Wiemy, czego wam trzeba i możemy was poinstruować, jak używać tych cacek nie wysadzając się przy tym w powietrze. Kłopot będzie wyłącznie z raketami. Tylko przeszkolony specjalista może je odpalić.

— Ile czasu potrwa przeszkolenie tego kogoś?

— Tydzień, może dziesięć dni. — George przesadzał i Van Effen wiedział o tym, ale Agnelli i jego towarzysze byli zupełnymi amatorami i nie zdawali sobie z tego sprawy. — Nie prosz nas, byśmy się tym zajęli. Nie jesteśmy żołnierzami, nie znamy się na obsłudze tych cudów techniki.

Agnelli milczał chwilę, po czym nagle zapytał:

— Czy zna pan kogoś, kto mógłby się tym zająć? Jakiegoś specjalistę w dziedzinie broni raketowej?

— Czy myśli pan o tym samym co ja?

— Tak.

— Znam — rzekł George głosem, w którym pobrzmiwało zniecierpliwienie, że ktoś nie rozumie tak oczywistych faktów.

— Kto to jest?

— Nie ma nazwiska — odparł z lekkim obrzydzeniem George.

— Trzeba się do niego jakoś zwracać.

— Nazywam go Porucznikiem.

— Dlaczego?

— Bo jest porucznikiem.

— Zdegradowanym?

— Ależ skąd. Na co mógłby mi się przydać wydalony z wojska porucznik?

Jest moim pośrednikiem.

— Dostawcą?

— PANIE Agnelli. Niech pan nie zgrywa naiwniaka i nie oczekuje, że odpowiem na takie pytanie. Zobaczę, co da się zrobić. Gdzie ma być dostarczony towar?

— Zależy od tego, kiedy ma nastąpić dostawa.

— Jutro w południe.

— Wielkie nieba! — Agnelli nie zdołał ukryć kompletnego zaskoczenia. —

Chyba trafiłem pod właściwy adres. W jaki sposób zostanie dostarczony?

— Przywiozą go ciężarówką wojskową.

— Oczywiście — Agnelli był lekko oszołomiony. — To nieco zmienia nasze plany. — Myślałem, że towar będzie nie wcześniej niż pojutrze.

Czy mógłbym jutro zadzwonić, żeby ustalić dokładny termin i miejsce dostawy? I czy można ją o parę godzin opóźnić?

— To da się załatwić. Czy pan Agnelli może tu zadzwonić jutro o dziesiątej? — George spojrzął na Van Effena. Ten skinął głową, a George uśmiechnął się do Agnellego. — Co do ceny to gdzieś pomiędzy dziesięć a dwanaście tysięcy dolarów. Może być w dolarach, guldenach i markach niemieckich. Usługi są naturalnie opłacane osobno. Polecam się na przyszłość.

Agnelli wstał i uśmiechnął się, znów zwyczajowo rozluźniony.

— Oczywiście. Cena jest dość przystępna.

— Jeszcze jedno — rzekł mile Van Effen. — Zdaje pan sobie chyba sprawę, panie Agnelli, że jeśli przeprowadzę się do innego hotelu pod zmienionym nazwiskiem, to nigdy już mnie pan nie znajdzie? A co za tym idzie również George'a?

— Owszem. Zdaję sobie sprawę. — Agnelli zamyślił się. — Dlaczego pan mi to powiedział?

— Mam nadzieję, że istnieje pomiędzy nami coś, co nazywa się wzajemnym zaufaniem.

— Oczywiście — rzekł kompletnie zbity z tropu Agnelli.

— No to co robią pańscy ludzie w holu, jadalni i na tyłach hotelu?

— Moi ludzie? — widać było, że Agnelli został kompletnie zaskoczony i gra na czas.

— Jeśli nie pan ich przysłał, to najpierw wrzucimy ich do kanału, stosownie obciążonych, a potem wyniesiemy się stąd.

Agnelli spojrzał na niego z twarzą pozbawioną wyrazu.

— Wiem, że zrobiłby to pan bez chwili wahania. — Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. — Wstyd mi za siebie. Zaraz odwołam swoich ludzi.

Niech mi pan wybaczy tę drobną ostrożność. To się już więcej nie po wtórzy.

Kiedy goście wyszli, Van Effen zwrócił się do George'a.

— Powinieneś się poświęcić nielegalnym interesom, marnujesz się w zawodzie restauratora. Teraz już nie mamy wyjścia. Założę się, że Annelise nie wie, jakim jesteś sprytnym łgarzem. De Graaf chyba dostał

by apopleksji. Biedak Agnelli nie miał cienia szansy, przynajmniej mam taką nadzieję. Pogadaj dzisiaj z Vasco i powiedz mu, że masz dla niego robotę. Chciałbym, żebyś zaproponował mu odegranie roli Porucznika.

Rzecz jasna, że będzie musiał skorzystać z charakteryzacji. Zajmiesz się tym? Nie wolno zapomnieć, że Agnelli miał okazję mu się przyjrzeć.

— Nie ma sprawy — George wskazał na listę Agnellego. — Jestem ciekaw miny pułkownika, kiedy zobaczy, co będzie musiał dla nas załatwić. O ile wiem, to wybierasz się teraz na spotkanie z de Graafem. Czy nie przyszło ci na myśl, że Agnelli może się zjawić na zebraniu z negocjatorami, razem z Riordanem i Samuelsonem?

— To ciekawy pomysł. Owszem myślałem o tym.

— No i co?

— Co, no i co?

— On się pyta, co?! Wiemy przecież, że bracia Agnelli to nie kto inny jak Annecys!

— Nie mamy stuprocentowej pewności. Nie zapominaj, że nigdy nie widziałem żadnego z dwóch

braci Annecys, którzy wciąż jeszcze przebywają na wolności.

— Fakt, że ty go nie znasz, nie świadczy jeszcze o niczym. Romero musiał

widzieć twoje zdjęcia w gazetach, publikowane zarówno w trakcie procesu, jak i po zapadnięciu wyroku. Jak myślisz, jak zareaguje widząc przed sobą znenawidzonego porucznika Van Effena, którego siostra umiła mu nudne wieczorne godziny służąc jako obiekt do wy-próbowywania najnowszych modeli śrub do zgniatania palców?

— To może być interesujące.

— De Graaf miał rację — mruknął George. — Nie jesteś człowiekiem.

Jesteś zimmokrwistą rybą.

— „Twoje dziesięć centów pomoże zabić jeszcze jednego brytyjskiego żołnierza, to okazjna cena, najlepszy interes jaki kiedykolwiek miałeś okazję zrobić.” Tak mówią kwestarze, kiedy krążą z puszkami po irlandzkich barach w Stanach, zwłaszcza w ich północno-wschodniej części, a już szczególnie w Nowym Jorku. Zwłaszcza w Queens, gdzie Irlandczyków jest najwięcej.

Proszą tylko o dziesięć centów i pobrzękują swoimi puszkami kultywując irlandzkie tradycje. Jeśli nie wiedzieliście, że są tam organizacje charytatywne, o ile można je tak określić, zajmujące się skupem broni, to znaczy, że już dziesięć lat temu schowaliście głowę w piasek. Kwestarze głoszą, że chcą zebrać milion dolarów, żeby wspomóc wdowy i sieroty po członkach IRA zamordowanych przez brytyjskich oprawców. Wspierać wdowy i sieroty!

Założyciel tej organizacji pomylił się kiedyś i powiedział prawdę: „Im więcej żołnierzy brytyjskich wyślemy z Ulsteru do Anglii w dębowych trumnach, tym lepiej”. Jack Lynch, były premier Irlandii stwierdził, że te pieniądze mają służyć tylko jednemu celowi: powiększać szeregi

wdów i sierot — brytyjskich wdów i sierot. — Riordan, niezwykle wysoki i szczupły mężczyzna, ciemnowłosa i opalony, ubrany w długi płaszcz przeciwdeszczowy kipiał ze złości, trzymając na stole przed sobą mocno zaciśnięte pięści. Widać było, że wypowiedź ta wytrąciła go z równowagi i że mówi szczerze. — Wiemy dobrze, że część dochodów dla przestępczych organizacji pochodzi od religijnych katolików, którzy dali się nabrać na charytatywną nalepkę. Ci ludzie to zwykli idioci. Pieniądze, które zostają zebrane, dochodzą do specjalnych komórek IRA. Część z nich przeznaczona jest na zakup broni. Transakcji dokonuje się nocą na opuszczonych parkingach, w takich dzielnicach Nowego Jorku jak: Bronx, Queens czy Brooklyn albo w południowych stanach, gdzie można ją kupić całkowicie legalnie. Wywozi się ją z Nowego Jorku zwykle z rejonu New Jersey lub z Brooklynu i zaręczam panom, że naprawdę jest to tylko czysta formalność... Większość celników czy związkowców to Irlandczycy w pierwszym lub drugim pokoleniu, a kto wie czy nie dają tu o sobie znać zakulisowe działania lobby irlandzkiego, którego wpływy w Kongresie nie ulegają żadnej kwestii.

— Chwileczkę, panie Riordan — wypowiedź chudzielca przerwał Aaron Wieringa — minister obrony. Potężnie zbudowany, błękitnooki, spokojny mężczyzna, który już przed laty mógłby zająć

fotel premiera, gdyby nie ciążyła na nim klątwa nieprzekupności. — Trudno wątpić, że w tej chwili mówi pan szczerze i jest pan poruszony tematem, o którym pan mówi. Każdy obecny w tym pokoju przyznaje, że pańska złość jest w pełni usprawiedliwiona.

Popieram pańskie potępienie polityki rządu w Waszyngtonie, ale przecież nie o to teraz chodzi. Chodzi nam o fakty. O to, dlaczego wasza grupa wybrała jako swój cel Holandię, a w szczególności Amsterdam. Nie wątpię, że jest w tym jakiś powód i myślę, że pan go nam zdradzi za chwilę, choć przyznaję, że pojęcia nie mam, jaki on może być. Nic z tego, co pan powiedział, nie może usprawiedliwić szantażu i chęci wykorzystania naszego rządu w roli pośrednika w negocjacjach z rządem Wielkiej Brytanii. Wiem, że możecie mieć lub macie istotny powód, by żądać wycofania wojsk brytyjskich z Irlandii Północnej, ale nie rozumiem, w jaki sposób rząd Holandii miałby zmusić rząd Wielkiej Brytanii do przyjęcia waszych absurdalnych żądań. Nie rozumiem na jakiej podstawie mieliby zgodzić się na wasze warunki?

— Z powodów czysto humanitarnych. To chyba wystarczająco ważny powód, prawda? Wymienione rządy nie będą patrzeć spokojnie, jak Holandia znika pod wodą. Zrozumieją, ile tysięcy, może setek tysięcy ludzi by zginęło podczas tych powodzi. Zanim jednak zaczniemy o tym mówić, chciałbym odpowiedzieć najpierw na jedno, pytanie. Dlaczego Holandia? Z powodu położenia geograficznego. Zostaliście wybrani, ponieważ Amsterdam odgrywa kluczową rolę jeżeli chodzi o handel bronią- To miasto jest od lat centrum handlu tym towarem, tak samo jak już dawno temu stał się centrum obrotów heroiną w Europie Centralnej. To powszechnie wiadome i dalsze istnienie tego procederu może jedynie świadczyć o korupcji i zepsuciu panującym w rządzie i w policji. — Wieringa chciał mu przerwać, ale Riordan uciszył go gestem. — Tak, tak, wiem, że i w innych miastach kwitnie handel bronią, ale w porównaniu z Amsterdamem, nawet w Antwerpii prowadzi się interesy na niewielką skalę.

Tym razem Wieringa nie wytrzymał, co jak na niego było rzadkością:

— To znaczy, że tylko dlatego, że nie mogliście zatopić Belgii...

Riordan kontynuował jakby nie słysząc słów ministra.

— Przez Amsterdam przechodzi do Eire tylko część broni, oczywiście część trafia do RAF, reszta do...

— RAF — to musiał być Bernhard Dessens. — Sugerujecie, że Lotnictwo Brytyjskie zajmuje się...

— Siedź cicho, idioto — uciszył go Riordan, który na chwilę zrezygnował

ze swej zwykłej uprzejmości. — Mówię o Frakcji Czerwonej Armii, spadkobiercach krwawej organizacji Baader-Mainhof z początków lat siedemdziesiątych. Część tej organizacji, działającej w RFN, została zorganizowana na wzór sycylijskiej mafii. Co do broni to większość trafia do Eire. Wie pan, co przypomina Irlandia Północna, panie ministrze? — Nie trzeba było jasnowidza, by wiedzieć, że pytanie nie było kierowane do ministra sprawiedliwości. — Czy wyobraża pan sobie warunki, jakie tam panują, albo zna praktykowane przez IRA i UVF tortury, szła śmierci, który panuje tam od czternastu lat? Kraj rządzony strachem rozpada się na kawałki. Irlandia Północna nigdy nie będzie

rzządzona przez protestantów i katolików współpracujących ze sobą. Za duże są między nimi różnice religijne. Półtora miliona ludzi żyje tam, na niewielkim obszarze, ale pomimo sporów, jakie nimi miotają, dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent nie sięgnęłoby z tego powodu po broń. Te dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent ludzi pragnie tylko jednego: pokoju i spokojnego życia. To jednak marzenie niemożliwe do spełnienia. Krajem rządzi zgraja szaleńców i morderców.

Rządzą nim demagodzy i rewolwerowcy. Liczy się tylko prawo pięści. —

Riordan przerwał na chwilę, aby odetchnąć, ale najwyraźniej nikt nie miał zamiaru zabrać głosu w dyskusji. — Ale mordercy,

nawet szaleni muszą mieć broń, prawda? Ta broń jest dostarczana z Amsterdamu, zazwyczaj w meblach. Jest ładowana do kontenerów, a jeśli celnicy w Amsterdamie o tym nie wiedzą, to muszą być najgorszymi, najbardziej zaślepionymi, najbardziej skorumpowanymi i najgłupszymi ludźmi w Europie. Nie wiem, co dzieje się z ładunkiem w Dublinie, choć i tam musi przejść odprawę celną. Nie sądzę jednak, by to stanowiło poważniejszy problem. Przed czterema laty do IRA nie dotarła na przykład przesyłka broni wartości miliona dolarów; ciekawe jakiej wartości były te, które dotarły. W

Dublinie broń przeładowuje się i rozwodzi jako artykuły gospodarstwa domowego do magazynu w hrabstwie Monaghan, a stamtąd do County Louth.

Niech mnie pan nie pyta, skąd o tym wiem, choć nie było to specjalnie trudne: ludzie wiedzą wszystko, tylko niechętnie o tym mówią. Stamtąd broń zostaje przemycona do Irlandii Północnej i to nie w ciemną noc przez zamaskowanych członków IRA, ale w jasny dzień przez młode dziewczyny. Często wożą one zresztą ze sobą małe dzieci, aby zmylić policyjne patrole. Droga pistoletu maszynowego z USA do Irlandii jest długa. Dużo czasu upłynie nim broń dotrze do rąk jakiegoś maniakałnego mordercy, który będzie pewnego wieczoru kulił się w jednej z ciemnych uliczek Belfastu czy Londonderry. To długa podróż. Centrum przewozowym tej broni jest Amsterdam. Dlatego właśnie on stał się naszym celem.

Riordan usiadł i przez długą chwilę w pokoju panowała głucha cisza. W

salonie ministra Dessena było w sumie osiem osób. Trzej towarzysze Riordana byli negocjatorami obecnymi na zebraniu u ministra sprawiedliwości —

Samuelson, opisany już przez de Graafa, O'Brien, który zjawił się w „Trianon”

i Agnelli, którego obecność przewidział wcześniej George.

Kiedy Agnelli zobaczył Van Effena, jego oczy nagle rozszerzyły się, usta rozchyliły, a policzki stały przeraźliwie białe. Van Effen był z pewnością jedynym człowiekiem, który dostrzegł tę zmianę, ale nie dał po sobie niczego poznać. Po drugiej stronie stołu znajdowało się również czterech ludzi: dwóch ministrów, de Graaf i Van Effen, nad którego twarzą spec od charakteryzacji spędził sporo czasu. Negocjatorzy milczeli z dwóch powodów: po pierwsze, nie mieli co powiedzieć, a po drugie, wiedzieli, że wywód Riordana był tak gruntownie obmyślony, że nie można go było na poczekaniu

podważyć w żaden sposób.

Ciszę w końcu przerwał Aaron Wieringa:

— Zanim zacznę, panowie, czy ktoś z was chciałby coś może powiedzieć?

— Ja — odezwał się Van Effen.

r^

\_\_ Poruczniku?

— Pan Riordan zapomniał nam wytłumaczyć jedną rzecz, a mianowicie, dlaczego chce, żeby wszyscy Brytyjczycy opuścili Irlandią Północną? Myślę, że zanim zaczniemy negocjacje, powinniśmy coś wiedzieć na temat motywów jego postępowania i intencji, jakie nim kierują. Kto wie, może są one tak potworne, że prędzej zdecydujemy się poświęcić nasz kraj, niż zgodzimy się na prowadzenie dalszych rozmów? Rzecz jasna nie mamy żadnych powodów, by wierzyć, że powie prawdę.

— No właśnie, to ciekawe pytanie. Co pan na to, panie Riordan? — spytał

Wieringa.

— Niepotrzebnie dodał pan to zdanie o niemówieniu prawdy. Nawet wierutny kłamca zarzekałby się, że mówi całą prawdę. — W głosie Riordana słysząc było pogardę. — Mówimy o dziewięćdziesięciu dziewięciu koma dziewięciu procentach uczciwych ludzi w kraju ogarniętym pożogą wojenną, a którym to krajem rządzi garstka maniakałnych morderców. Chodzi nam o wyeliminowanie tej grupki, o danie ludowi Ulsteru szansy na prowadzenie spokojnego życia, o wprowadzenie atmosfery pokoju i wolności. Żeby mogli mieć nadzieję, że dożyli z dawna oczekiwanego pokoju i spokoju.

— Eliminacja? — spytał Wieringa. — Co pan ma na myśli mówiąc o eliminacji?

— Wykończymy tych drani po obu stronach. Wytniemy zrakowaciałą tkankę. Czy wystarczy takie wyjaśnienie? — Riordan zajął swoje miejsce.

— To brzmi potwornie wyniośle — Van Effen nie ukrywał swojego powątpiewania. — Zaszczytne i ludzkie. Pozwolić im stanować o własnej przyszłości. To raczej kłóci się z tym, co powiedział pan wcześniej o zatargach między protestantami i katolikami. O tym, że nigdy nie zgodzą się na współpracę. Czy nie uważa pan, że gdyby na pana miejscu siedział teraz najbardziej zacieklej bojownik IRA, powiedziałby nam dokładnie to samo co pan? On również zażądałby, aby wszyscy Brytyjczycy opuścili Irlandią Północną. Jaką mamy pewność, że nie jest pan którymś z przywódców IRA?

— Żadnej — spokojnie odparł Riordan. — Nie mogę zrobić nic więcej. Jeśli nie widzicie, że nienawidzę IRA i tych ich rzeźni, to chyba musicie być ślepi.

Jestem zaskoczony, że nie zdołałem was o tym przekonać.



Zapadła długa cisza, po czym Wieringa rzekł:

— Chyba mamy impas.

— Impas — przyznał łagodnie Riordan, tracąc ochotę do retoryki —

Wydaje mi się, że znam sposób na przerwanie tego impasu, na przykład Oostlijk-Flevoland albo Leeuwarden, może też polder w No-ordast, Wieringermeer lub Putten, Walchen i wiele, wiele innych. Czy wspomniałem już, że podłożyliśmy ładunki wybuchowe w Pałacu Królewskim?

— W pałacu? — spytał Wieringa, nie wyglądający na specjalnie po-ruszonego.

— Dziś w nocy dokonaliśmy tylko małego pokazu. Chcieliśmy udowodnić, jak łatwo jest oszukać wasze osławione systemy zabezpieczające i posterunki pałacowe.

— Oszczędź sobie oddechu, Riordan — rzekł oschle Wieringa ignorując formę „pan”. — Czas pogroźek już minął. Teraz pozostało ci jedynie oddziaływanie moralne.

— Pół na pół — wtrącił Van Effen.

Wieringa obdarzył go uważnym spojrzeniem i skinął głową.

— Tak też myślałem. Dziękuję, poruczniku. Trudno jest zdecydować o zatopieniu ojczyzny opierając się jedynie na zakładach. — Spojrzał na Riordana. — Mam prawo podejmowania decyzji i zadzwonię do brytyjskiego ambasadora, który z kolei skontaktuje się z Foreign Office. Nadamy przez radio komunikat o waszych żądaniach. To mogę wam zagwarantować. Nie mogę jednak przewidzieć wyniku tych negocjacji. Czy to jasne?

— Tak. Dziękuję panu, panie ministrze — w głosie Riordana nie wyczuwało się tryumfu czy zadowolenia. Wstał. — Wiem z różnych źródeł, że jest pan rzetelnym politykiem. Cieszę się, że pana poznałem. Cieszę się też z wyniku naszego spotkania. Dobranoc, panowie.

Nikt mu nie odpowiedział.

Po wyjściu Riordana i jego towarzyszy w pokoju panowała głucha cisza, dopóki Wieringa nie skończył krótkiej rozmowy z ambasadorem. Kiedy odłożył słuchawkę i skosztował brandy, uśmiechnął się i spokojnie spytał:

— Co wy na to panowie?

— To potworne, wstrętne, okropne zdarzenie, okrywające nas hańbą. —

Dessens był wściekle aktywny jako że czas podejmowania decyzji już się skończył. — Dobre imię i honor Holandii przestały istnieć.

— A może lepiej byłoby, gdyby Holandia przestała istnieć i zniknęła pod falami zalewającej ją wody? Chciałby pan, żeby tysiące ludzi zginęły podczas dziesiątek monstualnych powodzi? —

spytał Wieringa.

\_ Pułkowniku?

— Wydaje mi się, że zrobił pan wszystko, co pan mógł. Wybrał pan najlepsze i nieuniknione.

— Dziękuję, pułkowniku. Poruczniku?

— Czy jest jeszcze coś do dodania, sir?

— Nie wiem. Muszę jednak przyznać, że pułkownik miał zimną krew zabierając pana ze sobą. Przecież, jak by nie było, współpracuje pan z tymi przestępcami. — Uśmiechnął się. — Oczywiście, że nie użyłem słowa

„współpracuje” w jego pejoratywnym znaczeniu.

— Dziękuję, sir. Miałem nadzieję, że nie.

— Nie jest pan zbyt rozmowny.

— Raczej nietypowe, ale choć jestem szefem detektywów w tym mieście, to w tym gronie jestem zdecydowanie najmłodszy rangą, o czym miałem więc mówić.

— Miałem dziś podjąć bardzo ważną decyzję. — Spojrzał na Van Effena. —

Czy wierzy pan Riordanowi?

Van Effen podniósł kieliszek i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

— Cztery kwestie: wierzę mu, jeśli chodzi o dwie z nich, w jednej nie jestem pewien, czy mu wierzyć czy nie, a co do czwartej to jestem pewien, że kłamał jak z nut.

— Stąd ta uwaga pół na pół?

— Owszem. Po pierwsze: wierzę, że nie należy do Irlandzkiej Armii Republikańskiej.

— Dlaczego w takim razie go pan podpuścił w tej sprawie?

— Już wcześniej byłem o tym przekonany. Sposób w jaki mówił...

Nienawidzi IRA i metod, którymi tamci się posługują. Musiałby być naprawdę wyśmienitym aktorem, żeby odegrać przed nami taką scenkę. Ponadto widziałem, jak nabrzmiały mu żyły na szyi w miarę wzrostu pulsu. On nienawidzi IRA. Każdy zdolniejszy obserwator mógłby to zauważyć.

— Nie zwróciłem na to uwagi — rzekł Wieringa. Spojrzał na de Gra-afa i Dessensa. — Czy któryś z was, panowie... — przerwał, gdy tamci w milczeniu potrząsnęli głowami.

— Po drugie — ciągnął Van Effen — wierzę, że to nie on jest przywódcą całej grupy. To zwykły

żołnierz. Czemu w to wierzę? Nie mam na to żadnych dowodów. Riordan jest jednak zbyt niestały, nerwowy i nieobliczalny, by mógł być szefem dobrze zorganizowanej grupy terrorystycznej.

— No to kto, poruczniku? — Wieringa uśmiechnął się zgryźliwie.

— Na pewno nie on i na pewno nie Agnelli. Z pewnością również nie O'Brien, to klasyczny podoficer. Bardzo możliwe, że to Samuelson. Jest dla nas zamkniętą księgą, niezgłębioną tajemnicą. Nie wiemy, dlaczego pojawił się na obu spotkaniach z przedstawicielami rządu, a to wymaga solidnego powodu.

Nie wiem, czy mam wierzyć w historię o Irlandii Północnej. Riordan stwierdził, że chce zlikwidować potwory... był wściekły, gdy to mówił, a jak powiedziałem, nie sądzę, by był tak dobrym aktorem. Wierzę zatem w to, co mówi, ale nie wierzę, aby to, w co on wierzy, było jedynym prawdziwym celem ich działalności. Pozostają jeszcze dwie sprawy. Riordan dał się zapędzić w kozi róg. Wyglądało to tak, jakby nie zdawał sobie sprawy, że w Irlandii działają trzy odrębne ugrupowania religijne, a nie dwa, o których wspominał. Prócz protestantów i katolików istnieją jeszcze mediatorzy. To oni są prawdopodobnie najbardziej niebezpiecznym ugrupowaniem polityczno-religijnym Irlandii. Aby tylko osiągnąć swój cel, mediatorzy zdecydowaliby się na akcję, która pociągnęłaby za sobą setki tysięcy ofiar. Nie mógłbym sobie wyobrazić jak wyglądałoby coś takiego w samym centrum Ulsteru. Powtórzę to raz jeszcze. Nie wyobrażam sobie czegoś takiego.

— Też o tym myślałem — rzekł wolno Wieringa. — No cóż, na dziś to powinno nam wystarczyć. Zapomniał pan jednak chyba o jeszcze jednej sprawie. O kłamstwach Riordana. O czymś, w co pan nie uwierzył.

— Tak, sir. Nie wierzę w jego pogroźki. Dokładniej, w jego obecne groźby.

To czym grozi w przyszłości to inna sprawa. Nie wierzę w rychłe zatopienie tych kilkudziesięciu miejsc, o których wspominał nam dzisiaj, a które były także na przedstawionej przez nich liście, z wyjątkiem tamy Helystad w Oostlijk-Flevoland. Reszta to bluff. Zwłaszcza zaś pogroźki dotyczące wysadzenia Pałacu Królewskiego.

— No cóż — rzekł Wieringa — wypada mi tylko zaufać panu. Jakie ma pan na to dowody?

— Po prostu nie wierzę, żeby zdołali podłożyć jakieś materiały wybuchowe w Pałacu Królewskim. Eksplozja, jaką wywołali w pałacu wczorajszej nocy, miała nas tylko zastraszyć, dlatego tak im zależało by była głośna.

Wieringa spojrział nań z zakłopotaniem.

— Jest pan bardzo pewny siebie, poruczniku.

— Jestem.

— Skąd pan może wiedzieć, że nie zdołali podłożyć w pałacu ładunków wybuchowych?

— Mam wewnętrzne informacje.

Wieringa obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem, ale powstrzymał się od komentarza. Dessens natomiast nie był do tego zdolny. Cały wieczór był nikim i teraz nagle poczuł się ważny.

— Kto jest pańskim informatorem, poruczniku.

— To ściśle tajna informacja.

— Ściśle tajne! — Trudno powiedzieć, czy gniew Dessensa wynikał z treści odpowiedzi, czy też faktu, że Peter nie zakończył swej wypowiedzi zwrotem

„sir” czy też „panie ministrze”. Prawdopodobnie sam nie potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie. — Ściśle tajne!

— Staram się być dyskretny, to wszystko. Nie chcę zdradzać źródła skąd czerpię informacje, bo może to spowodować niepotrzebne zamieszanie.

Dlaczego nie zaufa pan mojemu słowu? Dlaczego nie potrafi pan zrozumieć czegoś tak oczywistego?

— Zrozumieć? Zaufać? — Dessens poczerwieniał jak indyk. — Ty bezczelny... bezczelny... Chciałbym panu przypomnieć, poruczniku...

— Zaakcentował mocno wyraz „poruczniku” — że jestem ministrem sprawiedliwości, a pan jest jedynie porucznikiem policji...

— To niesprawiedliwe, sir — odezwał się de Graaf — porucznik Van Effen jest moim zastępcą i wyższym oficerem policji tego miasta.

— Nie mieszaj się de Graaf — rzekł Dessens starając się o lodowaty ton, ale mu się to nie udało. — Van Effen, słyszałeś co powiedziałem?

— Słyszałem — odrzekł zapytany dodając po chwili wymuszone:

— sir. Wiem o czym mówię, bo osobiście zakładałem ładunki wybu chowe w piwnicy Pałacu Królewskiego.

— Co? Co? — minister spurpurowiał. — Boże! To nie do wiary! Czy ja dobrze słyszę?

— Dobrze, sir. Również ja osobiście spowodowałem eksplozję tego ładunku wybuchowego w piwnicy. To ja nacisnąłem guzik detonatora.

Dessens zamilkł. Van Effen ze spokojem popijał brandy nie próbując nawet ukryć opinii o swoim rozmówcy, jaką miał wypisaną na twarzy.

— Aresztować go natychmiast! De Graaf! — Dessens odzyskał głos. — Już!

— Pod jakim zarzutem, sir?

— Co takiego? Chyba zwariowałeś, tak jak... jak... Zdrada, człowieku, zdrada!

— Tak, sir. Ale to rodzi pewne problemy.

— Problemy? Przecież to twój obowiązek, człowieku!

— Problem. Jestem komisarzem policji więc podlegają mi wszyscy Policjanci w tym mieście — w tonie de Graafa można było policzyć arystokratycznych przodków. — Nikt w Amsterdamie nie ma prawa mnie aresztować.

Dessens spojrzał na niego z rosnącym niedowierzaniem. Potrząsają głową w milczeniu.

— Jeśli porucznik Van Effen ma być aresztowany i oskarżony o zdradę, to powinien pan aresztować i o to samo oskarżyć mnie. — De Graaf zamyślił się.

— Co więcej: jestem jego szefem i osobiście wyraziłem zgodę na przeprowadzenie przez porucznika tej akcji, a więc moja wina jest większa. —

Przerwał na moment, dając tym samym Dessensowi czas na zastanowienie się i zwrócił się do Van Effena: — Zapomniałeś mi powiedzieć, że osobiście odpaliłeś ładunek.

— Wie pan, jak to jest z moją pamięcią, pułkowniku — odparł wzruszając ramionami.

— Wiem — westchnął de Graaf — masz kupę spraw na głowie. Już mi to mówiłeś.

— Dlaczego przekroczył pan prawo — spytał zaciekawiony Wieringa.

— Nie przekroczyłem prawa, sir. Robiłem i robię wszystko, aby bronić jego przestrzegania. Porucznikowi Van Effen z wielkim trudem, ale udało się dostać w szeregi FFF. To graniczy z samobójstwem. Zgodziłem się na tę misję tylko dlatego, że jest ona naszą jedyną nadzieją. Ostatnią szansą.

Dessens spojrzał na dwóch policjantów z oszołomieniem, ale szybko otrząsnął się z chwilowego zaskoczenia.

— Jak to możliwe? Przecież każdy przestępca w Amsterdamie musi znać jego twarz. Zapomniał już o tym, co powiedział przed chwilą.

— Zgadza się. Ale znają Van Effena, którego tu widzicie. Potrafi się ucharakteryzować tak, że nikt nie byłby w stanie go rozpoznać. W grupie FFF

znają go pod nazwiskiem Stefana Daniłowa. Nie mamy pojęcia, czy FFF

bezkrytycznie przyjęła go w swoje szeregi. To dziwne, ale wydaje mi się, że odnieśliśmy w tym względzie znaczący sukces. Gdyby nam się nie powiodło, Amsterdamowi będzie potrzebny nowy porucznik i nowy komisarz policji, bo, jak pan sam rozumie, będę zmuszony złożyć rezygnację z mojego stanowiska.

Natomiast Holandii będzie potrzebny nowy minister sprawiedliwości. Pan również ugrzązł w tym wszystkim po uszy. Tylko pan Wieringa może być spokojny o swoją przyszłość.

— Nie biorę w niczym udziału — Dessens był najwyraźniej przerażony.

Wieringa wziął go pod ramię.

— Bernhard, mógłbym cię prosić na słówko.

przeszli na drugi koniec olbrzymiego pokoju i zaczęli szeptać o czymś, a raczej Wieringa ostro i gwałtownie tłumaczył coś Des-sensowi.

— Jak pan myśli, o czym dyskutują nasi ministrowie? — spytał Van Effen.

— Myślę, że pan Wieringa wyjaśnia swemu słuchaczowi zasadę wyboru Hobsona. Jeśli Dessens nie będzie współpracował, Holandia zacznie już szukać nowego ministra sprawiedliwości. Gdyby minister nie zmusił cię do wyjawienia mu ściśle tajnych informacji, nie znalazłby się w sytuacji bez wyjścia. — De Graaf usiadł sobie wygodnie w fotelu, westchnął i sięgnął po butelkę brandy. — Dzięki Bogu, że na dzień dzisiejszy skończyliśmy już z mocnymi wrażeniami.

Van Effen poczekał, aż de Graaf naleje mu brandy i wypił zawartość szklanki, zanim wyjął z kieszeni listę Agnellego.

— Nie tak całkiem, sir. Został jeszcze ten drobiazg.

De Graaf przeczytał listę z wyrazem całkowitego osłupienia na twarzy, następnie przeczytał ją raz jeszcze. Jego usta poruszały się bezgłośnie.

Mruknął tylko:

— Drobiazg... drobiazg... — gdy Wieringa i Dessens wrócili do stołu.

Pierwszy z nich miał kamienną jak zwykle twarz, ale drugi wyglądał jak chrześcijanin, któremu właśnie pokazano lwy na arenie Koloseum.

— Jaki drobiazg? — spytał Wieringa.

— To — De Graaf wręczył mu kartkę i oparł się na łokciu przesłaniając oczy dłonią, jakby chcąc uchronić je przed wzrokiem pozostałych trzech mężczyzn.

— Materiały wybuchowe — czytał Wieringa. — Detonatory. Granaty.

Rakiety klasy ziemia-ziemia. Rakiety klasy ziemia-powietrze. — Spojrzał z uwagą na Van Effena. — Co to takiego?

— Lista zakupów. Poprosiłem pułkownika, aby zajął się tą sprawą.

Dessens jęknął przyjmując pozycję identyczną jak de Graaf.

— Jako że jest pan ministrem obrony, mógłby pan dopomóc pułkowi Nikowi w tym przedsięwzięciu. Chciałbym również pożyczyć wojskową ciężarówkę. Przy odrobinie szczęścia może będzie mi dane zwrócić to wszystko.

Wieringa spojrział na niego, potem na listę i znów na Van Effena.

— W porównaniu z listą, sprawa samochodu, wydaje się być całkiem sensowna. Mogę załatwić panu wszystko, czego pan potrzebuje. To dla mnie żaden problem. Dzisiejsza lekcja była bardzo pouczająca, panie Van Effen. Wiem już, że nie należy poddawać w wątpliwość pańskich osądów. — Zamyślił się przez chwilę. — Sęk w tym, że z czystej ciekawości chciałbym wiedzieć, po co są panu potrzebne te wszystkie zabawki.

— U FFF jest obecnie krucho z materiałami wybuchowymi i bronią ofensywną, więc przyrzekłem im dostarczyć mały transport.

— Oczywiście — odparł Wieringa — oczywiście.

Minister obrony był tym zupełnie nie poruszony. To znaczy nie okazywał

tego po sobie. De Graaf i Dessens starali się o to samo, ale drżące dłonie osłaniające ich przed brutalnością otaczającego ich świata mówiły same za siebie.

— Kiepsko też u nich z ekspertami w dziedzinie materiałów wybuchowych, więc zaoferowałem im swoje usługi.

— Zna się pan na materiałach wybuchowych?

— Jest specem w tej dziedzinie, a także jednym z najlepszych saperów jakich znam — odparł de Graaf. — Chciałbym, żeby to było tak proste, jak rozbicie półtonowego niewypału czy coś w tym rodzaju...

— Miło mi, sir — odrzekł Van Effen. — Zaangażowałem także George'a i Vasco. George'a do roli handlarza bronią i specjalisty w dziedzinie materiałów wybuchowych, a Vasco jako wykwalifikowanego operatora broni rakietowej.

Rozumie pan, że nie miałem czasu, aby porozmawiać z panem w tej sprawie.

— Nie mogłeś myśleć o wszystkim — rzekł ponuro de Graaf.

Spojrział na swoją szklankę i z zaskoczeniem stwierdził, iż jest pusta.

Natychmiast zabrał się do jej ponownego napełnienia.

— Zaangażowanie tych dwóch ludzi także nie było wykroczeniem.

To dwaj policjanci. Sierzanci. Dobrze wiedzą, co im grozi. Zgłosili się na ochotnika. Co do materiałów wybuchowych, to zajmę się nimi osobiście, ale byłbym wdzięczny, gdyby dostarczył mi pan rozbrojone rakiety.

De Graaf odstawił naczynie.

— Ja również — dodał pośpiesznie.

— Być może znów przemawia przede mną czysta ciekawość, ale dlaczego pan i pańscy przyjaciele podjęliście tak wielkie ryzyko? — spytał Wieringa.

— Ryzyko nie jest takie wielkie i to z prostego powodu: jak powiedział

pułkownik jestem w szeregach FFF. Z tym że sytuacja wygląda trochę inaczej: zostaliśmy zaakceptowani, albo tak nam się przynajmniej wydaje, na okres próbny. Tkwimy na obrzeżach pajęczej sieci. Nie wiemy, gdzie czyha pająk.

Jeśli uda nam się dostać tę broń, to go

najdziemy. Na pewno nie zostawią rakiet w przechowalni bagażu na Central Station.

— To logiczne, Van Effen. To logiczne. Z jednym małym wyjątkiem.

— Sir?

— Pająk może was pożreć. Pomysł jest szalony i jest to jedyny powód, dla którego może wam się to udać. Ciekaw jestem, gdzie i kiedy zorganizował pan to wszystko?

— Półtorej godziny temu. Na spotkaniu z Agnellim.

Po raz pierwszy Wieringa stracił pewność siebie.

— Na spotkaniu z Agnellim? Z jednym z tych ludzi, którzy byli tu dzisiejszego wieczoru?

— Wtedy byłem Stefanem Daniłowem. Sir, jeśli to wszystko, to chciałbym wrócić do siebie. Prognoza pogody powinna pana zainteresować: ostatnie doniesienia mówią o wzroście zagrożenia powodziowego. Sytuacja jest gorsza od tej z roku pięćdziesiątego trzeciego. To okazja dla naszych przyjaciół.

Obawiam się, że rząd brytyjski nie będzie miał zbyt wiele czasu do namysłu: Brytyjczycy będą między młotem a kowadłem. Pamiętaj pan, że powiedziałem, iż nie wierzę w obecne pogrożki Riordana? Jestem jednak przekonany, że groźba dotycząca niedalekiej przyszłości, olbrzymiej powodzi mającej zniszczyć nasz kraj, jest całkowicie realna i może zostać spełniona. Jeszcze jedno, pułkowniku. Chodzi mi o sprawy celne poruszane przez Riordana.

Przecież to wierutne bzdury. Wiem o tym dobrze, podobnie jak i pan, ale świat nie ma na ten temat najmniejszego pojęcia. Jestem pewien, że przekazywanie broni ma miejsce na IJsselmeer, Waddenzee



albo na otwartym morzu. To sprawa marynarki. Ten handel bronią i tak potwornie zaszargał nam opinię.

Ciekaw jestem, jak to będzie, gdy cała sprawa już się skończy. — Van Effen uśmiechnął się. — To nie robota dla zwykłego porucznika. Tylko ministrowie obrony i sprawiedliwości mogliby sobie z tym poradzić.

— Chwileczkę, Peter, chwileczkę — odezwał się de Graaf z wyraźnym zażenowaniem. — Czy na pewno nie możemy nic zrobić, żeby...

— Tak sir. Możecie nic nie robić. Absolutnie nic. Gdybyście spróbowali coś zrobić, to tak, jakbyśmy już zaczęli kopać dla nas groby. To sprytni ludzie, gotowi na wszystko, więc proszę: żadnych genialnych pomysłów obojętnie jak genialne by się nie wydawały. Żadnych helikopterów, ślepych grajków ze spluwami za pasem. Nic w tym stylu. Zabraniam panom również podkładania do ciężarówki niewinnie wyglądających, maleńkich nadajniczków — bo szukanie ich zajmuje jedno z pierwszych miejsc na liście ich rutynowych czynności. Nic.

— Podzielam pana zdanie — rzekł oschle Wieringa. — Nic nie zrobimy.

Mimo wszystko decyduje się pan podjąć to ryzyko. Dlaczego?

— Słyszał pan wypowiedź pana Dessensa. Dobre imię i honor Holandii zostały zmieszane z błotem, a pan i wszyscy mieszkańcy naszego kraju mają się znaleźć na głębokości pięciu sążni pod powierzchnią wody. Chyba nie możemy na to pozwolić, prawda?

— A pańska siostra?

— Co z moją siostrą?

— Pułkownik opowiedział mi o wszystkim dziś w nocy. Powiem to za pana

— porwano ją.

— Jest częścią tej skomplikowanej układanki.

— Nie chciałbym być w skórze tego nieszczęśnika, który ją porwał, gdy wreszcie dostanie go pan w swoje ręce.

— Już się z nim spotkałem.

— Co takiego? — po raz drugi tego wieczoru Wieringa stracił kontrolę nad swoimi nerwami. — Kiedy?

— Dziś w nocy.

— Gdzie?

— Tutaj. To robota Agnellego.

— Agnellego?

— Miałem z niego zrobić sitko? Prawo tego zabrania. Jestem policjantem, przysięgałem bronić prawa i będę tego przestrzegał — dodał i wyszedł.

— Zaczynam wierzyć w te historyjki o Van Effenie — rzekł Wieringa. —

W te niezbyt przychylne. Boże, Arthurze: to przecież jego siostra. W jego żyłach nie płynie krew, tylko lód. Istny lód.

— Tak, sir. Miejmy nadzieję, że Julie jest cała i zdrowa.

— Co pan ma na myśli?

— Jeśli Agnelli zrobił jej coś złego, to już jest trupem. Tak, tak wiem, Van Effen przysięgał przestrzegać prawa, ale tylko przy świadkach.

Wieringa spojrział na niego, wolno pokiwał głową i sięgnął po stojącą na stole butelkę.

## Rozdział ósmy

W samo południe tego lutowego dnia na ulicach Amsterdamu było ciemno jak o zmierzchu. Ulice były wyludnione, a całe miasto sprawiało wrażenie opuszczonego. Chmury czarne i groźne wisiały na pułapie trzystu metrów, ale nie było ich w ogóle widać: wszystko ginęło w potokach deszczu. Ulewa i wiejący z północy wiatr utrudniały widoczność i zniechęcały do wychodzenia z domów.

Van Effen, George i Vasco stali w wejściu hotelu „Trianon” odseparowani od monsunowej ulewy taflą połyskującego szkła. Van Effen dokładnie przyglądał się Vasco.

— Nieźle Vasco, naprawdę nieźle. Gdybym nie wiedział, że to ty, wątpię czybym cię poznał. Jestem pewien, że gdybyś przeszedł obok mnie na ulicy, w ogóle nie zwróciłbym na ciebie uwagi. Nie możesz jednak zapomnieć, że gdy siedzieliśmy przy stole w „Hunter's Horn”

Agnelli bardzo uważnie ci się przyjrzał. Z drugiej strony ubrany byłeś dość dziwacznie i wątpię, by miał czas przyjrzeć się twojej twarzy.

Powinno się udać.

Vasco rzeczywiście przeszedł metamorfozę: długie włosy, uprzednio sięgające ramion, zostały precyzyjnie przycięte i elegancko zaczesane na lewą stronę. Był teraz brunetem, a jego brwi były równie czarne jak świeżo przyklejony wąsik. Twarz miał opaloną, a farb i szminek, którymi zmieniono karnację cery, nie można było zmyć wodą. Był teraz ideałem przystojnego oficera, za którym oglądają się dziewczyny. Koszula, krawat, garnitur i płaszcz pasowały jak ulał do jego obecnego wyglądu.

— Można go umieścić na plakatach werbunkowych — ocenił George. —

Wiesz o co mi chodzi: „Kraj cię potrzebuje” i tym podobne.

— No i ten głos — powiedział Van Effen. — Agnelli nie miał okazji dobrze poznać twojego głosu. Powiedziałaś przy nim jedynie parę zdań. Kłopot może być tylko z Annemarie. Nie jest najlepszą aktorką i nie wiem, czy zdoła się powstrzymać, gdy cię rozpozna. Gdyby cię

objęła wrzeszcząc „Mój wybawco”, czy coś w tym stylu, to moglibyśmy znaleźć się w nieco kłopotliwej sytuacji.

— Chyba dostanę złośliwej chrypy — wycharczał nagle Vasco p0 czym dodał normalnie: — Mimo wszystko postaram się mówić tak mało jak to tylko będzie możliwe.

— A ja będę się trzymał na uboczu, dopóki ktoś z was nie uprzedzi dziewczyn, jeśli one rzeczywiście tam będą, o mojej obecności.

— To będzie dla ciebie dość trudne — rzekł Van Effen. — Trzymać się na uboczu. Jestem pewien, że dziewczyny tam będą. Po co mieć asy, jeśli nie trzyma się ich w rękę. — Poklepał gazetę trzymaną pod pachą. — Ostatnie oświadczenie FFF było krótkie i rzeczowe. Stwierdzili, że są z nimi, starannie omijając takie brutalne określenia jak „porwane” czy „uprowadzone” młode damy, z których jedna jest córką wielkiego przemysłowca, a druga siostrą oficera policji w Amsterdamie. Podali także nazwiska. Stwierdzili na koniec, że mają nadzieję, iż obie powrócą do swych bliskich w dobrym zdrowiu.

— Chciałbym znać ich następny ruch — rzekł George. — To sprytna banda.

Zastanawiam się, na którym to uniwerku w Stanach czy Irlandii prowadzą skrócone kursy terroryzmu i psychologii?

— Faktycznie nie należą do umysłowo ociężałych — przyznał Van Effen

— ale tego nigdy nie zakładaliśmy. To kolejny kwiatek pod adresem rządu. Ich komunikat kończy się pobożnymi życzeniami o dobrym zdrowiu obu zakładniczek. Żadnych pogroźek, aluzji, nic takiego. Ani słowem nie wspominają o zemście czy o tym, co mogą zrobić z dziewczynami. Ani jednej wzmianki o torturach czy śmierci. Nic. Znowu zaczynamy od zera. Znowu musimy się postawić w ich położeniu. A wyobraźnia zawsze podsuwa najgorsze scenariusze. Dla każdego romantyka, a nie brakuje ich wśród Holendrów, los dwóch pańienek jest gorszy niż perspektywa potopu.

— Jedno jest w tym wszystkim pocieszające — odparł Vasco. — Jestem pewien, że to jest ostatnia, jaka do pana dotrze, pogroźka pod adresem pańskiej siostry, poruczniku.

— Stefanie — poprawił Van Effen.

— Stefanie. Wiem. Tym razem obędzie się bez przeprosin — rzekł Vasco normalnym tonem. — Wie pan przecież, że mam już w tej mierze duże doświadczenie. Pomyłka nie wchodzi w rachubę.

— To ja przepraszam — rzekł Van Effen. — Zapomniałem o twoim doświadczeniu w takich rolach. Zgadza się z tobą i myślę, że to rzeczywiście koniec z groźbami wobec Julie. Nie sądzę również, by FFF zwrócili się do Davida Meijira z żądaniem okupu. Pomijając fakt, że najprawdopodobniej mają dużo pieniędzy, David Meijir jest dla nich ważny nie jako zrozpaczony tatuś o grubym portfelu, ale jako człowiek posiadający wpływy w kołach rządowych i mogący, ze zrozumiałych względów, poprzeć ich żądania. Poza tym w chwili obecnej i tak ciągnie dalszy zależy od Anglików.

— Nie chciałbym być teraz na miejscu rządu brytyjskiego — mruknął

George. — Są w gorszej sytuacji niż nasze władze. Czy mają działać pod dyktando bandy terrorystów, niezależnie od motywów jakie nimi kierują? Co stanie się w Irlandii Północnej, jeśli wycofają się stamtąd? Nastanie okres zbrodni, morderstw i masakr. Ofiar będzie z pewnością o wiele więcej niż byłoby w Holandii, choć z pewnością trudno jest oszacować ich liczbę. Kto wie, ilu ludzi może zginąć: setki czy setki tysięcy? Mogą również odmówić negocjacji i pozwolić, żeby Holendrzy się potopili, ryzykując również bojkot połowy świata mimo wszystko wierzącej jeszcze w uczciwość czy podobne idee.

— Zamknij się, George — Van Effen był wyraźnie poirytowany. — Ładnie nam to wszystko wyłożyłeś, ale już skończ z tymi wnioskami. Nie ma sensu prowadzenie dyskusji, które niczego nie zmieniają i do niczego nie prowadzą.

Wątpię, czy jest jakaś różnica pomiędzy życiem mieszkańca Holandii i mieszkańca Ulsteru. Jeżeli miałbym decydować w tej sprawie to wybrałbym rzut monetą.

— Orzeł czy reszka — rzekł George. — Jak myślisz, co by wypadło?

— Nie mam pojęcia, zresztą nie wiemy, co oznaczałby orzeł a co reszka.

Jest jednak coś, co można przewidzieć: natura ludzka mogąca w tej sprawie odegrać kluczową rolę. Według mnie Anglicy się ugną.

George milczał przez parę sekund, drapiąc się po brodzie, po czym rzekł:

— Anglicy nie słyną z ustępliwości. Daj im tyle piwa czy szkockiej, ile zażądata, a w końcu ci powiedzą, że żaden obcy o niewymawialnym nazwisku nie panoszył się na ich świętej ziemi przez ostatnie tysiąc lat. I to jest fakt: żaden inny kraj nie może się poszczycić takim osiągnięciem.

— W tym przypadku jest to fakt bez znaczenia. Nie jest to przypadek klasyczny, w którym można byłoby zacytować Churchilla, który oznajmił, że walka toczyć się będzie dosłownie wszędzie: na ulicach, wzgórzach, plażach i że nigdy się nie poddadzą. To odnosi się do klasycznej wojny, a nie do psychologicznej. Czy Brytyjczycy są do niej przygotowani? Wątpię. Wątpię też, czy jakikolwiek kraj jest przygotowany. Zbyt wiele tu niewiadomych.

Ponadto najważniejszy jest czynnik ludzkiej natury i prawdopodobnie rzecz się będzie miała następująco:

Brytyjczycy będą bluffować, szaleć (a w tym są doskonali), mówić na-puszonym stylem i wściekać

się, bo w końcu musi dojść do takiego rozwiązania, po czym po prostu rzucą broń i apelując do publicznej sprawiedliwości i twierdząc, że są czysti i niewinni, biali jak świeżo spadły śnieg, zgodzą się na żądania FFF. Całą winę zrzucą na barki głupich, bezmózgich, tchórzliwych i niekompetentnych Holendrów, którzy zapatrzeni w swoje sery, tulipany i szklaneczki z ginem nie zdołali zniszczyć potwora w zarodku. Kiedy mówię „oni” nie mam na myśli rzecz jasna wszystkich Anglików, ale tylko rząd Wielkiej Brytanii. I tu zaczyna się działanie ludzkiej natury. Anglicy zawsze szczylicili się uczuciowością, rzetelnością, tolerancją i stawianiem na słabszego. Nie mówimy o stanie faktycznym tylko o podejściu, więc jeśli my, biedni Holendrzy, zamoczmy sobie przez nich nogi, będzie to dla nich największą z możliwych zniewagą moralną. Zniewaga pociągnie za sobą konsternację, a co za tym idzie — ich zasady, którymi się od wieków kierują, zostaną zmieszane z błotem. Dział kontaktu z czytelnikami sza-cownego „Timesa” zostanie zasypany lawiną listów z zapewnieniem, że ludzie nie zapomną ogromu tej zbrodni... A teraz drugi wpływ czynnika natury ludzkiej. Whitehall na pewno zdaje sobie sprawę z tego stanu rzeczy i jak każdy rząd składa się ze zwykłych polityków, którzy dobrze wiedzą, że ich kariera może się skończyć równie szybko, jak się zaczęła. Politycy zaś mają w życiu tylko jeden cel: pozostać politykami. Władza to istnienie, jeśli zniszczyć możliwość sprawowania władzy to przestaną istnieć. Takie zaś nastawienie wyborców daje porażkę w następnych wyborach, a nawet grozi natychmiastowym zdjęciem z zajmowanego stanowiska. Dla przeciętnego ministra taka możliwość w ogóle nie wchodzi w rachubę. Dlatego jestem zdania, że wyjdziemy z tej sytuacji suchą stopą. Motywem postępowania ludzi z Whitehall będzie nie strach, tchórzostwo czy miłość lub władza, lecz zwyczajne prawa ludzkiej natury. Whitehall zdecyduje się spełnić żądania terrorystów.

Nastąpiła cisza przerywana monotonnym bębnieniem deszczu o szyby i płyty chodnika. Od czasu do czasu gdzieś w oddali rozlegał się głuchy grzmot. Po chwili milczenia George spytał jeszcze:

— Nigdy nie miałeś dobrego zdania o politykach, prawda Peter?

— Tak się złożyło, że w swojej pracy zbyt często musiałem z nimi wsp ólpraco wać.

— Może i tak — George pokiwał głową. — Ale to bardzo cyniczne stwierdzenie.

— Żyjemy w świecie pełnym cynizmu, George.

— Owszem, owszem — George znów pokiwał głową. — Z przykrością muszę się z tobą zgodzić. Co do świata i co do polityków.

Nikt z nich nie dodał już ani słowa, bo nagle pod wejście podjechała furgonetka, a raczej minibus, ten sam którego używano na Dam Square poprzedniego wieczoru. Prowadził Romero Agnelli. Otworzył boczne drzwiczki i rzekł:

— Wskakujcie i powiedzcie mi dokąd jechać.

— Wyskakuj — odparł Van Effen. — Chcemy pogadać.

— Chcecie... czy coś się stało?

— Chcemy tylko pogadać.

— Możemy pogadać w minibusie.

— Możemy nigdzie nie dojechać tym minibusem.

— Nie możecie...

— Możemy wszystko. Mamy tu stać przez cały dzień i przekrzykiwać się podczas takiej ulewy?

Agnelli wysiadł z wozu. Towarzyszyli mu Leonardo, O'Brien i Dani-ken.

Wszyscy czterej weszli po schodach pod portal hotelu.

— O co ci chodzi, do cholery? — Agnelli nie wytrzymał. Jego uprzejmość zaczynała pękać w szwach. — Co, do diabła...

— Co ty sobie do cholery myślisz? Masz nas za frajerów czy co? Nie jesteśmy twoimi podwładnymi. Jesteśmy partnerami — przynajmniej myślimy, że nimi jesteśmy.

— Myślicie... — Agnelli przerwał, zachmurzył się, uśmiechnął i nagle odzyskał swój dobry nastrój.

— No cóż, jeśli mamy pogadać, to może lepiej będzie, jeśli wejdziemy do środka?

— Oczywiście. A propos: to jest Porucznik — przedstawił Van Effen stojącego obok niego Vasco. Agnelli, który najwyraźniej nie poznał Vasco, dodał jeszcze, że nigdy nie widział tak wspaniale prezentującego się oficera i niezmiernie się cieszy z obecnego spotkania.

Zajęli narożny stolik. Van Effen położył gazetę na stole przed Agnellim i spytał:

— Przypuszczam, że widzi pan te nagłówki?

— No cóż... widzę.

Trudno było ich nie zauważyć, bo złożono je największą czcionką jaka była w drukarni. Napis był prosty i jasny — FFF SZANTAŻUJĄ DWA NARODY!

Pod olbrzymim nagłówkiem znajdowały się niewiele niniejsze podtytuły opisujące perfidię FFF, heroiczne decyzje rządu holenderskiego, odważne wyzwanie rządu brytyjskiego i parę innych pomniejszych kłamstewek.

— No cóż... przypuszczaliśmy, że przeczytacie te bzdury — rzekł/ Agnelli.

— Wiem, że mogliście być trochę zakłopotani treścią tego aty-kułu. Osobiście nie widzę powodu do zaniepokojenia, ani tym bardziej do zmiany naszych wzajemnych stosunków. Wiecie, po co was zatrudniliśmy i wiecie, co robicie.

Co cię w takim razie zmieniło?

— Skala imprezy — odparł George. — Jest parę spraw do wyjaśnienia.

Eskalacja planów. Jestem Holendrem, panie Agnelli. Porucznik to także Holender. Stefan Daniłow może i nie urodził się tutaj, ale jest przywiązany do tego kraju i tak jak my nie będzie stał na uboczu patrząc na zagładę Holandii.

Zniszczenie tej ziemi to śmierć wielu tysięcy osób. Nikt z nas nigdy nie brał

udziału w akcji mogącej zagrozić ludzkiemu życiu. Nie jesteśmy płótkami, ale i nie działamy na skalę międzynarodową. Czego chcecie dokonać w Irlandii Północnej? Co chcecie zmienić? Dlaczego chcecie, by Brytyjczycy się stamtąd wynieśli? Dlaczego szantażujecie nasz rząd albo raczej angielski? Dlaczego grozicie śmiercią tysiącom niewinnych Holendrów? Dlaczego chcecie zatopić ten kraj? Dlaczego grozicie wysadzeniem Pałacu Królewskiego? Czy nie czytaliście gazet? Czy wy wszyscy poszaleliście?

— Nie jesteśmy szaleńcami — odparł Agnelli. — To chyba wy nie jesteście przy zdrowych zmysłach, jeśli wierzycie w to, co piszą w gazetach. Gazety drukują to, co rząd im każe, a rząd każe im drukować to, co my chcemy. Dość dokładnie zastosowali się do naszych instrukcji. Tak na serio to nie mamy zamiaru nikogo skrzywdzić.

— Irlandia Północna to zasłona dymna, a sprawa kręci się wokół na-kłonienia władz Holandii do rozstania się z określoną ilością gotówki — rzekł

Van Effen. — Jeśli tak się sprawy mają to nie ma problemu: przyłączamy się z ochotą. Nie mamy powodu, by kochać ten rząd... podobnie jak nie mam powodów, by kochać również rządy kilku innych krajów.

— Na podstawie tego co mi pan powiedział — uśmiechnął się Agnelli —

całkowicie rozumiem. — Wyjął swoją hebanową papierośnicę, włożył do ust tureckiego papierosa i zapalił go wykładaną złotem i onyksem zapalniczką.

Tym samym dał wszystkim do zrozumienia, że zdołał się w końcu uspokoić, jeżeli w ogóle tego wieczoru został wytrącony z równowagi.

— Gotówka to podstawa. Chodzi zresztą tylko o forszę. Nie mogę nic więcej powiedzieć, ale mogę zaręczyć, że to jedyny powód naszej działalności.

Zapewniam was również, panowie, że nie mamy zamiaru wyrządzić nikomu nic złego. Nie kierują zresztą nami inne względy niż humanitaryzm.

Organizacje przestępcze działają na wielką skalę podobnie jak każdy interes prowadzony z rozmachem. Zasada, jaką się kierujemy, jest zasadą każdego biznesmana. Emocje są niczym, kalkulacje wszystkim.

Zabijanie nie przynosi żadnych zysków, jest bezproduktywną formą działalności. Kradzież jest ścigana przez prawo, ale niezbyt zaciekle.

Natomiast ten kto zabija podczas kradzieży, jest ścigany z całą bezwzględnością prawa. Nie, nie panowie, my prowadzimy wojnę czysto psychologiczną.

George wskazał jeszcze jeden nagłówek.

— Czy porywanie młodych panienek także należy do form wojny psychologicznej?

— Ależ oczywiście. To jedna z naszych aktywniejszych form szantażu.

Oddziałuje na czyjeś uczucia i tak dalej. Wie pan o co mi chodzi...

— Jest pan zimnokrwistym draniem — rzekł George radośnie. Radosny George był zazwyczaj również niebezpieczny i wyraz twarzy Agnellego świadczył dobitnie, że zdał sobie z tego sprawę.

— Zastanawiam się, co pan by powiedział gdyby to pańska żona, siostra czy córka zostały porwane i ktoś przytykałby do ich głów lufy pistoletu albo łaskotał je po szyi ostrzem noża czy brzytwy? Nie, nie, niech pan nie załamuje rąk. Szantażyści zawsze ostrzegają, jaki los spotka ich ofiary, gdy ich żądania nie zostaną spełnione. I przeważnie dotrzymują słowa. A co my tu mamy? Czy dlatego, że zrezygnował pan z pogrózek, powinniśmy uważać, że te dwie dziewczyny są po prostu skazane na kilkugodzinny pobyt w niezbyt miłym dla siebie towarzystwie członków FFF? A może mamy sobie wyobrazić co je czeka? Niewinna przyjemność z co mniej cywilizowanymi członkami organizacji? Tortury? A może coś gorszego? Nie lubimy przemocy. Niech pan sobie zda sprawę z faktu, że jeżeli tym dziewczynom spadłby z głów choć jeden włos, to moglibyśmy zrezygnować z naszych pacyfistycznych upodobań, a co za tym idzie, moglibyśmy się stać naprawdę nieprzyjemni.

Niech pan mi wierzy, panie Agnelli — ja wcale nie bluffuję.

Agnelli uwierzył mu całkowicie. Na jego czole widać było wyraźnie drobniutkie kropelki potu, choć powietrze było dość chłodne.

— Dlaczego na przykład porwał pan Annę Meijir? — spytał George. — Czy dlatego, że jej ojciec to wielka szycha i może mieć decydujący wpływ na rząd?

— Agnelli w milczeniu pokiwał głową. — A to.. Julie Van Effen... siostra zwykłego gliniarza. Jest ich w Holandii co najmniej kilka tysięcy.

— Jest tylko jeden Van Effen — odrzekł Agnelli z naciskiem. — Wiemy, że szukają nas wszędzie i wiemy, kto przewodzi nagonce: Van Effen. Jeżeli mamy jego siostrę, możemy podciąć mu skrzydła.

— Chyba go pan nie lubi?

Agnelli nie odpowiedział, ale odpowiedź można było wyczytać w je-<sup>\*</sup> go oczach.

— I ciągle chce pan, żebym uwierzył, że nie zastosuje pan wobec tych dziewczyn mniej lub bardziej subtelnych metod perswazji, aby osiągnąć swój cel?

— Nie obchodzi mnie, czy pan w to uwierzy, czy nie — Agnelli był



najwyraźniej zmęczony. — Wiem, że zrobilibyście to, o czym mówiliście, gdybyście doszli do wniosku, że was oszukujemy. Nie wątpię, że jesteście uzbrojeni. Chciałbym, żebyśmy mogli ufać sobie nawzajem. Jeżeli chcecie, możecie się spotkać z naszymi zakładniczkami dziś po południu. Jeśli uznacie, że was oszukaliśmy, będziecie mogli bez przeszkód zrezygnować ze współpracy. To wszystko, co mogę wam w obecnej chwili zaproponować.

— Stefan? — spytał George.

— Zgoda. Może pan Agnelli niezbyt zręcznie tłumaczył, ale generalnie mu wierzę. Myślę, że nie ma sensu rezygnować z takiej gratki, jaką jest współpraca z panem Agnelli i bezsensownie szukać dziury w całym.

Pójdziemy i sami się przekonamy jak wygląda prawda.

— Dziękuję panowie. Byłem w gruncie rzeczy przekonany, że zdecydujecie się na moją propozycję, choć przyznaję, że jesteście wyjątkowo trudnymi negocjatorami, jeśli tak można to ująć. Cieszę się jednak, że przeważył tu rozsądek, uprzejmość i umiarkowanie. — Agnelli wspaniale potrafił przybrać w piękne słówka stan, który jak sądził był tym, na którym mu zależało. —

Teraz do rzeczy. Gdzie jest ciężarówka?

— W pobliskim garażu.

— W garażu? Czy jest bezpieczna?

— To mój garaż — przerwał mu George. — Do cholery, nie pierwszy raz robię coś takiego.

— Oczywiście, to było głupie z mojej strony.

— Mamy jeszcze parę pytań — rzekł Van Effen. — Współpracujemy i podobnie jak wy nie lubimy zbędnego ryzyka. O miejscu dostarczenia towaru dowiemy się, gdy tam dotrzemy, ale nie o to chodzi. Macie gdzie ukryć ciężarówkę?

— Tak.

— Du ludzi się tam wybiera?

— Oprócz was, panowie, tylko trzech, Joop, Joachim i pan Riordan, którego poznacie. Dlaczego pan pyta?

— Proszę o cierpliwość. Teraz ja zadaję pytania. Jedziecie minibusem?

— No... nie. Myśleliśmy, że w ciężarówce znajdzie się dla nas miejsce.

Była to najdelikatniejsza z możliwych forma dania do zrozumienia, że chcą mieć oko na broń na ciężarówce.

— He macie samochodów?

— Samochodów? — Agnelli był wyraźnie zaskoczony. — Nie mamy samochodów. Dlaczego pan pyta?

— Dlaczego? — jęknął Van Effen spoglądając wymownie w sufit. — Panie Agnelli, czy pan już kiedyś przewoził kradzioną broń?

— Nie. To mój debiut.

— No cóż. Chyba że tak. Potrzebne są dwa wozy. Jeden, aby jechał za ciężarówką w odległości jakichś dwustu-trzystu metrów, drugi, aby jechał w ślad za pierwszym, utrzymując mniej więcej tę samą odległość.

— Teraz rozumiem. Nie chce pan, by ktoś nas śledził...

— Wątpię, by ktokolwiek mógł nas śledzić. Szansa jest jedna na milion, a ja chcę wyeliminować nawet tę jedną, jedyną.

— Dobrze, dobrze. Joop i Joachim. Muszę zaraz zadzwonić.

— Jeszcze ostatnie pytanie. Zapomnieliśmy o tym pogadać. Czy wrócimy dziś w nocy do Amsterdamu?

— Nie.

— Powinien nas pan o tym uprzedzić. Zabralibyśmy swoje szczoteczki do zębów. W każdym razie weźmiemy jakieś ciuchy na zmianę. Idziemy się spakować. Za trzy minuty spotkamy się przed hotelem.

— George, powiedziałem ci już i powtórzę raz jeszcze, że marnujesz swój talent. To było wspaniałe. Po prostu wspaniałe — oznajmił Van Effen, ledwie tylko znaleźli się w pokoju.

— To drobnostka.

— Oto jak osiąga się przewagę po jednej prostej lekcji: teraz zrobią co mogą, aby nam nie wejść na odcisk i mam dziwne wrażenie, że potrzebują nas bardziej niż my ich. A przynajmniej oni tak uważają. Mam rację, George?

— Tak. I to właśnie najbardziej mnie intryguje.

— I to bardzo. Po drugie wiedzą, że nikt ich nie będzie śledził. A propozycja wyszła od nas, więc chyba mogą mieć do nas zaufanie?

— Tak mi się zdaje. Miejmy nadzieję, że tym maleńkim wybiegiem zdołamy uspić ich czujność.

— Miejmy nadzieję. Po trzecie: dzięki tobie mamy pewność, że Agnelli nie zdołał mnie rozpoznać.

Musiałby brać u ciebie lekcje, by było inaczej. Jest kiepskim aktorem i zbyt łatwo daje się wyprowadzić/ z równowagi. Niemożliwe jest, aby wiedząc kim jestem, mógł siedzieć obok mnie przy jednym stole. Po czwarte: wydaje mi się, że na razie jesteśmy bezpieczni, przynajmniej póki nie domyśla się, kim jesteśmy, albo dopóki jesteśmy im potrzebni. To znaczy do chwili, gdy nie osiągną swego celu, choć to ostatnie jest mniej prawdopodobne: nie likwiduje się kogoś w trosce o zachowanie w tajemnicy własnej tożsamości, skoro ich tożsamość jest powszechnie znana. Nazwiska negocjatorów biorących udział w spotkaniu w willi Dessensa zostały opublikowane dziś rano we wszystkich gazetach w całej Europie. Podano je również w radio i w telewizji. Prosiłem pana Wieringę, by zajął się tym osobiście. Jak spodobała ci się ta gadka o ograniczeniu działalności grupy wyłącznie do prowadzenia wojny psychologicznej i wzmiance, że w gruncie rzeczy interesuje ich tylko forsa? Uwierzyłeś mu, oczywiście?

— Takim ludziom, jak pan Agnelli, zawsze można wierzyć.

Agnelli, O'Brien i Daniken czekali na nich na dole.

— Załatwione? — spytał Van Effen.

— Tak. Zapomniałem tylko o jednym: muszę jeszcze raz zadzwonić, nie wiedziałem czy mają tu przyjechać czy nie.

— Zadzwonimy do nich, kiedy już wyruszymy w drogę.

— Dlaczego nie mielibyśmy zadzwonić z hotelu? Van Effen spojrzał na niego z zaskoczeniem.

— Czy zawsze dzwoni pan dwa razy z tego samego aparatu?

— Czy... — Agnelli pokiwał głową. — I pomyśleć, że uważałem się za najbardziej podejrzliwego i ostrożnego człowieka w Holandii. Ruszamy natychmiast?

— Holenderskie ciężarówki wojskowe zazwyczaj nie są ogrzewane. Może być wam tam za zimno. Proponuję sznapsa przed wyruszeniem. Czy możemy poświęcić na to chwilę czasu?

— Możemy. Dopóki, rzecz jasna, Porucznik nie zjawi się w hotelu.

— To nie on się tu zjawi, tylko my się do niego pofatygujemy. Dlatego wspomniałem o sznapsie: będzie potrzebował trochę czasu.

— Rozumiem. To znaczy nie bardzo. Nie dołączy do nas...

— Zszedł na dół drabinką pożarową. Porucznik ma słabość do nie-ortodoksyjnych metod działania. Nie lubi również zwracać na siebie uwagi.

— Nie lubi zwracać na siebie uwagi. Teraz rozumiem — stojąc obok świeżo pomalowanej, wojskowej ciężarówki wewnątrz pustego, jasno oświetlonego garażu, Agnelli spojrzał uważnie na Vasco, przebranego w mundur kapitana armii holenderskiej. — Tak. Rozumiem. Recepcjonista i klienci „Trianon” mogliby zwrócić uwagę na tę zaskakującą zmianę. Myślałem jednak, że Porucznik

jest porucznikiem?

— Stare zwyczaje długo umierają. Nie zmieniasz imienia mężczyzny tylko dlatego, że się przebrał. Dostał awans w zeszłym tygodniu. Służba krajowi i królowej ma swoje plusy.

— Służba... rozumiem. — Agnelli najwyraźniej nie rozumiał niczego.

— A co oznacza ten pomarańczowy „kogut” na chłodnicy?

— Manewry. Nikomu nie wolno się do nas zbliżyć.

— No cóż, pomyślał pan o wszystkim — rzekł Agnelli. — Mogę zerknąć do środka?

— Oczywiście. Nie chcę, żeby kupował pan kota w worku.

— To najbardziej nietypowy kot, jakiego kiedykolwiek widziałem.

— Agnelli spojrzał na zawartość ciężarówki i gdy tylko zobaczył wy rzutnie raketowe zaczął zacierać ręce z radości. — Wspaniale. Po pro stu wspaniale. Na Boga, panie Daniłow, nie wierzyłem, że George zdo ła załatwić to wszystko.

George machnął ręką.

— Porucznik pomógł mi trochę. Następnym razem może zechcecie coś trudniejszego...

— Wspaniale, wspaniale — Agnelli rzucił okiem na kabinę ciężarówki.

Dwa siedzenia w szoferce były oddzielone od podłużnego siedzenia z tyłu brezentową zasłoną. — Widzę, że podziela pan moje zamięłowania do samotności, panie Daniłow.

— Nie ja! Oficerowie armii holenderskiej na manewrach.

— Nieważne. Pan Riordan będzie zachwycony. Jako człowiek o dość szczególnym wyglądzie, zwraca na siebie uwagę, czego notorycznie nie lubi.

— Agnelli milczał przez chwilę, chrząknął i dodał: — Wobec tych wszystkich środków ostrożności, jakie podjęliście, brzmi to prawie obraźliwie, ale czy pozwoli pan, aby O'Brien przeprowadził krótką inspekcję?

Van Effen uśmiechnął się:

— Od chwili poznania zastanawiałem się, jaką też on pełni rolę w waszej grupie. Cóż... jeśli pan O'Brien wie więcej o materiałach wybuchowych lub o broni niż my trzej to po cholerę wam nasze usługi?

— Materiały wybuchowe, panie Daniłow? — zdziwił się O'Brien.

— Materiały wybuchowe mnie przerażają. Jestem elektronikiem.

— Pan O'Brien to ekspert w dziedzinie elektroniki, jeden z najlepszych w Europie.

Urządzenia

zabezpieczające,

alarmy,

montaż

instalacji

zabezpieczających albo ich likwidacja.

— A, alarmy przeciw złodziejom, fotokomórki, podkładki naciskowe i inne tego typu cudenka. Zawsze chciałem spotkać jednego z tych speców. Miło będzie popatrzeć na fachowca przy pracy. Tylko przed czym zabezpiecza się ciężarówkę wojskową... — Van Effen przerwał na chwilę, po czym uśmiechnął

się. — Chyba sobie usiądę. Może długo potrwać nim znajdziecie choć jeden...

— Co... jeden...?

— Jeden z tych małych podstępnych nadajników naprowadzających. Agnelli i O'Brien wymienili spojrzenia.

— Mały... podstępny... nadajnik...

— Znalazłem już jeden dziś rano. To znaczy — Porucznik znalazł.

— Skąd pan wiedział... — Agnelli był przerażony, ostrożny i zmieszany zarazem. — Ale dlaczego... skąd pan wiedział...

— Proszę się uspokoić. — Van Effen uśmiechnął się. — Powód jest prosty.

— Ale to wojskowa ciężarówka. Używana jest w nocnych manewrach, kiedy nie wolno włączać reflektorów, a na wszystkich falach radiowych ma obowiązywać cisza. Tylko w ten sposób mogą je namierzać. Porucznik wiedział, gdzie znajduje się nadajnik i wymontował go. Oto i on.

Vasco otworzył skrytkę przy kierownicy, wyjął mały, metalowy przedmiot i wręczył go Van Effenowi, który oddał go O'Brienowi.

— To nadajnik — rzekł O'Brien i spojrzał na Agnellego. — Myślę Romero...

— Nie, nie. Proszę się nie sugerować. W tej cholerniej ciężarówce może być cały zestaw takich

nadajników. Osobiście nie wiedziałbym, z której strony się do tego zabrać.

Agnelli z ulgą skinął głową O'Brienowi. Van Effen i George stanęli z boku.

— To chyba ciekawy zawód, zajmowanie się likwidacją systemów alarmowych — rzekł Van Effen.

— Bardzo. A jaki poszukiwany. Na przykład jeżeli chcesz stać się właścicielem prywatnej kolekcji obrazów jakiegoś miliardera, albo gdy chcesz się dostać do pilnie strzeżonej bazy wojskowej czy też banku.

— Czy taki facet może się przydać, jeżeli chodzi o wysadzanie tam albo nabrzeży kanałów?

— Nie.

— Tak też myślałem.

Było parę minut po pierwszej gdy opuścili garaż. Na ulicy, mimo tak wczesnej pory, panowały jednak egipskie ciemności. Deszcz, choć mogło się to wydać nieprawdopodobne, lał jeszcze bardziej. Samochód był wyposażony w wycieraczki, ale równie dobrze mógł ich w ogóle nie posiadać. Z północy wiał zimny wiatr, ulice świeciły pustkami i można było pomyśleć, że FFF

niepotrzebnie się trudzą wysadzaniem tam, bo Holandia zdawała się tonąć w potokach deszczu.

Agnelli zadzwonił z garażu w wyniku czego Vasco, który pełnił obowiązki kierowcy, zatrzymał ciężarówkę przed małą kafejką na Utrecht-staat. Na parkingu stały dwa renaulty. Agnelli wysiadł i odbył błyskawiczną odprawę z niewidocznymi kierowcami i czym prędzej wrócił do szoferki. Pośpiech był ze wszech miar zrozumiały: nie miał parasola, a jego gabardynowy płaszcz nie chronił go przed deszczem.

— Joachim i Joop — wyjaśnił — będą jechać za nami aż do Armstel-veen. Tam zatrzymają się na obiad.

Bardzo możliwe, że Agnelli jak zwykle uśmiechnął się, ale z powodu ciemności, jakie panowały we wnętrzu ciężarówki, nikt nie mógł się o tym naocznie przekonać.

— W porządku — rzekł Van Effen. — Przy tej pogodzie wątpię, by ktokolwiek mógł zwrócić na nas uwagę. Myślę, że powinniśmy teraz spotkać się z pańskim bratem i panem Riordanem. Przyznam, że nie mogę się doczekać spotkania z panem Riordanem. Jeśli w tych gazetowych kłamstwach jest choć odrobina prawdy, to musi być on naprawdę niezwykłym człowiekiem. —

Zignorował kuksańca w zebra, jakim poczęstował go George.

— Jest niezwykły. Niedługo się z nim spotkamy w De Groene Lan-terne.

Riordan był rzeczywiście wyjątkowy i z wyjątkowych, a sobie tylko znanych, powodów ubrał się w długi, czarno-biały szkocki płaszcz z typu uwielbianego przez szkockich lordów i Sherlocka Holmesa. Płaszcz kończył

się jakieś piętnaście centymetrów powyżej kolan co jeszcze dodawało mu wysokości i podkreślało jego kościsty wygląd. Przypominał tyczkę ubraną w solidny kawał kraciastego worka. Nawet gdyby chciał, nie mógłby bardziej zwracać na siebie uwagi. W rozmowie,

kiedy nie psioczył na IR A, był miłym i dość uprzejmym mężczyzną. Spojrzał

uważnie na Vasco, ale słysząc wyjaśnienie George'a powstrzymał się od komentarza. Siedział za stołem, a na blacie przed nim leżało duże, lśniące i najwyraźniej drogie radio. Riordan poprawił słuchawki na uszach i uśmiechnął

się do przybyłych. Agnelli wyjaśnił, że ma za zadanie wysłuchać prognozy pogody i najnowszych wiadomości. Nie musiał wyjaśniać dlaczego.

Po skończonym lunchu, Riordan, taszcząc pod pachą radio, ze słuchawkami na uszach, zajął miejsce na tylnym siedzeniu i zasłonił tylną zasłonę, której obecność wyraźnie go ucieszyła. Ruszyli w dalszą drogę. Prowadził Vasco.

Jechali na południe, najszybciej jak tylko mogli, ale zważywszy, że widoczność tego mrocznego popołudnia była równa zeru — prędkość ich jazdy wcale nie zapierała tchu w piersiach. Van Effen podziwiał Vasco, który stosując się ściśle do poleceń Agnellego trzykrotnie zmylił drogę, nie okazując jednak zniecierpliwienia. Jak na człowieka, który urodził się, dorastał i pracował w Utrechcie jako policjant, Vasco był wzorem opanowania.

Riordan zdjął słuchawki.

— No cóż, panowie. Wygląda na to, że robimy postępy. Minister spraw zagranicznych Holandii i minister obrony, Wieringa, przybędą dziś po południu do Londynu na spotkanie z przedstawicielami tamtejszego rządu. Oczekujemy dalszych komunikatów. Wygląda na to, że potraktowali nas poważnie.

— A czego pan oczekiwał po tej całej kampanii radiowej, prasowej i telewizyjnej? — zdziwił się Van Effen.

— Nie byłem pewien. No cóż, wypada tylko sobie pogratulować. — Riordan znów założył słuchawki i zajął miejsce w rogu z miną człowieka, który jest całym sercem oddany misji.

Jakieś dwadzieścia minut potem ciężarówka skręciła w prawo na jedną z bocznych dróg, a o parę kilometrów dalej, w lewo. Droga, którą teraz jechali, była prawdziwą drogą przez mękę. Na szczęście wkrótce zatrzymali się przed jakimś dość jasno oświetlonym budynkiem.

— Koniec podróży — oznajmił Agnelli. — To nasza kwatera główna, a raczej jedna z nich. Myślę, że będziecie się tu czuć jak u siebie w domu.

— Wiatrak — stwierdził z lekkim osłupieniem Van Effen.

— A czego się pan spodziewał — zdziwił się Agnelli. — Jest ich tu wiele w tych stronach. Od dawna nie używany, ale sprawny. Też raczej normalne. Trochę przerobiony i rozbudowany, ma też dodatkową zaletę: leży na kompletnym odludziu. Jeżeli spojrzy pan w tę stronę, zobaczy pan obiecaną

kryjówkę dla ciężarówki. To nie używana stodoła.

— A ta druga stodoła? Co się w niej znajduje?

— To tajemnica państwowa.

— Helikopter.

— I po tajemnicy. Proste: w jednym z komunikatów podawaliśmy przecież, że zrobiliśmy zdjęcia lotnicze z zamieszania koło Alkmeer.

— A więc jest pan szczęśliwym posiadaczem wojskowej ciężarówki i takiegoż helikoptera?

— Helikopter nie jest wojskowy. Można go jednak na taki przemałować, choć to chwilowo nieważne. Wejźmy do środka. Poznajcie panowie prawdziwą, holenderską gościnność. — Promieniował radością życia.

Van Effen doszedł do wniosku, że to uczucie odzwierciedlało jego prawdziwą naturę.

— Ja nie... — rzekł George. — Jestem biznesmanem, a biznesman lubi...

— Jeśli chodzi ci o zapłatę, George, to zaręczam...

— O zapłatę? Nie chodzi mi o pieniądze. Robota na mnie czeka. Poruczniku, jest tu jakaś lampa? Dziękuję. — George wyjął z kieszeni plik papierów i wręczył je Agnellemu. — Kontrolny spis towarów, tak się to oficjalnie nazywa. Pokwituje pan odbiór dopiero, gdy sprawdzę, że jest wszystko, co pan u mnie zamawiał. Sam pan rozumie, że dziś rano nie miałem na to czasu ani okazji. Chcę poza tym zobaczyć, jak ładunek zniósł trudy podróży. To rutynowa robota. Co się tyczy gościnności, to byłbym wdzięczny za piwo.

— Oczywiście — rzekł Agnelli, po czym dodał jeszcze: — Czy potrzebuje pan pomocnika?

— W zasadzie nie. Jednak jest przyjęte, żeby przy takiej robocie był

przynajmniej jeden przedstawiciel strony nabywającej. Sugeruję, aby został tu pan O'Brien, Eksperci w dziedzinie elektroniki są przyzwyczajeni do małych przedmiotów, a za takie można spokojnie uznać detonatory. Upuszczony przez nieostrożność detonator, panie Agnelli i koniec z pańskim wiatrakiem. Jak również koniec z ludźmi, którzy będą wtedy w środku.

Agnelli pokiwał z zadowoleniem głową i wszedł na werandę dobudowaną przy wejściu do wiatraka. Wysoki, krótkowłosey, nie ogolony młodzieniec o trudnym do zauważenia czole, zagroził mu nagle drogę. W prawej ręce trzymał luźno pistolet maszynowy.

— W porządku, Willi — odezwał się ostro Agnelli. — To ja.

— Widzę — warknął Willi. Przy takiej fizjonomii jak jego, warczenie i wściekłość były jedynymi zauważalnymi wyrazami uczuć.



— Co to za facet? — spojrzał wściekle na Van Effena.

— Wcielenie gościnności — przyznał Van Effen. — To typowy przykład pańskich pomocników czy egzemplarz kuriozalny?

Willi zrobił krok w przód unosząc broń, po czym osunął się na ziemię, chwytając się jednocześnie za brzuch i zginając z głośnym jękiem. Cios, jaki zarobił, nie był bynajmniej przyjaznym klepinięciem. Van Effen odebrał mu broń, wyjął magazynek, rzucił broń na leżącego i wijącego się z bólu eks-właściciela i z niedowierzaniem spojrzał na Agnellego.

— Jestem przerażony. Czy zawsze zatrudnia pan w swojej grupie takich idiotów jak ten... pański... Willi? Ludzie, którzy chcą... nie... ludzie, którzy szantażują dwa narody i spodziewają się od nich sowitego okupu powinni...

muszą... brak mi słów. Czy nigdy nie słyszał pan o najślabszym ogniwie łańcucha?

— Podziela pan, jak widzę, moje zdanie — rzekł ponuro Riordan. —

Zapamiętaj Romero, że uprzedziłem cię, że ten facet mi się nie podoba. Nawet jako strażnik, a jest to jedyna funkcja, do której się nadawał, okazał się do niczego.

— Zgoda, panie Riordan, zgoda — rzekł niepewnie Agnelli. — Jest do niczego i będzie go trzeba zwolnić.

Van Effen spojrzał obojętnie na jęczący przedmiot rozmowy, otworzył

drzwi i wszedł do wnętrza wiatraka. Była tam jego siostra, Anne-marie i wraz z nimi Samuelson. Dziewczyny miały podobny wyraz twarzy: w ich szeroko otwartych oczach czaił się strach. Były lekko zszokowane i z przerażeniem oczekiwały swojego losu. Van Effen przyglądał się im przez chwilę, po czym odwrócił wzrok:

— Trzeba go zwolnić, panie Agnelli? Jeżeli on odejdzie, to ja pójdę razem z nim. Niech pan każe mu odejść, a założę się, że pierwszą rzeczą jaką zrobi, będzie złożenie odpowiedniego i wyczerpującego raportu na najbliższym posterunku policji. Musimy go uciszyć — ale spokojnie, bez żadnych drastycznych metod. Mam nadzieję, że reszta waszych pretorianów jest trochę bardziej rozgarnięta.

— Pozostali strażnicy to zawodowcy w porównaniu z tym nieszczęśnikiem.

— Samuelson uśmiechnął się i wyglądał jeszcze sympatyczniej niż poprzedniego wieczora.

Odsunął na bok dziewczyny i podszedł do Van Effena. Pachniał eleganckim płynem po goleniu. Rozcierając policzek zadbaną dłonią spojrzał najpierw na Williiego, a potem na Van Effena.

— Jest pan dość bezpośredni i trzeba przyznać, że błyskawicznie potrafi pan wyciągnąć właściwe wnioski. Przyznaję, iż mnie samego ręka świerzbiła, ale starałem się nie nadużywać przemocy jako sposobu na rozwiązywanie problemów. To był ekonomiczny cios. Samuelson.

— Daniłow.

Sądząc ze stroju i sposobu mówienia był to ktoś, kto się tutaj liczył i to bardzo. Być może był to właśnie ten, którego poszukiwali: szef. Jego mowa.

Samuelson powiedział poprzedniego wieczora ledwie parę słów i jego pochodzenie było zagadką. De Graaf twierdził, że musi on być amerykańskim Irlandczykiem. Van Effen wiedział już, że de Graaf pomylił się: Samuelson był

amerykańskim Anglikiem. Może nawet Anglikiem, który spędził zbyt wiele lat w Stanach i nabrał tam amerykańskiego akcentu. Van Effen wskazał na leżącego mężczyznę.

— Przepraszam za ten incydent, panie Samuelson. To nie było uprzejme z mojej strony, ale sam pan przyzna, że gości nie powinno się witać celując do nich z pistoletów maszynowych.

— Dobrze powiedziane, panie Daniłow. — Samuelson, tak jak Agneli, lubił się uśmiechać radośnie. — To wyłom w naszej gościnności. Mam nadzieję, że to się już więcej nie powtórzy. Wszystko w porządku, Romero?

— Oczywiście, panie Samuelson. Załatwiliśmy z pomocą pana Daniłowa wszystko, co było nam potrzebne.

— Wspaniale, pan Daniłow to chyba właściwy człowiek na właściwym miejscu. Proszę do środka. Kiepska dziś pogoda. Dobry wieczór kapitanie. To chyba pan miał być tym Porucznikiem?

— Dostałem awans — wychrypiał Vasco — przepraszam, ale mam straszną chrypę.

— No, no — w głosie Samuelsona zabrzmiała autentyczna troska. — Grog powinien coś na to poradzić. Póki co, chciałbym przedstawić dwójkę naszych czarujących gości: panna Meijir, panna Van Effen.

Van Effen uniósł nagle wzrok.

— Czy to te dwie dziewczyny, o których pisano dzisiaj w gazetach? Na zdjęciach nie wyglądały tak wspaniale.

— Pan Daniłow i jego przyjaciele są raczej zainteresowani ich dobrym zdrowiem — wyjaśnił Agnelli.

— Rozumiem. Niepotrzebnie się martwiliście, panowie. Jak widać obie dziewczyny są całe i zdrowe.

W pokoju było jeszcze pięciu mężczyzn. Dwaj z nich, przypominający intelektualistów, byli w wieku Joachima i Joopa. Trzej pozostali byli nieco starsi, sprawiali wrażenie niezłych twardzieli co nie oznaczało, że nie mogli być groźniejsi. Pomijając fakt, że brakowało im okularów przeciwsłonecznych, wyglądali na agentów Secret Service etatowo występujących w roli ochrony osobistej amerykańskiego prezydenta. Nie przypominali przestępców, a Samuelson nie zadał sobie

trudu, by ich przedstawić. W pewnej chwili, na sygnał którego Van Effen nie zdołał

wychwycić, opuścili pokój.

— No cóż — Van Effen spojrział na Samuelsona, Agnellego, a potem na Riordana. — Nie wiem, z którym z panów mam rozmawiać. To nieważne.

Dostarczyliśmy wam towar. Jeden z moich ludzi sprawdza materiały wybuchowe i broń, żeby przekonać się, że jest w pełni sprawna. Wiemy, że możecie potrzebować naszej pomocy. Jeśli tak będzie to znacie numer telefonu, pod którym możecie zastać jednego z nas. Jeśli nie jesteśmy już wam potrzebni, to nie ma sensu, byśmy dłużej tu pozostawali. Nie chcemy się narzucać.

— Odjechalibyście stąd? — Samuelson uśmiechnął się.

— Sądzę, że doskonale pan wie, iż wolelibyśmy pozostać. Jestem ciekaw, tak jak wszyscy, dalszego rozwoju wypadków. Ale nie w tym rzecz. Nie lubimy się narzucać.

— Zostańcie — zaproponował Samuelson. — Najprawdopodobniej będziemy potrzebować waszej pomocy. Mamy w związku z wami pewne plany, ale najpierw soupçon of borreltje. Pięta po południu to chyba odpowiednia pora na coś takiego.

— Leonardo. Bądź tak miły i przynieś z kuchni trochę gorącej wody.

Ten drobiazg spowodował, iż Van Effen był pewien, że to Samuelson jest mózgiem całej operacji.

— I trochę miodu. Musimy coś zrobić z tą chrypką kapitana.

W piecyku radośnie buzował ogień, a mały, półokrągły, drewniany barek znajdujący się w rogi pokoju okazał się być wspaniale zaopatrzony. Samuelson wszedł właśnie za kontuar, gdy Riordan rzekł głośno:

— Czy mogę przeprosić na chwilę?

— Oczywiście, James, oczywiście — rzekł Samuelson wywołując za skoczenie Van Effena. Riordan nie wyglądał na człowieka, który może mieć jakieś imię.

Riordan wszedł po schodkach na górę.

— Czy pański kolega nie podziela zwyczaju krzepienia się borreltje o tej porze?

— Pan Riordan nie pije, nie pali, ale nikomu nie zabrania tego robić. O tej porze odbywa codzienną medytację i modli się. Robi to kilka razy dziennie.

Jest religijny aż do przesady, a w życiu prywatnym pełni obowiązki duchownego w kościele protestanckim.

— Zaskakuje mnie pan, ale z drugiej strony pan Riordan jak na de wota i tak zachowuje się

wyjątkowo umiarkowanie.

— Widzę, że docenia pan jego wysiłki i ma o nim wyrobioną opinię \_ rzekł z powagą Samuelson.

— Jest ewangelikiem, misjonarzem spalonym wewnętrzną gorliwością.

Przeraża go to, co dzieje się w Irlandii Północnej i wierzy, że jeśli krew musi zostać przelana, by przynieść pokój temu umęczonemu krajowi, to na pewno tak musi się stać. Mówiąc jego słowami: jest gotów użyć diabelskich metod, by zwalczyć diabła.

— Czy popiera pan jego poglądy?

— Oczywiście. Inaczej nie byłoby mnie tutaj.

Van Effen uznał, że byłoby ciekawie poznać prawdziwy powód pobytu Samuelsona w Holandii, ale uznał, że zapyta o to w bardziej sprzyjających okolicznościach. Usiadł przy barze i rozejrzał się wokoło. Dziewczyny szeptały o czymś zawzięcie. Agnelli i Daniken zajęli miejsca na stołkach przy drugim końcu baru. Vasco podziwiał przez chwilę obrazy i wyroby z miedzi wiszące na ścianach, po czym podszedł do baru i przysiadł się do Danikena.

Zaczął prowadzić z nim dość ożywioną dyskusję.

— Panie Samuelson — powiedziała Julie. — Głowa mnie boli. Chyba pójdę do mojego pokoju.

Van Effen siedział nieruchomo bębniąc palcami po blacie baru i wyglądał

na rozluźnionego i spokojnego. W rzeczywistości był spięty i wcale nie chciał, by Julie lub Annemarie udały się do swojego pokoju. Pochylony nad barem Samuelson bezwiednie przyszedł mu z pomocą.

— Moja droga Julie. — Gdyby nie wewnętrzna pewność tego co po wie za chwilę Samuelson, Van Effen załatwiłby go bez chwili wahania.

— Nawet o tym nie myśl. Mamy tu takie wspaniałe Tio Pepe. To dosko nały lek przeciwbólowy. Czy chcesz opuścić mnie w takiej chwili?

Po wyrazach ich twarzy można się było domyślić, że zrobiłyby to z radością, tak samo jak można było przewidzieć, że tego nie robią: więźniowie z zasady robią to, czego chcą ich strażnicy. Obie dziewczyny podeszły smutne do baru i oparły się niechętnie o drewniany blat. Julie stanęła obok brata obdarzając go pogardliwym spojrzeniem, rezerwowanym zwykle dla pajaków, karaluchów i innego paskudztwa. Van Effen szybko odwrócił wzrok. Prawie natychmiast spojrzała nań raz jeszcze, na szczęście nie zrobiła tego zbyt raptownie. Coś nagle dotknęło lekko jej prawego uda. Spojrzała na niego, zmarszczyła brwi, po czym popatrzyła w drugą stronę. Odwróciwszy się od Van Effena zamieniła szeptem parę słów z Annemarie. Gdy tylko skończyła, zza

kontuaru wychynęła nagle głowa Samuelsona. — Wspaniała — ocenił w duchu Van Effen. — Była wspaniała.

Z wymuszonym uśmiechem na twarzy wzięła do ręki szklaneczkę z sherry i zaczęła pić wolnymi, krótkimi łyčzkami. Odstawiła pustą szklaneczkę na bar, otworzyła torebkę, oparła ją na udzie wyjmując papierosy i zapalniczkę.

Była naprawdę wspaniała: zapaliła papierosa, włożyła papierošnicę do torebki i trzymając w dłoni zapalniczkę, zaczęła prowadzić z Annemarie spokojną, cichą rozmowę. Jej dłoń z zapalniczką wolno zbliżała się do dłoni Van Effena. W chwilę potem zapalniczka i małeńka karteczka, którą Van Effen trzymał między dwoma palcami — wskazującym i środkowym —

znalazły się wewnątrz jej zamkniętej torebki.

Annemarie, która przez cały czas obserwowała mężczyznę przy barze, mówiła coś przyciszonym głosem. Van Effen spojrzał na Julię kątem oka. Miał

ochotę mocno ją ucałować i przyrzekł sobie, że zrobi to przy najbliższej nadarzającej się okazji. Jednym zdecydowanym haustem wychylił swojego borreltje. Smakował jak nektar. Samuelson — jako gościnny gospodarz natychmiast znowu napełnił jego szklaneczkę. Van Effen podziękował mu uprzejmie i wypił tak samo jak pierwszego.

Julia zamknęła za sobą drzwi sypialni, otworzyła torebkę i wyjęła złożoną karteczkę. Gdy wreszcie ją rozłożyła i zaczęła czytać, Annemarie obrzuciła ją baczным spojrzeniem.

— Co tam jest napisane, Julie? Dlaczego trzęsą ci się ręce?

— To bilecik od wielbiciela, który siedział przy barze. Czy nie trzęsłyby ci się ręce, gdybyś dostała bilecik od takiego faceta jak on? — Przysunęła się do Annemarie tak, by obie mogły przeczytać tych kilka zdań starannie wypisanych drukowanymi literami:

„PRZEPRASZAM ZA WYGLĄD I AKCENT. ROZUMIECIE CHYBA, ŹE

W TEGO TYPU TOWARZYSTWIE NIE MOGĘ SIĘ POKAZYWAĆ W

MUNDURZE, ANI MÓWIĆ SWOIM ZWYKŁYM GŁOSEM. TEN STA-NOWCZY MŁODY OFICER TO VASCO. ZROZUMIECIE NA PEWNO, DLACZEGO MUSI UDAWAĆ, ŹE BOLI GO GARDŁO. ANNEMARIE MO-GŁABY SIĘ ZDZIWIĆ GDYBY NAGLE USŁYSZAŁA JEGO GŁOS.

AGNELLI PEWNIEN BYŁBY RÓWNIEN ZDZIWIENY. GEORGE JEST Z NA-MI, CHCIAŁBYM NAJPIERW UPREDZIĆ WAS O JEGO OBECNOŚCI.

NIE MOGŁEM POZWOLIĆ BYŚCIE ZAWISŁY MU NA SZYI WOŁAJĄC

O RATUNEK I CIESZĄC SIĘ Z NASZEGO PRZYBYCIA. NIE ZNACIE NAS

1 NIE CHCECIE ZNAĆ. TRZYMAJCIE SIĘ OD NAS Z DALEKA ALE BEZ

PRZESADY. UTRZYMUJCIE DYSKRETNY DYSTANS, TAK JAKBYŚCIE

MIAŁY DO CZYNNIENIA ZE ZWYKŁYMI PRZESTĘPCAMI. NIE PRÓBUJ-CIE ŻADNYCH SZTUCZEK. NIE RÓBCIE NICZEGO. MEŹCZYŹNI NAJPRAWDOPODOBNIJ NIE SĄ NIEBEZPIECZNI ALE MIEJCIE OKO NA DZIEWCZYNY. SĄ SPRYTNE I PRZEBIEGŁE — JAK WSZYSTKIE KOBIETY. ZNISZCZCIE NATYCHMIAST TĘ KARTKĘ. KOCHAM WAS OBIE."

— Podpisana — powiedziała Julie. — To jego podpis.

Jej ręce wciąż drżały.

— Powiedziałaś, że przyjdzie — odezwała się Annemarie głosem równie drżącym jak ręce Julie.

— Tak. Powiedziałam, że przyjdzie. Nie przypuszczałam tylko, że tak szybko. Co mamy teraz robić? Płakać z radości?

— Jasne, że nie — Annemarie chlipnęła. — Mógł nam oszczędzić tych tekstów o wołaniu o ratunek i sprycie i przebiegłości kobiet.

W milczeniu patrzyła, jak Julie pali kartkę nad umywalką i spłukuje resztki popiołu.

— No to co teraz zrobimy? — spytała.

— Musimy to uczcić — odparła zdecydowanie Julie.

— W barze?

— A gdzieżby indziej?

— Ignorując pozostałych?

— Całkowicie!

## **Rozdział dziewiąty**

W stodole było zimno i nieprzyjemnie. Choć nie używano jej już od lat, to wewnątrz wciąż jeszcze unosił się stęchły zapach siana. Stodoła była czysta i jasno oświetlona, a karoseria ciężarówki została, co wszyscy mogli zauważyć, pokryta warstwą gęstego błota skutecznie maskującego jej wojskowe kolory.

George i O'Brien wciąż jeszcze sprawdzali ładunek, gdy w drzwiach stodoły pojawił się Van Effen. George pytająco uniósł brwi. Van Effen skinął głową i spytał:

— Jak wam leci?

— Właśnie skończyliśmy — rzekł George. — Wszystko jest na miejscu.

— Sprawdzone po kilka razy — dorzucił O'Brien. — Nigdy nie widziałem tak pedantycznego człowieka. — Przekazanie karteczki dla Julie trwało dość długo i George musiał mieć pretekst, by

nie wchodzić do wnętrza. — Ale myślę, że się trochę nauczyłem, jeśli chodzi o materiały wybuchowe i dużo jeśli chodzi o picie piwa.

Zgasili światła, zamknęli drzwi. George schował klucz do kieszeni i weszli do wiatraka. Julie i Annemarie siedziały przy barze. Stały przed nimi małe szklaneczki. Van Effen wiedział, że musiały już przeczytać wiadomość.

Zauważył, że z ciekawością im się przyglądały, gdy podchodzili do baru.

Usiedli przy stoliku obok kominka. Samuel-son odstawił właśnie na kontuar przenośną radiostację. Wyglądała na drogi sprzęt, ale FFF najwyraźniej stawiali na jakość, a nie na oszczędność.

— Wszystko w porządku? — spytał Samuelson.

— Wszystko w porządku — odparł O'Brien. — Udało mi się przekonać Georga, żeby nie sprawdzał detonatorów zębami. Ma pan tam całkiem niezły arsenał, panie Samuelson.

— Proszę tu podpisać — George położył na stole trzy kopie listy Agnellego.

Samuelson podpisał je jako najwyraźniej kompetentny człowiek, uśmiechnął się i oddał mu listę. Ten w zamian wręczył klucz od garażu.

—■ Miło robić z tobą interesy, George. Czy może chciałbyś teraz porozmawiać o twoim honorarium?

— Jeszcze nie czas na to — odrzekł George. — Muszę mieć pew ność. Chcę zobaczyć, czy ten cały złom będzie działał.

Samuelson uśmiechnął się znowu.

— Myślałem, że biznesmani każą zawsze płacić sobie z góry i do tego gotówką.

— Nie w tym przypadku. Jeżeli nie ma pan zamiaru wykorzystywać tego w najbliższym czasie, zawsze mam w pogotowiu kwity — wie pan przecież, że nie mogę zwrócić tego żelastwa do magazynu. Chyba, żeby rezygnował pan z naszych usług.

— Jestem pewien, że będą mi potrzebne zarówno wasz sprzęt, jak i wasza fachowa pomoc. No cóż, panowie — przerwał, spojrzał na Van Effena, poklepał nadajnik i spytał:

— Wie pan co to jest, prawda?

— Nadajnik RCA. Najlepszy. Przy jego pomocy można się połączyć nawet z bazą na Księżycu.

— Na razie wystarczy mi tylko połączenie z Amsterdamem. Z Helmutem Paderewskim.

— Właśnie się zastanawiałem, gdzie też on się podziewa.

— Miał się zająć naszym ostatnim komunikatem. — Spojrzał na zegar. —

Dokładnie za osiem minut podadzą go w telewizji i w radio. Nie współpracujemy już z gazetami. Romero, czy mógłbyś zapoznać naszego gościa ze szczegółami naszego zadania? Pan Daniłow powiedział, że chciałby wiedzieć wcześniej, co ma się wydarzyć, a nie przeczytać o tym w gazetach lub zobaczyć w telewizji.

— Jak pan sobie życzy — odparł Agnelli z uśmiechem. — Lepiej jednak byłoby, gdyby zobaczył to w telewizji. Myślę, że reakcja przeciętnych Holendrów mogłaby być interesująca.

— Poczekamy. To na razie nieważne, choć nie wiem, czy tę trójkę można określić mianem przeciętnych Holendrów.

Do wiatraka weszły nagle trzy osoby. Każda z nich taszczyła olbrzymi kosz z jedzeniem. Były to dwie dziewczyny, które Van Effen poznał ubiegłego wieczoru w/Voorburgval i uginający się pod ciężarem potężnego kosza mężczyzna.

— Witajcie w domu — rzekł Samuelson. — Widzę, że wracacie z tarczą. A, zapomniałem. Poznajcie się. Pan Daniłow, którego już spotkaliście, to George, to kapitan, którego nazywamy Porucznikiem. Maria, Kathleen. Widzę, że jest pan zakłopotany, panie Daniłow.

— Dużo tu tego jedzenia.

— I wiele osób do nakarmienia.

— Do Utrechtu daleka droga.

— Do Utrechtu? Przyjacielu, zaopatrujemy się w żywność w pobliskiej wiosce. Gwarantuje to nasza anonimowość. — Roześmiał się. — Ro-mero, bądź tak uprzejmy.

Romero i Van Effen podeszli do drzwi. Romero otworzył je. Przed wiatrakiem stała ciemnoniebieska ciężarówka. Na jej burtach widniał napis wykonany złotymi literami: „Golden Gate Film Productions”.

— Pomysłowe — przyznał Van Effen.

— Owszem. Nie jest to znana nazwa, ale jesteśmy na tym terenie dość szanowaną firmą. Już od jakiegoś miesiąca nasi kamerzyści płaczą się po okolicy. To trochę ubarwia monotonię życia w tej małej wiosce. Ludzie nas lubią.

— Lubiliby jeszcze bardziej, gdyby wiedzieli, że mieszkają być może na jedynym obszarze w Holandii, który nie będzie zalany.

— Otóż to — przyznał Agnelli. — Kręcimy tu film wojenny. Stąd ten helikopter. Otrzymanie pozwolenia było czystą formalnością.

— Zastanawiam się, jak pan to zaaranżował, ale przyznaję, że ma pan tupet.



— Raczej myślę z wyprzedzeniem. Nową ciężarówkę wystarczy przemalować i można nią swobodnie jeździć po okolicy. Film wojenny, wojskowa ciężarówka — to chyba normalne, prawda?

— Tak. To oczywiście pański pomysł?

— Owszem. Ale dlaczego „oczywiście”?

— To rozwiązanie w pańskim stylu.

Spiker telewizji, ubrany w czarny garnitur i takiż krawat, wyglądał na przygnębionego, zupełnie jakby miał wygłosić mowę pogrzebową.

— Właśnie otrzymaliśmy komunikat z Londynu. Głosi on, że rozmowy o kryzysie w Holandii trwają i za godzinę powinniśmy dostać stamtąd następne wiadomości. Oczekiwaliśmy dalszych komunikatów od organizacji terrorystycznej nazywającej się FFF. Ostatni otrzymaliśmy przed kwadrans. Nie zawiera on jednak żadnych oświadczeń tylko groźby. I to groźby dość poważnej natury. Komunikat FFF rozpoczyna się stwierdzeniem, że oczekują oni do północy na ostateczną odpowiedź w związku ze swoimi żądaniem. Odpowiedź ma być, rzecz jasna, pozytywna i ogłoszona w środkach masowego przekazu do godziny ósmej rano. Jeśli się tak jednak nie stanie i do północy nie ukaże się żaden komunikat w tej sprawie, to tama Oostrijk-Flevoland zostanie wysadzona dokładnie pięć minut po północy. Sugerują, żeby mieszkańcy Lelystad natychmiast podjęli odpowiednie środki ostrożności. Jeśli tego nie zrobią, FFF nie biorą na siebie żadnej odpowiedzialności za ich los. Terrorysty stwierdzają także, iż są w posiadaniu pewnej liczby ładunków nuklearnych, których nie zawahają się użyć, jeśli zajdzie taka potrzeba, aby osiągnąć swój cel. Chcą przy tym zapewnić mieszkańców Holandii, że ładunki te mają moc mniejszą od mocy bomb atomowych czy wodorowych. To taktyczne ładunki stanowiące głowice rakiet czy torped. Można je również po prostu zrzucić z samolotów. Używane są przez Amerykanów i wciąż jeszcze znajdują się na tajnych listach ich broni.

Zostały skradzione z bazy NATO w RFN. Na pewno mają tam numery seryjne tych bomb i dowództwo amerykańskie w Niemczech może potwierdzić ich zniknięcie, jeżeli oczywiście zechcieliby udzielić komukolwiek jakichkolwiek informacji na ten temat. — Nastąpiła chwila ciszy, gdy spiker przerwał nagle, by przyjąć kartkę, którą podał mu kolega ze studia. Sądząc po wyrazie twarzy tego drugiego, musiał właśnie przeczytać tę wiadomość. Van Effen rozejrzał

się po pokoju. Twarze George'a i Vasco były jak zawsze niewzruszone. Ich oczy wpatrywały się nieruchomo w odległą przestrzeń. Julie i Annemarie były najwyraźniej zaszokowane. Kathleen i Maria uśmiechały się z powątpiewaniem. Agnelli, O'Brien i Daniken wyglądali na zamyślonych. Samuelson uśmiechał się, ale nie był to radosny uśmiech. Był to uśmiech krokodyla, który właśnie zobaczył niczego nie spodziewające się śniadanie.

— Dostaliśmy właśnie — rzekł spiker — najnowszy komunikat FFF, która twierdzi, że mogą dokonać eksplozji tych ładunków kiedy tylko zechcą, ale uznali, że bardziej przekonujące będzie, jeśli dokonają na razie tylko jednego wybuchu. Będzie to zarazem praktyczna demonstracja i udowodnienie faktu, że są w posiadaniu wyżej wymienionych ładunków. Wybuch nastąpi jutro po południu w IJsselmeer. Moc jest oceniana na jedną kilotonę czyli tysiąc ton trotylu. Oczekują, rzecz

jasna dość dużej powodzi, choć nie potrafią przewidzieć jak wielka będzie wysokość fali pływowej zwanej tsunami. Mają nadzieję, że mieszkańcy okręgu IJsselmeer nie odczują za bardzo skutków eksplozji. — Nie odczują! — warknął spiker. Po chwili zaczął mówić dalej: —

Demonstracja została odłożona do popołudnia, aby brytyjscy ministrowie mieli dość czasu na przybycie do Holandii i obejrzenie na własne oczy tego widowiska. Dokładne miejsce i czas eksplozji zostaną podane później.

Ładunki nuklearne zostały już zamontowane. FFF żąda również pieniędzy.

Pieniądze te zostaną zwrócone, chodzi jedynie o pożyczkę na pokrycie wydatków grupy, a nie o szantaż czy żądanie okupu. W następnym komunikacie powiedzą, w jaki sposób mają one zostać im przekazane. Żądają kwoty stu milionów guldenów od rządu holenderskiego i dwudziestu milionów od przemysłowca z Rotterdamu, Davida Josepha Karlmana Meijira. — Spiker odłożył kartkę. — Pragnę przypomnieć, że córka pana Meijira, Annę, jest teraz zakładniczką terrorystów.

Samuelson wyłączył telewizor.

— Nie lubię, gdy określają nas mianem „terrorystów” — powie dział. — Jesteśmy raczej filantropami. Podobała mi się ta wzmianka o wydatkach. Annę, kochanie, usiądź. Jesteś zbyt nerwowa.

Annemarie stała z pobladłą twarzą i zaciśniętymi pięściami.

— Ty potworze — szepnęła. — Ty okrutny potworze!

— Uważasz mnie za potwora? — Samuelson rozejrzył się z uśmiechem, Van Effen odpowiedział mu uśmiechem: byli świadkowie.

— Jestem filantropem. Chodzi nam, jak sama słyszałaś, o trochę większą pożyczkę. Tylko mi nie mów, że najbogatszy człowiek w Holandii nie może sobie pozwolić na taki wydatek. Wiem wszystko o twoim ojcu.

— Ty morderco — powiedziała cicho opuszczając bezwładnie rękę.

— Ty morderco. — Łzy pociekły jej po policzkach. Julie wstała w tej samej chwili i ramionami objęła dziewczynę. — Wiesz wszystko o moim ojcu, tak? Wiesz, że miał w tym roku dwa ataki serca. Wiesz, że przed czterema dniami wyszedł ze szpitala po ostatnim ataku i właśnie go zabiłeś!

Samuelson nie uśmiechał się już. Zasepił się i rzekł:

— Nie wiedziałem o tym. — Sięgnął dłonią do nadajnika RCA i nacisnął guzik. Po otrzymaniu połączenia zaczął mówić szybko i niezrozumiale, najwyraźniej udzielając komuś wyraźnych i wyczerpujących instrukcji.

George ze zdumieniem rozpoznał jidisz. Samuelson wstał, złożył radiostację i podszedł do baru. Nalał sobie brandy i wychylił zawartość dwoma łykami.

Wszyscy obecni patrzyli na niego w milczeniu. W chwilę potem Van Effen podniósł się, podszedł do baru i napełnił dwie lampki brandy. Podał je Annę i Julie i wrócił na miejsce.

— Wspaniale radzicie sobie z kobietami — mruknął ironicznie. — To była zgrabna groźba.

.— Myśli pan, że nasze pogrożki były bezpodstawne? — Agnelli miał

ochotę na pogawędkę, ale miał dość widoku Samuelsona raczącego się drugą brandy. — Zareczam panu, że spełnimy nasze groźby.

— To tyle, co się tyczy pańskiego słowa.

— Nie rozumiem. O co chodzi?

— Ma pan krótką pamięć. Przed paroma godzinami przyrzekł nam pan, że w wyniku waszej akcji nie ucierpi ani jeden człowiek. Ostrzeżliście wszystkich mieszkańców Lelystad, żeby podjęli odpowiednie środki ostrożności, zanim nastąpi wysadzenie tamy. Boże! Człowieku, przecież jest ciemno, a do tego leje jak z cebra. Oni nie będą w stanie niczego zobaczyć, a co dopiero zrobić!

— Nie muszą. Poziom wody nie będzie wyższy niż pół metra. Sprawdziliśmy to i zrobiliśmy przegląd budynków. Większość z nich jest dwupiętrowa. Myślę, że nawet mieszkańcy parteru wyjdą z tego suchą nogą.

Mają dużo łodzi. To też sprawdziliśmy. Nasz komunikat miał ich przede wszystkim zastraszyć. Czy jeszcze coś chce pan wiedzieć?

— Owszem. Gdzie jest nasze Elastyczne Sumienie?

— Co?

— Nie, co, tylko kto. Riordan. Ten księżulo. Bogobojny wielebny. Dlaczego nie było go tu z nami?

Agnelli uśmiechnął się słabiutko.

— Uważa telewizję za dzieło szatana. Może i ma rację. Zdaje się, że tymczasem wziął ślub ze słuchawkami. Wysłuchał komunikatu radiowego.

— Naprawdę macie te bomby? Wydaje mi się to nieprawdopodobne.

— Mogę je panu pokazać.

— To mi wystarczy. A więc taki miłośnik pokoju i braterstwa lubi również bawić się śmiercionośnymi zabawkami.

— Słyszał pan, co niedawno powiedział pan Samuelson. — Agnelli spojrzał

w stronę baru. Samuelson wpatrzony w ścianę dopijał kolejną brandy. — Pan Riordan jest gotów

użyć diabelskich sztuczek, by zwalczyć diabła.

— Jak zdobyliście te ładunki jądrowe?

— Słyszał pan. NATO. RFN. Baza US Army.

— Słyszałem. Nie pytałem skąd tylko JAK. — Van Effen zamyślił się. —

Już wiem: RAF — Frakcja Czerwonej Armii.

— Zgadza się. Wiedziałem, że pan na to wpadnie.

— Jezu! Ten kaznodzieja na górze musi mieć naprawdę nieliczne chody.

RAF! — i to on sam jeszcze wczoraj mówił Wierindze, że Frakcja Czerwonej Armii to spadkobiercy krwawych Baader-Meinhof z lat siedemdziesiątych. Widać nie przejmuje się, że jego dłonie będą splamione krwią. Boże! Powinienem był wpaść na to wcześniej. Przecież włamanie do magazynu amunicji US Army pod Hanowerem miało miejsce dopiero parę tygodni temu. RAF przyznał się do tego włamania i ich oświadczenie zostało ogólnie przyjęte. Oni się znają na tego typu robocie, w przeciwieństwie do Amerykanów, którzy są do niczego jak chodzi o ochronę swoich baz. Nie było żadnej wzmianki o zdobyciu ładunków nuklearnych. RAF lubi ogłaszać takie rzeczy. Myślę jednak, że nawet jeśli ogłosili coś takiego, podali komunikaty do prasy czy telewizji, to armia amerykańska bezpośrednio lub poprzez rząd niemiecki wydała zakaz publikacji tych informacji i podawania ich do wiadomości publicznej. Niemcy nie przepadają za ładunkami jądrowymi, zwłaszcza gdy wiedzą, że mogą się one znajdować w rękach młodych, zwariowanych i gotowych na wszystko terrorystów.

— Tym razem nie ma nagrody za przenikliwość panie Daniłow: tak było.

— Pańskie informacje pochodzą zapewne z tego samego źródła co i ładunki?

— Oczywiście.

— Joachim i Joop oraz ci dwaj o twarzach cherubinków, którzy byli tu dziś po południu?

— A któżby inny?

— Niedzielni terroryści. Tak ich nazywają w RFN. Działają jedynie nocą i tylko podczas weekendów. Odkąd schwytano Christiana Klara wraz z jego dwiema przyjaciółkami: Mohnhaupt i Schultz, a następnie postawiono w stan oskarżenia, RAF znalazła się w sytuacji bez wyjścia i musiała zmienić klimat. Myślę, że Holandia znajdowała się na pierwszym miejscu ich listy ewakuacyjnej. Nawet mogłaby stać się ich drugim domem. — Van Effen zastanowił się chwilę, a jego twarz rozjaśnił radosny uśmiech: — Z jednej strony RAF, z drugiej żądania pod adresem naszego rządu... Jak się pan czuje wymuszając sytuację, w której rząd holenderski ma zapłacić RAF za bomby o ładunku nuklearnym, które zostaną użyte przeciwko mieszkańcom Holandii?

Agnelli nie odpowiedział, bo w tej samej chwili rozległ się brzęczyk nadajnika.

—  
Do pana, panie Samuelson — rzekł po chwili Agnelli.

Samuelson podszedł do nadajnika, uniósł słuchawkę i mikrofon, na słuchiwał chwilę, po czym odrzekł:

— Dzięki, Helmut. Dziękuję bardzo. — Odwiesił słuchawkę i spojrzał

na zegarek: — Cztery minuty. Pójdę teraz do mojego pokoju. Zjawię się dopiero na obiedzie. Razem z panem Riordanem. W telewizji za niecałe cztery minuty zaczyna się dziennik. Obejrzyjcie go, proszę.

Idąc w stronę schodów zatrzymał się przy stoliku Annemarie.

— Przepraszam, panno Meijir. — Żadnego „kochanie”, żadnego

„Anne” — Nie wiedziałem.

Wiadomości dziennika, poprzedzone fragmentem jakiegoś żalosnego koncertu, przeszły wszystkie oczekiwania Van Effena.

— Niezmordowana

grupa

terrorystyczna

FFF

—  
czytał

spiker

— przekazała nam nowy komunikat, w którym, bez podania żadnych konkretnych przyczyn, zrzeka się ona sumy dwudziestu milionów gul denów, które miały jej zostać przekazane przez znanego holenderskiego przemysłowca, pana Davida Meijira. Panna Anne Meijir zostanie zwolniona i wróci do swego ojca tak szybko, jak tylko będzie to moż liwe. Kwota, jaką ma wypłacić rząd, wzrasta jednocześnie do sumy stu dwudziestu milionów guldenów.

Annemarie początkowo nie zrozumiała treści komunikatu i przez chwilę kręciła głową z niedowierzaniem. George klepnął Van Effena w kolano i powiedział:

— No cóż, przyjacielu? Co ty na to?

— Wspaniale — odparł Van Effen. — Po prostu wspaniale. Mimo wszystko uważam, że postąpili trochę niesprawiedliwie wobec siostry tego gliniarza.

Moim zdaniem ją również powinni byli wypuścić.

— Muszę przyznać — zaczął Van Effen — że w chwili obecnej zawahałbym się, gdybym miał go zabić. Jeśli, rzecz jasna, Samuelsona ruszyło sumienie. Może przypomniał sobie jakiś epizod ze swego życia, a może po prostu jest wspaniałym aktorem albo znacznie sprytniejszym niż dotąd sądziliśmy.

— Nie wiem, jak możesz tak mówić — rzekł Vasco.

Łaził tam i z powrotem po werandzie. Było zimno, wiał przenikliwy wiatr, ale z oczywistych względów woleli prowadzić rozmowę na zewnątrz niż wewnątrz. Nad stodołą znajdował się strych, na który wchodziło się po drewnianych schodach. Jakiś czas temu widzieli mężczyznę wchodzącego na górę i innego schodzącego po kilku minutach: zmiana warty. Strażnik miał

zapewne za zadanie sterczeć

przy oknie i obserwować całą okolicę. Prawdopodobnie w drugiej stodole i w wiatraku również znajdowali się strażnicy. Van Effen zastanawiał się, czy mieli za zadanie powstrzymywać ludzi przed wchodzeniem do wnętrza budynków czy też przed wychodzeniem z nich. Jedno było pewne — robili to bardzo dyskretnie. Gdyby wydało się, że wiatrak i okoliczne budynki są strzeżone przez uzbrojonych strażników, „Golden Gate Film Productions”

stałoby się bezużytecznym parawanem.

— Moim zdaniem Samuelson to wyjątkowo przebiegły przestępca

— ciągnął Van Effen. — Zagranie było wzruszające do łez i tak ludzkie, że aż strach. Pamiętasz słowa komunikatu: „Panna Annę Meijir wróci do swojego ojca tak szybko, jak to tylko będzie możliwe”, czytaj: to nie będzie możliwe, jak długo rząd nie zgodzi się na ich żądania. Ludzie będą uważać, że ten biedny człowiek chce zwolnić Annemarie i zwrócić ją rodzinie, lecz nie może tego zrobić nie narażając przy tym swego bezpieczeństwa. Ryzyko to pociąga za sobą również powodzenie jego planów. Pan David Meijir zrozumie zapewne, bo nikt nie dochodzi do milionów będąc kwadratowym durniem, że FFF zależy na jego poparciu w kwestii decyzji rządu, tego od którego wszystko zależy, czyli rządu Wielkiej Brytanii. Jako że nie może wpłynąć na rząd brytyjski, zdecyduje się zapewne wywrzeć wpływ na rząd holenderski, a ten, już bezpośrednio, wpłynie na decyzję angielskiego rządu. O to właśnie chodzi panu Samuelsonowi. Zastanawiam się, co by się stało, gdyby David Meijir zmarł, podczas gdy jego córka wciąż byłaby zakładniczką FFF, mało prawdopodobne, ale nie o to chodzi. Ludzie na pewno by rozdmuchali to romantyczne wydarzenie. Serce mu pękło: rozumiesz, jak to brzmi? Gdyby umarł, Samuelson i FFF zostaliby wpędzeni w ślepą uliczkę. Każdy Holender uważałby ich za zimmokrwistych, bezwzględnych i perfidnych morderców.

Ludzie zmieniliby stanowisko i zaczęli żądać złapania ich za wszelką cenę i nieustępowania im ani na krok

— a jest to ostatnia rzecz, jakiej mógłby chcieć Samuelson i to jego towarzystwo... Wróćmy do komunikatu. Styl jest napuszony i wytworny. Ma najwyraźniej wskazywać, że Samuelson nie podjął tej trudnej decyzji bez powodu. Nie wiem czy to, że David Meijir miał atak serca, było publicznie wiadome czy nie, ale na pewno zostanie to odpowiednio wykorzystane. Helmut Paderewski na pewno zajmie się tą sprawą. Prasa i radio zostaną powiadomione o kłopotach i obecnym stanie zdrowia pana Meijira i na pewno zaczną opowiadać na ten temat różne niestworzone historie. Jednocześnie, dodając do tego ostatnie oświadczenie Samuelsona, sympatia ludzi będzie z całą pewnością po jego stronie. Prasa natychmiast wykorzysta ludzką tragedię, a taka popularność zbliży ich do osiągnięcia celu. Cały świat pokocha tego zreformowanego łajdaka, bandytę o złotym sercu. Wiwat Robin Hood z Amsterdamu!

— Wydaje mi się, że masz rację — rzekł George. — Nie wiem czy wiesz, że znam trochę jidysz. Nie jestem w nim biegły, ale trochę rozumiem.

Zastanawiałem się, jakie instrukcje przekazał Samuelson naszemu przyjacielowi Paderewskiemu; teraz już wiem.

— Pozostaje jeszcze sprawa pieniędzy, jest to temat szanowany przez każdego Holendra. Rezygnuje z dwudziestu milionów guldenów, to, że ich fizycznie nie ma, jest bez znaczenia, i jednocześnie dodaje je do sumy, którą ma mu wypłacić rząd. Każdy by się z nim zgodził. Kogo obchodzi, że ktoś okrada kasę rządową, ale wystarczyły łzy, by zrezygnował z prywatnego okupu. Doskonała taktyka. Czy wciąż myślisz Vas-co, że tego człowieka ruszyło sumienie? Że odezwały się w nim ludzkie instynkty?

— Sam już nie wiem. Bardzo możliwe, że to cholernie sprytny, podstępny łajdak. To pech, że pozostałe czternaście milionów Holendrów cię nie słyszy.

Jestem pewien, że po takiej wypowiedzi zmieniliby zdanie na temat Samuelsona.

— Nie wszyscy, z czasem część do tego dojdzie. Gorsze natomiast jest coś innego: ile czasu zajęło mi dojście prawdy! A ja jestem na miejscu i mam większe rozeznanie niż przeciętny Holender. On to zrobił w ciągu kilku sekund, nie dając nawet poznać po sobie intensywnego procesu myślowego.

To niebezpieczny człowiek. Kiedy się z nim rozmawia, trzeba dwa razy pomyśleć zanim się coś powie.

— Wracamy do sedna sprawy? — spytał George. — To on jest kluczem. On pociąga za sznurki. To on powiedział, że Riordan jest gotów użyć diabelskich sztuczek, aby zniszczyć diabła. Ta operacja musi go kosztować wiele tysięcy dolarów dziennie. Agnelli nie jest tak bogaty i wątpię, czy Riordan zarobił w życiu choć jednego pensa.

— To Samuelson. Nie ulega wątpliwości, że on trzyma tu kasę.

— Szkoda, że nie możemy się porozumieć z Interpolem.

— Nic by nam to nie dało. Wątpię, żeby mieli go na swoich listach. Interpol tak naprawdę to nie ma do czynienia z przestępcami dużego kalibru, bo oni z zasady mają nienaganne opinie. Ten człowiek

może po prostu być zwykłym plutokrata, który na przykład czerpie swoje dochody z niezliczonych pól naftowych, linii żeglugowych czy czegoś w tym guście.

— Słyszelibyśmy o nim.

— Może tak, może nie. Bardzo możliwe, że zmienił nazwisko, a kto ci zaręczy, że istnieje choć jedno zdjęcie ukazujące go prywatnie? Niektórzy bogacze nie lubią się fotografować.

— Jeżeli jest tak bogaty, to dlaczego wziął się za tego typu robotę? — spytał

George.

— Dla rozrywki. Jestem przekonany, że Samuelsonowi nie zależy na forsie.

Bardzo możliwe, że zdołał w jakichś sposób przekonać swoich partnerów, że liczą się tylko pieniądze a nie coś zupełnie innego. Agnelli przecież nie ukrywa, że robi to dla forsy. Cała grupa wydaje się być omamiona widmem zapłaty i dopóki ten stan się utrzymuje, Samuelson może spać spokojnie.

Nawet Riordan potrzebuje tych diabelskich pieniędzy.

— Rozszczepienie moralności, to musi mieć coś wspólnego z tym irlandzko-amerykańskim pochodzeniem. Nawet jest na to jakieś fachowe określenie medyczne.

— Pewnie jest. Należy wobec tego uznać go za chorego i próbować go wyleczyć najlepiej jak tylko potrafimy.

— Czy masz jakiś pomysł, doktorku? — George mimo swej potężnej budowy trząsł się z zimna. — Receptę na wyleczenie tych ludzi z głupoty?

— Za późno na leczenie.

— Operacja? Nie wiem nawet, z której strony trzyma się skalpel.

—

Nie musisz. W tym przypadku chirurgia nie jest wskazana.

George chrząknął, co na tym wietrze nie było takim łatwym przedsięwzięciem.

— Chcesz nagle bronić tych łajdaków? Skąd to czułe serduszko? Przecież to kryminaliści, którzy chcą zatopić całą Holandię! Bóg jeden wie, ile ofiar pociągnęłyby za sobą ich zamachy?

— Żadne takie; tylko czy ty poważnie myślisz, że moglibyśmy zabić Riordana, Agnellego i Samuelsona, wprowadzić dziewczyny i wydostać się stąd z życiem?

— Wiem, że moglibyśmy. Cofam także czułe serduszko, ty w ogóle nie masz serca.



Vasco patrzył na nich z obawą i niedowierzaniem:

— Jest pan policjantem, sir. Ma pan bronić prawa. To znaczy należy ich sprawiedliwie skazać i uczciwie powiesić.

— Zgodnie z moim prawem powinienem zastrzelić ich jak wściekłe psy. Ale to nie rozwiązuje sprawy i to z dwóch względów. Po pierwsze z powodu psychologicznego,

a

po

drugie

z

praktycznego.

Pod

względem

psychologicznym można to nazwać ciekawością. Wątpię, by Romero Agnelli był bezlitosnym mordercą za jakiego go uważamy. Nie jest okrutnym sadystą, w przeciwieństwie do swoich siedzących za kratkami braci.

Wskazuje na to fakt, że jak dotąd Julie i Annemarie cieszą się dobrym zdrowiem. Albo weźmy na przykład Riordana. Nie jest żadnym psychopata.

Jest trochę szalony, ale to zdolny demagog. Rozejrzyjcie się wokoło, a zobaczycie wielu takich jak on. Ilu ludzi wśród nas jest odpowiedzialnych za wojny, głód, choroby, handel narkotykami czy bronią. Czy nie powinno się pozamykać ich wszystkich w szpitalach psychiatrycznych? Pozostaje jeszcze czynnik demagogiczny.

— Dema... co? — zdziwił się Vasco.

— To taki zwrot, który wyszedł z użycia, określający ludzi, którzy potrafią swoimi wystąpieniami przekonać całe narody. Dotyczy wielu przywódców, takich jak: Hitler, Mussolini czy Stalin. Tyle że bywają dobrzy i źli mówcy.

Chrystusa można by również nazwać demagogiem. Riordan, jak sędzę, nie jest aniołkiem, ale myślę, że gdyby nie zbłądził w swoich poszukiwaniach prawdy, mógłby być zupełnie uczciwym i dobrym człowiekiem. Nie sędzę, by był do szpiku kości przesiąknięty złem.

— Samuelson to kornik, jeśli można użyć metafory. To prawdziwy znak zapytania. Wiecie, że jest Anglikiem?

Obaj przecząco pokręcili głowami.

— Jest, i jest także bardzo bogaty. Myślę, że Samuelson osiągnął już granice swojego bogactwa. Na pozór jest stateczny i rozsądny, praktycznie zaś opętany jakąś obsesją, która kieruje jego poczynaniami.

Chciałbym wiedzieć, co go tak nurtuje. Co myślicie o Kathleen?

Obaj spojrzeli na niego, po czym George odezwał się nagle:

— Chwileczkę. — Znikł we wnętrzu wiatraka, a gdy powrócił trzymał w dłoniach trzy szklaneczki brandy. — Jeśli mamy kontynuować dyskusję przy takim chłdzie... Co miałeś na myśli pytając o Kathleen?

— To co powiedziałem. Czy nic was w niej nie uderzyło?

— No cóż, nie znam jej za dobrze — rzekł George. — To miła dziewczyna.

— Ty zawsze tylko o jednym. A ty, Vasco?

— Zgadza się z Georgem, Nigdy nie widziałem... — przerwał. —

Wygląda na miłą i uprzejmą...

— Niezła z niej aktorka? A co byście powiedzieli, gdyby okazało się, że jest szpiegiem? Kto wie, może potrafi władać nożem równie dobrze, jak rozbajającym uśmiechem?

— Nie — Vasco był pewien swego.

— Rzeczywiście, nie. Widziałem, że obserwowaliście ją dziś, gdy nadawano wiadomości w telewizji. A propos, Vasco, myślę, że jesteś wspaniałym kandydatem na inspektora. A ciebie, George, być może uda mi się przekonać, abyś porzucił wreszcie tę idiotyczną rolę restauratora.

— Ja? — George obrzucił ich obu spojrzeniem rezerwowanym zwykle dla wariatów.

— Ty. Marnujesz się. Nie mówię, żebyś nie prowadził dalej tej re-stauracyjki. Annelise to najlepsza kucharka w Amsterdamie, a na bramkarzy możesz wziąć nawróconych przestępców po niewielkich wyrokach. Wróćmy jednak do tematu. Obserwowaliście Kathleen. Co wam powiedziały jej oczy?

— Jej oczy? — zdziwił się Vasco.

— Oczy Kathleen. Obserwowałeś przecież jej oczy, nie twarz.

— Skąd wiesz?

— Bo jestem sprytnym, podstępny, obłudnym i doświadczonym facetem.

Grunt to praktyka. Strach? Cierpienie?

— Mniej więcej. Przede wszystkim cierpienie. Widać to było dokładnie jeszcze przed ogłoszeniem komunikatu. Zdawało mi się, że ona wiedziała, co się święci, albo przynajmniej się tego domyślała i wcale jej się to nie podobało.

— Kolejna osoba, którą się posłużono — rzekł Van Effen.

— Jeśli mówimy o oszukujących i oszukiwanych — dorzucił George — to dołączmy jeszcze do naszej listy Marię Agnelli. Nasza Maria najwyraźniej bardzo lubi oblizywać wargi. Już nieraz spotkaliśmy się z ludźmi, u których było to przejawem sadystycznego zadowolenia, ale nigdy jeszcze nie spotkałem się z wypadkiem oblizywania warg, które drżą jak osika. Tak było w przypadku Marii: ona trzęsła się ze strachu albo ze wstrętu, jak wolicie.

— Nie zauważyłem tego — przyznał Van Effen.

— No cóż, każdy ma tylko jedną parę oczu — rzekł uspokajająco George.

— Choć starczyłoby jednej, by stwierdzić, że Samuelson chłonał każdą sekundę przekazu. Do czego doszliśmy? Że mamy trzy osoby nawiedzone, z których jedna, Samuelson, jest mózgiem całej organizacji. Kieruje się nie znanymi nam powodami, a dodatkowo posłużył się dwiema dziewczynami, które na dodatek są przerażone rozwojem wypadków.

— Powtórz to jeszcze raz, bo zupełnie się zgubiłem — przerwał mu Vasco.

— Uważasz zatem, że dziewczyny są niegroźne a nawet zupełnie miłe?

— Owszem.

— A Joachima, Joopa i tych dwóch cherubinków, którzy są członkami RAF, Baader-Mainhof czy jakiejś innej organizacji uważasz za typy spod ciemnej gwiazdy?

— Nie zgodziłbym się z tobą — przerwał Van Effen. — To nowi mesjasze, którzy chcą stworzyć nowy, lepszy świat. Wyłącznie przez zaślepienie i ogłupienie reszty świata zmuszeni są nie tylko zabijać, ale i użyć ładunków nuklearnych.

— A te dwie dziewczyny współpracują z nim — dodał Vasco z goryczą.

— A może twoim zdaniem są czyste i niewinne jako te lelije? Nie są bez winy, to fakt. Wahają się na krawędzi dobra i zła. Wątpię jednak, by maczały palce w porwaniu Julie. One nie. To porwanie zostało wymyślone przez wspaniały duet Giuseppe i Orlando, których przed paru laty wsadziłem do pudła. Romero, po pierwsze, nigdy nie wpadłby na taki pomysł, a po drugie nie byłby w stanie skrzywdzić nawet muchy.

— Ale oni są ciągle w więzieniu.

— Vasco, Vasco — westchnął Van Effen. — Kilka najbardziej niebez-piecznych i najpotężniejszych

gangów na świecie jest kontrolowanych przez ich przebywających w więzieniu szefów. Palermo, Cagliari, Ajaccio, Marsylia, pół tuzina miast w Stanach, nawet Londyn, Amsterdam i Neapol są pod patronatem ludzi, którzy część swego życia spędzają właśnie za więziennymi murami. Bracia Romera kazali mu wysyłać do mnie te gustowne pocztówki, jak również obmyślili porwanie Julie. Nie o nią jednak chodzi. Wątpię również czy chodzi o mnie. Przestępcy zazwyczaj nie mszczą się na policjantach, którzy ich schwytali. Mszczą się na sędziach, którzy ich skazali. Włochy są klasycznym tego przykładem.

— Jeśli nie chcą się zemścić na tobie ani na Julie, to mój wrodzony intelekt podpowiada mi jeszcze jedno rozwiązanie: chodzi im o coś innego — rzekł

George. — Przypomnij sobie wzmiankę Samuelsona o tym, że Riordan gotów jest użyć wszelkich diabelskich sztuczek, by zwalczyć diabła.

— Można dodać, że trzeba być diabelnie sprytnym, by pożywić się przy diable — dodał Van Effen.

— Mówiąc o diable — przerwał mu Vasco. — To o kim wy do diabła mówicie?

— O diable, a raczej o diablach. Wydaje mi się, że jednym z warunków, od których będzie zależało, czy pewna część Holandii zostanie zatopiona czy nie, będzie zwolnienie z więzienia obu braci Annecys. Albo też ich pełne ułaskawienie, co nie daj Boże.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, gdy George udał się do wnętrza wiatraka po kolejną porcję płynnej antygrypiny. Kiedy wrócił, pierwszy odezwał się Van Effen:

— Nie ma co teoretyzować. Myślę, że wiemy już wszystko. Nie znamy tylko motywów, które kierują Samuelsonem, a sądzę, że wkrótce dowiemy się i tego.

Nie mamy wyboru, a ponadto jest cholernie zimno. Przejdźmy zatem do działań praktycznych. Jesteśmy zgodni, że nie możemy w tej chwili zlikwidować tych trzech szefów. Są po temu inne, bynajmniej nie teoretyczne powody. Samuelson może przecież nie być mózgiem organizacji, choć osobiście w to wątpię. Są jeszcze inne przyczyny: Samuelson na pewno ma swoich ludzi w pobliżu IJsselmeer, którzy mają dokonać eksplozji ładunku nuklearnego. Ponadto, jak sami nam przypadkiem powiedzieli, nie jest to ich kwatera główna. Reszta grupy może się znajdować na drugim końcu Holandii, w miejscu ich planowanego głównego uderzenia. Musimy znaleźć ich kwaterę główną, a zatem chwilowo musimy się do nich przyłączyć. Jestem bardziej niż pewny, że dziś po północy rozwałą tamy na północ i południe od Lelystad i zatopią północny i południowy rejon Flevoland, bo jestem pewien, że Brytyjczycy nie skapitulują przed pierwszym dzwonkiem. Przy odrobinie szczęścia może obędzie się bez ofiar śmiertelnych, ale wiem również, że straty w żywym inwentarzu będą ogromne. Sprawą poważniejszą jest ów ładunek jądrowy. Sądzę, że umieścili go w Marken lub Wolendam i przyznam, że nie chciałbym tam być, gdy wybuchnie. Tsunami to nieprzyjemna rzecz, zwłaszcza gdy nie można przewidzieć jej wysokości. Skutki mogą być odczuwalne nawet w Hoorn lub samym Amsterdamie, choć w to wątpię. Chodzi im o demonstrację wobec rządu brytyjskiego, a nie o masakrę ludności cywilnej.

Wielką demonstrację zaplanowali zapewne na później, bowiem już wkrótce nastąpi okres

przyplływów. Na razie poprzestaną na małej powodzi. Wybuch moim zdaniem nastąpi po południu, gdy będzie jasno...

— Dlaczego? — spytał Vasco.

— A niby po co im ten helikopter? Muszą dolecieć helikopterem do swojej bazy, do której najwyraźniej nie można dotrzeć inaczej jak tylko drogą powietrzną. Ich baza może zatem znajdować się na wyspie, choć niekoniecznie.

Sęk w tym, że trudno jest lądować przy takim wietrze. A próba lądowanie w nocy i do tego podczas ulewy graniczyłaby z samobójstwem. Pamiętaj, że oprócz nas będą w nim jeszcze te ładunki nuklearne, z którymi lepiej jest obchodzić się delikatnie. Zatem lądowanie nastąpi w dzień. Myślę, że akcja również.

— Możemy tu pobyc jeszcze przez parę dni — sprzeciwił się George.

— Uważam, że zabiorą nas stąd jutro rano. Na pewno będą chcieli być jak najbliżej miejsca akcji w swej stałej kwaterze. Czy rakiety zo stały rozbrojone?

George skinął głową.

— Czy znasz się na rozbieraniu taktycznych ładunków jądrowych?

— Nigdy w życiu żadnego nie widziałem. Gdybym mógł przestudiować jego plany, to być może bym zaryzykował. W takiej sytuacji jak obecnie, wolałbym tego nie robić: wiem, że nic bym nie poczuł, ale nie chciałbym się przedwcześnie zamienić w obłoczek pary.

— Myślę, że obejrzymy sobie te bomby jeszcze dzisiejszej nocy. Są składowane gdzieś tutaj. Słyszałeś, co powiedział Agnelli: „Mogę je wam pokazać”.

— Czy nie zaczną czegoś podejrzewać? Nie zdziwi ich fakt, że nie chcieliśmy zobaczyć tych bomb? Mogą się obawiać, że wymyślimy coś złośliwego — wtrącił George.

— Niech sobie myślą co chcą i podejrzewają, ile wola. Jesteśmy na razie tak bezpieczni jak to jest tylko możliwe, ponieważ jesteśmy nieza-stąpieni.

Vasco i George spojrzeli na siebie bez słowa.

— Nie jesteście zbyt bystrzy. Joop, Joachim i ich szaleni kolesie z RAF-u musieli ukraść te ładunki jądrowe z magazynu US Army w Met-nitz, w nocy trzeciego lutego. O ile pamiętam, tej nocy miało miejsce jeszcze inne dziwne zdarzenie.

— Trzeciego lutego — powiedział George. — Oczywiście. Nie jesteśmy faktycznie zbyt bystrzy! Tej nocy magazyn amunicji w De Doorns wyleciał w powietrze. Eksperci Samuelsona chcieli uzupełnić zapasy. Krater, jaki powstał, był ponoć imponujący i pozostało jedynie wspomnienie po specjalistach i zapasach. Nie dziwię się, że było u nich cienko z towarem i potrzebowali naszej pomocy. Dobrze, że udało się nawiązać z nimi kontakt. Jako zabezpieczenie polisy Lloyd przyjąłby to

bez wahania.

— Wspaniała polisa ubezpieczeniowa — rzekł Vasco. — Czy jednak nie przyszło ci na myśl, że ci dwaj szaleńcy albo Joop, znajdują się jednak na obsłudze tych bomb?

— Owszem, przyszło — odparł Van Effen. — Dlatego myślę, że powinniśmy mieć na oku zarówno ładunki jądrowe, jak i naszych szaleńców.

Póki co, wejdźmy lepiej do środka. Weźmiemy kąpiel, ogolimy się, odświeżymy i wysłuchamy spokojnie kolejnego komunikatu rządów Holandii, Wielkiej Brytanii czy naszych gospodarzy. Myślę, że potem zostaniemy zaproszeni na obiad. Jestem przekonany, że taki człowiek jak Samuelson ma tu gdzieś niezłego kucharza.

Romero Agnelli powitał ich, gdy tylko weszli, wręczając każdemu jonever.

— To chyba wam się przyda po tak długim wietrzeniu się na chłodzie.

— Jesteśmy fanatykami świeżego powietrza — odrzekł Van Effen.

— Myślałem, że to tylko choroba Anglików! W każdym razie mam nadzieję, że przechadzka była udana.

— Jeśli za taką można uznać chodzenie w tę i z powrotem po werandzie to owszem, była doskonała.

— Van Effen nie wątpił, iż Agnelli doskonale wiedział, że żaden z nich nawet nie schodził z werandy.

— No i rzecz jasna, ucieliście sobie małą pogawędkę — dorzucił Agnelli z uśmiechem.

— No cóż, tak. Rozpatrywaliśmy najbliższą przyszłość, która dla nas jest nieco niejasna. Pan i pańscy przyjaciele nie należycie do zbyt rozmownych, jeśli chodzi o ten problem. Nie wiemy, jakie zadania nas czekają, czego się po nas spodziewacie, a przede wszystkim dokąd zamierzacie nas zabrać.

— Odpowiedź na to ostatnie pytanie otrzymacie jutro o ósmej rano. Co do reszty to obaj jesteśmy zwolennikami zasady: kto mniej wie, ten lepiej śpi.

— Dobrze, dobrze. To proszę powiedzieć nam jeszcze jedno. Gdzie możemy się przespać? Na podłodze?

— Ależ skąd, przyjacielu. Chodźcie, pokażę wam. Pokój jest już przygotowany. Zanieśliśmy tam już wszystkie wasze bagaże.

Poprowadził ich kręconymi schodami na piętro. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi. Agnelli otworzył je i wszyscy czterej weszli do środka.

Pokój był dość obszerny. Znajdowały się w nim trzy łóżka. Agnelli wskazał na drzwi po przeciwnej stronie pokoju.

— To łazienka. Nie ma co prawda marmurowej wanny i złotych kur ków, ale myślę, że wam wystarczy. — Spojrzał na zegarek. — Obiad będzie za dwadzieścia minut. — Wyszedł z pokoju z nieodłącznym uśmiechem.

Van Effen i George usiedli na łóżkach i zaczęli prowadzić ożywioną rozmowę, podczas gdy Vasco zabrał się do roboty. Był specem jak chodziło o wyszukiwanie pluskiew, tak optycznych, jak i dźwiękowych.

pracował dokładnie i metodycznie. Po paru minutach wyprostował się i oznajmił:

— W porządku. Pokój jest czysty.

George położył sobie aktówkę na kolanach. Była to jedna z tych zabawnych teczek posiadających zamki cyfrowe — po cztery cyfry na każdą dziurkę od klucza — w sumie osiem. George przyjrzał się uważnie zamkom.

— Kombinacja nietknięta? — spytał Van Effen.

— Nietknięta. Ale ktoś dostał się do środka. Widać drobne rysy. Ta aktówka jest nowa, jeszcze nie używana. Została otwarta i zamknięta bardzo zręcznie i szybko. Nie znam w Holandii żadnego włamywacza, który potrafiłby tego dokonać. Każdy, kto zna się na tego typu robocie, używa zwykle stetoskopu, żeby usłyszeć trzask zapadek. W tej aktówce nie ma żadnych zapadek.

— Założę się — rzekł Van Effen — że O'Brien potrafiłby otworzyć skarbce we wszystkich bankach Amsterdamu i Rotterdamu za pomocą zwykłej spinki do włosów.

— Nie wątpię w to — George ustawił kombinację cyfrową i otworzył aktówkę. — Miły jakiś ten włamywacz — rzekł zerknąwszy do środka teczki.

— Wszystko jest na swoim miejscu i można by nawet przypuszczać, że właściwie nic się nie stało.

— A twoja, Vasco?

Vasco otworzył teczkę.

— Nietknięta. Zapasowe magazynki do Smith & Wessona są wciąż na swoim miejscu.

— Naturalnie — Van Effen otworzył swoją torbę, której nawet nie wysilił

się zamknąć po zapakowaniu. Wyjął przybory toaletowe i wziął do ręki wiśniowy pojemnik z aerozolem. Na ściance pojemnika widniał napis „Yves Saint Laurent — Pour Homme — Mousse a Raser” W rzeczywistości aerozol znajdujący się w pojemniku nie był pianką do golenia.

— Jak widać nikt tu nie jest miłośnikiem kosmetyków — mruknął George.

— Jak widać — Van Effen schował pojemnik z aerozolem. — Gdyby był, to zastalibyśmy go

chrapiącego na dywanie. Wątpię, czy w ogóle utworzyli pokrowiec z przyborami toaletowymi. Przypuszczam, że najbardziej zainteresowała ich aktówka George'a. Wyjął mydło i wręczył je Vasco.

— Wiesz co się z tym robi?

— Higiena przede wszystkim. — Vasco poszedł do łazienki, podczas gdy Yan Effen i George podeszli do okna znajdującego się naprzeciw łóżek i otworzyli je. O ile mogli to oszacować, znajdowali się jakieś pięć metrów nad pograżonym w niemal całkowitej ciemności dziedzińcem.

— Jak sądzisz, George, czy jest wystarczająco ciemno?

— Myślę, że tak. Sęk w tym, że będziesz musiał nadłożyć drogi, żeby przez cały czas trzymać się cienia i dotrzeć na tyły stodoły. Czy pomyślałeś o zakopanych w ziemi minach przeciwpiechotnych? Tych złośliwych, które wyskakują na metr nad ziemię, gdy się na nie stąpnie, i dopiero potem eksplodują?

— George, tu się kręci w ciągu dnia cała masa lokalnej służby... Jak myślisz, co by było, gdybyśmy dali jakąś praczkę została przypadkowo wysadzona na takim drobiazgu?

— No dobrze. Masz rację. A jeśli natkniesz się na jakiegoś patrolującego?

— Jeśli ktoś wybrałby się na obchód w taką psią pogodę, to lepiej by było, gdyby wybrał się na badania do psychiatry. Wichura, ulewa, przejmujące zimno, grzmoty i błyskawice przez cały czas...

— Ale...

— Nie mam zamiaru na nikogo wpadać. Najwyżej ktoś może wpaść na mnie. Aksamitne rękawiczki. Vasco strasznie się guzdrze.

Podeszli do drzwi łazienki i gdy poruszyli klamką okazało się, że drzwi są zamknięte.

— Zgaście światło — polecił Vasco.

Zrobili jak im kazano. Vasco otworzył drzwi. W łazience było całkiem ciemno.

— Przepraszam, ale nie chciałem, żeby strażnik zauważył, że go obserwowałem. Spójrzcie, proszę na naszego przemiłego strażnika. Wi dać go stąd dość dobrze.

Okno łazienki znajdowało się dokładnie naprzeciwko okna na strychu stodoły. Człowiek stojący w drzwiach stodoły najwyraźniej nie zamierzał się ukrywać i w świetle płynącym z werandy wiatraka, jego sylwetka była wyraźnie widoczna.

— Nie wygląda mi na służbistę — oznajmił Van Effen. — Brakuje mu entuzjazmu. Wcale się nie dziwię. W taką noc jak dziś to żadna przyjemność.

— To raczej dość chłodna przyjemność — rzekł George.



— Ma własne środki rozgrzewające — odparł Vasco. — Poczekajcie chwilę.

Nie musieli czekać zbyt długo. Po jakichś dwóch minutach strażnik sięgnął

ręką za siebie, podniósł butelkę do ust i pociągnął tęgi łyk.

— Jestem pewien, że nie jest to woda mineralna — powiedział Van Effen. — Wejdzmy do środka.

Weszli do sypialni zamykając za sobą drzwi łazienki. Vasco wręczył mały metalowy przedmiot w plastikowym woreczku Van Effenowi, który ten wrzucił do kieszeni...

— Złożyłem oba kawałki mydła i włożyłem do gorącej wody. Powinny już wkrótce się połączyć. Miałem nosa. Ledwo wszedłem do łazienki, zobaczyłem faceta idącego w stronę stodoły. Dlatego zgasiłem światło. Zniknął za rogiem, tam, gdzie są schody wiodące na strych, a potem zobaczyłem go już na strychu, jak rozmawiał z jakimś drugim gościem. Przypuszczam, że byłem świadkiem zmiany warty. To było dokładnie o siódmej. Wydaje mi się, że powinienem tu zostać i dokładnie sprawdzić, o której godzinie następuje zmiana strażników. Moje gardło ma się chyba znacznie gorzej niż przed godziną... Miłe by było, gdyby zmieniali wartowników regularnie.

— Może i masz rację — przyznał Van Effen. — To ciekawa propozycja, Vasco. Szkoda, że sam na to nie wpadłem. Myślę, że jeśli to przeżyjemy, to awans cię nie minie. Jestem pewien, że Samuelson będzie zawiedziony.

Bardzo możliwe, że zechce przysłać ci do pokoju coś mocniejszego.

— Niech przyśle podwójną porcję. Czuję się bardzo słaby.

— Pan Daniłow, George... — gdy zeszli do salonu, Samuelson powitał ich tak radośnie jakby się nie widzieli od lat. — Właśnie zaczynają się wiadomości. Potem zjemy obiad. Gdzież to się podział nasz rezolutny Porucznik?

— Źle się czuje: gardło go boli. To chyba grypa.

Samuelson pokręcił głową.

— To przez pogodę. Ważne, by do jutra wyzdrowiał. Herta! — to było pod adresem blond stworzenia przygotowującego stół do obiadu.

— Zanieś coś mocniejszego Porucznikowi. Nie żałuj mu. Podwójną porcję.

Agnelli podkręcił telewizor. Na ekranie zobaczyli spikera, który sprawiał

wrażenie jeszcze bardziej smutnego i przygnębionego niż poprzednim razem.

— Ministerstwo Obrony Narodowej wydało oświadczenie w związku z groźbami, jakie wysunęła wobec naszego kraju niezidentyfikowana grupa określająca się mianem FFF. Rządy Wielkiej Brytanii i naszego państwa są w stałym kontakcie, ale nie możemy podać żadnych bliższych informacji,

ponieważ wciąż jeszcze trwają dyskusje pomiędzy Stormont a Whitehall. Stormont to parlament, ogólnie mówiąc ciało rządzące, Irlandii Północnej, który jest obok rządu Holandii najbardziej zainteresowany wynikiem prowadzonych negocjacji. Obecnie w najtrudniejszej sytuacji znajdują się członkowie Whitehall. Ulster stanowi bowiem integralną część Wielkiej Brytanii i posiada pewną autonomię w sprawie dotyczącej przyszłości Irlandii i jak dotąd się nie wypowiedział. Kiedy tylko otrzymamy jakieś informacje, zostaną one natychmiast przekazane do wiadomości publicznej.

FFF poinformowała nas, że nada kolejny komunikat tuż po naszym wejściu antenowym. Jego treść podamy w następnych wiadomościach o godzinie ósmej. W porównaniu z poprzednimi informacjami prognoza pogody może się wydawać uspokajająca. Wiatr północny o sile dziewięciu stopni będzie z wolna przybierał na sile. Znad Skandynawii nadejdzie fala ulewnych deszczów.

Oczekuje się, że taka pogoda utrzyma się przez najbliższe dni. W przeciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin Morze Północne osiągnie swój najwyższy poziom. Ostatnio tak wysoki poziom morza notowano przed dwudziestu pięciu laty.

Twarz spikera zniknęła z wizji, a Agnelli wyłączył telewizor.

— No, no — rzekł Samuelson. — Sprawy wyglądają niezbyt obiecująco albo też bardzo pomyślnie. To zależy od punktu widzenia. — Skinął w stronę baru. — Romero, zaniedbujesz naszych przyjaciół. Proszę panie i panów o wybaczenie. Niebawem wrócę. — I znikł na schodach wiodących na piętro.

Podczas gdy bracia Agnelli popijali przy barze, Van Effen rozglądał się po pokoju podziwiając obrazy i miedziane ozdoby pokrywające ściany. Jego uwagę przykuł widok telefonu. Jego numer był zamazany, ale to nie stanowiło dla Van Effena żadnej przeszkody. Wiedział, że późną nocą mógłby skontaktować się z posterunkiem policji w Mar-nixstraat, gdzie położenie wiatraka namierzono by z komputerową dokładnością, ale niemal natychmiast odrzucił tę myśl. Rozwiązanie problemu FFF znajdowało się gdzie indziej.

Samuelson, z sobie tylko znanych powodów, używał innego telefonu, by przekazać kolejny komunikat FFF.

Przy obiedzie panowała dość przygnębiająca atmosfera i to na pewno nie z powodu jedzenia. Nie był to wystawny posiłek, same holenderskie dania, ale były one sute i smaczne. Tak jak w każdym holenderskim domu kucharz czy gospodyni uważa za swój punkt honoru przykrycie każdego skrawka talerza górą jedzenia, tak i tu we wnętrzu wiatraka postarano się, by narodowa tradycja nie poszła w zapomnienie.

Dziwiły zróżnicowane nastroje biesiadników: Samuelson, Romero Agnelli, Van Effen i George nabrali dziwnej ochoty do rozmowy i najwyraźniej humory im dopisywały. Daniken włączał się do rozmowy od czasu do czasu, ale nie należał do ludzi obdarzonych łatwością prowadzenia konwersacji.

Wielebny Riordan, pomijając długą i wyjątkowo obłudną modlitwę przed posiłkiem, siedział przez cały czas zamyślony, posepny i milczący. Leonardo w ogóle nie odezwał się słowem.

W pewnej chwili Van Effen spytał Romero Agnellego:

— Gdzież to się podziewa nasz przyjaciel O'Brien? Chyba nie zmogła go grypa?

— O'Brien jest zdrowy jak ryba. Jest gdzie indziej.

— Ach — odparł Van Effen.

Samuelson uśmiechnął się.

— Jest pan dziwnie mało ciekawski, panie Daniłow.

— Czy byłbym mniej dziwny, gdybym dopytywał się, gdzie on jest lub też co robi?

— Nie. Romero mówił mi o pana zasadzie mówienia innym tylko tego, co muszą wiedzieć. Podzielam pańskie poglądy. — Spojrzał na zegarek. —

Romero. Za minutę ósma. Włącz telewizor.

Spiker był nadal ten sam. Miał wygląd człowieka, który właśnie przed chwilą dowiedział się, że cała jego rodzina zginęła w katastrofie lotniczej.

— Otrzymaliśmy najnowszy komunikat FFF — zaintonował mowę po grzebową. — Jest krótki i brzmi jak następuje: „Oświadczenie ministra obrony nie jest dla nas wiarygodne. Uważamy, że rządy Holandii i Wielkiej Brytanii chcą się z nami targować i nie wierzą, że możemy spełnić nasze pogróżki. Być może w grę wchodzi i jedna i druga możliwość.

Chcemy, aby rządy obu krajów przekonały się, że nie rzucamy słów na wiatr. Tamy na południe i północ od Lelystad zostaną wysadzone pięć minut po północy. Ładunek jądrowy w IJsselmeer wybuchnie jutro, do kładnie o drugiej po południu. Te dwa wydarzenia będą jedynie drobniutkim ułamkiem tego, co wydarzy się w przeciągu najbliższych dwu dziesięciu godzin po wybuchu ładunku nuklearnego." To koniec ich komunikatu. Otrzymaliśmy również oświadczenie z Ministerstwa Obrony. Mówi ono, że wstrzymują się od komentarza w sprawie ostatniego komunikatu, a jako powód podają fakt, że nie są w stanie przewidywać dalszych irracjonalnych planów tejże grupy terrorystycznej i nie mogą zrobić nic więcej niż tylko zmusić lokalne władze do podjęcia wszelkich odpowiednich środków ostrożności. Eksperti holenderscy i brytyjscy specjaliści w dziedzinie fizyki nuklearnej oszacowali skutki, jakie może wywołać eksplozja takiego ładunku jądrowego. Jako miejsce wybuchu przyjęli Maarkerwaard. Jeśli ładunek jest umieszczony w pobliżu centrum Maarkerwaard, fala pływowa po osiągnięciu brzegów będzie miała przeciętnie wysokość sześćdziesiąt do siedemdziesięciu centymetrów. Przy brzegu, oczywiście, fala będzie odpowiednio większa i tam niestety skutki powodzi będą najdotkliwsze. O dalszym rozwoju wypadków powiadomimy państwa w następnych wiadomościach.

Agnelli wyłączył telewizor. Samuelson uśmiechnął się do Van Effena i rzekł:

— Czyżby to pana zmartwiło, panie Daniłow?

Van Effen nie odpowiedział.

— Romero mówił mi, że jest pan gotów czynnie przeciwstawić się każdej próbie naszej działalności, która może zagrozić zdrowiu lub żyć ciu choćby jednego mieszkańca Holandii. Zdaniem Romero pan i pa ńscy dwaj przyjaciele jesteście bardzo niebezpiecznymi ludźmi. Jak przypuszczam, jest pan uzbrojony?

Van Effen rozpiął kurtkę, by pokazać, że nie miał pod pachą swego Smith & Wessona, po czym podwinął nogawkę spodni, by wszyscy mogli zobaczyć, że nie miał nawet liliputa.

— Nie sądziłem, by broń była niezbędna przy obiedzie. Czy uważa pan, że mógłbym zacząć strzelaninę w salonie, gdzie jest tyle pięknych dziewcząt?

— Nie wyobrażam sobie. Mój błąd. Ładunek znajduje się w centrum Maarkerwaard. Wierzy mi pan?

— Gdybym miał równie podejrzliwą naturę co pan, powiedziałbym, że poczekam do pięć po drugiej jutrzejszego popołudnia, aby się o tym przekonać.

Osobiście jednak wierzę. Jest natomiast inna sprawa. Zazwyczaj nie jestem tak ciekawski, ale tym razem muszę się takim okazać. Przyznaję, że te ładunki nuklearne trochę mnie niepokoją. Ja i moi dwaj koledzy specjalizujemy się w konwencjonalnych materiałach wybuchowych, ale kompletnie się nie znamy na ładunkach nuklearnych. Nie mamy pojęcia, jak one wyglądają, a co dopiero jak się je uzbraja, aktywizuje czy też rozbraja. Jedyne co o nich wiemy to to, że są bardzo nieprzyjemnymi, niepewnymi i zdradliwymi urządzeniami. Wiem, że kilka tego typu ładunków znajduje się gdzieś niedaleko stąd. Nie mam pojęcia, ile ich jest i nawet nie chcę tego wiedzieć. Wiem natomiast jedno: jestem silnie przywiązany do własnej skóry. Przypuszczam, że

zamierza je pan gdzieś przewieźć, gdyż tu są po prostu bezużyteczne. Nie chciałbym podróżować razem z nimi i to niezależnie od formy transportu.

Samuelson uśmiechnął się.

— Pan Daniken podziela pańskie przekonania.

— A co on ma z tym wspólnego?

— Jest pilotem naszego helikoptera. Powiedział, że za żadne skarby nie weźmie tych ładunków na pokład swojej maszyny.

— To trochę nie tak, panie Samuelson — wtrącił Daniken. — Powiedziałem tylko, że nie chcę tego robić, bo w grę wchodzi zbyt wielkie ryzyko. Zgadzam się z panem Daniłowem. Nie mam pojęcia jak czułe jest to świństwo. Warunki pogodowe są na granicy stanu lotnego: przy takim wietrze wzniesienie się czy opadnięcie o kilkadziesiąt metrów może być sprawą dwóch sekund, a takich sekund może być dużo. Możemy mieć ciężkie lądowanie, lądowanie awaryjne albo Bóg bronii w ogóle jakaś awarię...

— Obaj możecie być spokojni. Nie będziemy przewozić ładunków helikopterem, wykorzystamy

ciężarówkę, w którą przezornie zaopatrzył nas pan Daniłow. Ładunki są małe i łatwo będzie je ukryć w kilku nieco większych beczkach po benzynie. Trzech ludzi przebierze się w wojskowe mundury: Ylvisaker będzie podpułkownikiem, a dwaj pozostali...

— Skąd ma pan mundury wojskowe? — spytał Van Effen.

— Przecież kręcimy film wojenny. Reszta poleci helikopterem.

— To musi być spory helikopter.

— Powiedziałem, że kręcimy film wojenny. Mamy helikopter bojowy.

Wojna w Wietnamie skończyła się raczej nagle i siły powietrzne USA zostały z nadmiarem sprzętu. Jest to może dość stary model, ale lata całkiem niezłe.

Nie jest uzbrojony. Zamontowaliśmy w nim jedynie atrapy broni pokładowej.

No cóż, może byśmy się tak napili? Co pan na to?

— Proszę mi wybaczyć, panie Samuelson — rzekł Van Effen — chciałbym zobaczyć co z Porucznikiem.

— Niech mu pan przekaże, że boleję nad jego losem. No i oczywiście niech mu pan zanieś na górę coś mocniejszego.

— Dziękuję. Jestem pewien, że doceni pańską troskliwość. Oczywiście o ile nie śpi.

Vasco nie spał, siedział w fotelu, który przeniósł sobie do łazienki. Van Effen wręczył mu szklankę, przyświecając sobie małą latarką.

— Pozdrowienia od Samuelsona.

— To miło z jego strony. No cóż, jest ósma dwadzieścia a na warcie jest wciąż ten sam facet. Ma niezły spust. Wątpię, czy w jego pocieszy-cielce została choć połowa zawartości. Siedzi na fotelu tak jak ja. Będę trzymał wartę, dopóki strażnicy się nie zmienią. Ten życiodajny płyn pomoże mi wytrwać na posterunku.

Van Effen streścił mu w kilku zdaniach oświadczenie Ministerstwa Obrony i odpowiedź FFF, dorzucił, że obaj z George'em wrócą do pokoju o dziewiątej i wyszedł.

Gdy wrócił do jadalni okazało się, że towarzystwo trochę się przerzedziło.

— Pierwsza porcyjka najwyraźniej zaczęła działać. Chrypa jeszcze nie przechodzi, ale był śpiący. Co prawda nie na tyle, by nie zaatakować następnej porcji antygrypiny. Dziękuję za troskliwość. O, widzę, że panie nas opuściły.

Szkoda, choć specjalnie mnie to nie dziwi: nie były dziś w najlepszych nastrojach.

— Powiedziały, że są zmęczone — oznajmił Samuelson.

Julie wcale nie była zmęczona, o tym Van Effen był przekonany. Nie cierpiała latania i fakt podróży helikopterem najwyraźniej mocno ją przeraził.

— Czy powiedziały, dlaczego są zmęczone?

— Nie. Były zdenerwowane i trochę przestraszone.

— Tak jak George i ja.

— Wątpię, czy pan i pański duży kolega byliście kiedykolwiek zdenerwowani czy przestraszeni.

— Kiedyś musi być pierwszy raz. A gdzież to nasz świątobliwy ojczulek?

— Wielebny nie pije. Każdego dnia przed snem ma zwyczaj odprawiać godzinne modły połączone z medytacją.

— Miejmy nadzieję, że pomodli się również za dusze ofiar swoich nuklearnych zabawek — dodał ponuro Van Effen.

Cisza, jaka nagle zapadła, była co najmniej deprymująca. Przerwał ją dopiero Romero mówiąc pospiesznie:

— Co się tyczy tych nuklearnych zabawek, powiedziałem już, że jeśli pan chce, mogę je panu pokazać. Myślę, że jako eksperta od materiałów wybuchowych, może to pana zainteresować.

— A co by to pomogło? — spytał Van Effen. Zauważył chwilowy grymas George'a, ale tylko on zdołał go dojrzeć. Przerwał, jakby coś mu nagle przyszło na myśl, po czym dodał: — Ktoś jednak musi się znać na tego typu urządzeniach. Tylko proszę mi nie mówić, że to Joop i jego psychopatyczni kumple.

— No cóż... na obsłudze tych bomb znajdują się właśnie Joop i jego... jak pan to powiedział psychopatyczni kumple. — Z głosu Samuelsona wynikało, że podzielał opinię Van Effena na temat RAF-u. — Kiedy wywieźli z bazy w Metnitz parę sztuk tej broni, zabrali również instrukcje ich obsługi. Bez nich byłiby kompletnie bezradni.

— Nie chciałbym być bliżej niż o pięć kilometrów od miejsca, w którym Joop i spółka zaczną uzbierać te bomby. Wróżka powiedziała mi swego czasu, że mam długą linię życia, ale kto wie, może się pomyliła? Jak pan zamierza dokonać eksplozji ładunku jądrowego?

— Przy pomocy detonatora czasowego.

— A dwóch pozostałych ładunków?

— Przez radio.

— W takim razie dziesięć kilometrów.

— Nie ufa im pan?

— Nie ufałbym im nawet w przypadku fajerwerków. To fanatycy i kto wie co może im przyjść do głowy. A jeśli zadrżą im ręce? Nie, nie ufam im i pan chyba także.

— I nadal nie chce pan obejrzyć tych bomb?

— Chyba nie jest pan na tyle szalony, by przechowywać je w tym wiatraku?

— Znajdują się parę kilometrów stąd. W podziemnym schronie.

— Nie mam ochoty wychodzić na deszcz. Myślę, że popełnił pan błąd w swoich kalkulacjach. Aby dokonać eksplozji każdego ładunku wybuchowego przy użyciu fal radiowych nie potrzeba wprawdzie Einsteina, ale dobrze by było, gdyby cała operacja przebiegała pod okiem doświadczonego eksperta.

Wątpię czy Joop i jego grupa robili kiedykolwiek coś takiego.

— Skąd pan wie?

— To proste. W innym wypadku nie byłaby wam potrzebna moja pomoc.

— To prawda. Czy skrupuły nie przeszkodzą panu rzucić okiem na instrukcje obsługi tych bomb? Są tutaj, w tym pokoju.

Van Effen spojrzał na niego, a potem odwrócił wzrok. Telewizor był

włączony, a na ekranie dziwacznie ubrany kwartet najprawdopodobniej coś śpiewał, na szczęście głos był wyłączony. Samuelson i jego przyjaciele oczekiwali następnych wiadomości. Van Effen spojrzał na Samuelsona.

— Skrupuły? Czy myślicie, że odwalimy za was całą robotę tylko dlatego, że brakuje wam dobrych specjalistów? Czy wie pan, co by się stało, gdyby te eksplozje pociągnęły za sobą śmierć niewinnych ludzi?

— Tak. Postara się pan, abym dołączył do grona ofiar. Przyznaję, że ta możliwość absolutnie mi nie odpowiada.

— Proszę mi pokazać te plany.

Romero Agnelli przyniósł plik kartek i wręczył je Van Effenowi i George'owi. George przejrzał je i oznajmił:

— To nie jest ładunek o mocy pół kilotony. To ekwiwalent jedynie pięćdziesięciu ton TNT.

Samuelson uśmiechnął się.

— Wystarczyłby mi w zupełności ładunek o mocy równej dziesięciu tonom TNT. Wystarczy przecież, aby stworzyć atmosferę zagrożenia, prawda?

George nie odpowiedział. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

— To precyzyjne cacko. Nurtują mnie teraz tylko dwa problemy: po pierwsze: czy Joop zna się na angielskich określeniach technicznych, bo jak dotąd to słyszałem w jego wykonaniu jedynie łamaną angielszczyznę. Nie wiem, jak on zdołał to w ogóle rozczytać. Po drugie — sprawa żargonu.

— Żargonu?

— Określenia technicznych. Ten język to istny sanskryt, przynajmniej dla Joopa.

— No więc?

Van Effen zwrócił kartkę.

— Musimy to przemyśleć i przedyskutować.

Samuelson z trudem wysilił się na uśmiech. Przez następne dwie minuty siedzieli w milczeniu popijając brandy, podczas gdy na ekranie telewizora pojawiła się znajoma postać żałośnie wyglądającego spikera.

— Rząd oznajmił, że otrzymał następny komunikat FFF zawierający dwa żądania. Pierwsze dotyczy kwoty stu dwudziestu milionów guldeków. Rząd nie wydał żadnego oświadczenia w tej sprawie. Drugie żądanie dotyczy zwolnienia dwóch więźniów, którzy przed kilkoma laty zostali aresztowani i skazani na karę wieloletniego więzienia. Dodać należy, że chodzi tu o wyjątkowo okrutnych i bezwzględnych przestępców, których nazwiska, z polecenia rządu, zostaną na razie utrzymane w tajemnicy. Następny komunikat nadamy po północy, aby przekazać wiadomość, czy rzeczywiście nastąpiło zniszczenie tamy w rejonie Flevoland.

Agnelli wyłączył telewizor.

— Jestem zadowolony — oznajmił Samuelson zacierając ręce. — Bardzo zadowolony.

— Dla mnie w tym komunikacie nie było nic zadowalającego — rzekł Van Effen.

— Ależ skąd — Samuelson promieniał z radości. — Ludzie wiedzą, że rząd odebrał szczegółowe polecenia dotyczące naszych żądań i to, że nie zostały one odrzucone oznacza, że ustosunkowano się do nich pozytywnie.

Dzięki temu widać dokładnie, że rząd jest słaby a my jesteśmy twardzi.

— Głupio zrobili. Nie powinni w ogóle wspominać o tej sprawie.

— Musieli. W komunikacie podaliśmy, że jeśli tego nie zrobią, prześlemy odpowiedni komunikat do Warszawy, a stamtąd wiadomość ta rozprzestrzeni się na teren całej Europy Zachodniej.



— Macie nadajnik, przy pomocy którego możecie się połączyć z Warszawą?

— Ależ skąd. Zresztą nie znamy w Warszawie nikogo. Ale jak widać wystarczyła sama pogrożka — oznajmił z wyraźną satysfakcją Samuelson. —

Wasz rząd jest tak zastraszony, że gotów jest obecnie uwierzyć we wszystko, co mu powiemy. Jak pan myśli: czy nie wyszliby na idiotów, gdyby otrzymali naszą wiadomość z Polski?

Van Effen odmówił wypicia kolejnej brandy, chciał mieć tego dnia świeży umysł i wyszedł, życząc wszystkim dobrej nocy. Samuelson spojrzał na niego z zaskoczeniem:

— Mam nadzieję, że zejdzie pan na dziennik o północy?

— Chyba nie. Nie wątpię jednak, że spełni pan swą groźbę i tamy we Flevoland zostaną wysadzone.

— Ja też już pójdę — oznajmił George. — Ale zaraz wrócę. Pójdę tylko zobaczyć, jak się czuje Porucznik. Panie Samuelson, gdyby był pan tak uprzejmy...

— Jeszcze jedna antygrypina dla Porucznika? Ależ oczywiście, przyjacielu, oczywiście.

— Może rano będzie miał kaca — dodał George — ale na pewno będzie się czuł znacznie lepiej.

W rzeczywistości Vasco czuł się świetnie i wcale się nie skarżył na ból głowy.

— Ciągle ten sam facet. Myślę, że zmiana warty nastąpi około dziewiątej. Ciekawy typ strażnika. Więcej śpi niż czuwa — dorzucił po chwili.

— Miejmy nadzieję, że jego zmiennik ma podobne upodobania. Idę się zdrzemnąć. Obudź mnie, jeśli zmiana warty nie nastąpi do powiedzmy dziewiątej trzydzięci. Gdyby zmienili się o dziewiątej to obudź mnie koło dziesiątej. Jaki zasięg ma radiostacja w ciężarówce?

— Nieograniczony. No, powiedzmy jakieś sto-dwieście kilometrów. Nie jestem pewien. Obsługuje się ją bardzo prosto. Należy podnieść mikrofon i nacisnąć czerwony guzik. Połączy się pan z dowództwem dyżurnej bazy wojskowej, częstotliwość jest zaprogramowana.

— Nie chcę rozmawiać z dowódcą bazy wojskowej. Chcę się skontaktować z Marnixstraat.

— Spokojnie. Radiostacja posiada standardowe pokrętła strojenia, skalę i mały przycisk obok włącznika. Po jego wciśnięciu zapali się mała żaróweczka i dzięki niej będzie mógł pan bez trudu odnaleźć określoną długość fali na skali nadajnika. Sam pan widzi jakie to łatwe.

Van Effen pokręcił głową, wyciągnął się wygodnie na łóżku i zamknął oczy.

## **Rozdział dziesiąty**

George obudził Van Effena o dziesiątej.

— O dziewiątej nastąpiła zmiana warty. Nowy jest w średnim wieku, gruby, ciepło ubrany. Siedzi w fotelu i zapewne ucieszy cię ta wiadomość — również nie stroni od butelki.

— O to mi chodziło. — Van Effen wstał i założył drelichowe spodnie.

— Co to? — Spytał Vasco. — Szykujesz się do wojny?

— A co? Mam się pokazać Samuelsonowi w mokrych spodniach? Przecież leżąc w łóżku nie mogłem ich przemoczyć.

— No właśnie. Leje jak z cebra. Czasem nawet nie mogłem dostrzec tego faceta po przeciwnej stronie.

— W to mi graj. Stodoła jest na pewno stara i spróchniała, a deski mogą trzeszczeć. Przy takiej kanonadzie bębniących o dach kropel, na pewno nie będzie mnie słychać. Ponadto, sądząc z opisu George'a strażnik jest na wpół

głuchy. — Włożył Smith & Wessona do kabury pod-ramiennej, założył kurtkę i włożył pojemnik z aerozolem do jednej kieszeni a latarkę w pokrowcu do drugiej.

— Aksamitne rękawiczki — rzekł George.

— Co? — spytał Vasco.

— Pistolet z tłumikiem i pojemnik z gazem obezwładniającym. Oto jego aksamitne rękawiczki.

Van Effen sięgnął do kieszeni, wyjął mały skórzany portfel, rozsunął suwak i wyjął pęk dziwnie wyglądających metalowych przedmiotów. Przyjrzał im się pobieżnie, po czym schował je do portfelika, a następnie włożył do kieszeni.

— Wytrychy — rzekł George. — Żaden szanujący się detektyw nie może się bez nich obejść.

— A co będzie, jeśli nie wrócisz?

— Wrócę. Jest pięć po dziesiątej. Będę za dwadzieścia pięć minut. Jeśli nie wrócę do jedenastej, zejździe na dół i zabijcie Samuelsona, braci Agnelli, Danikena i jeśli będzie z nimi także tego świątobliwego obłudnika Riordana. Pozabierajcie im broń i niech jeden z was ma oko na naszych chłopców, podczas gdy drugi zajmie się sprowadzeniem dziewczyn.

Wasze pistolety są zaopatrzone w tłumiki, nie powinniście więc mieć większych kłopotów z przeprowadzeniem całej operacji. Potem zwiewajcie stąd, gdzie pieprz rośnie. Jeśli ktoś będzie was chciał zatrzymać, to wiecie, co macie z nim zrobić.

— Rozumiem — Vasco był trochę przestraszony treścią wypowiedzi Van Effena. — Jak mamy się stąd wydostać?

Van Effen dotknął kieszeni, w której miał portfel z wytrychami.

— A myślisz, że po co to jest?

— Ciężarówka?

— Oczywiście. Jak tylko się stąd wyrwiecie, wezwiecie na pomoc wojsko albo gliny. Podacie im w przybliżeniu położenie tego wiatraka. Jesteśmy gdzieś pomiędzy Leerden i Gorinchen, a oni już się wszystkim zajmą.

— Przecież mogą nawiać helikopterem.

— Macie do wyboru: przestrzelić Danikenowi oba ramiona albo zabrać go ze sobą. Myślę jednak, że nie będzie to konieczne. Nie chcę, by tak się stało i to nie dlatego, że najpierw musiałbym zostać zabity. Uważam się za szczęściarza. Jak dotąd pech mnie specjalnie nie prześladował. Niemniej wcale nie byłbym zadowolony z takiego obrotu sprawy. Samuelson ma na terenie Holandii kilka baz i na pewno jeszcze wielu ludzi. Kto wie, czy gdybyśmy aresztowali czy nawet zabili Samuelsona, jego pomocnicy nie zdecydowaliby się na dokończenie dzieła. — Otworzył okno. — Wrócę o wpół do jedenastej.

Opuścił się w dół po linie zrobionej z dwóch związanych ze sobą prześcieradeł i zniknął w ciemnościach nocy.

George i Vasco powrócili do ciemnej łazienki. Vasco odezwał się nagle:

— Ma nerwy, nie?

— Uhm... — przyznał George.

— To zabójca.

— Wiem. I wiem również, że zrobi to, jeśli będzie musiał, jeszcze niejednokrotnie. Zanim decyduje się zabić, dokonuje skrupulatnego wyboru.

Nikt, kto z jego ręki opuścił ten świat, nie był opłakiwany przez społeczeństwo.

Cztery minuty potem Vasco złapał George'a za ramię:

— Widzisz?

Obaj to widzieli. Strażnik właśnie pociągnął z butelki tęgiego łyka, postawił

ją na podłodze i usiadł wygodnie w klasycznej pozycji medytacyjnej jogi.

Cień, który pojawił się nagle tuż za nim, musiał być Van Effenem. Jego prawa ręka ściskająca pojemnik z aerozolem zatoczyła szeroki łuk i zatrzymała się jakieś pięć centymetrów od twarzy strażnika. Z pojemnika popłynęła struga gazu. Po jakichś dwóch sekundach Van Effen schował pojemnik do kieszeni, złapał mężczyznę za kostki, wyprostował mu nogi i wygodnie usadowił na fotelu. Podniósł butelkę z podłogi i wylał część jej zawartości na twarz strażnika i przód jego kurtki.

Następnie wcisnął mu flaszkę do ręki i włożył

dłoń strażnika, swobodnie obejmującą szyjkę butelki, pod koc, którym mężczyzna był opatulony niemal od stóp do głowy. Później rozplątał się w ciemności.

— No cóż — rzekł Vasco — ten facet przynajmniej nie przyzna się, że pił na służbie.

— Nasz Peter myśli o wszystkim. Dwie sekundy i po krzyku... Powinien obudzić się za jakieś pół godziny. Peter dokładnie mi wyjaśnił zasadę działania tego gazu.

— Czy nie domyśli się, że ktoś mógł go uspić?

— Nie! Urok tego środka polega na tym, że nie pozostawia żadnych śladów.

A co ty byś sobie pomyślał, gdybyś obudził się z ubraniem przesiąkniętym wonią alkoholu i ręką zaciśniętą wokół pustej butelki?

Schody, szerokie i bardzo skrzypiące, znajdujące się za strażnikiem, prowadziły ze strychu na dół, do wnętrza stodoły, obecnie pełniące funkcję garażu. Van Effen szybko zszedł po stopniach, z latarką w dłoni podszedł do drzwi wejściowych, odsunął jeden z rygli i zainteresował się ciężarówką.

Zmieniono w niej jedynie tablice rejestracyjne. Wślizgnął się pod ciężarówkę, dokładnie oczyścił miejsce z boku podwozia przed tylną osią i przyczepił za pomocą magnesu specjalne urządzenie, które Vasco wyjął ze spreparowanego mydła. Trzydzieści sekund później siedział już na miejscu kierowcy, łącząc się z Marnixstraat.

— Z pułkownikiem de Graaf.

— Kto mówi?

— Nieważne kto. Z pułkownikiem.

— Jest w domu.

— Nie. Jest w biurze. Za dziesięć sekund chcę z nim mówić albo wylecisz z pracy.

Dziesięć sekund później pułkownik był na linii.

— Byłeś zbyt ostry dla tego chłopaka.

— Albo jest idiotą, albo niekompetentnym bubkiem. Chyba że jakiś dureń nie poinstruował go, co ma robić. — Van Effen mówił po polsku, pułkownik znał ten język dość dobrze.

Policja holenderska zmieniła tego dnia częstotliwość fali, na której nadawała swoje meldunki. Tak jak w każdej metropolii zdarzało się, że przestępcy namierzali policyjną częstotliwość.

Prawdopodobieństwo, że znajdzie się przestępca, który zdoła wychwycić tę częstotliwość i do tego będzie znał język polski było niewielkie.

— Niech pan włączy magnetofon. Nie wiem, ile mam czasu i nie będę się powtarzał.

— Załatwione.

— Nazwy będę mówił od tyłu. Jesteśmy na południe od — to nazwa —

Thertu, i pomiędzy — nazwy — Madreel i Nechnirog. Ma pan to?

— Mam.

— Nie chcę zamieszania ani akcji policji. Szefowie znajdują się obecnie w ich kwaterze głównej. Atak oznacza jedynie śmierć pięciu ludzi, którzy na to nie zasługują. Wie pan o kim myślę?

— Wiem.

— Mamy tu wojskową ciężarówkę. Wie pan, którą. Ma zmienione numery.

Podam je panu od tyłu — Van Effen powtórzył numer. — Będzie przewozić ładunki nuklearne, o których pan pewno słyszał.

— Co?

— Przyczepiłem do podwozia magnetyczną „pluskwę”. Przygotujcie jutro na siódmą jakiś wóz policyjny, który nie rzucałby się zbyt w oczy. Niech będzie w kontakcie z dwoma czy trzema zespołami Sił Specjalnych. Jestem przekonany, że ta ciężarówka pojedzie w rejon — nazwa — Utdlechs. W

wozie będzie trzech ludzi ubranych w holenderskie mundury. Ich dowódcą będzie podpułkownik Ylvisaker. Kto wie, może naprawdę się tak nazywa.

Chce, żeby ta ciężarówka została przechwycona razem z ładunkiem i obsługą, ale by ten fakt został zachowany w całkowitej tajemnicy. Jeśli ta wiadomość się rozprzestrzeni będzie pan osobiście odpowiedzialny za zatopienie naszego kraju.

Głos de Graafa najwyraźniej przybrał na sile.

— Tylko bez pogrózek, chłopcze.

— Przepraszam. Cały czas jestem w nerwach i dlatego staję się coraz bardziej drażliwy. Jeszcze jedno. Chciałbym, aby za pośrednictwem radia i telewizji ogłosił pan obławę w rejonie — nazwy — Madrettor i Tdlechs. Będzie to powód, by ogłosić apel do ludności. Wszyscy obywatele tych dwóch obszarów powinni donosić policji o wszelkich podejrzanych zjawiskach czy osobach. To czysto psychologiczne posunięcie, a wątpię, żeby nasi przyjaciele byli na tyle dobrzy jeśli chodzi o psychologię. Raz jeszcze proszę o zachowanie całkowitej tajemnicy w sprawie przejęcia ciężarówki.

Nie chcę żadnych innych akcji. Ta jedna zupełnie wystarczy.

— Rozumiemy się. Mam tu kogoś, kto chciałby z tobą pogadać, a mówi po polsku lepiej od nas.

— Proszę mi powiedzieć jak się nazywa, od tyłu.

De Graaf powiedział i do rozmowy włączył się Wieringa.

— Gratuluję sukcesu.

— Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu, panie ministrze. Nie mogę, ze zrozumiałych względów, zapobiec zniszczeniu tam we Flevoland czy eksplozji w Markerwaard. Coś jednak przyszło mi na myśl. Mógłby pan nakazać, aby w następnym komunikacie w radio i telewizji podano wiadomość o porozumieniu między Whitehall i Stormont i negocjacjach dotyczących natychmiastowego wydalenia z terenów Irlandii Północnej wszystkich znajdujących się tam Brytyjczyków.

— Rządy obu krajów mogą nie być tym zachwycone.

— Niech je pan przekona.

— Znowu motywy psychologiczne, jak przypuszczam. No cóż, zgadzam się.

Jak obecnie ocenia pan swoje szanse?

— Lepiej niż kiedykolwiek, panie ministrze. Ci ludzie nam ufają. Muszą nam ufać. — Streścił pokrótce wydarzenia w De Doorns, po czym dodał, że członkowie FFF należący niegdyś do RAF nie potrafią nawet posłużyć się detonatorem radiowym. — Jestem o tym przekonany. Są po prostu naiwni, zadowoleni z siebie, a przede wszystkim zadufani. Brakuje im przebiegłości zwykłego detektywa. Muszę już iść, sir. Nawiążę kontakt najszybciej jak będę mógł.

Na Marnixstraat minister obrony odezwał się cicho:

— Zgadza się pan z poglądami Van Effena?

— Jeśli on myśli o tym samym co ja, to owszem zgadzam się.

— Czemu ten młody człowiek, młody w porównaniu z nami, nie jest jeszcze komisarzem policji w którymś z większych miast Holandii?

— Zostanie komisarzem i to już niedługo. Póki co, jest mi potrzebny.

— Nam wszystkim — westchnął Wieringa. — Nam wszystkim.

Van Effen wszedł na strych, delikatnie poklepał strażnika po policzku i nie widząc żadnej reakcji, oddalił się. Trzy minuty później wrócił do łazienki.

Vasco spojrzął na zegarek.

— Dziesiąta trzydzieści trzy — oznajmił oskarżycielsko.

— Przepraszam. Trochę mi zeszło. Miłe powitanie jak dla człowieka, który może właśnie przed chwilą wyslizgnął się z paszczy śmierci.

— Miałeś jakieś kłopoty?

— Żadnych.

— Nie otworzyłeś drzwi do garażu — rzekł George z wyrzutem.

— Jeszcze jedno gorące powitanie. Moglibyście mi choć pogratulować udanej misji. Otworzyłybyś drzwi, gdybyś zobaczył w oknie, tuż obok okna naszej łazienki, wielebnego i świątobliwego Riordana, który zdaje się medytować, stojąc z otwartymi oczami wlepionymi w dziedziniec przed wiatrakiem? Nie otwierałem drzwi wytrychem, odsunąłem za to skobel od wewnątrz.

— Zasuнаłeś go, mam nadzieję?

— George!

— Przepraszam. Co cię zatrzymało?

— Kto. Wieringa. Minister obrony. Był w Marnixstraat razem z pułkownikami. Oszczędzę ci dalszych pytań i streszczę, co mi powiedział.

Po krótkim monologu Petera, George odezwał się ponownie:

— Całkiem nieźle. Tylko po co w takim razie były instrukcje obsługi tych cacek?

— Widziałeś kiedyś glinę lub żołnierza, który nigdy się nie pomylił?

George zamyślił się chwilę, po czym oznajmił:

— Z wyjątkiem nas trzech, nie. Ta informacja może się nam jeszcze przydać. Ylvisaker i jego kumple mogą przecież przedostać się przez blokadę.

Mam nadzieję, że nie powiedziałeś im, że lecimy helikopterem?

— Nie powiedziałem. Nawet nie wspomniałem mu, że się gdzieś wybieramy. Jego reakcja na tego typu informację mogłaby być tylko jedna: nakazałby komuś z Whitehallu wysłać angielski bombowiec typu Nimrod, żeby śledził nas w bezpiecznej odległości od miejsca startu aż po miejsce lądowania.

— Uśmiechnął się. — Widzę, George, że coś cię rozbawiło. Czy myślałeś o takim rozwiązaniu?

— Owszem. Myślałem, że to niezły pomysł.

— Nie jest najlepszy. Nie wątpię, że Królewskie Siły powietrzne ucieszyłyby się z takiej gratki i nie

wątpię, że wkrótce po naszym dotarciu na miejsce, pojawiliby się tam z przyjacielską wizytą oddział Ro-yał Marinę Commando, którzy na pewno by nie tracili czasu na czcze pogawędki. To nie jest rozwiązanie w moim stylu. Nie pragnę strzelaniny i rzezi. Zabicie czy aresztowanie, raczej zabicie Samuelsona i jego przyjaciół nie rozwiązałoby sprawy. Kto wie, ilu jego ludzi pozostałoby na wolności? Kto wie, czy nie zdecydowaliby się na dokończenie każdego dzieła. Po trzecie: nie chcę narażać zdrowia i życia dziewczyn. Nie zawahałbym się przed zranieniem

— nie zabiciem — lecz zranieniem człowieka, który naraziłby życie choć jednej z nich.

— Julie i Annemarie? — spytał Vasco.

— Wszystkich czterech.

— Przecież pozostałe należą do FFF — zauważył uprzejmie George.

— Towarzyszą im, a to zupełnie inna sprawa. Jeśli będzie trzeba, w swoim czasie wyjaśnimy stosunki panujące między nimi a grupą. Wieringa i de Graaf nas poprą, a oni mają w tej kwestii głos decydujący. Póki co jest to dyskusja akademicka. Chwileczkę panowie, jest mi trochę zimno. Mam przecież na sobie mokre ubranie. — Kiedy się przebrał oznajmił: — Zastanawia mnie zniknięcie CBriena. Jest dla mnie w tej sprawie jedynym brakującym ogniwem. Chciałbym wiedzieć, gdzie jest w tej chwili i na czym praktykuje swe umiejętności wyszukiwania i likwidacji systemów alarmowych. Można byłoby bez końca snuć przypuszczenia na temat jego obecnej misji, ale wydaje mi się to jedynie zwykłą stratą czasu.

— No cóż, zaniedbuję swoje obowiązki — rzekł Vasco. — George, czy mógłbyś zająć się światłem?

Zgasił światło, wszedł do łazienki i zamknął drzwi za sobą. Ledwie George zdążył zapalić światło w pokoju, gdy Vasco zastukał do drzwi. George znów przekręcił kontakt i drzwi łazienki otworzyły się.

— To może was zaciekawić.

Strażnik potrząsał głową. Ponieważ było ciemno, nie można było dostrzec jego twarzy, ale na pewno malował się na niej strach i zakłopotanie.

Mężczyzna wyjął spod pledu prawą dłoń, spojrział na butelkę trzymaną w kurczowo zaciśniętych palcach i stwierdziwszy z goryczą, że jest pusta, odstawił ją na podłogę.

— Znow zasypia — oznajmił Vasco.

— Ależ skąd. Zamierza podjąć ważną decyzję — odparł Van Effen.

Strażnik podjął ważną decyzję. Zsunął pled z ramion, chwiejnie wstał

i zataczając się, ruszył w stronę schodów.

— Jest pijany — rzekł Vasco.



— Ależ skąd. Zobaczył, że butelka jest pusta i po prostu uległ auto sugestii. Jest przekonany, że zalał się w pestkę. Byłoby przykre, gdyby okazało się, że jego zmiennik w ogóle nie mógł go dobudzić, a tak wszystko gra.

Po powrocie do sypialni Van Effen oznajmił:

— Myślę, że powinniśmy za parę minut pofatygować się na dół. Ty również, Vasco. Oczywiście, jeżeli czujesz się na siłach.

— Jestem kapitanem armii holenderskiej i dzielny ze mnie chłop.

— Przecież powiedziałeś Samuelsonowi, że nie zejdziesz już dziś na dół.

— Zmieniłem zdanie. Na zewnątrz było diabelnie zimno. Potrzebuję brandy.

Chcę również zobaczyć, jak zareagują na wiadomość o obławie w rejonie Rotterdam — Scheldt. Co ważniejsze, chciałbym, aby wszystkie rakiety, materiały wybuchowe i inne niezbyt przyjemne zabaweczki, zostały przeniesione z ciężarówki do helikoptera — stwierdził Van Effen.

— A to dlaczego? — spytał George.

— Na drogach wokół Rotterdamu będzie się jutro roić od policjantów i żołnierzy. Tych drugich będzie zapewne więcej. Jestem pewien, że Ylvisaker zostanie przechwycony. Chcę przenieść rakiety, bo FFF na nie liczy, a skoro wiemy, że są one całkiem bezużyteczne, to dlaczego mielibyśmy pozbawiać naszych przyjaciół choćby tej odrobiny złudnego bezpieczeństwa?

— Powinieneś być prawnikiem, politykiem, biznesmanem z Wall Street albo wyśmienitym oszustem — radośnie ocenił George.

— Oszuści tej miary nie są zazwyczaj zatrudniani w policji.

— Patrzcie, patrzcie i kto to mówi. Coś mi się widzi, że cały ten sprzęt: materiały wybuchowe, granaty i pociski raketowe bardziej się mogą nam przydać niż FFF. Vasco, co wiesz na temat zarządzeń dotyczących transportu rakiet bojowych?

— Absolutnie nic.

— No to coś wymyśl.

— Idę o zakład, że wymyślę lepsze zarządzenia, niż te, które dotychczas obowiązywały!

— Panowie, panowie — krokodyli uśmiech Samuelsona mógłby zawstydzić anioła. — Miło was znowu widzieć. Myślałem, że żaden z panów się już dzisiaj nie zjawi.

— Nie mogłem zasnąć — ton Van Effena mógł tego samego anioła zawstydzić radością. — Sam pan rozumie: Flevoland.

— Oczywiście, oczywiście pana rozumiem. O kapitan, przepraszam Porucznik. Miło znów pana widzieć. Jak pan się czuje?

— Ogólnie trochę lepiej, choć gardło nadal mnie boli — wychrypiał Vasco.

— Dziękuję za troskliwość, panie Samuelson.

— To uniwersalny lek i sugeruję następną dawkę. — Spojrzał na Van Effena i George'a. — Napijcie się panowie?

— Jest pan niezwykle uprzejmy — rzekł Van Effen patrząc jak Samuelson wydaje polecenie Leonardo, po czym rzekł: — Nurtują mnie dwa problemy.

Widzę, że dziewczęta są znowu z nami. O ile pamiętam, były zdenerwowane i zmęczone.

— O ile wiem to nadal czują się kiepsko. A drugi problem?

— Odpowiedź na drugie pytanie jest prawdopodobnie zarazem odpowiedzią na pierwsze. Widzę, że telewizor jest włączony. Rozumiem, że wkrótce będzie następny komunikat.

— Zgadza się. — Samuelson znowu się uśmiechnął. — Zna pan już odpowiedzi na oba pytania. Muszę powiadomić wielebnego, że już czas założyć słuchawki.

Leonardo przyniósł im brandy. Van Effen podziękował mu i wraz z Vasco i George'em wyszli na taras. Jako że w grupie FFF mieli opinię ekscentryków, nikt nawet nie zwrócił na to uwagi. Van Effen zamknął drzwi i rzekł:

— No i co wy na to?

— Cztery dziewczyny miałyby tak szybko otrząsnąć się ze zmęczenia i załamania nerwowego? Plotkują przy stoliku, bez zażyłości czy ożywienia, ale rozmawiają ze sobą. Wątpię, aby zeszły na dół tylko po to, żeby obejrzeć program w telewizji. — George w zamyśleniu wypił trochę brandy. — One chcą nam coś powiedzieć.

— To Julie. Wiem, że mogę się mylić, ale mam przeczucie, że chodzi o Julie. — Spojrzał na strych stodoły, gdzie strażnik chodzący tam i z powrotem sztywnym krokiem, sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego swoją pracą.

— Kiedy wrócimy do środka, a wrócimy za jakieś pół minuty, bo tu na zewnątrz jest zimno jak w lodówce, chciałbym żebyście najpierw odczekali parę minut, a potem zaczęli się szwendać w okolicy baru. Postarajcie się przekazać Julie parę najważniejszych informacji. Nie mówcie więcej niż kilka słów i nie pozwólcie, aby Julie zaczęła mówić zbyt wiele. Jeśli to konieczne, powiedzcie jej słowo „helikopter”. Tylko tyle. Zrozumie. Sami wiecie, że nie mogę się do niej zbliżyć. Muszę uważać: jeśli Samuelson ma kogoś z nas na oku, to na pewno mnie.

— To bagatelka — rzekł George.

Wrócili do salonu. Van Effen i Vasco drżeli z zimna. George był zbyt dobrze zbudowany, by odczuwać coś tak prozaicznego.

Romero Agnelli uśmiechnął się:

— Wracacie panowie tak szybko?

— Świeże powietrze to jedno, a lodowaty mróz to drugie — odrzekł Van Effen i dodał patrząc na włączony, cichy telewizor: — Pan Samuel-son jeszcze nie wrócił?

— Ma jeszcze czas. Nie lubi się spieszyć — odparł Agnelli. — Wasze kieliszki, panowie.

— Jest zimno i wydaje się, że będzie jeszcze zimniej. Czy sądzi pan, że bezpiecznie dolecimy na miejsce? — spytał Van Effen podchodząc do baru.

— Czy latał pan kiedyś?

— Jako pasażer, owszem. Mam, miałem licencję pilota. Nigdy w życiu nie byłem w helikopterze.

— Mam licencję pilota helikoptera. Wylatałem łącznie trzy godziny. Przy takiej pogodzie nikt nie zdołałby mnie namówić na lot. Daniken ma wylatanych wiele tysięcy godzin, to doskonały pilot.

— No, trochę mi ulżyło. — Van Effen zauważył, że George i Vasco oddalili się. — Jeżeli tak, to jestem przekonany, że dolecimy do celu i to niezależnie gdzie on się znajduje.

— Gdyby Daniken nie był tego pewny, nie zdecydowałby się na lot.

Rozmawiali tak przez dwie czy trzy minuty, dopóki do pokoju nie powrócił Samuelson jak zwykle cieszący się dobrym humorem.

— Już się zaczyna, panie i panowie. Proszę zająć miejsca.

Wiadomości prowadził ten sam pogrzebowy spiker co poprzednio i wyglądał obecnie jeszcze gorzej niż dotychczas.

— Mamy do przekazania dwa komunikaty, oba dotyczące FFF. Pierwszy komunikat głosi, że przedstawiciele rządu brytyjskiego i Stormat

— parlamentu Irlandii Północnej doszli po długich dyskusjach do porozumienia, a zatem niezwłocznie mogą zacząć pertraktacje z przedstawicielami rządu naszego kraju. W rzeczywistości negocjacje te rozpoczęły się przed kilkunastoma minutami.

Samuelson dosłownie promieniował radością.

— Drugi komunikat głosi, że rząd Holandii zawiadamia ludność zagrożonych obszarów, aby byli dobrej myśli. Ministerstwo Obrony przypuszcza, choć nie ma podstaw, by mieć całkowitą pewność, że FFF

przenosi się z rejonu IJsselmeer, gdzie tamy zostały już zniszczone i gdzie ma nastąpić jutrzejszego dnia wybuch ładunku nuklearnego, w rejon południowo-wschodni, prawdopodobnie w okolice Rotterdamu i Scheldt. Praktyka działań FFF dowodzi, że nigdy nie uderzają dwa razy w tym samym miejscu. Dlatego też rząd ogłasza stan pogotowia na tym obszarze i prosi, by wszyscy obywatele zawiadamiali najbliższe posterunki policji o każdym dziwnym zdarzeniu zaobserwowanym w pobliżu tam, wałów i śluz. Rzecz jasna oświadczenie to zostanie odebrane przez FFF, ale rząd uważa, że będzie to mniejsze zło, niż gdyby terroryści mieli bezkarnie panoszyć się w całej Holandii.

Samuelson przestał się uśmiechać. Van Effen zmarszczył brwi i ściągnął

wargi nie zmieniając wyrazu twarzy, spojrział na George'a, potem na Samuelsona i rzekł:

— To mi się wcale nie podoba.

— Mnie również — odparł Samuelson z wyrazem twarzy do złudzenia przypominającym minę Van Effena. Po paru sekundach dorzucił jeszcze: — I co pan o tym sądzi?

Van Effen zdziwił się trochę słysząc słowa Samuelsona: nie świadczyły one najlepiej o poziomie umysłowym współpracowników. Odczekał dwadzieścia sekund, by odpowiedź nie nastąpiła natychmiast, bo mogłoby się to wydawać podejrzane.

— Myślę, że bluffują i atakują w ciemno. Chcą, żeby pan odkrył swoje karty. Może być także, że chcą uspić pańską czujność i tym pewniej złapać nas przy następnym ataku. Może im też chodzić o ograniczenie swobody przemieszczania. Oba rozwiązania nie grzeszą błyskotliwością, ale też tak minister sprawiedliwości, jak i minister obrony i komisarz policji Amsterdamu nie są mistrzami intelektu.

George kaszlnął w dłoń, ale jego twarz pozostała niewzruszona. Samuelson wyglądał na zakłopotanego.

— Niech pan nie zapomina, że spotkałem się już z Wieringą. Nie wyglądał mi na głupca.

— Nie jest głupcem. Jest uczciwym, prostodusznym i bardzo popularnym członkiem rządu. Brakuje mu jednak przebiegłości, by wdrzeć się na szczyt.

Nie nadaje się do skomplikowanych gier politycznych. Czy nie uważa pan, że gdyby sfery rządzące wiedziały, gdzie się znajdujemy, to nie mielibyśmy wizyty batalionu spadochroniarzy?

— Ach — ta myśl najwyraźniej podniosła Samuelsona na duchu.

— Jeszcze jedno. Wspomniał pan, że ma gdzieś na terenie Holandii inne bazy. Czemu nie skontaktuje się pan z nimi i nie sprawdzi, czy wszystko u nich w porządku?

— Wspaniały pomysł. — Samuelson skinął na Agnellego, który wykręcił

jakiś numer, rozmawiał z kimś chwilę i odłożył słuchawkę.

— Nic — oznajmił.

— Wspaniale — rzekł Samuelson. — A więc jesteśmy czyści.

— Nie wiadomo. — Van Effen pokręcił głową. — Poruczniku, czy istnieje możliwość, że ciężarówka i broń, która zniknęła z arsenału zostaną rozpoznane?

— Ciężarówka, tak — rzekł Vasco — broń, nie. Kontrola magazynu jest przewidziana za dwa tygodnie.

— Panie Samuelson, czy nie powinien pan polecić komuś, by zajął się zmianą numerów rejestracyjnych ciężarówki?

— Już je zmieniono.

— Dobrze, ale to nie wystarczy — rzekł Vasco z niepokojem w głosie. —

Bardzo możliwe, że na drogach pojawią się policyjne i wojskowe blokady.

Policyjne nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia. Przeszkodą są posterunki wojskowe. Wiedzą, że rakiety, jeśli w ogóle bywają przewożone, *c q* zdarza się niezmiernie rzadko, są przewożone w konwojach. Jeśli chce pan, by dotarły do miejsca przeznaczenia, sugeruję, abyśmy przewieźli je helikopterem.

— Nie zabiorę ich do swojej maszyny — oznajmił Daniken.

— Panie Daniken. Jest pan o ile wiem, doświadczonym pilotem — Vasco miał trudności z głośnym mówieniem przy takiej chrypie, ale jego oczy mówiły same za siebie. — Każdy powinien zajmować się tym, na czym się zna. Ja jestem ekspertem w dziedzinie broni raketowej. Rakieta zostaje uzbrojona w chwili odpalenia. Widzę, że nigdy nie latał pan na wojskowych maszynach.

Jakich rakiet, pana zdaniem używają Rosjanie w Afganistanie? Korkowców?

Daniken milczał.

— Sugeruję, aby resztę broni i materiałów wybuchowych również wziąć na pokład pańskiej maszyny. Przecież w razie kontroli ciężarówki bez wątplenia wyszłoby na jaw, że broń jest trefna. Żołnierze na blokadach drogowych są niezwykle czujni, ostrożni i uparci, zwłaszcza w czasie stanu wyjątkowego.

Daniken wyglądał nieszczególnie.

— Ale detonatory...

— Detonatory — przerwał George uspokajająco — będę miał przy sobie.

Przewozi się je zwykle w wyłożonych ołowiem, stalowych skrzynkach, owinięte szczelnie w aksamit i wełnę, aby całkowicie wyeliminować ryzyko eksplozji. — W jego głosie wyczuwało się cięć irytacji. — Czy myśli pan, że chciałbym zostać rozerwany na kawałki razem z tym pańskim cholernym helikopterem?

— Myślę, że nie — rzekł Samuelson. — Co o tym myślisz, Romero?

— Nie muszę myśleć, panie Samuelson.

— Ja również. Zgadza się panowie. Przeniesiemy te rakiety do helikoptera jeszcze tej nocy jak tylko służba zaśnie, po wiadomościach dziennika o północy. — Przerwał. — Zastanawiam się, czy któryś z was trzech, panowie, zechciałby nadzorować tę operację.

— Ja się tym zajmę — zaproponował natychmiast George. — Nie ma większego tchórza nad olbrzymiego tchórza — spojrzał na Danikena.

— Wygląda na to, że czeka nas jutro trudny lot. Jeżeli to wojskowy helikopter, to mam nadzieję, że jest on przystosowany do przewożenia ładunków na pokładzie?

— Owszem — odparł Daniken, nadal z nieszczególną miną.

— To by chyba było na tyle — rzekł Van Effen — panie Samuelson.

Chciałbym się jeszcze zdrzemnąć przed kolejną transmisją telewizyjną. Nie sądzę jednak, aby przekazano nam obraz bezpośrednio z miejsca akcji. Nawet gdyby zdołali tam ściągnąć statki i helikoptery z reflektorami, widoczność podczas takiej ulewy jest niemalże zerowa. George, Poruczniku?

— Ja również — rzekł George. — Jeszcze trochę brandy, a pogubię te detonatory na schodach.

Vasco już był na nogach. Wyszli nie patrząc nawet na czwórkę dziewcząt i ruszyli na piętro. W korytarzu Van Effen rzekł z podziwem:

— Jesteście faktycznie parą doskonałych łgarzy. Czy zamieniłeś choć słówko z Julie, George?

— Jasne, że nie — dumnie odparł George. — My zawodowcy jesteśmy ponad pogawędki.

Wyjął z kieszeni zwiniętą kartkę papieru.

— Wspaniale. Vasco? Czy o czymś nie zapomniłeś?

— Prawda! Goście!

Van Effen i George ucięli sobie małą pogawędkę o pogodzie, broni, sposobach zamocowania rakiet na pokładzie helikoptera i broni, która z pewnością bez problemów dotrze na miejsce przeznaczenia. Tymczasem Vasco skrupulatnie sprawdził pokój na intencję pluskiew. Po paru minutach wrócił z łazienki i przyłożył palec do ust.

— No cóż, położę się chyba — rzekł Van Effen. — Jest ochotnik, aby nas obudzić o północy?

— To niepotrzebne — odparł Vasco. — Mam budzik.

Po kilku sekundach wszyscy trzej weszli do łazienki i włączyli prysznic.

— Nie trzeba być geniuszem, by wiedzieć, że O'Brien jest wszędzie

— rzekł Vasco. — Znalazłem podsłuch pod swoim łóżkiem. Jest to tak sprytne urządzenie, że nie można go zdjąć, żeby podsłuchujący o tym nie wiedział. Myślę, że to jest jedyny sposób — musimy wziąć prysznic.

Dziwne, ale prawdziwe.

— Jesteś prawie tak sprytny jak nasz duży przyjaciel — rzekł Van Effen. —

Powinieneś był przyłączyć się do gangsterów przed wielu laty. Zrobiłbyś majątek. No cóż, pozwólmy, aby podsłuchiwali nas do woli. Póki co, obejrzymy sobie tę karteczkę. George podał kartkę i Van Effen przeczytał.

— „Dzieje się tu coś, czego ani ja, ani Annemarie nie rozumiemy. Myślę jednak, że ta wiadomość może się wam przydać. Zaprzyjaźniłyśmy się z tymi dwiema dziewczynami i jesteśmy pewne, iż nie mają one nic wspólnego z przestępcami. Przestępcy nie sprawiają wrażenia ludzi oczekujących dnia Sądu Ostatecznego i zazwyczaj ich oczy nie wypełniają się łzami. Te dziewczyny wciąż płaczą.”

Van Effen przerwał i spojrzał na George'a z zamyśleniem.

— Czy ktoś widział, jak Julie dała ci tę karteczkę?

— Nie.

Przerwał mu Vasco:

— A co, jeżeli Julie, przepraszam, nie znam jej, powiedziała im o nas?

— Bzdury! — parsknął George. — Nie znasz jej, jak powiedziałeś. Peter ufa jej w stu procentach, a ja przyznaję, że jest zaradniejsza, sprytniejsza i rozsądniejsza niż on.

— Mogłeś mnie nie pozbawiać złudzeń — warknął Van Effen. — Kath-leen jest na pewno pod największym naciskiem. Boi się Samuelsona i tego, co ma zamiar zrobić. Maria jest w lepszej sytuacji, ale najwyraźniej nie podoba się jej to, co robi jej brat, Romero. Ona chyba go lubi, a i on stał się trochę bardziej miły i uprzejmy, odkąd tu przybyliśmy. Julie pisze dalej: „Myślę, że i one nie są tu z własnej woli. Są tu, moim zdaniem, bo muszą tu być, tak jak Annę czy ja, tyle że na nieco innych prawach”.

— Są pod przymusem? — rzekł Vasco. — Pamiętasz, na werandzie powiedziałeś mi to samo.

— Pamiętam. „Annemarie i ja jesteśmy tu z powodu porwania. One zaś, bo zostały okłamane, wprowadzone w błąd, wykorzystane. Wydaje mi się, że z nich wszystkich Kathleen w największym stopniu stała się ofiarą fałszywego rozumowania”.

— Jezu Chryste! — George po raz pierwszy stracił panowanie nad sobą. —

Słyszałem o przypadkach telepatii pomiędzy bliźniakami, ale ona jest twoją młodszą siostrą. Powiedziałeś to niemalże słowo w słowo.

— Telepatia nie ma tu nic do rzeczy. Wielkie umysły mają tendencję do wysuwania podobnych wniosków. Wciąż jeszcze kwestionujesz jej inteligencję i geniusz, Vasco?

Vasco pokręcił głową, ale nic nie odpowiedział. Van Effen spojrzał na George'a.

— Czy wciąż uważasz, że ona jest sprytniejsza ode mnie?

George podrapał się po brodzie, ale dalej milczał. Van Effen czytał

dalej po cichu, a jego twarz stała się nagle kamienną maską.

— Może miałeś rację, George. Posłuchajcie: „Wiem, dlaczego Maria jest tutaj. Pomijając jej dezaprobatę do tego czym zajmuje się Romero, oboje bardzo się kochają. Co do Kathleen, wspomniałam już, że boi się Samuelsona i tego co on zamierza dokonać. Wspomniałam również o źle pojętej miłości i lojalności wobec niego. Jestem przekonana, że Kathleen jest córką Samuelsona.”

Nastąpiła długa cisza, po czym George odezwał się nagle:

— Ona nie jest sprytniejsza od ciebie, Peter. Jest sprytniejsza od nas trzech razem wziętych. Sądzę, że jej przypuszczenia są słuszne. Nie może być innego wyjaśnienia.

Van Effen spalił karteczkę i splukał popiół w umywalce. Zakręcili prysznic i weszli do pokoju.

Vasco obudził Van Effena:

— Już czas, panie Daniłow.

Van Effen otworzył oczy, jak zwykle natychmiast przytomny:

— Nie słyszałem budzika.

— Wyłączyłem go. Nie śpię już od pewnego czasu. George!

W salonie, gdy trzej mężczyźni zeszli w końcu na dół, znajdowali się tylko Samuelson, Daniken i bracia Agnelli.

— Jesteście punktualni, panowie — powitał ich jowialnie Samuelson. Tego wieczora w wyśmienitym humorze, na który bez dwóch zdań wyraźny wpływ miała stojąca na stoliku obok



butelka i kieliszek do połowy wypełniony brandy.

— Za dziesięć minut znów wracamy do łóżek.

— Ja nie — rzekł George. — Zostaję tutaj jako nadzorca załadunku.

Pamięta pan. Kiedy zaczniemy przeładunek?

— Pamiętam, pamiętam. Za jakieś pół godziny. Leonardo, zanedbujesz naszych gości.

Podczas gdy Leonardo zabrał się za nadrobienie zaległości, Van Effen spojrział na Samuelsona. Kathleen nie była do niego podobna, ale to nic nie znaczyło. Prawdopodobnie urodę odziedziczyła po matce Irlandce.

Doświadczenie nakazywało wierzyć Julie w takich sprawach.

Ten sam spiker, którego przygnębienie dorównywało uporowi, pojawił się na ekranie tuż po północy.

— Z przykrością stwierdzamy, że nie przekażemy na żywo transmisji z obszaru Oostlijk-Flevoland, aby naocznie przekonać się, czy FFF spełni swoją groźbę i zniszczy tamy, tak jak zapowiedzieli. Kamery naszej telewizji nie są w stanie pracować w tak trudnych warunkach przy cał

kowitych ciemnościach, ale na pocieszenie chciałbym dodać, że jesteśmy w stałym kontakcie z grupą naszych obserwatorów, którzy powiadomią nas o wszystkim, co się tam wydarzy, jeśli oczywiście w ogóle się coś wydarzy, tak szybko jak to tylko będzie możliwe.

Twarz spikera zniknęła z ekranu.

— Szkoda — Samuelson był zawiedziony. — To mogłoby być świetne widowisko.

Niecałą minutę później spiker pojawił się znowu, odkładał właśnie słuchawkę telefonu.

— Tamy Oostlijk-Flevoland i Zuislijk-Flevoland zostały przerwane przed dziewięćdziesięcioma sekundami. Zniszczenia są dość poważne, ale z powodu warunków atmosferycznych nie sposób w obecnej chwili stwierdzić rozmiarów powodzi. Rząd stwierdza, że dokładne rozmiary katastrofy zostaną określone o świcie. Będziemy oczywiście w miarę napływu dalszych informacji podawać kolejne komunikaty z rejonu na wiedzzonego powodzią. — Przerwał na chwilę, by spojrzeć na kartkę, którą przed chwilą położono mu na stole. — Właśnie przed chwilą odebrano kolejny telefoniczny komunikat FFF. Jest on krótki i oszczędny w słowach: „Jutro o drugiej po południu kolej na Markerwaard.”

## **Rozdział jedenasty**

Tego ranka dwaj mężczyźni mieli do wypełnienia bardzo ważną misję.

Jednym z nich był sierżant Druckmann, któremu towarzyszyło jeszcze dwóch policjantów. Wszyscy byli w cywilnych ubraniach, a ich samochód miał

cywilne numery i żadnych oznaczeń, był zabłocony i sprawiał wrażenie starego gruchota. W swym wnętrzu skrywał jednak całą górę niezwyklego, nowoczesnego sprzętu elektronicznego, dwie oddzielne radiostacje radarowe, których ekranik znajdował się w podłodze, za prawym przednim siedzeniem.

Operator radaru siadywał zazwyczaj na tylnym siedzeniu, z olbrzymią mapą drogową na kolanach. Chwilowo jednak wszystkie te urządzenia zostały przykryte kocem. Samochód stał w określonym miejscu na poboczu drogi do Gorinchen już od szóstej trzydzieści.

Dwa inne, podobne samochody z identycznym wyposażeniem znajdowały się o parę mil od nich. Tego ranka liczył się jednakże jedynie samochód Druckmanna.

Drugim człowiekiem, który miał tego dnia spełnić swoją życiową misję był

Gropious, noszący mundur kaprała wojsk holenderskich i siedzący obok kierowcy niewielkiego transportera opancerzonego. Oprócz niego wewnątrz było jeszcze pięciu ludzi. Nikt by nie użył zdjęcia Gropiousa na plakacie rekrutacyjnym armii holenderskiej: jego mundur wyglądał jak psu z gardła wyciągnięty, a niesforne kosmyki włosów opadały w nieładzie na oczy.

Holendrzy z sobie tylko znanych powodów pozwalali swoim żołnierzom na noszenie włosów takiej długości, za które w Wielkiej Brytanii dostaliby z miejsca dwa tygodnie paki. Gropious w życiu prywatnym nie był blondynem.

Mundur podobnie jak peruka były fałszywe. Żołnierzem był — to fakt, ale nie w randze kaprała: był pułkownikiem holenderskich oddziałów specjalnych; jednostki niewielkiej, ale cieszącej się sławą wyjątkowo twardej i dobrze wyszkolonej.

Wiadomości o siódmej zostały podane w atmosferze smutku i kompletnego przygnębienia. Setki mil kwadratowych Flevolandu zostały zalane niezbyt zresztą wysokimi falami powodzi. Nikt nie stracił życia, natomiast straty wśród inwentarza będą znane dopiero za kilka godzin. Setki inżynierów i techników wylewały tysiące ton szybko schnącego betonu pomiędzy pospiesznie wzniesione i niezbyt spełniające swoje zadanie stalowe taśmy, co, jak uczciwie przyznano, i tak mogło nieznacznie zredukować efekt następnej wysokiej fali.

Zresztą i tak na trzy godziny przed jej nadejściem musiano wstrzymać wszelkie prace.

W salonie wiatraka dwanaście osób spokojnie spożywało śniadanie.

Samuelson był wyraźnie ożywiony i w dobrym humorze.

— Dokładnie tak, jak przepowiadałem, panie i panowie, dokładnie tak jak przepowiedziałem. — Spojrzał na Van Effena, George'a i Vasco.

— Dotrzymałem słowa, prawda panowie? Efekt psychologiczny był ta ki, jakiego oczekiwaliśmy, a nikomu nic się nie stało. Wszystko idzie po naszej myśli.

Przerwał nasłuchując przez chwilę uporczywego łomotu deszczu o dach werandy, zaczął bębnić

palcami po stole. W końcu spojrzął na Danikena i spytał:

— Co o tym myślisz?

— Nie podoba mi się to — rzekł Daniken. Wstał, wyszedł na werandę i zamknął za sobą drzwi. Wrócił dziesięć sekund później. — Wiatr bez zmian —

oznajmił ponuro — ale da się przy nim lecieć. Gorzej z deszczem. Nigdy nie widziałem takiej ulewy. Widoczność jest zerowa, Nie dam rady wylądować przy takiej pogodzie.

— To znaczy, że nie polecisz? — spytał Samuelson. — Odmawiasz?

Samuelson najwyraźniej wyglądał na niewzruszonego.

— Nawet gdyby mi pan rozkazał. Nie chcę umierać i nie chcę być odpowiedzialny za śmierć was wszystkich. Jestem pilotem i odmawiam przyjęcia na siebie odpowiedzialności za śmierć dwudziestu dwóch ludzi. Jeżeli polecimy w taką pogodę to zginiemy. Nie mam zbytnej ochoty na masowe samobójstwo.

Van Effen odchrząknął delikatnie.

— Nie należę do ciekawskich osób, ale ta rozmowa o masowym samobójstwie niezbyt mi przypadła do gustu. Może dlatego, że ja też jestem na liście pasażerów. Czy nie można byłoby odłożyć naszego lotu do chwili, gdy pogoda nieco się poprawi?

— W zasadzie można by to zrobić — odparł Romero Agnelli. — Jak pan wie, organizacja to moja domena.

— I jest ona doskonała.

— Dziękuję — Agnelli uśmiechnął się przepaszająco. — Lubię po prostu trzymać się tego, co zostało już ustalone, a godzina odlotu została dokładnie ustalona.

— Nie martwiłbym się zbyt rozkładem jazdy. Znam ten kraj w przeciwieństwie do was, a obaj moi towarzysze mogą potwierdzić, że takie ulewy rzadko kiedy trwają dłużej niż dwie godziny. Jak już zresztą zacząłem wypytywać, to co z tymi planami czy czasami lotów?

— Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy panu odmówić tych wyjaśnień — rzekł Samuelson. Wypowiedź Van Effena najwyraźniej przypadła mu do gustu. — Daniken uzgodnił z kontrolą lotów nasz lot na Valkenburg, blisko Maastricht. Mamy dziś filmować sceny górskie, a jedyną górką okolicą w Holandii jest okolica Limburg, gdzie leży Valkenburg.

Romero przezornie nawet nam zarezerwował pokoje w hotelu.

— Oczywiście wcale się tam nie wybierzemy — Van Effen pokiwał głową.

— Sprytne, bardzo sprytne. Daniken po prostu ominie Limburg, zmieni kurs i obniży pułap lotu.

Holandia to kraj płaski i bardzo łatwo jest lecieć na niskim pułapie, poniżej zasięgu radarów. Jako pilot wiem jednak, że na niskich wysokościach zaczynają zawodzić wysokościomierze. Nie wiem, czy dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy nagle wpakowali się na jedną z tych ogromnych anten telewizyjnych, których tak wiele zostało postawionych na równinach tego kraju. Pan Daniken musi dobrze wiedzieć, gdzie leci i dlatego zgadzam się z nim w stu procentach.

— Pan Daniłow wyłożył bardzo zgrabnie całą złożoność tego problemu.

Zgadzam się z nim w stu procentach — dodał pilot.

— Zgadzam się z wami obydwoma — rzekł Samuelson. — Leonardo, bądź

tak dobry i przekaz Ylvisakerowi, że jego odjazd zostanie przesunięty o godzinę lub dwie. Nie chcę, żeby dotarł na miejsce przed nami.

Ylvisaker, ubrany w nowy mundur podpułkownika i jego dwaj towarzysze noszący mundury sierżanta i szeregowego armii holenderskiej, wyruszyli w drogę o ósmej czterdzieści pięć. Ciągłe jeszcze wiał silny i przejmujący wiatr, ale deszcz, tak jak przewidział Van Effen, z ulewy zmienił się teraz w gęstą mżawkę.

O ósmej czterdzieści pięć Cornelus, policjant zajmujący się radarem w wozie Druckmanna zameldował:

— Wyruszyli.

Druckmann podniósł mikrofon:

— Mówi sierżant Druckmann. Cel Zero właśnie wyruszył w podróż.

Proszę o potwierdzenie od A, B, C, D i E.

Pięć wojskowych wozów potwierdziło gotowość w porządku alfabetycznym.

— Jeszcze dwie minuty i będziemy wiedzieć, jaką drogę obrał Cel Zero. Będziemy w kontakcie co minutę.

O ósmej czterdzieści siedem dwudziestu dwóch ludzi znalazło się na pokładzie wielkiego helikoptera. Wszyscy, z wyjątkiem dziewcząt, Van Effena i George'a nosili mundury wojsk holenderskich. Samuelson pożegnał się z czterema służącymi, którzy z parasolami w dłoniach obserwowali odlot, zapewniając ich, że wrócą późnym wieczorem. Wszyscy żołnierze, z jednym wyjątkiem, byli uzbrojeni w pistolety maszynowe. Wyjątkiem był Willi, który miał ręce obciążone jedynie parą metalowych kajdanek.

O ósmej czterdzieści dziewięć Daniken włączył silniki, maszyna uniosła się i skierowała na południe — południowy wschód.

Również o ósmej czterdzieści dziewięć sierżant Druckmann przekazał

następujący meldunek:

— Podążam za Celem Zero w odległości dwóch kilometrów. Cel Zero jest obecnie o kilometr na północ od Gorinchen. Drogi rozgałęziają się tu i prowadzą na wschód, południe i zachód. Za minutę będziemy wiedzieć, jaką trasę obiorą.

Van Effen zwrócił się do siedzącego obok Romero Agnellego:

— Intrygują mnie dwie sprawy.

Agnelli uśmiechnął się i uniósł pytająco brwi.

— Powiedziano mi, że broń stanowiąca wyposażenie tego helikoptera to atrapy, a te karabiny maszynowe są prawdziwe.

— Uzbrojenie helikoptera zostało rozmontowane i zastąpione atrapami.

Teraz po prostu wymontowaliśmy atrapy i zastąpiliśmy je oryginałami. Co jeszcze pana nurtuje?

— Dlaczego Daniken leci tak nisko: nie wznieśliśmy się wyżej niż na wysokość stu metrów?

— Proszę spojrzeć w lewo i zrozumie pan czemu.

Van Effen spojrział. O niecałe pięćdziesiąt metrów od nich, równoległym kursem leciał niewielki helikopter. Jak zauważył Van Effen pilot odsunął

okienko i machnął ręką. Van Effen spojrział do przodu. Daniken również machnął ręką. Pilot małego helikoptera zasunął okienko i poderwał maszynę.

Daniken delikatnie położył maszynę na nowy kurs. Lecieli teraz na południe.

— Sprytne — przyznał Van Effen — bardzo sprytne: przy takiej po godzinie prawie nikt nie lata i kontrolerzy mogą śledzić tamten helikopter na radarze aż do samego Valkenburga. Bo tamten helikopter, rzecz jasna, leci do Valkenburga. Pański pomysł?

Agnelli skinął potakująco głową.

— Cel Zero kieruje się na wschód drogą do Sliedrecht — zameldował

Druckmann. — Jaki wóz jest najbliższy?

— Wóz patrolowy A.

— Ach, pułkownik Gropious, sir?

— Tak. Zrobimy blokadę drogową o kilometr na wschód od Sliedrecht.

Zbliż się do nich tak, żebyś ich miał na oku, ale nie podjeżdżaj za blisko.

— Rozumiem, sir. Cel Zero porusza się bardzo wolno, można by rzec że ostrożnie. Jadą z prędkością mniej więcej pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Szacuję, że za jakieś dwadzieścia minut powinni pojawić się przy was.

— Dziękuję panu, sierżancie.

Ylvisaker rozparł się wygodnie na siedzeniu i zapalił cygaro.

— Oto jest życie — rzekł, wzdychając głośno. — Dzięki Bogu, że nie jesteśmy na pokładzie tego cholernego latającego wiatraka.

Ten cholerny latający wiatrak kołysząc się i gwałtownie chybcząc leciał

okrężnym kursem na południowy zachód. Okrężnym, bo Daniken omijał

wszystkie miasta, wioski i osady, jakie leżały na drodze. Zdaniem Van Effena była to niepotrzebna ostrożność. Nie mógł pojąć, dlaczego jakiś samotny farmer miałby donosić o przelocie nad jego

domem bliżej niezidentyfikowanego helikoptera. Przecież w Holandii helikopterów było na pęczki.

Spojrzał na współpasażerów. Ich twarze odzwierciedlały całą masę przeróżnych kolorów. Annemarie i Julie siedziały obok siebie z zamkniętymi oczyma i zaciśniętymi kurczowo pięściami. Ich twarze były trupioblade. On sam był zupełnie spokojny: Daniken był wspaniałym pilotem.

Nachylił się i wrzasnął Agnellemu do ucha:

— Ile to jeszcze potrwa?

— Jakieś piętnaście minut.

— A co z naszym zakwaterowaniem?

Agnelli uśmiechnął się.

— Sam pan zobaczy. To wygodny wiejski domek.

Sądząc z gustu preferowanego przez Samuelsona, ten domek był niewiele mniejszy od Pałacu Królewskiego znajdującego się przy Dam Square.

Błękitno-żółty znak drogowy głosił:

KONTROLA DROGOWA. PROSIMY ZATRZYMAĆ SIĘ PRZY CZERWONYM ŚWIETLE

— Co teraz? — spytał kierowca.

— Jedź dalej przyjacielu.— Ylvisaker wypuścił nosem kłęb dymu.

Kierowca Gropiousa odłożył lornetkę.

— To Cel Zero. — Raz jeszcze uniósł lornetkę do oczu: — Numery się zgadzają.

Wóz Gropiousa stał na lewym pasie, na prawo, nieco z tyłu stał transporter, o który opierała się para żołnierzy osłaniających się przed deszczem parasolami i spokojnie palących papierosy.

— Popatrzcie no na tę bandę — parsknął Ylvisaker. — Parasole, pa pierosy! Założę się, że najbliższy oficer jest w Rotterdamie. I to są żoł

nierze mający do śmierci bronić honoru NATO!

Kiedy podjechali do czerwonego światła, Gropious i jego dwaj ludzie, wszyscy trzej z pistoletami maszynowymi trzymanymi w lewej ręce, podeszli do skradzionej ciężarówki. Gropious stanął obok szoferki, dwaj pozostali obeszlili wóz, by znaleźć się przy tylnej klapie. Yl-visaker otworzył drzwiczki.

— Co się dzieje kapralu?

Pułkownik Gropious wyprężył się niezdarnie, zsalutował i wyjąkał:

— Pułkownik! Gdybym wiedział...

Ylvisaker uśmiechnął się pobłaźliwie.

— O co chodzi, kapralu?

— Rozkazy, sir. Kazano nam zatrzymywać wszystkie wozy, łącznie z wojskowymi, które mogą przewozić skradzioną broń. Mamy numery rejestracyjne skradzionej wojskowej ciężarówki. To nie te naturalnie.

Ylvisaker zdawał się być zainteresowany.

— Szukacie czegoś konkretnego?

— Rakiet, sir. Klasy ziemia-ziemia i ziemia-powietrze. Przyznaję, że nigdy w życiu nie widziałem takiej rakiety, ale powiedziano nam, że mają one zwykle ponad dwa metry długości i są koloru miedzi.

— Rozkaz to rozkaz, kapralu. Widzę, że dwaj wasi ludzie stoją tu z tyłu.

Niech sprawdzą i tę ciężarówkę, dla świętego spokoju.

Gropious poinstruował swoich dwóch ludzi. Otwarto klapę ciężarówki, ale rakiet nie znaleziono.

— Przepraszam, sir — rzekł Gropious z wahaniem wyjmując notatnik i długopis. — Mam również polecenie spisać tożsamość wszystkich, którzy przejadą tą drogą.

Ylvisaker sięgnął do kieszeni.

— Nie, nie, sir — powstrzymał go Gropious. — W pańskim przypadku papiery nie są potrzebne. Proszę tylko o pańskie nazwisko.

— Ylvisaker.

Pułkownik Ylvisaker — zapisał Gropious w notatniku i włożył go do kieszeni.

Ironia losu zrządziła, że on będąc autentycznym pułkownikiem grał rolę kaprała, a cywil i to przestępca występował w roli pułkownika. Gropious włożył do kieszeni długopis i uniósł swój pistolet maszynowy. Jego dwaj ludzie zrobili to samo.

— Jeden ruch — oznajmił Gropious — i zastrzelimy was.

W chwilę potem, gdy Gropious i jego ludzie wyciągnęli Ylvisakera i jego pomocników z ciężarówki, na drodze pojawił się wóz sierżanta Druckmanna.

Sierżant wysiadł i spojrzał podejrzliwie na długowłosego kaprała.

— Pułkownik Gropious? — spytał nieufnie.

— We własnej osobie. — Gropious zdjął czapkę i zamaszystym ruchem wyrzucił w krzaki swoją perukę. — Spociłem się przez to świństwo.

— Gratuluję sukcesu, sir — rzekł Druckmann.

Gropious, bez peruki wyglądający nieco podobnie do oficera, uściskał mu serdecznie dłoń.

— Ja panu również sierżancie. Proszę o nazwisko, bo wiem, że wszystkie wozy patrolowe są obsadzone przez sierżantów.

— Druckmann, panie pułkowniku.

— To był kawał dobrej roboty, sierżancie Druckmann. Robota zawodowca.

A co to takiego?

— Kajdanki na ręce i nogi, sir. Wiem, że nie stanowią standardowego wyposażenia armii.

— Wspaniale. Niech jeden z pańskich ludzi im to założy.— Zwrócił się do jednego z żołnierzy: — Zawiadomić wszystkie patrole, żeby wróciły do bazy.

Proponuję, żeby pan zrobił to samo z wozami policyjnymi. Podkreślając naturalnie konieczność zachowania tajemnicy.

— Tak jest, sir. Nie ma potrzeby wspominać o zachowaniu tajemnicy.

Pułkownik de Graaf zagroził wszystkim policjantom, że gdyby puścili choć parę z ust, czeka ich



zesłanie na lokalny odpowiednik Diabelskiej Wyspy.

— Ach, nasz niezastąpiony komisarz!

— Tak, sir. Czy jeńcy są pańscy czy nasi?

— Są własnością narodu. Pojedziemy do bazy, skontaktujemy się z ministrem obrony i pułkownikiem de Graaf, żeby dowiedzieć się co mamy dalej z nimi zrobić. Póki co, obejrzymy sobie kradzioną ciężarówkę pana Ylvisakera.

Wewnątrz wozu Druckmann spytał:

— Czy ci ludzie to członkowie FFF?

— Oczywiście. Na początek zostaną oskarżeni o podawanie się za oficerów armii holenderskiej i posiadanie skradzionych pojazdów wojskowych. —

Gropious podniósł wieko dwóch fałszywych beczek z benzyną. W ich wnętrzu znajdowały się dwa cylindryczne, metalowe przedmioty koloru brązu. — No i rzecz jasna, o przewożenie dwóch skradzionych ładunków nuklearnych.

Ciekaw jestem, w jaki sposób wyjaśnią fakt, że znaleźli się w ich posiadaniu.

Zamknęli wieka i wysiedli z ciężarówki. Druckmann zapytał:

— Czy mogę palić w obecności pułkownika?

— Pułkownik też zapali.

— No cóż, zgłaszam się na ochotnika — rzekł po chwili namysłu Druckmann.

— Żeby prowadzić tą ciężarówkę do bazy? — spytał Gropious.

— Jestem prawdziwym tchórzem, pułkowniku. Będę jechał bardzo wolno i ostrożnie.

— Nie ma się co spieszyć, sierżancie. Chcę, żeby zanim dotrzemy na miejsce, zdążyło tam dojechać dwóch amerykańskich ekspertów zdolnych do rozbrojenia tego świństwa. Będę prowadził z „kogutem”, światłami i innymi szykanami. Proszę jechać zaraz za mną, a wóz policyjny niech jedzie w pewnej odległości za ciężarówką. Wątpię, żeby to była jakaś pociecha, sierżancie Druckmann, ale jak pan wyparuje, to i my również.

Była dziewiąta dwadzieścia siedem rano.

Dokładnie o dziewiątej dwadzieścia siedem Daniken posadził maszynę przed olbrzymim wiatrakiem otoczonym paroma stodołami. Dwaj mężczyźni i dwie kobiety, z parasolami w rękach wyszli im na spotkanie. Najwyraźniej oczekiwali przylotu Samuelsona. Gdy ucichł huk rotora i we wnętrzu olbrzymiego helikoptera zapadła cisza, Van Effen zwrócił się do Agnellego:

— Wie pan co, faktycznie zna się pan na organizacji.

Agnelli uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział.

Salon we wnętrzu wiatraka, do którego wchodziło się z werandy, był o wiele większy i bardziej wytworny niż ten, do którego zdołali się już przyzwyczaić.

W pokoju było dziesięć osób: Samuelson, bracia Agnelli, Van Effen z przyjaciółmi i cztery dziewczyny. Daniken zajmował się zapewne wtoczeniem helikoptera do najbliższej stodoły. Riordan poszedł na górę, bez wątplenia, aby rozpocząć modły i medytacje.

Samuelson usiadł sobie w fotelu przed kominkiem i wyglądał na człowieka w pełni zadowolonego z siebie.

— Jak w zegarku, panowie, jak w zegarku. Wydaje mi się, że możemy sobie póki co pozwolić na maleńki wczesny lunch i pokrzepić się szklaneczką jonge jenever.

— Wczesny lunch? — spytał Van Effen, — Czeka nas jeszcze jedna podróż?

— Dopiero po drugiej, po południu. — Samuelson skinął w stronę odbiornika telewizyjnego. — Najpierw obejrzymy sobie wydarzenia w Markerwaard.

— Rozumiem — Van Effen nie ukrywał, że nic nie rozumie. — Cóż... Ile takich wiatraków w Holandii jest pańską własnością?

— Ani jeden. Właściciele tych wiatraków są obecnie na Bahamach, naturalnie na koszt firmy Golden Gate. Sezon upraw się skończył, więc nie mieliśmy z tym większych problemów. Wie pan, gdzie się znajdujemy, panie Daniłow?

— Nie mam zielonego pojęcia. — Van Effen nauczył się już kłamać niemal mechanicznie: doskonale wiedział, gdzie się znajduje. — Poza tym, że po tak krótkim locie na pewno na terytorium Holandii.

— Nie jest pan zbyt ciekawski. Jesteśmy w pobliżu Middelharnis. Zna pan tą okolicę?

— Middelharnis? — Van Effen zamyślił się, po czym rzekł: — Leży nad Flakkee.

Samuelson uśmiechnął się i skinął głową.

Van Effen odstawił naczynie przyniesione mu przez Leonardo. Jego twarz była jak wyciosana z kamienia, a oczy zimne jak lód.

— Haringvliet — szepnął. — Chodzi o Haringvliet.

Domyślił się tego już jakiś czas temu.

Tama w Haringvliet posiadała wiele różnych określeń. Zazwyczaj jednak określano ją jako Wrota Holandii. Zamykała wstęp do ujścia Haringvliet i leżącej za nim sieci kanałów. Wiosną i wczesnym

latem, gdy śnieg w Alpach niemieckich i francuskich zaczynał topnieć, kierowała wzburzone wody Renu, Waalu i Maas, przepływających przez Rotterdam, do kanału połączonego z Morzem Północnym w tak zwanym Euro-portcie. Dokonywano tego zamykając hydraulicznie olbrzymie wrota, zasilane energią elektryczną. Kiedy poziom rzek niebezpiecznie się podnosił, a poziom Morza Północnego był zbyt niski, wody tych rzek kierowano bezpośrednio do morza, otwierając tyle wrót, ile tylko było konieczne. O tej porze roku poziom rzek był niski, a poziom Morza Północnego w chwili przyptywu sięgał swych najwyższych granic. Powódź, zniszczenia i śmierć wielu ludzi, w skali niemożliwej do określenia byłyby nieuniknionym efektem zniszczenia Haringvliet.

— Tak, panie Daniłow. — Samuelson wiedział, że jego życie jest w niebezpieczeństwie, ale wydawał się być całkiem spokojny.— Cho dzi mi o Haringvliet.

Van Effen wolniutko pokiwał głową.

— Stąd te ładunki nuklearne. Boże. Mam nadzieję, że Ylvisaker i jego kolesie wylecą w powietrze po drodze.

— Widzę, że niezbyt dobrze im pan życzy. — Samuelson wypił łyk brandy.

Jeśli był poruszony, tym co usłyszał, to skutecznie to ukrył. — Widzę, że ma pan broń, panie Daniłow. Nie wątpię, że i pańscy przyjaciele także są uzbrojeni. Romero, Leonardo i ja nie mamy broni. Nie miałbym nawet czym się bronić, gdyby zechciał pan mnie teraz zastrzelić, ale może najpierw zechciałby pan wysłuchać mnie do końca?

Samuelson wyglądał na w pełni zadowolonego z siebie.

— Słucham.

— Nie mam zamiaru użyć ładunków nuklearnych do wysadzenia Haringvliet z trzech powodów. Po pierwsze: nie chcą się zmienić w obłoczek pary. Po drugie: chcę, aby wrota śluzy pozostały nietknięte i aby nadal działały. Po trzecie: chcę opanować tę tamę.

Van Effen w milczeniu popijał swojego drinka, jakby się nad czymś zastanawiał. Nie tylko wiedział, że Samuelson zamierza zaatakować Haringvliet, ale był także przekonany, że nie ma on zamiaru niczego niszczyć.

— To ambitne plany. Jak pan chce przeprowadzić tę operację?

— Połowę roboty mamy już za sobą. Przed czterdziestoma godzinami pewien zręczny elektryk przeprowadził tam mały sabotaż. Była to koronkowa i praktycznie niewykrywalna robota. Chodziło o lekkie uszkodzenie trzech olbrzymich turbogeneratorów.

— Był pracownikiem?

— Oczywiście.

— Holender?

— Tak. Dwadzieścia tysięcy dolarów ma dar przekonywania nawet największych patriotów. Do naprawy tych turbogeneratorów wezwano ekspertów z Rotterdamu. Wszyscy czterej są teraz lokatorami piwnicy znajdującej się dokładnie pod nami. Jeśli pan chce, może się pan przekonać, że niczego im nie brakuje, tyle tylko, że nie mogą opuścić tego przytulnego pomieszczenia.

— Chyba to nie będzie konieczne. Pan, rzecz jasna, wysłał tam czwórkę swoich ludzi.

— Tak. Wszyscy czterej są notowani i odsiedzieli długoletnie wyroki, ale są to również najlepsi w tym kraju kasiarze. Znają się również na urządzeniach elektrycznych.

— Niełatwo takich znaleźć... — mruknął Van Effen i zamilkł — chyba że ma się kogoś w więzieniu... Ci dwaj, którzy mają być zwolnieni, dostarczyli wam danych o najlepszych z najlepszych!

— To bardzo zdolni ludzie — przytaknął Samuelson — ale lepsi do prucia kas niż obsługi elektroniki.

— Ich zadaniem jest zapewne unieszkodliwienie wszystkich urządzeń alarmowych tamy, fotokomórek, przycisków alarmowych i tym podobnych.

Jak też poznanie rozlokowania wartowników, tak na służbie, jak i odpoczywających.

— Myli się pan. Nie mają ich unieszkodliwić teraz, a być może w ogóle: mogą się nam jeszcze przydać. Reszta, owszem. Ponieważ paru drobiazgow nie byli pewni, poprosili o pomoc najlepszych w kraju specjalistów od turbogeneratorów. Van Effen pokiwał głową:

— I zjawił się najlepszy specjalista, choć nie w tej dziedzinie: O'Brien.

Bardzo sprytne. Przyznaję.

— Pomyśl i wykonanie Romero, a propos czy nasz specjalista już wrócił?

Leonardo wyszedł i wrócił z O'Brienem, przystrojonym w brodę i wąsy.

— Przepraszam za to — O'Brien krzywiąc się zdarł z twarzy owłosienie. —

Musiałem trochę zmienić swój wygląd: pomyślałem sobie, że nagła transformacja inżyniera w sierżanta armii holenderskiej mogłaby wywołać zrozumiałe zdziwienie.

— Czy wszystko gotowe? — spytał Samuelson.

— Gotowe — stwierdził zapytany.

— Jeszcze jedno — wtrącił się George. — Jak rozpoznamy tych naszych czterech sojuszników, którzy znajdują się na tamie? Bez sensu jest celować do przyjaciół?

— Dobre pytanie — rzekł Agnelli. — Wszyscy noszą jasnoniebieskie kombinezony.

— A w ich torbach z narzędziami znajdują się wyłącznie narzędzia?

— Jakieś pistolety, parę granatów gazowych i inne niezbędne rzeczy.

— Chciałbym dostać parę takich granatów — rzekł Van Effen. — Tak jak pan Samuelson, nie znoszę niepotrzebnej przemocy, a ludzie, którzy tam pracują, są obecnie moimi rodakami, co prawda adoptowanymi, ale zawsze.

Jeżeli musiałbym powstrzymać któregoś z nich, to wolałbym to zrobić za pomocą granatu gazowego niż kuli.

— Podziela pan moje poglądy — powiedział Samuelson. — Dostanie pan te granaty.

— Jeszcze jedno — dodał Van Effen. — Jak pan wyjaśni obecność w swojej grupie dwóch cywilów?

— Ach — Samuelson uśmiechnął się radośnie. — Cywilów! Jesteście członkami brygady antyterrorystycznej z Amsterdamu. Jak się to panu podoba?

To chyba nieźle brzmi?

— Miłe — rzekł Van Effen. — Zawsze chciałem być policjantem. Jak się tam dostaniemy?

— Nic prostszego: wylądujemy helikopterem. Najpierw, rzecz jasna, nadamy komunikat radiowy ostrzegający załogę przed spodziewanym atakiem FFF od morza lub od strony rzeki, oraz o tym, że na rzece już wkrótce pojawią się łodzie patrolowe, a rejonu morza strzec będzie niszczyciel.

My, rzecz jasna, wylądujemy pierwsi na drodze prowadzącej w kierunku centrali: to parę minut lotu stąd. Rozkażemy im, by zachowali całkowitą ciszę radiową: żadnych transmisji, żadnych rozmów.

— Prawdziwy geniusz cechuje prostota — oznajmił Van Effen. — Ma pan tupet. Dziewczyny oczywiście nie lecą z nami?

— Oczywiście, że lecą. Zostaną w helikopterze, dopóki nie zajmiemy tamy.

— Czy przyszło panu na myśl, że mogą nas zdradzić? Zaczną wzywać pomocy i tak dalej?

— To dosyć trudne, kiedy ma się zakneblowane usta i ręce związane na plecach. Na wszelki wypadek Joop zostanie razem z nimi: jest dobrym strzelcem.

— Pomyślał pan o wszystkim — orzekł Van Effen mając nadzieję, że Joop nie będzie zbyt gorliwy.

Gdyby był, byłby jednocześnie trupem.

Samuelson wstał, podszedł do stołu i wyjął dwie kartki papieru.

— To plany tamy Haringvliet. Leonardo, zawołaj tu wszystkich. Chcę, by każdy człowiek znał dokładnie swoje zadanie, rozmieszczenie wszy stkich posterunków i wiedział, gdzie znajdują się strażnicy, którzy skończyli służbę. Nie życzę sobie żadnej wpadki.

Daniken minął się w drzwiach z Leonardem, który wrócił po chwili do pokoju prowadząc Joopa, Joachima i dwóch bezimiennych cheru-binków z RAF-u, czterech mężczyzn po trzydziestce, których Van Effen widział po raz pierwszy oraz dwóch strażników, którzy tak hojnie pociągali z butelki poprzedniego wieczora. Ostatnia szóstka sprawiała wrażenie fachowców.

Zebrali się wokół stołu, tuż obok Van Effena, Vas-co, George'a, Samuelsona, Romero i O'Briena. Brakowało jedynie Wil-lego, który zapewne został

zamknięty w piwnicy wiatraka i odprawiającego modły, zapewne pokutne, Riordana.

Wyjaśnień związanych z przebiegiem akcji udzielał Romero Agnelli. Miał

prawdziwy talent organizatorski: objaśniał każdemu, gdzie ma iść i co ma zrobić, po czym nakazał skoordynowanie zegarków i wyjaśnił wszystkim uczestnikom akcji, ile mają czasu na wykonanie zadania. Zajęło mu to ponad pięć minut. Potem powtórzył wszystko raz jeszcze. Gdy zaczął trzeci raz, Van Effen, Vasco i George ukradkiem ruszyli w stronę baru. Samuelson podszedł

do nich z uśmiechem.

— Łatwo się pan nudzi, panie Daniłow.

— Nie muszę słuchać tego dwa razy, a tym bardziej trzy.

— Ma pan rację, ale wolę profilaktykę od gorzkich żali. — Spojrzał na zegarek. — Ciężarówka się spóźnia.

— Ylvisaker wyglądał na całkiem sprytnego, ale wątpię czy może przewidzieć coś tak trywialnego jak kłopoty z silnikiem, korek, przebitą oponę czy cokolwiek. Zresztą niech się pan sam o tym przekona. Powiedział pan, że ma tu radiostację. Porucznik jest doświadczonym radiooperatorem i na pewno zna częstotliwość, na której pracuje radiostacja ciężarówki.

— Doprawdy Poruczniku? Dziękuję. — Samuelson wskazał na drugą stronę pokoju. — Proszę.

Vasco usiadł przed nadajnikiem, nałożył słuchawki i zaczął nadawać. Po dwóch minutach zdjął słuchawki i wrócił do baru.

— Nic z tego, panie Samuelson. Nie zgłasza się.

— Jest pan pewien? — Samuelson wydał wargi.

— Jestem pewien. Znam się na swojej robocie. Jeśli mi pan nie wierzy, to niech pan każe sprawdzić Danikenowi. On też zna się na radiostacjach.

— Nie, nie, przepraszam Poruczniku. Po prostu jestem zmartwiony.

— Mogły się zdarzyć dwie rzeczy — rzekł Vasco. — Po pierwsze: mogli mieć wypadek. Po drugie i bardziej prawdopodobne: po prostu radiostacja jest wyłączona!

— Jeżeli mają spóźnienie, dlaczego się z nami nie kontaktują? — zastanawiał się Samuelson.

— A czy on wie, jak się korzysta z radiostacji?

— Nie wiem — rzekł Samuelson — po prostu nie wiem.

Podniósł wzrok na zbliżającą się pokojówkę.

— Przepraszam, sir. Za dwie minuty będzie transmitowane oświadczenie rządu. Pomyślałam, że może to pana zainteresować.

— Dziękuję, dziękuję — Samuelson włączył telewizor i dał znak Ro-mero, by kończył odprawę.

Po pół minucie na ekranie pojawił się spiker. Był młodszy od poprzedniego, ale wyglądał jakby terminował w tym samym zakładzie pogrzebowym co jego poprzednik.

— Rząd ma trzy oświadczenia. Po pierwsze: rząd brytyjski i Stormont doszli do porozumienia, że wszyscy żołnierze brytyjscy zaczną stop niowo opuszczać terytorium Irlandii Północnej. Proces ewakuacji wojska już się rozpoczął, a póki co reszta żołnierzy brytyjskich została za kwaterowana w obozach przejściowych. — Samuelson uśmiechnął się z zadowoleniem. Sprawa Yhrisakera zeszła na dalszy plan.— Po drugie: brytyjski Minister Spraw Zagranicznych, Minister Obrony, Szef Sztabu Imperialnego i Pierwszy Lord Admiralicji są obecnie w drodze do Amsterdamu, by być świadkami eksplozji nuklearnej w Markerwaard dziś o drugiej po południu. Po trzecie: rząd udzielił amnestii dwóm więźniom, których nazwiska nie zostaną podane do wiadomości publicznej i których uwolnienie stanowiło element ultimatum FFF. Kolejne wiadomości nadamy o drugiej po południu.

— No cóż — rzekł Van Eften. — Wygląda to na zwycięstwo na całej linii.

— Tak. Sprawy przybrały zadowalający obrót — oznajmił radośnie Samuelson. — Zabierajmy się do roboty. Weźmiemy ze sobą tylko naj-potrzebniejsze rzeczy tak, by można je było ukryć z tyłu w helikopterze.

Żołnierze na służbie nie wożą ze sobą wypchanych walizek. Lunch będzie o dwunastej trzydzieści, więc póki co sugeruję, żebyśmy pokrzepili się jeszcze porcyjką jonge jenever. Wprawdzie nie sądzę, abyśmy dziś w nocy wrócili do wiatraka, ale nakazę, aby pokoje zostały przygotowane na nasze przyjęcie.

Poruczniku, ma pan może ochotę się zdrzemnąć?

— Nie.

— A może spróbowałby pan jeszcze raz skontaktować się z Ylvisa-kerem?

— Jeżeli uważa pan, że powinienem to zrobić, to dlaczego nie. Pójdę tylko na górę, umyję się i przygotuję do drogi. Za dwadzieścia minut zasiądę przed radiostacją. Przynrzekam, że nie będę zbyt często odwiedzał pańskiego baru —

dodał z uśmiechem.

Pokój Van Effena i jego towarzyszy był niemal identyczny jak ten, który tak niedawno opuścili. Vasco szybko go sprawdził, ale nie znalazł ani jednej pluskwy.

— Samuelson wyraźnie się martwi zniknięciem Ylvisakera i jego przyjaciół, którzy, jak sądzę, są teraz gośćmi Jej Królewskiej Mości. Co gorsze, wierzy w siebie i powodzenie swoich planów przez co jest bardzo niebezpieczny dla samego siebie.

— Jak myślisz, co zrobi, kiedy znajdzie się na miejscu? — spytał George.

— Opanuje centrum. To nie powinno mu sprawić żadnych kłopotów. Potem nada komunikat do rządu i wyjaśni, czego dokonał. Będzie to wkrótce po eksplozji w Markerwaard. Rząd znajdzie się w kropce, a FFF będzie władcą Holandii.

— A potem — rzekł Vasco — po prostu wysadzą kawałek, żeby pokazać, do czego są naprawdę zdolni.

— Nic z tych rzeczy — rzekł Van Effen. — Materiały wybuchowe to pomysł Agnellego. Poza tym, jak sami wiecie, to wspaniały organizator.

Wydaje mi się, że te materiały wybuchowe zostały zgromadzone w razie jakichś nieprzewidzianych okoliczności, że tak powiem na wszelki wypadek.

— A co byś powiedział, gdyby okazało się, że O'Brien prócz tego, że jest sprytnym i zdolnym elektronikiem, zna się również na działaniu systemów hydraulicznych wrót śluzy? Przecież wystarczyłoby im po prostu je otworzyć.

— A materiały wybuchowe miałyby zostać użyte, gdyby rząd zdecydował się odciąć zasilanie głównych wrót? — spytał Vasco.

— Zawsze pozostają jeszcze generatory awaryjne. O'Brien musiał o tym wiedzieć. Wrota śluzy w Haringvliet to chyba najważniejsza instalacja ochronna w tym kraju. Od ich sprawności zależy w głównej mierze bezpieczeństwo Holandii. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby wrota śluzy były otwarte, poziom wód zaczął się podnosić i nagle zabrakłoby prądu?

Urządzenie takiej wagi musi mieć zasilanie awaryjne.

— Samuelson i Agnelli powiadomili nas przed paroma minutami o swoich planach — rzekł Vasco — a...

— Chyba już czas, żebyśmy skonkretyzowali nasze własne plany — przerwał mu George, zacierając ręce.

— Tak. Już czas, żebyśmy skonkretyzowali nasze własne plany.



Jakieś czterdzieści minut po tym, jak Vasco wszedł do salonu, podszedł do niego Samuelson. Vasco siedział przed radiostacją, przeglądając leniwie jakieś czasopismo. Uniósł wzrok i spojrzał na Samuelsona.

— Bez powodzenia? — spytał Samuelson.

— Niestety. Próbowałem połączyć się z nimi czterokrotnie: co dziesięć minut, a nie co dwadzieścia, jak mi pan zasugerował. Ale Niestety bez powodzenia.

— Boże, Boże — Samuelson podszedł do baru i przyniósł dwa jonge jenever. — Ylvisaker ma już dość duże spóźnienie. Co też mogło mu się przytrafić?

— Myślałem o tym. Na pewno nie wyleciał w powietrze, bo w telewizji wspomnieliby o tym wydarzeniu. Należy założyć, że miał miejsce jakiś wypadek, albo popsuł mu się wóz. Przypuśćmy również, że nie umie posługiwać się radiostacją. Co pan by zrobił w takim przypadku, panie Samuelson?

— Poszedł do najbliższej budki telefonicznej i poinformował nas o tym. W tym kraju jest przecież mnóstwo telefonów.

— Owszem, ale czy Ylvisaker zna numer, pod który miałby zadzwonić?

Samuelson spojrzał na niego, po czym rzekł:

— Ylvisaker nigdy jeszcze tu nie był. Chwileczkę. — wyszedł z pokoju i wrócił minutę później. — Wychodzi na to, że on nie zna tego numeru.

— Mam nadzieję, że wie chociaż, jak tu dojechać? A pan zna jego trasę?

— Oczywiście. Zaraz wyślę szybki wóz z dwoma ludźmi. Dziękuję Poruczniku. Cieszę się, że mogę z panem współpracować.

— Czy wciąż jeszcze mam próbować?

— To chyba nie ma sensu. Szanse są raczej niewielkie. Vasco wzruszył ramionami.

— Bardzo niewielkie. Ale co mam innego do roboty?

— Dziękuję — Samuelson podał mu szklaneczkę jonge jenever. — Jedna na pewno nie zaćmi pańskiego umysłu.

— To miłe z pańskiej strony. Chyba wyjdę sobie na chwilę na świeże powietrze. Tutaj jest naprawdę bardzo gorąco.

— Oczywiście, oczywiście — Samuelson wyszedł z pokoju.

Samochód, o którym wspomniał Samuelson, był beżowym BMW pochodzącym, jak wynikało z numerów, z Antwerpii. Vasco patrzył na odjeżdżający samochód, dopił swego drinka i powrócił do salonu. Podszedł do radiostacji, zmienił częstotliwość nadawania i nie dłużej niż dwanaście sekund mówił po flamandzku. Gdy skończył wrócił na poprzednią częstotliwość i ponownie próbował połączyć się z Ylvisake-rem, ale odpowiedzią była jedynie cisza. Nalał sobie kolejnego drinka, usiadł w fotelu i zaczął leniwie przeglądać jakiś magazyn. Kilka minut później jeszcze raz bezskutecznie spróbował

nawiązać łączność z zaginioną ciężarówką. W przeciągu kolejnych dwudziestu minut podjął jeszcze dwie równie bezowocne próby. Siedział wciąż przy radiostacji, gdy podszedł do niego Samuelson. Spojrzał na Vasco, podszedł do baru i wrócił niosąc dwie szklaneczki.

— Postępuję wbrew sobie, ale wewnętrznie czuję, że potrzebuję tego alkoholu. Ciągłe nic?

— Martwa cisza. Wiem, że pan Daniłow ma fioła na punkcie tajności informacji, ale jestem zawodowym wojskowym i inaczej do tego podchodzę: jak ważne dla pana są te ładunki?

— Prawie wyłącznie jako efekt psychologiczny. Gdybym musiał, przy ich pomocy wysadziłbym północny i południowy dostęp do Harin-gvliet.

— Po co? Przecież żaden dowódca w Holandii nie podjąłby się próby ataku na Haringvliet. Myśliwce? Pański helikopter w tych warunkach jest dla nich bardzo groźny, poza tym ma pan rakiety klasy ziemia-powietrze i zapewne po opanowaniu tamy weźmie pan również zakładników. Wątpię, by ktoś mógł

wziąć na swoje barki odpowiedzialność za akcję, która mogłaby się zakończyć zabiciem zakładników. Niszczyciel? Kutry torpedowe? Rakiety klasy ziemia-ziemia są kierowane podczerwienią na źródło ciepła. To śmiercionośna broń.

— A bombowce?

— A co by się stało, gdyby tama w Haringvliet została w efekcie ich nalotu zniszczona?

— Oczywiście. Nie ma sensu, aby pan w dalszym ciągu wywoływał wóz Yh/isakera. Wydaje mi się, że obaj zasłużyliśmy na chwilę odpoczynku przed późniejszym lunchem.

Vasco zdał George'owi i Van Effenowi krótką relację z tego, co się wydarzyło.

— A więc zdołałeś przekonać Samuelsona, że tama będzie zupełnie nie do zdobycia, gdy zamontuje na niej cały ten złom znajdujący się teraz na pokładzie helikoptera? A co z naszymi dwoma twardymi i mężnymi Holendrami w BMW?

— Powiadomiłem o nich policję w Rotterdamie.

— Myślę, George, że jeszcze zrobimy z niego dobrego policjanta. No to do lunchu mamy jeszcze godzinkę czasu.

— Ja muszę się zdrzemnąć — oznajmił Vasco. — Cztery jonge jene-ver to za dużo dla mnie.

— Coś ty powiedział?

— Holenderska gościnność. Wiesz, na czym ona polega.

Lunch był bardziej niż wystarczający, ale minął w niezbyt przyjemnej atmosferze. Samuelson próbował sprawiać dobre wrażenie, ale najwyraźniej zamartwiał się losem swoich nuklearnych zabawek i to pochłonęło go bez reszty, bo ostatnie pół godziny posiłku minęło im niemal w kompletnej ciszy.

Pijąc kawę Samuelson zwrócił się do Van Effena:

— Czy uważa pan, że Ylvisaker mógł zostać przechwycony przez wojsko lub policję?

— Mało prawdopodobne. Przy takich środkach ostrożności? Ale nawet gdyby tak się stało, to czy zaczęłby sypać?

— Czy zdradziłby nasze plany o Haringvliet? Nie. O tym do dziś wiedzieli jedynie Riordan, Agnelli, Daniken i O'Brien. — Samuelson uśmiechnął się. —

Zna pan nasze zasady, panie Daniłow, i wie, że niechętnie zdradzamy swoje plany.

— Nie chcę, aby to zabrzmiało cynicznie czy nieprzyjemnie, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego w takim razie, do jasnej cholery, tak się pan martwi całą tą sprawą?

— Jak państwo widzą — rzekł spiker — pogoda jest kiepska, widoczność słaba, wieje silny, mroźny wiatr z północnego zachodu. Siła wiatru waha się w granicach ośmiu do dziewięciu stopni. Zainstalowaliśmy tutaj cztery kamery: jedną w pobliżu Hoorn, drugą blisko Volendam na zachód od Markerwaard i kolejną w pobliżu Helystad. Ta ostatnia, z powodu deszczu, chyba nie na wiele nam się przyda. Czwarta znajduje się na pokładzie helikoptera. Jest pierwsza pięćdziesiąt osiem. Łączy się z helikopterem.

Na ekranie pojawiły się spienione fale wzburzonego sztormem morza.

Obraz trząsał się i dygotał, najwyraźniej helikopterem miotał wiatr i utrzymywanie stałego obrazu w kadrze było niemożliwością.

Znów rozległ się głos spikera:

— Oto obraz z helikoptera. Zakłócenia w odbiorze nie są spowodowane winą moich redakcyjnych kolegów. Warunki pogodowe są do prawdy okropne i zaręczam państwu, że jedyną osobą, która w chwili obecnej nie odchorowuje skoków maszyny jest jej pilot. Lecimy na wysokości siedmiuset metrów — od czasu do czasu maszyna opada o pięćdziesiąt metrów w dół i znów wznosi się w górę. Mamy nadzieję, że znajdujemy się na bezpiecznej wysokości, bo eksplozja ładunku nuklearnego ma nastąpić dokładnie pod nami. Jest teraz dokładnie druga po południu i... — jego głos podniósł się prawie o oktawę — Wybuch!

A więc jednak! Nastąpił dokładnie pod NAMI!

Kamera helikoptera na maksymalnym zbliżeniu ukazała powierzchnię Markerwaard pokrytą białą pianą, która uniosła się w górę w postaci olbrzymiego słupa wody. Kolumna wody wzbiła się pionowo w niebo zbliżając się niebezpiecznie do wiszącego prawie nieruchomo helikoptera.

— Czy państwo to widzieli? — ciągnął spiker podnieconym głosem

— czy państwo to widzieli?

Pytanie było raczej zbędne, bo zapewne oczy wszystkich mieszkańców Holandii były w owej chwili wlepione w ekrany telewizorów.

— W powietrzu jest pełno wody, pilot zmienia kurs na północny za chód, chcąc wycofać się stąd najszybciej, jak to jest możliwe. Lecimy teraz pod wiatr. Jego podmuchy torują nam drogę przez potoki bijącej pod niebo wody.

Samuelson wyglądał jak w transie: wpatrywał się nieruchomo w telewizor, tylko jego palce poruszały się rytmicznie. Na ekranie pojawił się spiker w studio:

— Obawiam się, że kamera helikoptera jest bezużyteczna, ponieważ jej obiektyw został zalany wodą. Żałuję, że nie możemy nawiązać kontaktu z żadną z trzech pozostałych kamer. Wybuch, jak można sądzić, miał miejsce dokładnie w samym środku Markerwaard.

Znów rozległ się głos komentatora:

— Przepraszam za chwilę przerwy. Z powodu deszczu i wody, która po wybuchu zalała obiektyw naszej kamery, nie mogliśmy kontynuować naszej transmisji. Lecimy w dalszym ciągu na północny zachód.

Jeszcze parę chwil i będziemy mogli poprowadzić dalszą transmisję.

Na ekranie pojawił się lekko zamazany, rozmyty obraz. Kamera zaczęła zataczać lekki półokrąg ukazując malejący słup wody i powierzchnię morza, po której rozchodziły się coraz większe, współśrodkowe fale.

— To — rzekł komentator — musi być oczekiwana przez wszystkich fala pływowa. Trudno mi z tej wysokości określić jej wielkość, ale wydaje mi się, że nie jest zbyt wysoka.

Raz jeszcze na ekranie pojawił się spiker w studio.

— Spróbujemy... chwileczkę, mamy właśnie łączność z Volkendam.

Kamera w pełnym zbliżeniu ukazywała falę wdzierającą się z wolna na teren polderu.

— Zgadzam się z moim kolegą w helikopterze, że na pewno nie jest to potężna fala, jakkolwiek wydaje mi się, że właściwe tsunami dopiero się zacznie. Wysokość fali powinna wzrosnąć, gdy

zbliży się ona do płytcizny przybrzeżnej. Poczekamy, zobaczymy.

Nie było zbyt wiele do oglądania. W chwilę potem komentator ze znanstwem w głosie stwierdził, że wysokość fali wynosi mniej więcej metr.

Dodał jeszcze, że wysokość fali została obliczona już wcześniej przez grono naukowców. Samuelson skinął na Agnellego, aby ten zgasił telewizor.

— Trochę przemoczonych stóp i żadnych ofiar. Jak pan sądzi, czy nie było to naprawdę wstrząsające przedstawienie?

— Było wstrząsające — przyznał Van Effen.

No cóż, dziś nikomu się nic nie stało, ale za parę lat okaże się, jak było naprawdę. Opad radioaktywny na zalanych terenach... Na razie jednak zdecydował się nie wszczynać z Samuelsonem dyskusji na ten temat.

— Romero, nadaj wiadomość do Haringvliet — polecił Samuelson. —

Niech przez cały czas zachowują ciszę radiową. Gdzie, do cholery, podziła się ta para facetów, którzy pojechali na poszukiwanie Ylvisa-kera i jego ludzi? —

Nikt nie wiedział, gdzie mogli się podziwiać, więc nikt się nie odzywał. —

Straciłem już pięciu dobrych ludzi. Pięciu!

— To niepokojące, panie Samuelson i dzielam pana obawy. Mimo wszystko nie możemy zrezygnować z naszych planów. Mamy siedemnastu ludzi. Wykorzystując element zaskoczenia — rzekł Vasco — gwarantuję panu, że mógłbym zająć tę tamę dowodząc oddziałem składającym się tylko z czterech pańskich ludzi.

— Miło to słyszeć — mruknął Samuelson. — Ruszamy za dziesięć minut.

Wyruszyli o czasie. Wszyscy żołnierze byli uzbrojeni. Wszyscy również mieli plecaki lub skórzane torby. Ani Van Effen ani George nie mieli broni —

przynajmniej na pierwszy rzut oka. Obaj nieśli torby wypełnione granatami gazowymi. Prócz tego, Van Effen przezornie zabrał ze sobą także pojemnik z aerozolem Yves Saint Laurenta. Gdy znaleźli się na pokładzie helikoptera, Van Effen zwrócił się do Samu-elsona.

— Użyjemy gazu, nie broni palnej?

— Na pewno gaz a nie kule.

## **Rozdział dwunasty**

Helikopter wylądował na tamie Haringvliet o drugiej trzydzieści osiem po południu. Romero

Agnelli, ubrany w mundur majora i teoretycznie dowodzący grupą, jako pierwszy zszedł na dół po schodach. Jasnowłosy, młody mężczyzna w rogowych okularach odłączył się od grupy obserwatorów i podszedł do Agnellego, by powitać go serdecznym uściskiem dłoni.

— Cholernie się cieszę, że pana widzę, majorze, cholernie. Czy wie pan, co ci dranie zrobili w Markerwaard?

— Wiemy — rzekł Agnelli ponuro. — Wiemy.

— Czy serio bierze pan pogrózkę dotyczącą tamy Heringvliet?

— No cóż, teraz to już chyba nieważne. Nie biorę jej serio, ale jako żołnierze musimy brać wszystko pod uwagę. Kraj ogarnia panika i dziewięćdziesiąt pięć procent pogrózek, jakie teraz są odbierane przez przedstawicieli rządu, wojska i policji, choć bzdurne, musimy uznać za prawdziwe. Nie biorę serio pogróżki dotyczącej Haringvliet, ale... — wziął

tamtego pod rękę i odprowadził od helikoptera, z którego zaczęli się wysypywać żołnierze.

— Jak się pan nazywa? — spytał Romero.

— Borodin. Max Borodin. Jestem dyrektorem. Co na litość boską wyładowują pańscy ludzie?

— To wyrzutnie kierowanych pocisków raketowych. Jedną ustawimy w stronę Morza Północnego, drugą w stronę rzeki. Rakiety są klasy ziemia-ziemia i ziemia-powietrze, automatycznie nakierowujące się na źródło ciepła.

Śmiertelne. — Agnelli nie powiedział, że wyrzutnie są obrotowe i w razie potrzeby mogą pokryć ogniem wszystkie drogi dojazdowe do Haringvliet. —

Podjęliśmy wszelkie możliwe środki ostrożności. FFF mogą być szaleńcami, ale wątpię, by ryzykowali atak frontalny na tamę. Oczekujemy, że wkrótce pojawi się tutaj niszczyciel oraz łódzie patrolowe. Wątpię, by to było konieczne, jak już mówiłem, ale...

— Konieczne czy nie, uspokoił mnie pan. Kim są ci dwaj cywile, sprawiający wrażenie nieszkodliwych i spokojnych?

— Może i są spokojni. Na pewno natomiast nie są nieszkodliwi, to policjanci z Amsterdamu. Specjaliści z brygady antyterrorystycznej. Będą szukać słabych miejsc w obronie pańskiej tamy. To czysta formalność, ale oni nalegali. Zostawimy na straży dwóch ludzi do obsługi wyrzutni raketowych.

Inspektor Daniłow — ten mniejszy, nalegał, aby towarzyszyli nam moi ludzie.

Ze zrozumiałych względów dobrze by było, gdyby wkrótce zapoznali się z wnętrzem tamy.

Od chwili ich przybycia minęło równe dwadzieścia minut, gdy nagle Borodin ku swemu zaskoczeniu zobaczył, jak czterej ubrani w jasnoniebieskie kombinezony mechanicy wyjęli ze swoich toreb na narzędzia pistolety maszynowe „Kałasznikow”. Była to bezbolesna — pod względem fizycznym, bo na pewno nie pod względem psychicznym

— i zupełnie bezkrwawa operacja. Borodin, jego załoga i strażnicy nie mieli żadnych szans. Koniec końców wszyscy zostali zamknięci w jednej z olbrzymich piwnic, od których roziło się w podziemiach tamy.

Agnelli chciał właśnie przekręcić klucz w zamku, gdy Van Effen zatrzymał go:

— Moment! Związać ich. Wydawało mi się panie Agnelli, że nie popełnia pan błędów.

— A popełniłem jakiś?

— Owszem. Nie tylko O'Brien potrafi sobie poradzić z zamkiem.

— Tak. Zwiążemy ich — Agnelli pokiwał głową. Sznura było dość

— wystarczyłoby go do skrępowania przynajmniej setki ludzi.

Kiedy Borodin i jego ludzie zostali związani, Sartuielson, sprawiający wrażenie rzymskiego trybuna wracającego z Galii po błyskotliwym zwycięstwie, poprowadził ich, krocząc dumnie — jakby właśnie mijał bramy Rzymu — do sali kontrolnej. Van Effen i jego dwaj towarzysze zostali trochę z tyłu. Po drodze Van Effen otworzył małą metalową fiolkę i wyjął z niej sześć wełnianych kuleczek. Wszyscy trzej włożyli je sobie do dziurek od nosa.

Vasco rzekł żałośnie:

— Co to za świństwo?

— Przyzwyczajasz się — odburknął Van Effen.

— A o co ci chodziło, gdy wspominałeś o człowieku, mogącym jak O'Brien otworzyć każdy zamek? Szansa jest jedna na milion, że ktoś tam na dole posiada tę unikatową zdolność.

— Będziemy potrzebować sznura. Dużo sznura. Tam, jak teraz wiemy, jest go pod dostatkiem.

Vasco spojrzał na George'a.

— Ten facet myśli o wszystkim. — Pokręcił głową. — Agnelli nie jest jedynym facetem, który popełnia błędy.

Weszli do dyspozytorni. Była olbrzymia: na ścianach po prawej stronie widniały szeregi przycisków i tablic kontrolnych. O'Brien stał z boku, ale nie patrzył w ich kierunku. Van Effen wiedział, że nie musiał tego robić.

— O — rzekł Samuelson. — Jest nasz Porucznik. Chcę właśnie zamieścić słówko z Wieringą, naszym ministrem obrony.

Vasco nie okazywał zaskoczenia: wyglądał na zamyślonego.

— Minister obrony opuścił Volkendam, jak sędzę. Nieważne gdzie jest teraz. Gdziekolwiek by nie był, telefon musi się znajdować o wyciągnięcie ręki od niego. Skontaktuję się z ministerstwem wojny, a oni połączą mnie bezpośrednio z nim.

— Jak długo to potrwa?

— Minutę. Może mniej.

— Minutę?

— W Holandii — rzekł dumnie Vasco — wojsko cieszy się dużym poważaniem.

W pół minuty później wręczył słuchawkę Samuelsonowi, którego oczy były oczami człowieka wyglądającego tak, jakby ziściły się jego marzenia. Albo szaleńca, którego marzenia się urzeczywistniły.

— Pan Wieringą? Mówi przywódca FFF (Fighters For Freedom —

Bojowników o Wolność). Myślę, że docenił pan naszą małą demonstrację w Markerwaard dziś po południu. Mam dla pana nowe i chyba niezbyt przyjemne wiadomości. Przejęliśmy Haringvliet. Powtarzam: przejęliśmy kontrolę nad Haringvliet. — Nastąpiła krótka pauza i Samuelson kontynuował: — Cieszę się, panie Wieringą, że docenia pan znaczenie tego wydarzenia. Na każdą próbę odbicia Haringvliet, zbrojnie czy podstępem, odpowiemy siłą.

Podminowaliśmy tamy w Dieo i Vol-keral. Mamy tam swoich obserwatorów: każda próba wysłania nurków w celu rozbrowienia tych ładunków oznacza zdetonowanie ich drogą radiową. Nie zawahamy się przed tym, proszę mi wierzyć. O czwartej po południu dokonamy małej demonstracji, by pokazać, co czeka pański kraj, jeśli nasze żądania nie zostaną spełnione w trybie natychmiastowym. Punktualnie o czwartej na kilka minut zostaną otwarte wrota służby. Byłoby nieźle, gdyby wysłał pan kogoś, by zrobił zdjęcia lotnicze okolicy, by ludność Holandii przekonała się, czym grozi głupota. To powinno przyspieszyć tok negocjacji z rządem Wielkiej Brytanii.

— Nieźle przedstawienie — ocenił Van Effen. — Naprawdę zaminował pan te dwie tamy?

— Oczywiście, że nie — Samuelson roześmiał się. — A niby po co?

Teraz każde moje słowo będzie dla nich święte.

Van Effen i jego dwaj przyjaciele cofnęli się dyskretnie pod ścianę z monitorami i otworzyli swoje torby, podczas gdy Samuelson i jego ludzie rozprawiali o czymś zawzięcie i gratulowali sobie sukcesu. W przeciągu dwóch sekund dziesięć granatów gazowych pomknęło na drugi koniec sali i z sykiem eksplodowało. Efekt był widowiskowy: parę sekund potem wszyscy ludzie Samuelsona, a i



on sam również, zaczęli chwiać się na nogach i jeden po drugim padać na podłogę. Prawie wszyscy byli nieprzytomni, zanim jeszcze osunęli się na podłogę. Van Effen wyjął klucz z kieszeni Agnellego i trzech mężczyzn w pośpiechu opuścili pokój. Mieli zatkałe nosy, ale nie mogli przecież bez końca wstrzymywać oddechu.

— Za pięć minut będziemy mogli wejść do środka — rzekł Van Effen. — Będą spać przynajmniej z pół godziny. — Wręczył Vasco klucz.

— Sznury. Uwolnij Borodina i dopilnuj, by uwolnił pozostałych. Wyjaśnij im wszystko.

Vasco wszedł do piwnicy i ku zdumieniu Borodina, rozciął mu więzy na rękach i nogach, a potem wręczył nóż.

— Niech pan uwolni pozostałych. Jesteśmy naprawdę oficerami policji. Ten z blizną na twarzy to porucznik Van Effen z policji amsterdamskiej.

— Van Effen? — Borodin był lekko oszołomiony. — Widziałem jego fotografie. To nie on. Znam jego twarz. To nie on, przecież wiem jak wygląda.

— Podobnie jak każdy przestępca w tym kraju. Niech pan ruszy głową.

— AleFFF...

— Właśnie ucięli sobie krótką drzemkę — Vasco zebrał linę i wybiegł.

Van Effen podszedł do dyżurnego przy skierowanej w morze wyrzutni:

— Pan Samuelson cię wzywa. Pospiesz się. Jest w dyspozytorni. Za stąpię cię.

Gdy dyżurny zniknął za rogiem, Van Effen podszedł do dyżurującego przy wyrzutni skierowanej na rzekę trzymając w ręku aerosol. Po dwóch sekundach delikatnie ułożył nieprzytomnego wartownika na betonie i ruszył w kierunku helikoptera.

Dyżurny, którego zastąpił Van Effen zatrzymał się, gdy zobaczył George'a, który kiwał nań zachęcająco. Gdy mężczyzna go minął, rąbnął go kantem dłoni w nasadę karku. Dla George'a było to leciutkie uderzenie, ale dla dyżurnego coś, po którym traci się przytomność. George delikatnie ułożył go na podłodze.

Van Effen odsunął kotarę i rzekł:

— A więc tu jesteś, Joop. Widzę, że niezły z ciebie strażnik. — Joop przestał pełnić funkcje strażnika jakieś dwie sekundy później, gdy jego ciało osunęło się bezwładnie na podłogę.

Van Effen wyjął rewolwer i wycelował go w stronę Kathleen i Marii.

Uwolnił Annemarie i Julie z więzów. Pomógł im wstać, wyjąć kneble i wciąż z rewolwerem w dłoni, objął je serdecznie.

— Moja ukochana siostrzyczka. I moja droga Annemarie.

Oczy Kathleen i Marii były tak wielkie jak przysłowiowe spodki.

— Zabrało ci to sporo czasu — wykrztusiła Julie z trudem powstrzymując łzy.

— I to się nazywa wdzięczność... — westchnął Van Effen. — Mieliśmy trochę kłopotów.

— Już po wszystkim? — westchnęła Annemarie. — Czy naprawdę już po wszystkim?

— Tak. Już po wszystkim.

— Kocham cię.

—

Powiem ci to samo, kiedy będę bardziej przytomny.

Obie pozostałe dziewczyny obserwowały go nadal bez słowa, w końcu Kathleen wykrztusiła:

— To twój brat?

— To mój brat — powiedziała Julie. — Peter Van Effen, szef detektywów policji miasta Amsterdam.

— Przyznaję, że to przykry szok — dodał Van Effen. — Ale większy was czeka: są tacy, których chciałybyście zobaczyć, ale którzy niekoniecznie chcą nas oglądać. Naturalnie jak się obudzą...

Wszyscy członkowie FFF spali albo już powiązani jak barany, albo w ostatnim stadium wykonywania na nich tego zabiegu.

— Nieźle, nieźle — przyznał Van Effen. — Co jeszcze zdążyliście zrobić?

— Co ja słyszę — obruszył się Vasco zaciągając z niebywałym entuzjazmem ostatni węzeł na sznurze krępującym nogi Samuelsona. — Na początek, połowa wozów policyjnych z Rotterdamu i Dordrechtu zjawi się tu w przeciągu najbliższych piętnastu minut. Sam to wymyśliłem.

— Obiecujący z ciebie oficer. — Van Effen odwrócił się do Kathleen, która patrzyła na ojca z wyrazem przerażenia. — Dlaczego, Kathleen?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego wyjęła z torebki mały rewolwer z rękojeścią z masy perłowej.

— Nie aresztujesz Samuelsona. Nie wiedziałeś, że on był moim ojcem.

— Wiedziałem, Kathleen.

— Wiedziałaś? Skąd?

— Julie mi powiedziała.

Julie wkroczyła między wylot lufy a stojącego nieruchomo brata.

— Będziesz musiała zastrzelić najpierw mnie, a dopiero potem jego.

Nie muszę wysilać się na odwagę, Kathleen. Wiem, że i tak byś tego nie zrobiła.

Vasco zbliżył się cicho, wyjął rewolwer z jej bezwładnej ręki i włożył go z powrotem do torebki.

— Dlaczego, Kathleen? — spytał ponownie Van Effen.

— To wszystko i tak by wyszło na jaw, prawda? — rozplakała się. Vasco przytulił ją, a ona zamiast stracić jego rękę ze swych drżących ramion, przytuliła się do niego jak tylko mogła najmocniej. — Mój ojciec jest Anglikiem. Był pułkownikiem Gwardii, tyle że pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Wy, o ile wiem, znacie go pod nazwiskiem Samuelson. Jego ojciec był parem i zostawił mu spory spadek. Moi bracia, a jego synowie, kształcili się w Sandhurst. Obaj zostali zabici w Irlandii Północnej. Jeden z nich był wówczas podporucznikiem, drugi porucznikiem. Matkę zabił renegat z ERA. Mój ojciec od tej pory nigdy już nie był taki jak przedtem.

— Tego się domyśliłem. Bardzo możliwe, że Brytyjczycy wystąpią z żądaniem o ekstradycję. Jeżeli nie, czeka go proces w Amsterdamie — rzekł

Van Effen zmęczonym głosem. — W jego przypadku zostaną zapewne wzięte pod uwagę pewne okoliczności łagodzące: ograniczona poczytalność i tym podobne.

— Masz na myśli, że jest szalony?

— Nie jestem lekarzem. Myślę, że to po prostu chwilowe ograniczenie poczytalności. Mario, powiedz mi, czy Romero i Leonardo mieli coś wspólnego z zabójstwem mojej żony i dzieci?

— Nie, nie! Przysięgam! Oni nie skrzywdziliby nawet muchy! To moi dwaj bracia siedzący obecnie w więzieniu. WIEM, że to ich sprawka. To pełni nienawiści, źli ludzie. Mogę to zeznać w sądzie pod przysięgą.

— To by oznaczało doliczenie kolejnych pięć lat do wyroku.

— Mam nadzieję, że pozostaną w więzieniu aż zdechną.

— Przeciwno tobie i Kathleen nie wniesiemy żadnych oskarżeń. Co innego współpracować z przestępcami z własnej woli, a co innego pod przymusem.

Vasco bądź tak miły, puść wreszcie tę młodą damę i skontaktuj się z wujem Arthurem. Opowiedz mu o wszystkim. George, zabierz stąd te dziewczyny.

Zaprowadź je do kantyny czy mesy i niech coś zjedzą, napiją się i odpoczną trochę po tych męczących przeżyciach. Jeżeli nie znajdziesz niczego odpowiedniego, to poszukaj na pokładzie helikoptera, tam

zostało jeszcze trochę żywności i trunków. Tylko strzeż się prób samobójstwa.

— Nie sądzę, by któraś z nas zamierzała popełnić samobójstwo —

powiedziała Julie.

— Tak, wiem, twoja kobieca intuicja. No cóż, zgadzam się z tobą. George, gdybyś mógł również i mnie przynieść coś do jedzenia i picia... Czuję się mocno osłabiony.

George uśmiechnął się i wraz z czterema dziewczynami opuścił dyspozytornię.

Vasco rozmawiał przez telefon przez dwie minuty, po czym zakrywając dłonią słuchawkę, zwrócił się do Van Effena.

— Wydaje mi się, że wuj Arthur chciałby z tobą rozmawiać. Czy mogę, hm... przyłączyć do grona dam?

— Oczywiście — Van Effen podniósł słuchawkę, gdy usłyszał dobiegający z oddali odgłos policyjnych syren. Pułkownik de Graaf nie szczędził mu pochwał, tak samo jak Wieringa, któremu de Graaf wręczył na chwilę słuchawkę. Po chwili przerwy pułkownik znów powrócił do pełnych entuzjazmu pochwał. — Pułkowniku de Graaf — rzekł Van Effen. — Jestem już zmęczony odwalaniem za pana całej brudnej roboty. Czuję się jak gosposia domowa. Potrzebuję nowej pracy, podwyżki, a raczej i jednego, i drugiego.

— Dostaniesz jedno i drugie, mój chłopcze; kiedy obejmiesz moje stanowisko, z całą pewnością otrzymasz należną ci z tego tytułu podwyżkę. —

Kaszlnął cicho — Powiedzmy... za sześć miesięcy. No... może najpóźniej za rok.

## SPIS RZECZY

Wstęp .....	7
Rozdział pierwszy.....	9
Rozdział drugi .....	23
Rozdział trzeci.....	47
Rozdział czwarty .....	78
Rozdział piąty.....	104
Rozdział szósty .....	128
Rozdział siódmy .....	143

Rozdział ósmy.....	169
Rozdział dziewiąty . >.....	190
Rozdział dziesiąty.....	219
Rozdział jedenasty.....	235
Rozdział dwunasty .....	256